

# Święty terror

Masterton Graham



calibre 0.9.43

# TIMN

**Graham Masterton**

**Święty Terror**

**Holly Terror**

**Przełożył Piotr Hermanowski**

**Data wydania oryginalnego 2003**

**Data wydania polskiego 2003**

**18 sierpnia 1918 roku,**

**Longyearbyen, Norwegia**

Zaczynało się ściemniać, choć nie było jeszcze piętnastej. Z lekkiej perłowej mgiełki otulającej portowe doki wynurzył się parowiec *Forsete*. Szare wody otaczające jego burty były spokojne. Przypominały lepka, gęstą owsiankę. Arne wiedział, że jest to najprawdopodobniej ostatni już statek do Longyearbyen, zanim zima skuje lodem przybrzeżne wody.

Czekał, aż parowiec przycumuje do nadbrzeża, przestępując z nogi na nogę i pocierając ręce w wytartych szarych rękawicach. Obok niego, owinięty ciepłym płaszczem, stał jego przyjaciel Tarjei, trzymając w ustach zapalonego papierosa.

– No i jak myślisz, zapomnieli o bateriach? – zapytał.

– Nie obchodzi mnie, czy zapomnieli o bateriach, jeśli nie zapomnieli o sznapsie.

Arnulf, wysoki chudzielec, który wyglądał jak strach na wróble, stał nieco z boku.

– A mnie nie obchodzą ani baterie, ani sznaps, ale za to mam nadzieję, że nie zapomnieli o kobietkach.

Drewniane nadbrzeże aż zadrżało, gdy *Forsete* w nie uderzył. Rzucono cumy. Liny były tak zamarznięte, że nie można ich było wyprostować. Załoga wisiała na relingach i patrzyła na brzeg. Wszyscy mieli na sobie ciepłe ubrania, podobnie jak gapie na brzegu. Nikt nie machał

na przywitanie, nikt nie wykrzykiwał pozdrowień. Było kilkanaście stopni poniżej zera i nikt nie przyszedł tu z własnej woli.

Gdy tylko opuszczono trap, Arne ruszył do przodu, by spotkać się z kapitanem. Był to krępy mężczyzna o białej brodzie, która nadawała mu wygląd groźnego wikinga.

– Tego roku zima przyszła znacznie wcześniej – powiedział na przywitanie Arne.

– Zima przychodzi tym wcześniej, im bardziej się starzeję – zarechotał kapitan, ale spojrzenie jego oczu pozostało zimne jak lód. – To chyba już mój ostami rok na tej łajbie. Pół

załogi mi się pochorowało.

– Przywiozłeś ropę? I części zamienne, i generator? No i kable do przewijarki...

Kapitan zatrzymał go gestem w pół słowa.

– Masz wszystko, co chciałeś. A nawet jeszcze wieprzowinę w puszkach i coś ekstra. –

Odwrócił się do parowca, z którego schodziło siedmiu członków załogi, targając torby i tanie walizki. – Dostaniesz jeszcze paru chłopaków, którzy umieją, trzymać język za zębami.

Nadają się do podziemnych robót, che, che.

Arne uśmiechnął się kwaśno.

– Myślę, że się przydadzą.

Młodzi ludzie zeszli po trapie. Jeden z nich poślizgnął się na lodzie i przy akompaniamencie śmiechu wylądował na samym jego końcu. Kapitan przywołał ich i przedstawił Arnego:

– To Arne Gabrielsen, główny inżynier. Był tu jeszcze przed wojną, jeszcze zanim się urodziliście. W Longyearbyen on będzie waszym szefem, waszym ojcem, spowiednikiem i lekarzem. Bez niego nie przeżyjecie tutaj, więc macie traktować go z szacunkiem.

Jeden z mężczyzn zdjął rękawicę i wyciągnął rękę. Arne zignorował ten gest. Nie zamierzał zdejmować swoich rękawic w takim zimnie tylko dlatego, że ktoś wyciągnął do niego dłoń. Błady, trzęsący się chłopak powiedział, szcękając zębami:

– Jestem Tonnod Albrisgten. Wszyscy pochodzimy z Tromso.

– Czy któryś z was ma jakieś doświadczenie?

– Ole pracował kiedyś w kopalni i w kamieniołomach. A ja pomagałem na farmie mojego wuja. Wykopywałem zamrożone rzepy. To bardzo ciężka praca.

– Taaa... ale to nie to samo. Złóża węglowe są bardzo głęboko... czasami sto dziesięć metrów pod powierzchnią. A sprzęt mamy stary, jeszcze sprzed wojny. Kompania do dzisiaj go nie wymieniła. Chyba się nie przestraszyliście, co? Trzęsiecie się jak liście na jesieni.

– Nie... nie. To tylko chłód. Cały czas tak zimno... jeszcze na statku...

– No dobra, chłopcy. Arnulf pokaże wam jedną z chat. Tam możecie napalić w piecu i ogrzać się.

– Mogli przysłać kobiety – burczał niezadowolony Arnulf. – Chociaż jedną kobietę.

Jesteśmy górnikami, a nie mnichami, no nie?

Mruknął coś jeszcze i poszedł w kierunku domów, chat i warsztatów, które stały niedaleko portu. Wkrótce zaczął go pochłaniać gęstniejący wieczorny mrok. Młodzi ludzie zarzucili na ramiona swoje torby i niechętnie poszli za nim.

Załoga rozładowała statek z pomocą górników, którzy akurat byli na nabrzeżu. Nie rozmawiali zbyt wiele. Czasami ktoś krzyknął tylko: „Uważaj, patrz pod nogi! Uważaj na boki!”.

Towar ładowano na dwie ciężarówki, które stały z włączonymi silnikami przy nadbrzeżu.

Ich reflektory rozjaśniały nieco teren, ale coraz bardziej się ściemniało. Jedyne dodatkowe światłem były lampy z drugiej strony portu.

Kapitan wyciągnął paczkę wotanów i poczęstował Arnego. Stali i palili w milczeniu, od czasu do czasu przestępując z nogi na nogę, by buty nie przymarzły do desek. Było tak zimno, że nie wiadomo było, czy z ich ust wydobywa się dym z papierosa, czy para, w którą zamieniały się ich oddechy.

O wpół do trzeciej nad ranem Arne śnił o niedźwiedziu polarnym, na którego natknął się na środku ulicy. Nagle ktoś szarpnął go za ramię.

– Arne! Arne! To ja, Tarjei. Obudź się, musisz szybko pójść ze mną.

Usiadł na łóżku. Jedyne źródłem światła był przygasający piecyk pod przeciwległą ścianą pomieszczenia, w którym spali.

– Co się stało? – zapytał. – Która jest godzina?

– Po trzeciej. Coś jest nie tak z tymi chłopakami z Tromso. Wszyscy są chorzy.

– Poprzeziębiali się, i tyle. Niech sobie golną po jednym i zawiną się w koce. Przejdzie im do rana.

– To nie jest przeziębienie. Musisz to zobaczyć.

Arne westchnął i zapalił oliwną lampkę stojącą obok łóżka. W blasku światła zobaczył na twarzy Tarjei lęk. Nie mówiąc już ani słowa, wstał i zarzucił na grzbiet cienką koszulę, a potem wciągnął spodnie i włożył gruby sweter i płaszcz.

Na zewnątrz mroźne powietrze uderzyło go w twarz jak młot. Arne pochylił się i ruszył

za przyjacielem pustą ulicą, po której hulał mroźny wiatr. Szli w kierunku chat, w których mieszkała większość górników. Przed jedną z nich stała grupka ludzi, świecąc latarniami i pochodniami.

– Zjrzałem tam, żeby sprawdzić, czy ich piecyk dobrze działa – powiedział Kjell. –

Wejdz i sam zobacz.

Arne otworzył drzwi i wszedł do środka, a za nim wsunął się Tarjei. W chacie śmierdziało dymem drzewnym i rzygowinami. Na środku stał piecyk, a po jego obu stronach prycze, na których leżeli mężczyźni. Jedni leżeli cicho, inni kaszleli i trzęśli się, z trudem łapiąc oddech.

– Jak myślisz, co to jest? – zapytał Tarjei.

Arne podszedł do pryczy, na której leżał Tormod. Jego twarz była pokryta ceglastymi plamami, a oczy zapadły się głęboko w oczodoły. Nietrudno było się domyślić, że prawie nic nie widzi.

– Tormod! – zawołał Arne. – Tormod, słyszysz mnie?

– Ni... nie... nie mogę od... oddychać... – wycharczał Tormod. Zakaszłał, plując flegmą i krwią. – Czy... mój... moja mat... ka tu jest?

Arne chwycił dwoma palcami koniec koca i lekko go uniósł. Zobaczył, że stopy Tormoda są fioletowe. Puścił koc i cofnął się.

– No i co jest? – zapytał ponownie Tarjei. – Zatruli się jakimś żarciem?

– Nie – pokręcił głową Arne. – Czerwona twarz, sine stopy, zaflegmione płuca... To hiszpańska grypa.

Tarjei spojrzał na niego z przerażeniem.

– I co możemy z tym zrobić? A jeśli wszyscy jesteśmy już chorzy?

– Nic nie możemy zrobić – odparł Arne. – Możemy się tylko modlić. Ale mam nadzieję, że jest za zimno, żeby ta choroba się rozwinęła.

Przeszedł wzdłuż pozostałych sześciu pryczy. Czterech mężczyzn już nie żyło; udusili się własnymi rzygowinami i flegmą. Arne wiedział, że pozostałym nie zostało już wiele czasu.

Hiszpańska grypa zabijała bardzo szybko. Słyszał już o takich, którzy budzili się rano w najlepszym zdrowiu, a po południu już nie żyli. Grypa zdawała się atakować przede wszystkim młodych ludzi, takich jak ci tutaj. Arne nie był zbyt religijny, ale gdy tylko zobaczył czerwone twarze leżących na pryczach młodych mężczyzn, polecił ich dusze Bogu.

Kondukt żałobny dochodził właśnie do cmentarza na szczycie wzgórza, gdy zaczął padać śnieg. Miasteczko w dole było ledwie widoczne i wyglądało tak, jak we śnie Arnego.

Rozległo się staccato kilofów, a potem ucichło, by po chwili rozbrzmieć na nowo. Arne polecił, by ciała pogrzebano pięć metrów pod ziemią, gdzie zmarzlina nie ustępowała nawet w lecie.

Na pogrzebie stawilo się prawie całe miasteczko. Nawet w kopalni zaprzestano pracy.

Rankiem na wzgórzu zebrało się ponad czterysta osób. Obok siebie leżało siedem prostych trumien. Ozdabiało je jedynie parę wstążek w norweskich kolorach: czerwieni, bieli i błękitu.

Staruszek Hansen zmówił modlitwę, a potem odśpiewano pieśni. Padało coraz bardziej, zbierało się na potężną śnieżycę. Wiało tak mocno, że Arne zaczął mieć problemy z utrzymaniem równowagi.

W końcu opuszczono trumny do grobów i zasypano je ziemią. Arne sam wrócił do miasteczka. Śmierć nie była mu obca. Widział już zagazowanych górników, ludzi strawionych ogniem albo rozerwanych wybuchem. Widział ciała przywalone tonami gruzu lub węgla. Ale niewidoczna śmierć, którą przynosiła hiszpańska grypa, przerażała go bardziej niż cokolwiek innego.

Przez całą drogę czuł na twarzy zimne muśnięcia jej skrzydeł.

## 1

10 sierpnia o godzinie 12:27 temperatura w Nowym Jorku dochodziła do czterdziestu stopni Celsjusza. Był to chyba najgorętszy dzień w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Cała Piąta Aleja skrzyła się w ostrym słońcu, a powietrze wypełniały szarobrązowe opary spalin. Aż po Pięćdziesiątą Siódmą chodniki sprawiały wrażenie kolorowego mirażu, a sprzedawcy i restauratorzy wyglądali jak spławiki na powierzchni roziskrzonego jeziora.

Siedzący na tylnym fotelu klimatyzowanej taksówki Conor wpatrywał się w swój zegarek z nierdzewnej stali, zastanawiając się, czy pieszo nie zaszedłby szybciej.

– Pan życzy sobie wysiąść? – zapytał palestyński taksówkarz. Jego ciemnobrązowe oczy błyskały we wstecznym lusterku. – Dla mnie to bez różnicy, proszę pana. Chce się pan topić w upale, niech się pan topi. – Po chwili obrócił się przez ramię i dodał z tajemniczym uśmiechem: – Ja panu coś powiem o tym upale. Ten upał określa naturalne prawa wszechświata.

– No dobrze, niech mi pan o tym opowie – mruknął Conor i westchnął. I tak był już spóźniony ponad dwadzieścia minut.

– Czy ja sam bym wymyślił taką rzecz? Ale ja jestem po kursie korespondencyjnym. To jest początek czegoś zupełnie kosmicznego. Może jeszcze nie koniec świata, ale coś równie cholernego.

Korek posunął się nieco do przodu i ruszyli. Po krótkiej utarczce na klaksony z autobusem na Pięćdziesiątej Piątej podjechali pod lśniące okna Spurrsa na Piątej Alei. Conor wygramolił się z taksówki i natychmiast owionął go żar upału. Gdy płacił Palestyńczykowi, zapytał:

– A co to było, ten kurs korespondencyjny?

– Ech, nic takiego... – Taksówkarz machnął ręką, naśladując gest cięcia piłą. – Stolarka.

Conor zapomniał na chwilę o dławiającym upale i popatrzył na odjeżdżającą taksówkę. Co, u diabła – pomyślał – kurs stolarki ma wspólnego z przepowiadaniem końca świata lub innymi tego typu historiami? No ale ostatecznie Jezus też był cieślą, czyż nie? I też pochodził

z Palestyny.

Ruszył przed siebie, pchnął obrotowe drzwi i omal nie zderzył się z elegancką kobietą w średnim wieku, ubraną w cytrynową garsonkę.

– Najmocniej panią przepraszam – powiedział, uśmiechając się ze skruchą.

– Och, nie. To moja wina. – Kobieta odpowiedziała uśmiechem, unosząc jedną brew. Jej oczy prawie krzyczały: „Weź mnie!”.

W środku budynku panował przyjemny chłód. Przeszedł szybkim krokiem przez jasno oświetlony dział perfumeryjny. Delikatne refleksy światła odbijały się w szklanych taflach gablot, w których stały pełne finezji buteleczki Chanel, Giorgia i Dolce e Gabbana.

Szkarłatnowłosa Doris Fugazy, urzędująca za ladą Teda Lapidusa, figlarnie kiwnęła na niego palcem.

– Szefie... czy mogę zamienić słóweczko? – zapytała.

– Oczywiście, ale może troszkę później, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jestem okropnie do tyłu z czasem.

Było trzydzieści dziewięć minut po dwunastej. Dochodził już do swojego biura na tyłach działu perfumeryjnego, gdy zobaczył, że przed wielkimi stalowymi drzwiami skarbcza czekają dwie osoby: kobieta i mężczyzna trzymający płócienną torbę na narzędzia.

Zatrzymał się i podszedł do nich, wyciągając klucze.

– Czy mogę wam w czymś pomóc?

Kobieta i mężczyzna nie odpowiedzieli. Stali obok drzwi skarbcza, jakby się spodziewali, że Conor za chwilę je otworzy.

– Bardzo was przepraszam, ale do tego pomieszczenia nie wpuszczamy obcych. Klienci umawiają się najpierw z jednym z naszych kierowników. Widzicie tego faceta w okularach?

To pan Berkowitz. On wam pomoże.

Nadal żadnej reakcji. Conor westchnął i zapytał:

– Mówicie po angielsku? *Nobla Inglese?*

Dziwna para nawet nie mrugnęła powieką. Kobieta była bardzo wysoka, miała prawie dwa metry wzrostu i była ubrana na czarno. Jej ciemne włosy, gładko zaczesane na boki, kontrastowały z papierowo bladą twarzą, a oczy były tak ciemne, że Conor przez moment zastanawiał się, czy nie ma barwionych szkieł kontaktowych. Jej perfumy o zapachu kwitnących róż i dojrzałych owoców niemal odurzały.

Mężczyzna, choć również wysoki, był jednak o parę centymetrów niższy. Był to Latynos.

Jego czarne kręcone włosy zachodziły nieco na śnieżnobiały kołnierzyk, a cieniutkie paski wąsów i brwi wyglądały, jakby były narysowane kredką. Na ramiona miał zarzucony blezer.

– Czy państwo mnie rozumiecie? – zapytał Conor. – Nie możecie wejść do tego pomieszczenia bez odpowiednich pełnomocnictw. Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę, ale to jest skarbiec. *Permiso*. Przepraszam, ale takie są zasady. Nie ja je wymyśliłem, ale muszę ich przestrzegać. *Comprende?*

Był coraz bardziej skonsternowany. Ani mężczyzna, ani kobieta nie odezwali się ani słowem. W pewnej chwili mężczyzna zaczął podnosić powoli prawą rękę, jakby szykował się do udzielenia błogosławieństwa. Miał na dłoniach czarne wełniane rękawiczki, zapinane na nadgarstku guzikiem z macicy perłowej. W taki dzień... temperatura prawie czterdzieści stopni, przemknęło Conorowi przez myśl. Ale może ma jakieś uczulenie, może jest na coś chory...

Mężczyzna zdjął rękawiczkę i wyciągnął rękę. Jego skóra była zupełnie w porządku.

– Znasz mnie? – zapytał.

Conor zamrugał powiekami. Spojrzał ponownie, ale przed drzwiami skarbcza nikt oprócz niego nie stał. Był jednak pewien, że przecież sekundę temu...

Ale czego był pewien? Nawet nie pamiętał, czego miał być pewien.

Zastanawiał się jeszcze przez moment. Odwrócił się i spojrzął na Doris, ona jednak zajęta była spryskiwaniem perfumami nadgarstka wielkiej kobiety w białej sukni. Zmarszczył brwi, otworzył drzwi i wszedł do swojego biura. Po lewej stronie stało szesnaście połączonych wewnętrzną siecią monitorów, pokazujących różne części salonu perfumeryjnego. Jego biurko znajdowało się po prawej stronie. Na mosiężnej tabliczce wyryto napis: COHORT.

O'NEIL, SZEF BEZPIECZEŃSTWA. Obok stało plastikowe pudełeczko na lunch.

Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku – aż do momentu, gdy Conor spojrzął na elektroniczny zegar ścienny. Wskazywał trzynastą zero osiem, czyli musiało minąć prawie pół godziny, odkąd



wysiadł z taksówki.

2

Wyszedł na wyłożony chłodnym marmurem korytarz. Co, u diabła, robił przez ostatnie dwadzieścia dziewięć minut? Jak to możliwe, że tego nie pamięta? Przecież nie mógł stać przez cały czas przed drzwiami. I gdzie zniknęła ta kobieta i jej towarzysz?

Na korytarzu nikogo nie było. Znajdujące się na samym końcu wielkie drzwi do skarbcza były nietknięte, a kamera przez cały czas obserwowała je swoim czerwonym okiem. Conor wrócił do pomieszczenia ochrony i wyjrzał przez wewnętrzne okno.

Wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku, nic nie zakłócało normalnego dnia pracy. W chłodnych marmurach podłogi odbijały się światła sufitu i halogenów wystawowych gablot. Po salonie przechadzały się kobiety w letnich sukienkach, szukając najsubtelniejszych zapachów.

Conor cofnął się i stanął obok biurka. Przycisnął pięść do ust i zastanawiał się przez chwilę. Był zupełnie zdezorientowany. Nie potrafił zrozumieć tego, co się wydarzyło.

Przecież nie stracił przytomności, nie zemdlał ani nie zwariował.

Usiadł przed monitorami i sprawdzał salon kawałek po kawałku, każde piętro, każde stoisko. Sprawdził wszystkie kamery. Zaglądał w korytarze, zapasowe wyjścia przeciwpożarowe i do toalet. Nigdzie nie było ani tamtej kobiety, ani jej towarzysza. Ale po upływie dwudziestu dziewięciu minut mogli być gdziekolwiek.

– Cholera... – zaklął Conor.

Przewinął taśmę z nagraniem od czasu, gdy stał przed drzwiami do biura ochrony i rozmawiał z mężczyzną i kobietą. Nagranie zawierało trzy i pół godziny elektronicznego nadzoru, aż do godziny 12:41. Przewijał taśmę na szybkim podglądzie: klienci i pracownicy uwijali się jak termyty w drewnie. A potem zapis zniknął. Pojawiały się paski, kaskady śnieżnych gwiazdek i jakiś dziwny hałas. Conor pokręcił głową. Nic z tego nie rozumiał. Ale wiedział, że w dwadzieścia dziewięć minut każdy znający się na rzeczy gang mógłby doszczętnie obrobić salon. A towar, który się w nim znajdował, był wart setki tysięcy dolarów.

W jego biurze nie było śladu wizyty dziwnej pary. Nic nie zginęło, niczego nie brakowało. Komputer mrucał cicho i wyświetlał swoją tapetę: stado białych mew na tle ciemnego błękitu nieba. Biurko Conora wyglądało schludnie jak zawsze. Na nim również niczego nie brakowało. Papiery, otwieracz do butelek z herbem nowojorskiej policji oraz oprawiona w porcelanę fotografia Lacey, którą zrobił w klubie golfowym Wild Dunes w Karolinie Południowej.

Wyciągnął wszystkie szuflady w biurku, począwszy od tych najniższych – tak jak zrobiłby to każdy doświadczony glina. Teczki, notatniki, zakładki, spięte akta; wszystko było na swoim miejscu. W lewym narożniku pierwszej szuflady ukryta była stalowa kasetka.

Otworzył ją i wyciągnął smitha & wessona 38. Pistolet był w kaburze, naładowany i zabezpieczony. Niczego nie brakowało, niczego nie skradziono.

Niczego oprócz czasu. Z jego życia skradziono dwadzieścia dziewięć minut – od momentu, gdy wszedł do salonu, aż do chwili, gdy zdał sobie sprawę z tego, że kobieta i mężczyzna zniknęli. Co on robił w trakcie tych dwudziestu dziewięciu minut? A co ważniejsze, co oni robili?

Wciąż przeszukiwał swoje biurko, gdy do pokoju wszedł Darrell Bussman. W jednej ręce trzymał notatnik w sztywnej oprawie, a w drugiej pączek z lukrem i rodzynkami. Darrell był

kierownikiem działu transakcji, miał zawsze rumiane policzki i nie grzeszył wysportowaną sylwetką. Choć miał teraz dwadzieścia trzy lata, z pewnością w przeszłości nikt nigdy nie zaproponowałby mu wejścia w skład drużyny futbolowej. Gust, jakim kierował się przy wyborze krawatów, pozostawał nieodgadnioną tajemnicą, ale efekty były mizerne. Jego wuj, Newt Bussman, posiadał czterdzieści siedem procent akcji Spurrsa na Piątej Alei. Poczucia humoru miał tyle, co rekin młot, ale jeśli chodzi o umiejętności zawodowe, miał wszystko, czego potrzebował.

– Hej, Conor, co cię zatrzymało? – zapytał swoim wysokim matowym głosem. –

Musielismy bez ciebie przejść przez wszystkie procedury wysyłkowe. A nikt nie wiedział, kiedy UPS miał przysłać kolekcję Gucciego.

– Wybacz, Darrell. Miałem pewien rodzaj aresztu.

– Co się stało?

– A jak myślisz? Zadarłem z własną żoną, no i dostało mi się.

– Wciąż masz wizytacje albo inspekcje?

– Według uznania Pauli.

– No cóż, lepsze to niż nic.

– Tak sądzisz? Nie znasz Pauli.

– Słuchaj, Conor. Co myślisz o tym, żeby kazać tym z UPS dostarczyć roleksy razem z naszymi naszyjnikami?

– Może być. Dobry pomysł.

Darrell chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym samym momencie dostrzegł otwartą kasetkę i powyciągane szuflady.

– Hej, Conor, chyba nie opróżniasz biurka, co?

– Nie, nie – uśmiechnął się Conor. – Wszystko w porządku. Po prostu szukałem czegoś.

– Musi to być diabelnie cenna rzecz – stwierdził Darrell.

Conor wstał i wyprostował się, a potem spojrzał na niego i powiedział:

– Cóż... chyba właśnie doświadczyłem czegoś bardzo dziwnego, więc chciałem się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

– Doświadczyłeś czegoś dziwnego? Nic nie mów. Porwali cię Cardassianie. Albo jeszcze dziwniejsze stwory. A mój wujek cię uratował.

– Darrell, to nie są żarty. Ja mówię poważnie. Nawet nie wiem, od czego zacząć, żeby spróbować to rozwikłać.

– Zobaczyłeś jakieś duchy? Ha, ha, wiedziałem. Zawsze mówili, że Spurrs na Piątej Alei jest nawiedzony. Słyszałem, że między stoiskami przechadza się kobieta bez głowy. Facetka o samym tułowiu, która...

– Darrell, daj spokój. Ludzie, których widziałem, nie byli żadnymi duchami. To była normalna kobieta i facet. Ona bardzo wysoka, ubrana cała na czarno. A ten facet... hmm, ciemny, jakby Kubańczyk albo coś w tym stylu.

– Wiesz co, ja też ich widziałem. Stary, nie żartuję. Mówię serio. – Darrell potrząsnął głową. – Byli w depozycie, tam ich widziałem.

– Naprawdę ich widziałeś?

– Tak. Podeszli do mnie i zapytali o coś. Powiedzieli... – Darrell otworzył usta i po chwili je zamknął. Opuścił swój notatnik i przyłożył dłoń do czoła. Po chwili uśmiechnął się niepewnie i powiedział: – Wiesz, to głupie, ale nie pamiętam, co mówili. Cholera, nie pamiętam...

– Darrell, postaraj się. To może być bardzo ważne.

– Przykro mi, Conor, nie mogę sobie przypomnieć. Ale w takim razie to nie mogło być nic ważnego, no nie? Wiesz, rozmawiali ze mną, a po chwili już ich nie było.

– Kiedy to się stało?

– Och, jakieś... mniej więcej czterdzieści minut temu. No, może trzydzieści pięć.

– Szkoda, że nie dałeś mi znać.

– Ależ ja do ciebie dzwoniłem. Chciałem sprawdzić, czy już wróciłeś. Nikt jednak nie podnosił słuchawki. No ale powiedz, czym ty się martwisz? Oni nic nie powiedzieli i niczego nie zrobili. Niby wiele nie pamiętam, ale... – Darrell zamilkł i ugryzł swojego pączka.

– Wiesz, myślę, że powinniśmy jednak sprawdzić skarbiec – oświadczył po chwili Conor.

– Skarbiec? A po kiego licha?

– Po prostu chcę się upewnić, że wszystko jest w porządku, że niczego nie brakuje.

– A jakim cudem coś mogło zginąć z zamkniętego skarbcza? – spytał Darrell z pełnymi ustami.

– Nie wiem. Wiem tylko, że to, co przytrafiło ci się w depozycie, przytrafiło się i mnie.

Ale ja nie mam kilkusekundowej luki w pamięci. Mnie uciekło dwadzieścia dziewięć minut.

– Żartujesz... Dwadzieścia dziewięć minut?

– Dokładnie tyle. Spotkałem ich przed drzwiami skarbcza, a potem już niczego nie pamiętam. Właśnie dlatego zamierzam wszystko sprawdzić.

Darrell spojrział na swojego ogromnego złotego roleksa.

– Bardzo bym chciał, Conor, naprawdę, ale teraz nie mam już czasu. Jestem strasznie zabiegany. Stary, daj spokój. Gdyby ktoś chciał sforsować drzwi do tego skarbcza, musiałby tu wjechać czołgiem i to przynajmniej M-sześćdziesiąt. A nie widziałeś chyba dzisiaj żadnego czołgu, przejeżdżającego przez salon, co?

– Darrell, nie daj się prosić.

– Conor, na miłość boską, wyluzuj. Przecież mamy alarmy, sensory na podczerwień, kamery i zamki czasowe. Żaden z nas nie może sam otworzyć tego skarbcza, a mnie wtedy nie było, prawda? Pogubiłeś się, zapomniałeś, co robiłeś przez parę minut, i to wszystko. Może masz gorączkę... może przez chwilę byłeś bardziej zmęczony.

Conor starał się zachować cierpliwość. A nie było to łatwe, zwłaszcza w towarzystwie takiej gadatliwej baryłki jak Darrell, z ustami wypełnionymi pączkiem i krzykliwymi panienkami na paskudnym krawacie.

– Darrell, ustąp wreszcie staremu, podejrzliwemu szefowi ochrony i pozwól odpocząć jego steranemu umysłowi. Mam jakieś dziwne przeczucie, to wszystko. Bebechy mi się od tego skręcają.

– Nawet nie wiem, Conor, czy zdajesz sobie sprawę, o czym my tu mówimy. Wiesz, o czym mówimy? Mówimy o milionach dolarów... o towarze, którzy leży za drzwiami tego skarbcza, a gdy te rzeczy zaczynają choćby inaczej błyszczeć, to tacy faceci jak pan George Whitney Czwarty i Harold D. Hammet nie mogą spać. A ty mi tu gadasz o jakimś dziwnym przeczuciu. Stary, lepiej, żeby te twoje bebechy skręcały ci się od czegoś, co dzisiaj rano zjadłeś.

Conor wstał i podszedł do przeciwległej ściany. Zdjął obrazek, który dostał od wydziału policji, gdy odchodził z pracy. Był to znany rysunek Normana Rockwella, przedstawiający młodego zbiega. Siedział na stołku w jadłodajni z lat pięćdziesiątych, a obok niego rozlewał

się na wąskim stołku gruby, dobroduszny glina. Conor zawsze podejrzewał, że w tym podarunku jest

pewna ironia.

Za rysunkiem ukryty był mały ścienny sejf. Conor wystukał cztery cyfry i natychmiast po nim to samo zrobił Darrell. Gdyby drugiej sekwencji cyfr nie wprowadzono w ciąg sześćdziesięciu sekund, sejf zamknąłby się automatycznie. W środku znajdowały się dwa pojedyncze klucze. Jeden z nich wziął Conor, a drugi Darrell.

Razem wyszli z biura ochrony i poszli w kierunku skarbcza. Na marmurowej podłodze gumowe podeszwy sandałów Darrella skrzypiały jak styropian na szybie.

– Właśnie w tej chwili powinienem być zupełnie gdzie indziej – narzekał Darrell, próbując się gdzieś dodzwonić ze swojej komórki, ale pod specjalnie wzmocnionym i izolowanym sufitem nie było zasięgu.

Doszli do drzwi skarbcza. Tu również musieli wstukać ośmiocyfrowy kod bezpieczeństwa, po cztery cyfry na każdego z nich. Po sekwencji cyfr włożyli do zamków klucze, które trzeba było jednocześnie przekręcić. Każdy ich ruch śledziła specjalna kamera.

Weszli do środka. Pomieszczenie, długie na dwadzieścia i szerokie na osiem metrów, oświetlone było bladym, zimnym światłem. Wzdłuż ścian, od podłogi aż po sufit, piętrzyły się regały ze skrzynkami depozytowymi. Również na środku znajdowały się trzy rzędy regałów.

To właśnie tu bogaci klienci Spurrsa trzymali swoje drogocenne klejnoty, pakiety akcji, kasety wideo i wiele innych rzeczy, których nie chcieli albo nie mogli powierzyć swoim bankom lub małżonkom. Niemal przez cały wiek Spurrs na Piątej Alei służył najbardziej znanym i wpływowym osobistościom, od Jay Gould począwszy, a na Jacqueline Kennedy Onassis i Pamelii Harriman skończywszy.

Conor szedł wzdłuż regałów i przyglądał się zamkom w skrzynkach depozytowych.

Wszystkie powinny znajdować się w pozycji horyzontalnej. Chciał się również upewnić, że żadnej ze skrzynek nie brakuje.

– Jak tam po twojej stronie? – krzyknął do Darrella.

– Nic. Wszystko w porządku. Skoro skręcają ci się bebechy, to widocznie masz wzdęcia.

A wszystko przez to żarcie, które pakuje w ciebie Lacey.

Conor sprawdził ostatni rząd depozytów. Wszystkie były zamknięte, ale wciąż nie mógł pozbyć się nie milego uczucia, że coś tu nie gra.

– No dobra – westchnął. – Najwyraźniej coś sobie ubzdurałem... mam chyba zbyt bujną wyobraźnię.

Darrell podszedł do niego i zawisł na jego ramieniu jak zakochana foka.

– Właśnie dlatego cię wybraliśmy – zaśmiał się. – Masz wyobraźnię, chłopie. I mięśnie, i fantazję, a to rzadkie połączenie w tym biznesie, wierz mi.

### 3

Conor wrócił do biura i wpatrywał się w swoją sałatkę tak, jak wychodzący z nałogu alkoholik patrzy na butelkę wody Perrier. W plastikowym pudełku na lunch znajdowało się wielkie czerwone jabłko i muesli. Lacey bardzo się starała, by przewód pokarmowy Conora miał codzienny przerób. Była dwanaście lat młodsza od niego. Jej ojciec zmarł na raka okrężnicy, więc Conor nie mógł jej winić za to, że tak bardzo dba o to, by się właściwie odżywiać. Ale bywały dni, że z radością oddałby sześć tygodni życia za indyka lub za soczystą, polaną sosem, grubą na cztery centymetry kanapkę z wołowiną w Carnegie Deli na Siódmej Alei.

Wpatrywał się jeszcze przez chwilę w swój lunch, a potem odsunął pudełko, zamknął je i wyprostował się w fotelu. Wciąż nie mógł się pozbyć irytującego i nieprzyjemnego wrażenia, że stało się coś bardzo dziwnego; coś, co zaprzeczało zdrowemu rozsądkowi. Tego był

pewien. Niby to jeszcze nie koniec świata, ale coś równie paskudnego. Conor miał irlandzkie poczucie rzeczywistości i postrzegał wszystko wielowarstwowo. Uważał, że wszystko ma dwie strony, a każda z tych stron składa się z wielu warstw. Każda z tych warstw ma swoją własną tożsamość i trzeba ją rozpatrywać na wiele różnych sposobów. Nie wierzył jednak w nic, co zaprzeczało zdrowemu rozsądkowi i nie podlegało prawom fizyki.

Dziś nie miał już wielu przyjaciół, ale ci z tych, którzy pozostali, z pewnością określiliby go jako najbardziej skomplikowanego i bezkompromisowego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkali. Wierzył w sprawiedliwość, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie zawsze można ją osiągnąć. Wiedział o tym i akceptował to.

Nigdy nie pozwalał sobie na to, by złożoność jego toku myślenia znajdowała odzwierciedlenie w mimice. Jego twarz zawsze pozostawała nieprzenikniona. Wiele cech odziedziczył po ojcu: wzrost, zielone oczy; tak zielone jak wody zatoki Ballinskelligs. Miał

także charakterystyczny dla O’Neilów dołek w brodzie. *Klan O’Neilów miał dołek w brodzie, odkąd twój pra-pra-pra-pradziadek rozgniewał Tuathę De Danann, jedną z wróżek, i wtedy ona uderzyła go lekko srebrną różdżką.* Nie odziedziczył jednak po ojcu piegów na twarzy.

Jego piękna sycylijska matka podarowała mu w swoich genach smagłą skórę, ciemne włosy i grację w ruchach. Na przyjęciach wiele kobiet dostrzegało w jego oczach zmysłowość i zatrzymywało na nim wzrok.

Urodził się trzydzieści siedem lat temu w szanowanej rodzinie nowojorskich policjantów.

Jego starszy brat, Gerald, był znakomicie prosperującym biznesmenem w branży pościelowej, ale Conor wiedział, że nigdy nie zostałby Najlepszym z Najlepszych. On sam ukończył

Akademię Policyjną z najwyższymi notami. Miał tylko jedną wpadkę, a zawdzięczał ją ekspertowi od

daktyloskopii płci żeńskiej. W wieku dwudziestu sześciu lat prowadził

supertajną operację przeciw mafijnej rodzinie Baroccich i doprowadził ją do końca, o mało nie przypłacając tego życiem. Zanim doszedł do trzydziestki, był najmłodszym w historii wydziału i miasta kapitanem detektywem. Był godnym zaufania pracownikiem. Miał piękną żonę; nie bez znaczenia był też fakt, że posiadała koneksje. Mieli trzyletnią córkę Fay.

Niewiele ponad trzy lata temu w nowojorskim salonie fryzjerskim Loewa zastrzelono Trzypalczastego Johna Negrottiego. Trafiono go dziewiętnaście razy. Ta strzelanina na zawsze zmieniła życie Conora. Było mnóstwo krwi, potopy miętowej pianki do golenia, ale żadnego świadka. Początkowo przypuszczano, że to typowe porachunki między rodzinami i że na Negrottiego wydano wyrok. Ale Conor wiedział swoje. Miał kontakty z Komisją Mafijną. Była to nieoficjalna organizacja zrzeszająca największe rodziny mafijne. Z biegiem czasu zaczął odkrywać prawdziwe przyczyny zajścia. Okazało się, że w wydziale nowojorskiej policji powstał tajny Oddział Śmierci. Nazwali sami siebie Klubem Golfowym z Czterdziestej Dziewiątej i przez sześć lat zmuszali rodziny mafijne – z Manhattanu, Brooklynu i Queens – do płacenia cotygodniowych kilkutyśięcznych haraczy. Jeśli ktoś się wyłamał, wydawano wyrok na niego i jego najbliższą rodzinę, łącznie z żonami i dziećmi.

W miarę jak śledztwo ujawniało coraz więcej szczegółów dotyczących torturowania i morderstw popełnianych na członkach mafii i ich rodzinach, nasilały się groźby ze strony Klubu. Straszono Conora podłożeniem bomby, porwaniem żony i córki lub wykastrowaniem

– jego genitalia miały być wysłane pocztową przesyłką do Davida Lettermana.

Zorganizowano mu więc stałą ochronę, a wokół Pauli i Fay roztoczono najściślejszy nadzór, jaki tylko był możliwy. Ich małżeństwo przechodziło ciężką próbę, ale tak musiało pozostać aż do czasu rozwiązania sprawy Klubu Golfowego z Czterdziestej Dziewiątej i doprowadzenia jego członków przed oblicze sądu. Żonę Conora i Fay odwieziono do Darien, do wpływowych rodziców Pauli.

Podczas procesu jeden z oskarżonych, detektyw William Sykes, zaprzeczył, jakoby

„robili tylko to, co do nich należało, ponieważ robili znacznie więcej”. Detektyw usprawiedliwiał ściąganie haraczy od mafii tym, że „odbieranie skradzionych pieniędzy ludziom, którzy je ukradli lub zdobyli nielegalnie, nie stanowi przestępstwa i nie pogarsza sytuacji tych, co je utracili”.

Ale największego ćwieka zabił sędziom Luigi „Artysta” Guttuso. W trakcie zeznania powiedział niemal szeptem: „Wychowano mnie tak, żebym nigdy nie okazywał strachu.

Nigdy i nikomu. Więc gdy jakiś łachmyta straszy cię, że odetnie ci dłonie nożem rzeźnickim, to co robisz? Plujesz mu w oczy, i tyle. Muszę jednak szczerze wyznać, Wysoki Sądzie, że moja rodzina była śmiertelnie przerażona tym, co robił Klub Golfowy z Czterdziestej Dziewiątej. Ale kapitan O’Neil, nie bacząc na osobiste konsekwencje, przerwał ten obłąd strachu. I dlatego jestem dumny, mogąc go nazwać swoim honorowym bratem...”.

Dziewięciu członków Klubu Golfowego z Czterdziestej Dziewiątej zostało oskarżonych o siedem

prób wyłudzenia haraczy i pięć morderstw pierwszego stopnia. Skazano ich łącznie na 369 lat więzienia. Dzięki Conorowi odkryto i rozwiązano jeden z największych policyjnych skandali w historii miasta, a „New York Post” ogłosił go bohaterem. Ale przemówienie Luigiego Guttusa w sądzie oraz nieprzyjazne nastawienie wielu kolegów z wydziału przerwały karierę policyjną Conora.

Na drugi dzień po ogłoszeniu wyroku złożył rezygnację. Zanim zasiadł przy swoim biurku, by napisać podanie o zwolnienie, musiał usunąć wielkiego szczura, przybitego do księgi aresztowań sześciocalowym bretnalem.

Otworzył żółty blok papieru rysunkowego i z ozdobnego kubeczka, który dostał od Lacey na dzień świętego Patryka, wyciągnął ołówek. Zaczął szkicować mężczyznę i kobietę, których widział przed drzwiami skarbcza. Rysunek nie był jego najmocniejszą stroną. Jego nauczyciel zawsze mawiał, że rysuje ludzi tak, że przypominają zmurszałe pnie, a jego konie wyglądają jak schorowane krokodyle. Trochę potrwało, zanim szkic nabrał odpowiedniego kształtu. Nie obyło się też bez wyciągania języka. Zawsze to robił, gdy jakaś praca całkowicie go pochłaniała. W końcu udało mu się naszkicować zupełnie niezłe sylwetki. Sam czuł, że uchwycił istotne podobieństwo: kocią twarz kobiety, jej zaczesane do tyłu włosy i demoniczne spojrzenie. I chociaż czoło mężczyzny było trochę za szerokie, niewątpliwie miał

cechy faceta z Copacabany. U dołu Conor podpisał: *Dziesiąty sierpnia, godz. 12:27. Kto???*

*Co??? Dlaczego???*

Do biura wszedł Salvatore Morales. Conor odsunął się od biurka.

– Dzwonili z Brinks-Mat – powiedział Morales, przymykając drzwi. – Właśnie minęli Trzydziątą Czwartą, więc będą tu za pięć minut.

Conor wstał. Nawet jeszcze teraz, po siedmiu miesiącach, nie czuł się swobodnie w towarzystwie Salvatore. Był on niewątpliwie bystrym i sumiennym pracownikiem, a przy tym niezwykle skutecznym. Miał zawsze starannie przycięte wąsy, wypielęgnowane paznokcie, a wokół niego roztaczał się dyskretny zapach wody lawendowej. W swojej prawie dwunastoletniej karierze w Spurrsie na Piątej Alei złapał więcej złodziei biżuterii niż wszyscy inni członkowie ochrony razem wzięci. Gdy Bili Hardcastle odchodził na emeryturę, każdy, łącznie z samym Salvatore, spodziewał się, że to właśnie on obejmie zwolnione stanowisko.

Członkowie zarządu Spurrsa zdecydowali jednak inaczej. Ich eksperci do spraw kontaktów z prasą i opinią publiczną stanowczo doradzali, by zatrudnić „Krzyżowca z Manhattanu”. Gdy Conor objął posadę, Spurrs dał swoje niedzielne reklamy z jego zdjęciem w mundurze policyjnym. Lacey twierdziła, że to było wspaniałe, ale Conor czuł się zakłopotany. Zdawał sobie również sprawę z tego, jak musiał się czuć Salvatore. Nigdy nie udało mu się znaleźć odpowiedniego momentu, by z nim na ten temat porozmawiać, a sam Salvatore nie ułatwiał mu zadania. Zawsze był bardzo formalny i zdawał się otaczać murem nie do przebycia.

Conor spojrział na niego i uśmiechając się, zapytał:



– Sal, zanim pójdziesz... powiedz mi... czy widziałeś dzisiaj coś niezwykłego w naszym salonie?

– Coś niezwykłego? W jakim sensie, proszę pana?

– No, coś mniej więcej w tym stylu – powiedział Conor, pokazując mu swoje szkice. –

Ona bardzo wysoka, dobrze ubrana, on nieco niższy.

Salvatore wziął do ręki szkicownik i popatrzył.

– Hmm... No cóż, nie wiem, proszę pana. O jaki kontekst chodzi?

– Zapomnij o kontekście, Sal. To właśnie przez konteksty mamy tyle pomyłek przy rozpoznaniu. Kiedy pokazujesz świadkom rysopis, od razu podświadomie zakładają, że to przestępca.

– Z całym szacunkiem, szefie, ale ja przez sześć lat byłem w wydziale szeryfa Metro-Dade na Florydzie.

– Wiem o tym, Sal. Znam twoje kwalifikacje. Ja tylko pytam, czy już kiedyś widziałeś tych dwoje.

– Proszę wybaczyć, szefie, ale może moglibyśmy poprosić o wykonanie takiego szkicu kogoś z wydziału policji...

Conor patrzył przez chwilę na niego, a potem zapytał:

– O czym ty mówisz, Sal?

– O tym, że na podstawie pańskiego szkicu trudno kogoś zidentyfikować.

– Jak to trudno, Sal... Przecież oni...

– Oni tu wyglądają jak para oskubanych kurczaków.

Na twarzy Salvatore nie drgnął ani jeden mięsień. Conor wziął do ręki swój szkic i przyjrzał mu się uważnie. Oddychał głośno nosem i z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– No, w każdym razie – wykrztusił wreszcie – być może widziałeś kogoś... coś...

podobnego dzisiaj w naszym salonie... Wiesz, takich, co to przypominają kurczaki... oskubane kurczaki...

Salvatore już miał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie w jego komórce zabrzmiał

*Swanee River*, hymn stanu Floryda.

– Przepraszam na moment – powiedział, po czym wyciągnął komórkę i nacisnął klawisz.

– Spurrs z Piątej Alei, biuro ochrony, mówi zastępca kierownika, Salvatore Morales.

Conor wbił spojrzenie w sufit, a Salvatore patrzył na niego i przytakiwał.

– Tak... yhm... tak... Dobrze, zaraz będę.

– Słuchaj, Sal. – Conor uniósł dłoń. – Sal, no więc...

– Bardzo pana przepraszam, ale właśnie przybyli ci z Brinks-Mat. Nie chciałbym, żeby musieli czekać.

– Dobrze. Porozmawiamy o tej dwójce później. I jeszcze jedno... Bardzo cię proszę, daj sobie spokój z tym „proszę pana”.

– Sądzę, proszę pana – powiedział Salvatore, patrząc na Conora nieruchomym wzrokiem

– że gdybym był na pana miejscu, oczekiwałbym od każdego właśnie takiego traktowania.

Jeśli ktoś mówi do mnie „proszę pana”, oznacza to, że dostaję to, na co zasłużyłem.

No właśnie, pomyślał Conor, chyba rzeczywiście sobie na to zasłużyłem. Wiedział, że do końca życia nie zapomni pewnej nocy pod mostem brooklyńskim. Akcja przeciw braciom Pratolini zakończyła się sukcesem, ale on omal nie przypłacił tego całkowitym paraliżem.

Salvatore zamknął drzwi i poszedł przyjąć ekipę z firmy dostawczej Brinks-Mat. Conor podniósł słuchawkę i wystukał domowy numer. Czekał prawie minutę, zanim Lacey się odezwała.

– Przepraszam cię kochanie – powiedziała – ale właśnie byłam na samym szczycie drabiny. Maluję sufit.

– Dobrze, że chociaż jedno z nas nie boi się wspinaczki na drabinę. Inaczej mielibyśmy ściany pomalowane tylko do połowy i goły sufit.

– Powinieneś porozmawiać o twoich zawrotach głowy z Brianem. Kiedyś pomógł

Wielkiemu Bardiniemu, który miał problemy z panowaniem nad sobą.

– Kochanie, chyba jestem ostatnią osobą potrzebującą doradcy, a już na pewno nie po to, by projektować wnętrze swojego domu.

– O nie, mój drogi, mylisz się. Wiesz, co robi Jennie Feinstein? Wyobraź sobie, że praktykuje medytację tantryczną, zanim zdecyduje się kupić nowe poduszki na sofę.

– Hmm... wydawało mi się, że medytacja tantryczna dotyczy przede wszystkim seksu.

– Masz rację. Powinieneś zobaczyć jej poduszki.

Conor uśmiechnął się, otworzył pudełeczko na lunch i popatrzył na swoje jabłko. Znow zaczął być głodny.

– A jak ci poszło w sądzie, kochanie? – zapytała Lacey. Przez chwilę słuchała, co mówi Conor, a potem powiedziała tylko: – Ta kobieta, hmm, nie wiem... – Nie próbowała pocieszać Conora. Wiedziała, że rozłąka z Fay bardzo go boli.

– No dobrze – mruknął Conor – zobaczymy się o szóstej. Pomyślałem, że moglibyśmy gdzieś wyskoczyć na kolację. Cały dzień malujesz, biedulko...

– Nie, lepiej zostanmy w domu. Na kolację będzie coś francuskiego.

Conor uśmiechnął się.

– Nie mów, sam wiem. Słabo wypieczony stek i ziemniaki zapiekane w sosie kremowym... I rum Baba na deser.

– Chciałbyś. A co powiesz na pędy Chard w sosie serowym, zapiekane w naturalnym jogurcie?

– Kochanie, zabijesz mnie tym zdrowym jedzeniem. Wiesz... – Spojrzał na drzwi, które otworzyły się gwałtownie. W progu stanął Salvatore. Miał szeroko otwarte oczy, jego twarz była blada i spocona.

– Sal...? – Conor poczuł, że stało się coś niedobrego.

– Hmm... proszę, niech pan odłoży słuchawkę – powiedział Salvatore, głośno przełykając ślinę.

– Co się stało?

– Bardzo pana proszę, niech pan odłoży słuchawkę. Proszę już nic nie mówić, ani jednego słowa więcej.

Conor zawahał się. Słyszał, jak Lacey woła: „Halo, halo... kochanie, jesteś tam? Conor, co się dzieje?”.

Przykrył dłonią słuchawkę, a potem odłożył ją powoli. Wiedział już, że wydarzyło się coś bardzo złego. Usiadł w fotelu i położył dłonie na blacie biurka.

Salvatore wszedł do środka. Tuż za nim wsunął się przez drzwi czarnoskóry mężczyzna w uniformie Brinks-Mat. Był tak barczysty, że jego mundur w kolorze khaki ledwo się dopinał.

Conorowi przypominał Mike’a Tysona. Miał tylko węższe oczy, ciemniejszą skórę, a jego kręcone włosy były przycięte na linii uszu. W ręku trzymał niklowaną automatyczną czterdziestkę czwórkę, wycelowaną w plecy Salvatore. Gdy weszli do biura, pchnął go na krzesło tuż przed monitorami i powiedział niskim, przytłumionym głosem:

– Siadaj i nie ruszaj się. I nic nie mów.

4

Salvatore usiadł niezgrabnie, przytrzymując się oparcia krzesła. Czarnoskóry przyłożył

mu lufę do czoła i powtórzył:

– Chcesz żyć, to się nie ruszaj. – Potem odwrócił głowę i spojrzał na Conora. – A ty... ty ze mną nie pogrywaj. Żadnego alarmu, żadnych przycisków... nic. Usłyszymy jeden wóz policyjny, zobaczymy jednego glinę, a wytapetujemy jego mózgiem ścianę.

– My? – zapytał zdziwiony Conor.

– Ja i mój kompan. Zaraz tu będzie.

Conor zauważył, że na czoło mężczyzny wystąpiły kropelki potu. Pocił się i był bardzo spięty, jak aktor przed pierwszym występem.

– Masz jakieś imię? – zapytał Conor. – Ja jestem Conor, a to Salvatore. Mówimy do niego Sal.

Była to pierwsza i podstawowa zasada w przypadkach porwania lub uprowadzenia. Nie można pozostawać anonimowym zakładnikiem. Jeśli napastnik zna cię choć trochę, trudniej mu zabić.

– Moje imię? – zdziwił się czarnoskóry. – Chcesz znać moje imię? A może jeszcze adres i numer telefonu? Może umówimy się na kawę?

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że macie nikłe szansę wyjść z tego cało.

Popatrz i uśmiechnij się... Jesteś w *Ukrytej kamerze*.

– Facet, my wiemy, co robimy. Ty zajmij się ochroniarzami, a my zajmiemy się rabunkiem. Ale najpierw daj mi swoją spluwę. Tylko zrób to dobrze, cholernie dobrze...

dwoma palcami. Połóż ją na podłodze.

Conor zrobił, co mu kazano. Serce biło mu jak oszalałe, ale starał się zachować spokój.

Pod blatem biurka miał przyklejony pistolet, a w różnych miejscach biura były schowane trzy rewolwery. Od czasu sprawy Klubu Golfowego z Czterdziestej Dziewiątej starał się zabezpieczać na różne sposoby. „Za byle jakoś nie dają medali” – mawiał jego dziadek.

Czarnoskóry kopnął broń Conora na bezpieczną odległość.

– A teraz zrobisz coś jeszcze, facet. Zawołasz innego faceta, takiego, z którym będziesz mógł otworzyć drzwi sejfu. Masz tak gadać, żeby niczego nie zwąchał. Masz kazać mu tu przyjść, powiedz mu, że jakaś stara, bogata maciora chce sprawdzić swoją biżuterię...

– Poradzę ci coś – przerwał mu Conor. – Nie róbcie tego. Jeśli zwiniecie cokolwiek z tych skrzynek w sejfie, będziecie mieć na karku takich ludzi, że wam się żyć odechce. Oni mogą wydać pięć milionów dolców tylko po to, żeby was kopnąć w dupę i odebrać perłowe spinki.

A jeśli będą musieli wydać trochę więcej, to znajdą was wszędzie i wasze zmielone bebechy pójdą

do koryta jakiejś świnki w Iowa.

– Ty lepiej, kurwa, rób, co ci powiedziałem – warknął czarnoskóry i wkręcił lufę pistoletu w ucho Salvatore.

Conor wzruszył ramionami, podniósł słuchawkę i wystukał numer Darrella. Czekał prawie pół minuty, zanim ta fajłapa podniosła słuchawkę.

– Tak...? Słucham? Co?! Ale ja właśnie jestem w połowie pokazu. Nie mogę...

– Darrell, posłuchaj. Jest właśnie u mnie pani Hammerlich. Chce natychmiast dostać się do swojego depozytu.

– A jak tu przyjechała? Na rowerze? Umówiła się przedtem?

– Darrell, nie sądzę, żeby żona właściciela trzeciego pod względem wielkości koncernu naftowego w Stanach Zjednoczonych musiała się z nami umawiać na spotkanie.

– No dobra... niech ci będzie. Daj mi tylko parę minut, dobrze?

– Nie, Darrell. Masz tu być natychmiast.

Darrell milczał przez chwilę. Czarnoskóry jeszcze mocniej przycisnął lufę pistoletu do głowy Salvatore i posłał Conorowi jednoznaczne spojrzenie.

– Dobrze – powiedział w końcu Darrell. – Skoro pani Hammerlich robi z tego takie przedstawienie...

– Przedstawienie? Darrell, to cały teatr!

Conor odłożył słuchawkę i spojrzał na czarnoskórego.

– Mój kolega zaraz tu będzie. Dajmy mu parę minut na zejście do mojego biura.

– Ostrzegam cię, facet. Jak ten gość nie przyjdzie albo jak nie przyjdzie natychmiast...

twój zastępca nie ma już łba.

Drzwi uchyliły się i w progu pojawił się chudy człowiek w okularach, w uniformie Brinks-Mat. Tym razem był to biały. Miał bardzo krótko przystryżone blond włosy i wodniste oczy. Jego seraficzna twarz, zdradzająca w tej chwili ogromne napięcie, przywodziła Conorowi na myśl Archanioła Gabriela z przeceny. Wszedł do biura, przyciskając do piersi półautomatyczny pistolet Uzi.

– Dobra robota, Ray – powiedział do czarnoskórego lekko zachrypniętym, przepalonym głosem. – Kiedy przyjdzie ten drugi frajer? – Mówił z silnym północno-wschodnim akcentem, z Bostonu, może z Lynn, a może nawet Marblehead.

– Musicie dać mu trochę czasu – oświadczył Conor. – On musi tu zejść z piątego piętra, a nie jest sprinterem.

Archanioł Gabriel spojrział na Conora i przez jego twarz przebiegł nieokreślony grymas.

– To ty jesteś ten facet, tak? Ten, co to upierdolił tych wszystkich gliniarzy. Powinienem uścisnąć ci dłoń.

Czarnoskóry popatrzył na zegarek, a potem na Conora i wycedził przez zęby:

– Dwie minuty, rozumiesz? Daję mu jeszcze dwie minuty.

– Hej, ty, facet... – zaczął Archanioł Gabriel, chodząc w kółko po biurze. – Nie mów mi, że twoi dawni kumple z policji nie chcieli ci odstrzelić dupy za to, co zrobiłeś. Jak myślisz, co dostałbym w prezencie, gdybym to zrobił za nich?

– Nie odstrzelisz mi teraz dupy, bo nigdy byś się nie dostał do sejfu.

Archanioł Gabriel zatrzymał się, usiadł bokiem na brzegu biurka Conora i wcisnął mu lufę swojego uzi między żebra. Jego oddech pachniał tytoniem i jeszcze czymś, jakby korzeniem lukrecji. Oddychał szybko i płytko i miał rozszerzone źrenice.

– Wiesz co, facet – powiedział, sięgając lewą ręką do kieszeni – mam tu małą listę. –

Wyciągnął złożoną kartkę i spojrział Conorowi w oczy. – I powiem ci, co zamierzamy. Jak tylko ten kawał słoniny tu przyjdzie, natychmiast otworzymy sejf. Potem weźmiemy stamtąd wszystko, co jest na mojej małej liście, ładnie zapakujemy na wózek i załadujemy na naszą ciężarówkę. Potem spokojnie odjedziemy, razem z twoim zastępcą. Jeśli coś pójdzie nie tak, z twojego zastępcy zostanie mielone mięcho. I nie składaj zażalenia do Brinks-Mat. To porządni chłopcy, a nasza obecność tutaj to tylko nieautoryzowany przejazd.

Conor popatrzył chudzielcowi prosto w oczy.

– Skoro tak mówisz... W każdym razie ja cię zatrzymywać nie będę.

– Tak? A podobno jesteś tu szefem ochrony.

– Jestem. Ale co mnie może obchodzić, że jakaś stara wdowa straci jeden lub dwa miliony, skoro ma ich kilkanaście albo kilkadziesiąt. Nie mam zamiaru dać się za to zabić.

– I tak gada facet, który rozwalił Klub Golfowy z Czterdziestej Dziewiątej? Aż nie chce mi się w to wierzyć.

– Możesz wierzyć, w co chcesz. Ale jest pewna subtelna różnica. Widzisz... facet, który rozwalił Klub Golfowy, był gliną. Bycie gliną to powołanie. A bycie ochroniarzem to tylko praca.

– No, może i tak. Ale niektórzy traktują swoją pracę bardziej serio niż inni, no nie? A jak poważnie

pan traktuje swoją pracę, panie O'Neil?

Czarnoskóry znów spojrzął na zegarek. Stał dokładnie na wprost biurka. Conor rozważał

możliwość sięgnięcia pod blat i oddania strzału w kolana. Ale ryzyko było zbyt duże. Po pierwsze, mógł nie trafić, a lufa pistoletu Raya znajdowała się tuż przy głowie Salvatore. Po drugie, nie zdążyłby potem sięgnąć do szuflady pod monitorami, gdzie miał ukryty rewolwer.

Zanimby to zrobił, Archanioł Gabriel zrobiłby z niego sieczkę swoim uzi.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do biura wtoczył się Darrell. W oczach miał niepokój i zaczątki paniki.

– Conor, co tu się, u diabła, dzieje? Gdzie jest pani Hammerlich?

Archanioł Gabriel podniósł się, i wycelował w niego uzi.

– Niezmiernie nam przykro – powiedział, uśmiechając się lekko – ale pani Hammerlich nie mogła zjawić się osobiście, więc przysłała nas. Mój przyjaciel i ja chcemy tylko zajrzeć do sejfu, jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu. Chcemy się upewnić, że własności pani Hammerlich nic nie zagraża. Wie pan... te dzisiejsze czasy, ci wszyscy złodzieje...

Darrell patrzył to na Gabriela, to na Conora. Widać było, że jest zupełnie zdezorientowany.

– Co tu się dzieje? Czy to napad?

Conor przytaknął.

– Cóż, wszystko na to wskazuje.

– No ale... jak to... jak... no...

– Darrell, nic nie mogę na to poradzić. Ani ja, ani ty. Musimy współpracować z tymi panami. To wszystko.

– Ale... Conor... jak to... nasz sejf... Przecież my tam mamy... Kiedy się o tym dowie wujek Newt... Te wszystkie akcje, udziały, nieoszlifowane diamenty...

– Darrell! – powiedział ostro Conor, przerywając to żalosne przedstawienie. – Życie któregośkolwiek z nas jest warte znacznie więcej niż akcje, udziały i nieoszlifowane diamenty.

A tak przy okazji, może wręczysz tym miłym panom listę naszych depozytów?

– Conor, na miłość boską! – Darrell przyłożył ręce do głowy i ścisnął ją tak, jakby chciał

ją zgnieść. – Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, że to będzie nasz koniec? Kto zechce trzymać tu swoje depozyty, jeśli będziemy współpracować i pozwolimy stąd wyjść tym...

tym...

– Nie kończ – syknął Archanioł Gabriel. – Nie kończ, bo mnie zdenerwujesz i rozwalę ci ten głupi łeb. A teraz zabieraj stąd te złogi słoniny, które nazywasz dupą, i otwieramy sejf.

– Conor!! Zrób coś! – zawołał Darrell, ale Conor tylko pokręcił głową.

Rozegranie tego typu sytuacji wymagało znakomitego wyczucia czasu, a właściwy moment na przeciwdziałanie jeszcze nie nadszedł. Conor odwrócił się do Archanioła Gabriela i oświadczył:

– Muszą wyjąć klucze ze skrytki w ścianie.

– Ależ proszę bardzo, nie krępuj się – odparł Gabriel. – Chcę tylko przez cały czas widzieć twoje ręce. I rób wszystko bardzo powoli.

Odsunął się od biurka, przeszedł przez pokój i bez wahania sięgnął do rysunku Normana Rockwella. Zdjął go i postawił pod ścianą. Conor podszedł do skrytki i wystukał swój czterocyfrowy numer, ale Darrell ani drgnął. Stał z założonymi rękami, z przygryzioną dolną wargą i najwyraźniej toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

– No, dalej, kupo tłuszczu! – ponaglił go Gabriel. – Masz tylko sześćdziesiąt sekund, a potem skrytka sama się zamknie.

– No i co zrobicie? Zabijecie mnie?

– Masz to jak w banku. Dalej, przywlecz tu swoje góry słoniny i dokończ ten cholerny kod.

Darrell nie ruszył się. Conor spojrzał na niego i powiedział:

– Słuchaj, wierz mi... Mam doświadczenie w tego typu sprawach. Jeśli nie zrobimy tego, co chcą, zabiją nas.

– To święta prawda – przytaknął Archanioł Gabriel, podnosząc swoje uzi na wysokość twarzy Darrella. – Pomyśl o tym, słonino. Nawet ta twoja otłuszczona dupa jest więcej warta niż towar w sejfie. To tylko towar, i to jeszcze nie twój. Chcesz za to kopnąć w kalendarz?

Darrell popatrzył na Conora, który posłał mu pokrzepiające spojrzenie. Zostało tylko dziewięć sekund, gdy Darrell wstukał swój czterocyfrowy kod.

– Wujek Newt wykastruje mnie za to. Mówię poważnie, bez przesady... stracę jaja – wymamrotał, cofając się od ściany.

Conor otworzył drzwiczki i wziął klucz, a drugi podał Darrellowi, patrząc na niego ostro.

Miał nadzieję, że Darrell zrozumie, w jakiej sytuacji się znaleźli. Z tymi ludźmi nie było żartów. Conor wiedział już, że nie są to psychopatyczni mordercy, ale w takich sytuacjach jak ta wszystko



mogło się wydarzyć.

– No, ruszamy – zakomenderował Archanioł Gabriel.

Ray pozostał w biurze z Salvatore, a oni poszli do skarbcza. Gdy Conor wstukiwał

czterocyfrowy kod, kamery skierowały na niego swoje elektroniczne oczy. Gabriel musiał

sobie z tego zdawać sprawę, nie zrobił jednak niczego, by ukryć swoją twarz. Darrell wstukiwał drugą połowę kodu tak wolno, jak to tylko było możliwe. Przed przekręceniem klucza zawahał się jeszcze.

– Szybciej, tłusta pierdoło! – ponaglił go Gabriel. – Nie mam zamiaru stracić reszty swojego doczesnego życia przed tymi cholernymi drzwiami.

– Czy możesz wreszcie przestać mnie tak nazywać? Dość się tego nasłuchałem w szkole.

Drzwi do skarbcza otworzyły się. Archanioł Gabriel popatrzył na Darrella, wzruszył

ramionami i wszedł do środka. Ich kroki odbiły się przytłumionym echem.

– Daj tutaj ten wózek! – rozkazał Gabriel. – Tak, do ciebie mówię, wieprzowino.

Darrell przyprowadził mały zielony wózek, na którym przewozili skrzynki z depozytami.

– Dobra – sapnął Gabriel. – A teraz połóżycie na wózek skrzynki, których numery odczytam. I macie mi to zrobić raz-dwa.

Odczytał jednym tchem szereg numerów. Conor i Darrell odszukali skrzynki, wyciągnęli je i położyli na wózek. Kariera Conora w Spurrsie trwała zbyt krótko, by mógł zapamiętać, do kogo należały poszczególne skrzynki, ale jedną z nich pamiętał dokładnie z pierwszego tygodnia swojej pracy w firmie; była to skrzynka z numerem 334, należąca do Daviny Gambit. Gdy Conor zaczynał pracować w Spurrsie, Davina Gambit przeprowadzała właśnie ostre rozprawy rozwodowe ze swoim mężem, multimilionerem Jackiem Gambitem. Skrzynka była bardzo lekka i prawdopodobnie zawierała udziały, akcje lub listy. Wszystkie skrzynki, które ładowali na wózek, były bardzo lekkie, więc Archanioł Gabriel musiał doskonale wiedzieć, co bierze.

Gdy skończyli ładować, Darrell wyjechał wózkiem ze skarbcza. Conor zamknął drzwi i rozkodował zamek.

– No, to teraz do ciężarówki – zakomenderował Gabriel. – Jeśli czegoś nie spieprzycie, panowie, to za parę minut usłyszycie *muchas gracias* i powiemy sobie *adios amigos*.

Nie mam zbyt wiele czasu, by ich powstrzymać, pomyślał Conor. Ale przecież nie mogę narażać niczyjego życia.

Weszli do jego biura. Ray stał w tym samym miejscu i nadal trzymał lufę swojego pistoletu w uchu

Salvatore.

– I co, gotowi? – zapytał nerwowo.

Archanioł Gabriel położył dłoń na ramieniu Conora i klepnął go niemal po przyjacielsku.

– Teraz zejdziemy razem na dół i przejdziemy przez salon, a ty będziesz się trzymał

blisko mnie. Kiedy już wyjdziemy na ulicę, wrócisz do swojego biura i będziesz tu siedział

dokładnie przez godzinę. Nie zadzwonisz do nikogo, nawet do swojego proktologa. Jeśli wszystko będzie dobrze, zadzwonimy i powiemy, skąd możesz odebrać swojego zastępcę. –

Popatrzył na Conora i po chwili dodał: – A jeśli poczujesz ukłucie pieprzonej dumy i pomyślisz o służbowym obowiązku, natychmiast zapomnij o tym. Nie próbuj być cwany.

Chyba nie chcesz, żeby Salvatore skończył jako *menudencjas*, prawda? Jakby ktoś nie wiedział, wyjaśniam, że to siekane mięso.

– Mój wujek wypruje wam flaki – wysyczał Darrell przez zęby. – On ma tyle forsy, że będzie was ścigał tak długo, aż was dopadnie i powiesi sobie na haku wasze jaja. Mówię wam, będziecie eunuchami, chłopcy.

Conor spojrział na niego z niedowierzaniem. Zastanawiał się, czy była to skrajna głupota, czy odwaga.

Archanioł Gabriel klepnął Darrella w tłusty policzek i powiedział:

– *Che sari sani*, wieprzowino. A teraz idziemy.

Conor otworzył drzwi i wyszedł pierwszy. Za nim szedł Darrell, pchając zielony wózek.

Z tyłu Gabriel, z uzi ukrytym pod niedopiętą bluzą, Ray i Salvatore.

– Idziemy i nie zatrzymujemy się – powiedział Gabriel.

Przechodzili obok lśniących stanowisk Niny Ricci i Guerlaina. W salonie panował

przyjemny chłód, a z wmontowanych w sufit głośników rozbrzmiewał ulubiony kawałek pracowników salonu, *Moon River*. Conor pomyślał, że muzyka jest zbyt głośna.

– Idziemy... idziemy. Ale nie za szybko – syknął Gabriel.

Gdy mijali stanowisko Giorgio, zza szklanego blatu wychyliła się Doris Fugazy.

– Panie O’Neil, kierowniku!

– A co to znowu za babon, do kurwy nędzy? – wymamrotał Archanioł Gabriel.

– Panie O’Neil, chciałam powiedzieć, że w niedzielę organizujemy piknik charytatywny.

Pomyślałam, że pan i pani O’Neil, to znaczy... przepraszam, ta druga pani... ta pana ukochana druga pani... że zechcecie przyjść. Będzie dobra zabawa i jestem pewna, że miło spędzicie czas.

– Pozbądź się tej idiotki! – rozkazał szeptem Gabriel. – Dla waszego dobra, kurwa.

– Doris... – powiedział Conor, uśmiechając się do dziewczyny. – Porozmawiamy o tym nieco później, dobrze? Teraz mam trochę roboty.

– Ale postaracie się przyjść, prawda? Współpracujemy z Fundacją Pomocy dla Weteranów Wojny w Zatoce Perskiej. Będzie dużo gości, dzieci będą śpiewały...

– Doris...

– Pozbądź się tej pierdoły, Conor.

– Doris... to nie jest odpowiedni moment. Ci panowie muszą bezpiecznie odstawić te skrzynki depozytowe do swojej opancerzonej ciężarówki.

– Och... przepraszam. Po prostu pomyślałam, że jak powiem panu o tym pikniku teraz, to pan i pani O’Neil... oj... jeszcze raz przepraszam... powinnam ugryźć się w język... nie pani O’Neil, tylko...

– Doris, na miłość boską... – zaczął Conor, ale w tym samym momencie w szybie obrotowych drzwi dostrzegł refleks czerwonego światła. Wiedział, że bandyta również musiał

go dostrzec.

– Co to było? – zapytał Gabriel.

– Po prostu refleks światła.

– Kurwa... gliny. Na zewnątrz są gliny! – syknął z wściekłością Gabriel.

Nie... Boże, proszę, nie, pomyślał Conor. W tym momencie przypomniał sobie, w jaki sposób zakończył rozmowę z Lacey. Wiedział już, co zrobiła, gdy odłożył słuchawkę –

wezwała policję. W końcu była telewizyjną reporterką, wszędzie węszącą sensację, więc postąpiła tak, jak jej nakazywał zawodowy nawyk.

Odwrócił się do Archanioła Gabriela.

– To pewnie nic takiego... może przejeżdżający ambulans. W każdym razie, na miłość boską, cokolwiek chcecie zrobić, nie trać nad sobą kontroli. Staraj się trzymać nerwy na wodzy.

– Co? Mam trzymać nerwy na wodzy? – wysyczał przez zęby Gabriel. – Trzymać, kurwa, pierdolone nerwy? A co jeszcze mam zrobić... może mam ci kupić paczuszkę cukierków?

Gdy w szybach błysnął kolejny czerwony refleks, Conor był już pewien, że są otoczeni przez policję.

– Widzisz to? – zapytał Archanioł Gabriel. – Nadal twierdzisz, że to przejeżdżający ambulans?

– Słuchaj... – Conor popatrzył mu prosto w oczy. – Nie trać kontroli nad sobą. Bądź rozsądny. Przecież ty też chyba nie chcesz ginąć za jakieś papiery. Zachowajcie spokój.

Położcie broń na podłodze i podnieście ręce do góry.

– Czyś ty, kurwa, do reszty oszalał ze strachu? O czym ty mówisz?

– Wszędzie wokół są niewinni ludzie.

Gabriel patrzył jeszcze przez chwilę na Conora, a potem wyciągnął swoje uzi.

– Kto jest niewinny? Kto tu jest niewinny? Nie widzę tu nikogo takiego!

Doris krzyknęła, zasłoniła dłonią usta i zaraz potem podniosła obie ręce do góry. Kobieta stojąca przy szklanym blacie zaczęła wrzeszczeć, jakby ją żywcem obdzierano ze skóry.

Archanioł Gabriel wymierzył broń w Conora i oświadczył przyciszonym głosem:

– Wychodzimy, rozumiesz? To wszystko, co teraz robimy... wychodzimy. Nie możesz nas powstrzymać. Policja też nas nie powstrzyma. Nawet sam Bóg nas nie zatrzyma.

Zbliżał się kulminacyjny moment. Conor wiedział, co za chwilę nastąpi, ale był bezradny.

Służbowymi drzwiami przy ruchomych schodach wpadło do holu dwóch agentów SWAT

w pełnym uzbrojeniu. Klienci wciąż wjeżdżali schodami i stanowili doskonały cel, jak kaczki na strzelnicy. Jeden z oficerów krzyknął: „Policja! Nie ruszać się. Rzućcie broń!” – ale muzyka grała tak głośno, że prawie nikt tego nie usłyszał.

Głównym wejściem wdarło się pięciu lub sześciu policjantów. Wszyscy mieli kamizelki kuloodporne, a w rękach karabiny M-16. Jezu Chryste, co oni zamierzają zrobić, tu przecież jest pełno ludzi, zastanawiał się przerażony Conor. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni po portfel, i choć nie miał już w nim odznaki, krzyknął na cały głos:

– Jestem oficerem policji! Nie strzelać!

Kątem oka dostrzegł, że Archanioł Gabriel i Ray zachowują względny spokój.

Jeden z policjantów, sierżant, krzyknął:

– Wszyscy na podłogę! Wszyscy w dół! Conor zawołał:

– Nie strzelajcie! Niech oni stąd wyjdą! Wypuśćmy ich stąd!

– Powiedziałem, wszyscy w dół! – wrzasnął ponownie sierżant.

W tym momencie Conor go rozpoznał. Był to brzuchaty sierżant Wexler z 21 posterunku.

– Pozwólmy im wyjść! – krzyknął jeszcze raz. – Bez strzelaniny. Niech stąd wyjdą.

Sierżant Wexler zmrużył oczy.

– Kapitan O’Neil... Kurwa, mogłem się domyślić.

– Wexler, wiesz przecież, że nie możemy dopuścić do strzelaniny – powiedział Conor. –

Niech oni stąd wyjdą.

Czuł za sobą oddech Gabriela. Wiedział, że wszyscy mają nerwy napięte do ostatnich granic.

– No tak, teraz wszystko rozumiem – stwierdził Wexler. – Chcesz stąd wyjść, bo tam na zewnątrz jest milion stacji telewizyjnych. Chcesz, żeby wszyscy zobaczyli, że moi chłopcy ze SWAT nie potrafią aresztować dwóch złodziejasków sklepowych, tak?

W tym momencie Archanioł Gabriel objął niemal czułym gestem Conora w pasie i przyłożył mu lufę do głowy. Potem pochylił się i szepnął mu do ucha:

– Ruszaj... Jeśli nas stąd nie wyciągniesz, przysięgam na Boga, że zginiesz.

– Nie uda się wam. Ci chłopcy w mundurach zrobią wszystko, żeby zobaczyć mnie w samym środku strzelaniny.

– Ruszaj – ponaglił go Gabriel. – No, dalej, Conor... ruszaj!

– Czyś ty postradał zmysły? Jeszcze jeden krok i gliny nas rozwalą.

– Powiedziałem, ruszaj... – Gabriel lekko popchnął Conora do przodu.

– Stać tam, gdzie jesteście! – krzyknął sierżant Wexler. – Macie stać tam, gdzie jesteście.

Broń rzucić na ziemię. To ostatnie ostrzeżenie.

Conor próbował się zatrzymać, ale Gabriel wciąż pchał go do przodu.

– Ray, podejdź bliżej – rozkazał swojemu kompanowi, nie odwracając głowy. – Trzymaj się blisko. A ty, słonino, pchaj ten wózek. I uważaj... tam jest cała moja przyszłość i dom w Acapulco.

– Człowieku, oszalałeś – powiedział Conor.

– O nie. To sprawdzian siły – odparł Gabriel. Conor czuł jego oddech na szyi. – To bitwa silnych charakterów.

– Ani kroku dalej! – krzyknął Wexler. – Jeszcze jeden krok i otwieramy ogień.

Dochodzili właśnie do stanowiska, przy którym stała skulona Doris Fugazy. Po jej policzkach spływały łzy i miała rozmazany makijaż. Cała się trzęsła i patrzyła na Conora.

Wszystkie kobiety w dziale perfumeryjnym leżały na marmurowej podłodze i chowały się za słupami. Kilka z nich płakało cicho, a jedna krzyczała histerycznie przez telefon do opiekunki dziecka: „Jeśli coś mi się stanie, przypilnuj, żeby mała dostała te fotografie!”.

Archanioł Gabriel podniósł wolno lufę swojego uzi. Broń była teraz tak blisko twarzy Conora, że czuł woń naoliwionych metalowych części.

– Jeśli otworzycie ogień, gnoje – zagroził Gabriel – to zobaczycie jego mózg.

– Och, naprawdę? – prychnął sierżant Wexler. – Obiecanki, cacanki. – Uśmiechnął się i wymierzył dokładnie w głowę Conora.

– Do cholery, czekajcie! – krzyknął Conor. – Dajcie mi tylko parę minut. Tylko parę minut... Możemy to wszystko jakoś załatwić.

– O nie... – wycedził przez zęby Archanioł Gabriel. – Ja nie wchodzę w żadne układy. Z nikim.

– No, to co chcesz zrobić? Przecież chyba widzisz, że aż ich ręce swędzą, żeby nas obu rozwalić.

Gabriel zawahał się. Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze z głośnym sapnięciem. A potem, bez żadnego ostrzeżenia, ścisnął Conora w pasie i pchnął go mocno. Conor zachwiał się i oparł o błyszczącą ladę stanowiska Chanel.

W całym holu rozległ się głośny szczęk repetowanej broni – wszyscy policjanci wymierzili w Gabriela. Ale on błyskawicznie przecisnął się między stanowiskami i dopadł

Doris Fugazy. Dziewczyna stęknęła i próbowała mu się wywinąć, klękając na podłodze, Gabriel jednak złapał ją mocno i podniósł na nogi. Trzymał ją tuż przed sobą, lewą ręką obejmując za szyję.

Conor, z trudem utrzymując równowagę, usiłował wyrwać bandycie broń, ale nie udało mu się.

– Słuchaj, Conor... – wycedził Gabriel – nie chcę cię zabijać. Lubię cię, ale zrobię to, jeśli będę musiał. Zabiję każdego, kto mi stanie na drodze.

– Dobrze, już dobrze – uspokajał go Conor, podnosząc obie ręce do góry. – Nie denerwuj się. Postaraj się tylko nie zrobić krzywdy tej dziewczynie.

– Rzucić broń! – krzyknął sierżant Wexler. – Nigdzie stąd nie wyjdziecie.

– Tak sądzisz? Nie zawaham się rozwalić gęby tej paniusi na waszych oczach. Chcecie to sobie obejrzyć? Chcecie być za to odpowiedzialni? – zapytał Gabriel. – A może chcecie wyjaśniać stacjom telewizyjnym, dlaczego do tego doszło? Chcecie być bohaterami wieczornych wiadomości?

Był tak pochłonięty tym, co się wokół niego działo, że nie zauważył, iż ruchome schody zatrzymały się w pewnym momencie. Conor już wcześniej uświadomił sobie, że nie słyszy ich jednostajnego szumu. Obrócił się lekko i już wiedział, dlaczego schody znieruchomiały.

Na stopniach, prawie na samym końcu, przykłęknęło dwóch policyjnych snajperów.

Czerwone niteczki laserowych celowników przecinały dział perfumeryjny.

Conor cofnął się nieznacznie, wystarczająco jednak, by zejść z linii śmiertelnych czerwonych niteczek. Nie chciał dawać snajperom powodu do oddania strzału.

– Słuchajcie – powiedział głośno, wciąż trzymając ręce w górze. – Postarajmy się wszyscy zachować spokój. Możemy załatwić wszystko tak, żeby nikt nie został ranny.

– Bardzo mi przykro, O’Neil – oświadczył sierżant Wexler – ale ty najlepiej powinieneś znać taktyczne procedury. Nie wolno nam dopuścić, by zabrano stąd zakładników.

– Sam to napisałem, Wexler, dobrze o tym wiesz.

– Pewnie, że wiem. A teraz zobaczymy, jak to się sprawdza w praktyce.

W tym momencie na czole Gabriela pojawił się czerwony punkcik.

– Celują w ciebie – powiedział cicho Conor, ale Gabriel nie odpowiedział. Przycisnął mocniej lufę uzi do głowy dziewczyny i czekał.

– Boże święty... – zaszlochała Doris i w tym samym momencie, jakby jej westchnienie było umówionym sygnałem, rozległ się huk karabinów.

Conor zanurkował pod stanowisko Chanel, a Darrell upadł prosto na niego. W dziale perfumeryjnym rozpoczęła się strzelanina.

Ray pochylił się błyskawicznie. Kula uderzyła Salvatore tuż za lewym uchem i rozszarpała mu policzek. Jak w jakiejś groteskowej figurze tanecznej, Salvatore uniósł się na stopach, wygiął do tyłu i chwycił za ucho. Po chwili upadł na marmurową podłogę. Ray był

cały we krwi i patrzył zszokowany na swoją koszulę, mamrocząc: „Kurwa, człowieku...

kurwa”. Następna karabinowa kula uderzyła w marmurowy filar tuż za nim. Ray potknął się, obrócił na pięcie i posłał serię w kierunku snajperów na schodach. Huk wystrzałów rozdzierał

uszy.

– Tak, właśnie tak! – wrzasnął Wexler. – Dalej, chłopcy!

– Nie ruszać się! – krzyknął Archanioł Gabriel.

Przygiął się do ziemi, pociągając za sobą Doris, i posłał w sufit pięciosekundową serię ze swojego uzi. Kryształowe szkło z żyrandoli rozprysło się na tysiące drobnych kawałeczków.

Gips i szkło posypały się z sufitu jak śnieg w środku zimy.

– Dostyc! Przestańcie! – zawołał Conor, ale Gabriel jeszcze mocniej ścisnął Doris i krzyknął do Darrella:

– Idziemy po ten cholerny wózek! Ruszaj się!

Darrell kulił się tuż przy Conorze, zasłaniając rękami uszy.

– Ruszaj, dupo wołowa! – wrzeszczał Gabriel. – Ruszaj, idziemy... wstawaj!

Ale Darrell tylko potrząsał głową i nawet nie drgnął.

– Kurwa, ty dupo wołowa, ty kupo śmierdzącej słoniny... ruszaj! Słyszysz mnie? Ruszaj!

Padły kolejne strzały. Posypały się kawałki luster i drewna, eksplodowały buteleczki z perfumami. Statuetka Lalique'a, przedstawiająca czeszącą się kobietę, wybuchła jak bomba.

– Na miłość boską, przerwijcie ogień! – zawołał Conor. – Przestańcie... przerwijcie to szaleństwo!

Ray przyczołgał się do nich i wymamrotał:

– Kurwa, ludzie... kurwa, to będzie masakra.

Conor zanurkował między stanowiska i znalazł się przy Gabrielu.

– Słuchaj, przerwij to – zażądał. – Na miłość boską, przerwij, wycofaj się.

– Człowieku, daj spokój. Nie mam wyboru.

W ciszy, która zaległa na moment, Conor słyszał, jak Doris uderza stopą o stopę. Miała przerażone, szeroko otwarte oczy, a Gabriel coraz mocniej przyciskał lufę uzi do jej głowy.

– Przysięgam na Biblię... zabiję ją – szeptał przez zęby. – Zabiję ją.

Tuż obok nich stał na chwiejnych nogach Ray i mamrotał:

– Ocal moją dupę... Jezu Chryste... ocal moją dupę... Święta Dziewico, nie pozwól mi dzisiaj umrzeć. – Nagle przestał mamrotać, spojrzął przed siebie i upadł, uderzając ramieniem w nogi Conora. Z tyłu jego głowy ziała wielka ciemnoczerwona dziura, a kawałek czaszki kolebał się na marmurowej posadzce jak łupina kokosowego orzecha.



Gabriel wychylił się i krzyknął coś do Wexlera. Conor, korzystając z sekundy jego nieuwagi, odgiął palce Raya i wyrwał z nich broń. Po sekundzie miał ją już za paskiem. Wziął

głęboki oddech i krzyknął:

– Sierzancie Wexler! Słyszycie mnie? Wexler!

– Słyszę cię.

– Wexler, wychodzę. Słyszysz? Wychodzę. Nasi przyjaciele chcą negocjować.

– Mam się z nimi układać? – prychnął Gabriel. – O czym ty, do kurwy nędzy, gadasz?

Nie ma mowy o żadnych układach. Albo pozwolą mi stąd wyjść, albo ta kobieta zginie.

– Człowieku, zaufaj mi, dobrze? – powiedział Conor, przyciskając palec do ust. – Nie mów tego głośno. Ty chcesz stąd wyjść, a ja chcę cię stąd wyciągnąć. Nas wszystkich.

Z na wpół uniesionymi rękoma wstał i wychylił się poza blat kontuaru.

– No, dalej, kapitanie – ponaglał go Wexler.

Conor wstał i przeszedł między stanowiskami. Gdy podszedł do sierżanta, ten schował

broń do kabury i oświadczył:

– O’Neil, mówię od razu, że nie idę na żadne ustępstwa, nie łudz się.

– Wcale nie musisz. Chodzi mi tylko o to, żeby przenieść strzelaninę na zewnątrz, zanim zginą niewinni ludzie.

– Co proponujesz?

Conor pochylił się do przodu, jakby chciał powiedzieć cicho coś bardzo ważnego, i Wexler także się pochylił. Conor chwycił go za szyję, a potem wyjął zza paska broń Raya i przyłożył Wexlerowi lufę do piersi. Policjanci poderwali się i wymierzili w Conora. Rozległy się krzyki: „Puść go! Rzuć broń!” – ale nikt nie ośmielił się strzelić, bo Conor stał zbyt blisko Wexlera.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz, O’Neil?! – wybuchnął wściekle Wexler. – Zapłacisz mi za to. Wypruję ci flaki.

– Najpierw ja wypruję je tobie. Powiedz swoim chłopakom, żeby byli grzeczni. I niech się cofną.

– Całuj mnie w dupę. Nie strzelisz do mnie, dobrze o tym wiesz.

– No to mnie sprawdź. Wiesz, że nigdy nie rzucam słów na wiatr.

Na szyi Wexlera pojawiły się kropelki potu. Pocił się i zaczął sapać, jakby właśnie wbiegł

na samą górę po schodach przeciwpożarowych.

– Dobra, O’Neil, niech ci będzie – warknął. – Ale przysięgam na życie mojej matki, że nie wywiniesz się z tego. – Wziął głęboki oddech i odwrócił się do swoich ludzi. – Opuścić broń, chłopcy, i nie strzelać. Miskowec, do ciebie też mówię.

Policjanci wykonali rozkaz, ale było jasne, że robią to bardzo niechętnie. Conor rozpoznał

niektórych z nich: Kosherick, Caploe, Farbar i Murray. Kiedyś traktowali Conora jak wielkiego bohatera, był dla ich jak Bóg. Teraz patrzyli na niego z zaciśniętymi ustami, jakby im było szkoda na niego nawet śliny.

– Dobra, idziemy! – krzyknął Conor do Gabriela. – I zrobmy to spokojnie.

Gabriel dźwignął Doris na nogi i spojrzął na Darrella.

– Ty też, dupo wołowa. Tylko nie zapomnij o moich skrzynkach na wózku, tłusta fajtłapo.

Conor stał i patrzył, jak cała trójka rusza do wyjścia. Zaraz potem sam zaczął się powoli przesuwać w kierunku drzwi. Trzymał Wexlera tak blisko siebie, że czuł zapach jego wody po goleniu.

Zmierzali teraz wszyscy w kierunku wyjścia. Pchnęli wielkie obrotowe drzwi i wyszli na zalaną światłem Piątą Aleję.

Wszędzie wokół stały wozy policyjne. Kordon rozciągał się aż do drugiej przecznicy od salonu. Stały tam policyjne wozy bojowe oddziału SWAT, ambulanse i telewizyjne wozy transmisyjne. Na chodniku leżały kable, a w oczy bił blask reflektorów.

– Nie strzelać! – krzyknął sierżant Wexler, gdy tylko wyszli na ulicę. – Wszystko jest pod kontrolą, wszystko w porządku!

Przez gwar tłumu przebił się zniekształcony głos, ale Conor natychmiast go rozpoznał.

– Rzucić broń!

To się musiało tak skończyć, pomyślał. Porucznik Drew Slyman, jeden z podejrzanych o przynależność do Klubu Golfowego z Czterdziestej Dziewiątej. Conorowi nigdy nie udało się zebrać wystarczającej liczby dowodów obciążających Slymana na tyle, by go postawić przed sądem, ale był niemal pewien, że jest jedną z najważniejszych postaci w Klubie i brał udział

w co najmniej siedmiu egzekucjach.

– Rzucić broń! – krzyknął ponownie Slyman. – Położyć się na chodniku, twarzą do ziemi!

– Zignorujcie go – powiedział Conor, widząc przerażone spojrzenie Darrella. – Nie zatrzymujemy się.

Przy krawężniku stała opancerzona furgonetka Brinks-Mat, a obok niej biały camaro.

Conor zauważył, że ze wszystkich kół samochodu wypuszczono powietrze. Najwidoczniej policja chciała się zabezpieczyć i odciąć im możliwość ucieczki tym samochodem. Wydawało się jednak, że furgonetka jest całkowicie sprawna.

– To ostatnie ostrzeżenie! – krzyknął Slyman, ale Conor nie zatrzymał się.

Gdy doszli do furgonetki, Gabriel oparł się o nią plecami. Puścił na chwilę Doris i otworzył drzwi samochodu. Conor zobaczył przerażony wzrok Doris i natychmiast odgadł jej zamiary. Pokręcił nieznacznie głową i bezgłośnie poruszył ustami: „Nie!”.

Darrell, pocąc się i sapiąc, zaczął ładować skrzynki depozytowe do furgonetki. Kiedy skończył, Gabriel otworzył drzwi szoferki i kazał mu wsiadać.

– Ja? A dlaczego ja? Do czego jestem ci potrzebny?

– Bo będziesz prowadził – odpowiedział Gabriel.

– Ale ja nie umiem jeździć czymś takim.

– Miał prowadzić Ray, ale on już niczego nie poprowadzi. Więc wsiadaj i przestań gadać, słonino.

Darrell pokręcił głową, wsiadł do szoferki i ujął obiema rękami kierownicę. Gabriel postąpił parę kroków do przodu i krzyknął głośno:

– Słuchajcie! Teraz odjedziemy. Jeśli zobaczę za nami choćby jeden wóz policyjny, jeden motocykl albo helikopter czy chociaż jednego pieprzonego glinę na pieprzonym koniu, to ta kobieta będzie wyglądała jak mój przyjaciel, który został w środku.

Gabriel odczekał moment, jakby chciał się upewnić, że wszyscy dobrze go zrozumieli, po czym wsiadł do furgonetki, ciągnąc za sobą przerażoną Doris.

– Teraz ty mnie posłuchaj – oświadczył Conor, podchodząc do drzwi szoferki.

Przytrzymał je ręką i spojrzał tamtemu prosto w oczy. – Jeśli komukolwiek z nich coś się stanie...

Gabriel przerwał mu, podnosząc do góry dłoń. – Jesteś cywilizowanym człowiekiem, O’Neil – powiedział i uśmiechnął się ironicznie. – Nic dziwnego, że musiałeś odejść z policji.

Szarpnął drzwi, ale zanim się zamknęły, Conor usłyszał jeszcze, jak mówi do Darrella:

„Pojedziesz skrótem na Ósmą Aleję, a potem prosto. Ruszaj”.

Darrell zapalił silnik. Kilkunastu policjantów, schowanych za drzwiami swoich wozów, złożyło się do strzału, Slyman jednak krzyknął: „Nie strzelać! Wstrzymać ogień!”. Conor wiedział, dlaczego porucznik wydał taki rozkaz. Furgonetka Brinks-Mat była opancerzona.

Istniało zbyt duże ryzyko, że rykoszety zranią stojących wszędzie wokół ludzi. Silnik furgonetki zawył i wóz ruszył, zostawiając za sobą kłęby spalin.

– No i jak, ty kupo gówna... jesteś z siebie zadowolony? – zapytał sierżant Wexler.

5

Policjanci rzucili się do swoich wozów, zabrzmiała kanonada zatraskiwanych drzwi, zapalono pierwsze silniki, ale porucznik Slyman ponownie wstrzymał całą akcję. Kilku oficerów pobiegło zatrzymać najbliższe radiowozy, popłynęły rozkazy przez policyjne radio.

Wyłączono silniki i policjanci zaczęli wysiadać z wozów. Zatraskiwano drzwi, a zdezorientowany pilot helikoptera krążył nad nimi jak wielki kruk.

– Nie ścigamy ich? – zapytał jeden z policjantów, podchodząc do Slymana. – Za chwilę ich zgubimy.

– Nie, nie zgubimy. Taka była decyzja, więc nie ruszamy się z miejsca.

Conor, trzymając przez cały czas sierżanta Wexlera w żelaznym uścisku, wbijał mu w brzuch lufę pistoletu.

– Igrasz sobie ze mną, gnojku – syknął przez zęby Wexler.

– Przepraszam, sierżancie, ale to było konieczne. Nic osobistego.

Kilkunastu policjantów wciąż mierzyło w Conora. Ze Spurrsa zaczęli wybiegać zszokowani ludzie. Szli chwiejnie, dziękując Bogu, że uszli z życiem. Niektórzy krzyczeli coś, inni głośno płakali. Powstało zamieszanie, które powiększali jeszcze ratownicy i dziennikarze. W kilku miejscach tłum zaczął przełamywać policyjną blokadę

– Proszę nigdzie nie odchodzić! – krzyknął porucznik Slyman, podbiegając do wychodzących ludzi. – Wciąż mamy tu kryzysową sytuację.

Conor rozglądał się za jakimś pojazdem. Wóz policyjny nie wchodził w grę. Zobaczył

taksówkę stojącą na skrzyżowaniu Piątej Alei z Zachodnią Czterdziestą Ósmą i stojącą tuż za policyjnym kordonem czarną limuzynę na rogu Wschodniej Czterdziestej Siódmej. W

taksówce nikogo nie było, ale kierowca najprawdopodobniej wziął kluczyki ze sobą. W

limuzynie siedział szofer. Conor dostrzegł nawet czarne okulary kierowcy założone na daszek czapeczki.

– No dobra, Wexler... wynosimy się stąd – powiedział.

Kilku policjantów właśnie szło w ich kierunku z wymierzoną bronią, ale najwyraźniej byli zdezorientowani. Conor nie czekał już dłużej. Pociągnął za sobą Wexlera między wozami bojowymi

grupy SWAT i przeszedł przez ulicę. Jeden z policjantów krzyknął: „Hej, wy tam, zatrzymajcie ich, zatrzymajcie tych dwóch!” – ale w powszechnym zamieszaniu jego koledzy nie zrozumieli, o co chodzi. Widzieli tylko umundurowanego sierżanta, a obok niego człowieka o znanej wszystkim twarzy.

Conor podniósł policyjną taśmę i przeszedł przed maską czarnego lincolna. Szofer rozmawiał właśnie przez telefon komórkowy i z początku w ogóle ich nie zauważył. Conor pociągnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Mężczyzna spojrzał w górę i jego oczy rozszerzyły się z przerażenia, gdy zobaczył przytknięty do szyby wylot lufy kalibru 44.

– Otwieraj te cholerne drzwi – rozkazał Conor. – No już!

Tamten natychmiast odblokował centralny zamek i Conor otworzył drzwi.

– Wyłaź! Ruszaj się!

– Co? Ale... dlaczego... – Szofer był blady jak papier i trząsał się ze strachu.

Conor nie miał czasu na pogawędki. Odepchnął sierżanta Wexlera, pochylił się i wyciągnął mężczyznę z samochodu.

– Błagam, niech mnie pan nie zabija. Moja żona właśnie urodziła bliźniaki.

– Jeśli chcesz żyć, to zejdź mi z drogi – oświadczył Conor, patrząc w oczy przerażonego dwudziestolatka. – Na twoim miejscu ruszyłbym stąd dupę, bo tu zaraz może być bardzo gorąco – dokończył, wsiadając do limuzyny.

Wexler odwrócił się do swoich ludzi i krzyknął:

– O’Neil jest tutaj! Jest tutaj! Zaraz nam zwieje!

Próbował zatrzymać samochód, rzucając się na maskę, Conor jednak wcisnął gaz do dechy, wielka limuzyna szarpnęła do przodu i wyjechała ze Wschodniej Czterdziestej Siódmej, zostawiając za sobą dym i swąd spalonej gumy. Policjanci, którzy właśnie dobiegali do skrzyżowania, oddali parę strzałów. Jedna z kul uderzyła w boczne lustro i rozbiła je, ale w tym momencie Conor skręcał w Zachodnią Czterdziestą Siódmą. Widział już tylko małe figurki policjantów i stojącego pomiędzy nimi sierżanta Wexlera.

Pędził przez Szóstą Aleję, potem przez Siódmą i Broadway, migając światłami i cały czas trzymając rękę na klaksonie. Przed skrzyżowaniem z Ósmą Aleją rozejrzał się w prawo i w lewo. Widział tylko taksówki, parę prywatnych samochodów i furgonetkę z napisem *Momma Somekh’s Finest*. Zapaliło się zielone światło. Zniecierpliwiony taksówkarz stojący za Conorem ponaglił go ostrym klaksonem. Conor jednak nie ruszał się z miejsca; stał i czekał, mimo że kierowca samochodu stojącego za taksówką zaczął kląć, obrzucając inwektywami kobiety z najbliższej rodziny Conora.

Klimatyzacja w lincolnie nastawiona była na maksymalne chłodzenie i po chwili Conor poczuł, jak jego mokra koszula zaczyna go przyjemnie chłodzić.

Światła zmieniły się na czerwone i w tym samym momencie Conor zauważył, jak dwie przecznice na lewo z Zachodniej Czterdziestej Piątej wyjeżdża furgonetka Brinks-Mat i pędzi w górę ulicy. Gdy go mijiała, zobaczył przez zielone kuloodporne szyby Gabriela, bladego i skupionego. Obok niego siedziała Doris. Wciąż paliło się czerwone, ale Conor wcisnął gaz do dechy i wielki lincoln z piskiem opon pomknął w Ósmą Aleję.

Conor wykręcił gwałtownie, unikając staranowania motocykla Pony Express. Nie zdołał jednak na tyle zapanować nad samochodem, by nie rozbić bocznego lusterka taksówce.

Wokół rozbrzmiały wściekle klaksony. Tylko milimetry dzieliły Conora od uderzenia w starego niebieskiego datsuna, w którym siedziały zakonnice. Siostry zwróciły ku niemu rozgniewane twarze i pogroziły mu pięściami.

– Wybaczcie mi ten wielki grzech, siostrzyczki... – mruknął pod nosem Conor, uśmiechając się do siebie. Zbliżył się do furgonetki Brinks-Mat i jechał tuż za nią, prawie zderzak w zderzak.

Gdy furgonetka dojechała do Columbus Circle i zwolniła, Conor dodał gazu i uderzył przednim zderzakiem w tył samochodu. Uderzenie było niezbyt mocne, bo Conor nie chciał niszczyć pięknej limuzyny, ale na tyle silne, by Gabriel poczuł niemiłe: „Puk, puk, to ja”.

Conor zjechał na lewą stronę, żeby Gabriel nie mógł go zobaczyć w swoim lusterku, i ponownie uderzył w bok wozu.

Furgonetka przyspieszyła i gwałtownie odbiła w prawo, przewracając się niemal na bok.

Pędziła teraz na wschód, prześlizgując się między samochodami i cały czas trąbiąc. Conor dodał gazu i pomknął za nią. Wielka limuzyna kolebała się na boki, gdy wyprzedzała taksówki, wóz pocztowy i ogromną śmieciarkę. Opony piszczały i wyśpiewywały chóralne alleluja na rozgrzanym asfalcie, a pod adresem Conora leciały wszelkie możliwe przekleństwa.

Darrell miał trudności w kontrolowaniu opancerzonej furgonetki, zwłaszcza przy tej szybkości. Sam wóz ważył ponad cztery tony, a opancerzenie dodawało jeszcze kilkaset kilogramów. Darrell skasował kilka taksówek, rozwalił barierkę i siał postrach wśród ludzi na chodniku. Kierowcy uciekali w popłochu we wszystkie możliwe strony przed pędzącym potworem. Kilka samochodów wpadło na uliczne hydranty. Kiedy wielkie fontanny wody strzeliły w górę, Conor przez chwilę niczego nie widział.

W połowie Central Park South Darrell natknął się na autobus i trzy inne samochody jadące obok siebie. Próbował lawirować, ale Conor dodał gazu i zmusił jeden z samochodów do zwiększenia prędkości.

Kierowca samochodu stracił nad nim panowanie. Jego pojazd uderzył w autobus i zaraz potem w samochód obok niego. Conor odruchowo pochylił głowę, gdy kawałki plastiku uderzyły w przednią szybę limuzyny. Furgonetka rozepchnęła pozostałe samochody. Dwa z nich obróciły się o sto

osiemdziesiąt stopni i zderzyły czołowo z wozami nadjeżdżającymi z przeciwnika. Maski samochodów zgięły się jak papier.

Conor widział, że przestrzeń między autobusem i dwoma rozbitymi samochodami jest bardzo wąska, ale dodał gazu i wjechał między pojazdy. Rozległ się zgrzyt i trzask. Kolejne boczne lusterko zostało skasowane, oderwały się też drzwi, gdy samochód uderzył bokiem w autobus. Conor przepchnął się jednak między pojazdami i ruszył w pościg za furgonetką Brinks-Mat, która zbliżała się już do Grand Army Plaza na skrzyżowaniu z Piątą Aleją.

Gdy mijali boczne wejście do hotelu Plaza, Conor zdołał zrównać się z furgonetką.

Walczyli o każdy centymetr w kaskadzie pomarańczowoczerwonych iskier. Po jednym z uderzeń kierownica limuzyny odbiła mocno w lewo i wielki wóz staranował jadące obok samochody, które najpierw odwróciły się prostopadle do jezdni na Central Park South, a potem wpadły na chodnik. Ledwie uniknęły uderzenia w dorożkę. Mimo hałasu Conor słyszał

krzyki pasażerów. Przechodnie i spacerowicze znajdujący się na alei prowadzącej do parku uciekali w popłochu we wszystkich kierunkach.

Limuzyna walnęła w ławkę i stojące obok drzewko i zatrzymała się. Conor poczuł

uderzenie poduszki powietrznej. Furgonetka toczyła się nadal po ścieżce, a potem zaczęła zsuwać się po trawie w kierunku stawu. Niemal w ostatniej chwili jakaś matka zdołała zabrać dwójkę swoich dzieci, gdy furgonetka przejechała obok nich, przecięła wąską ścieżkę i wpadła do wody, wzbijając wielką falę.

Conor otworzył kopniakiem drzwi limuzyny i pobiegł w dół stoku, krzycząc:

– Policja! Wszyscy poza teren! Policja!

Dobiegł do wody. Słyszał, jak u wylotu Central Park South wyją policyjne syreny. Po chwili widać już było migające światła. Pojawił się też helikopter, ten sam, który towarzyszył

im nad salonem Spurrsa.

Rozsuwane drzwi furgonetki otworzyły się i ukazał się w nich Archanioł Gabriel, trzymając uzi za lufę. Conor chwycił oburącz swój pistolet, wymierzył w niego i warknął:

– Podejdz... powoli. Chcę przez cały czas widzieć twoją broń. Wyjdz z wody i połóż uzi na trawie.

Gabriel zsunął się z furgonetki i wpadł po pas do wody. Zaczął powoli iść ku brzegowi stawu. W drzwiach pojawiła się Doris, blada i przerażona. Gdy Conor ją zobaczył, odetchnął

z ulgą.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Nie jesteś ranna?

– Nie, ze mną wszystko dobrze. Ale młody pan Bussman... jest ranny w głowę. Trzeba wezwać lekarza.

Gabriel wyszedł ze stawu, ociekając wodą, która leciała kaskadami z jego spodni. Położył

uzi na ziemi i sam, bez wezwania, położył się na trawie twarzą w dół. W ich kierunku biegło już kilku policjantów, wśród nich był sierżant Wexler i porucznik Slyman. Dwóch mundurowych wbiegło do stawu, by wyciągnąć Doris, a trzeci wszedł do furgonetki, żeby zobaczyć, jaki jest stan Darrella.

Conor rzucił pistolet na ziemię, a potem położył się obok Gabriela. Nie chciał dawać powodu któremuś zbyt nerwowemu kowbojowi do użycia broni.

Gabriel spojrzał na niego zza swoich okularów przeciwsłonecznych.

– Ależ z ciebie uparty skurwysyn. Powinienem był wyczuć, że nie dasz mi odejść z tymi skrzynkami.

– No cóż, to moja praca. Niby tylko praca, ale to moja praca.

Dwóch policjantów podbiegło do Gabriela. Wygięli mu ręce do tyłu i założyli kajdanki.

Na twarzy Conora pojawił się cień nóg porucznika Slymana. Conor poznał go po zapachu wody po goleniu i butach z niewyprawionej skóry.

– Hmm, no i co my tu mamy... – mruknął Slyman. – Nieźle dzisiaj narozrabiałeś. A jakie to było widowiskowe. I jak myślisz, ile to wszystko będzie kosztować?

Wyciągnął rękę, by pomóc Conorowi wstać, ale on zignorował ten gest, podniósł się i otrzepał.

– Napiszę szczegółowy raport, poruczniku, wraz z kosztorysem, jeśli ma to w czymś pomóc.

– Wspaniale. – Slyman cmoknął z udawanym zadowoleniem. Był szczupłym mężczyzną o wąskiej głowie, miał ciemne, zaczesane do tyłu włosy i duże, głęboko osadzone oczy. Jego czerwone, wygięte w łuk usta miały niemal kobiecy kształt. – Wciąż samotny rycerz w lśniącej zbroi? Sam jeden przeciwko złu całego świata. A po dzisiejszym dniu będziesz bohaterem, jakiego świat nie widział. Ech, O’Neil...

Sierżant Wexler był purpurowy i spocony.

– Gówniany z niego bohater – warknął. – Przyłożył mi lufę do bebechów.

– Ależ sierżancie – powiedział Slyman, uśmiechając się ironicznie – przecież nasz dzielny rycerz ocalił dzisiaj dziesiątki niewinnych cywili i nie pozwolił okraść salonu z cennych depozytów. Za to mu właśnie płacą. Kto by tam zwracał uwagę na parę rozbitych samochodów...

– Ale on zrobił ze mnie zakładnika, na miłość boską!



– Podjął działania, dzięki którym nie wyszedłeś na jeszcze większego dupka, niż jesteś, Wexler. Mieliśmy tam wejść i opanować sytuację, a nie rozpoczynać kolejnej bitwy pod Antietam.

Dwóch ratowników medycznych wydostało Darrella z furgonetki i przewiozło na wózku do czekającego już ambulansu. Darrell miał dość poważną ranę głowy, jego oczy były zamknięte.

– Co z nim? – zapytał Conor.

– Trudno powiedzieć – wzruszył ramionami jeden z ratowników. – Z taką raną głowy to może być różnie. Czas pokaże.

– Zabierzcie go do szpitala Roosevelt St Luke. Mają tam chyba dzisiaj dyżur. Jego wujek posiada większość akcji Spurrsa. Później każe komuś zadzwonić i zorientować się w sprawie ubezpieczenia.

Patrzył, jak pakują Darrella do ambulansu. Po chwili podszedł do niego Slyman.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, O’Neil... Skąd u ciebie przekonanie, że ten facet nie zastrzeliłby któregoś z zakładników?

– Wcale nie byłem tego pewien. Ale czasem masz jakieś... przeczucie. Zna się trochę ludzi. Zawsze można wyczuć gościa, który nie zawaha się odstrzelić ci głowy, i takiego, który tego nie zrobi. To się czuje.

– No dobra... Czekam na twój raport, O’Neil – powiedział Slyman, kładąc mu rękę na ramieniu.

## 6

Conor marzył o tym, by wreszcie znaleźć się w domu, ale miał jeszcze jeden przykry obowiązek do spełnienia. Poszedł złożyć wizytę żonie Salvatore, Marii.

Państwo Morales mieszkali w dwupoziomowym apartamencie na 104 Ulicy. Ich okna przyozdobione były skrzynkami z geranium. Teraz były szeroko otwarte, bo upał dawał się we znaki. Conor usłyszał rytmy samby i czyjś śmiech. Miał nadzieję, że Maria oglądała wiadomości i choć w części orientuje się, co zaszło na Piątej Alei.

Zapłacił za taksówkę i wszedł na frontowe schodki. Bawił się tam mały, pociągający nosem chłopiec. Miał dwie figurki Batmana, walczące teraz ze sobą zawzięcie. Conor rozpoznał w nim chłopca z fotografii, którą widział na biurku Salvatore.

– I kto wygrywa? – zapytał, przysiadając na schodku.

Chłopiec spojrzał na niego, jakby miał do czynienia z przybyszem z obcej planety.

– No... Batman.

– Rozumiem. Hmm, głupie pytanie.

Chłopiec spojrział na niego i wyjaśnił:

– Ten Batman jest dobry, a ten zły. Ten zły na razie wygrywa.

– No to może powinienem pomóc dobremu Batmanowi, co ty na to? – zaproponował

Conor.

Sięgnął lewą ręką do kieszeni i trzymał ją tam przez chwilę. Potem nagle ją wyciągnął i pstryknął palcami tuż przed twarzą złego Barmana. Spomiędzy palców strzeliła chmurka dymu, a Conor krzyknął:

– Buum! Mam cię!

Chłopiec patrzył na to przez chwilę w niemym osłupieniu, a potem wykrzyknął:

– Jak to zrobiłeś? Ale bomba! Kiedy powiem o tym tacie, to nie uwierzy.

– Tak, z pewnością. – Conor podniósł się, pogładził chłopca po głowie i westchnął smutno.

Podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Cofnął się dwa kroki i czekał. Z okna living-roomu wychyliła się Maria Morales. Miała na sobie jasnoczerwoną bluzeczkę, a na szyi duży krzyżyk z kości słoniowej.

– Pan O’Neil? A co pana sprowadza w te strony?

Conor nie odpowiedział. Maria Morales patrzyła na niego przez chwilę.

– Niech pan poczeka sekundę, panie O’Neil. Już schodzę.

Conor słyszał tupot jej nagich stóp na drewnianych schodach, potem zobaczył

jasnoczerwoną bluzkę w mrożonej szybie drzwi wejściowych, a w końcu jej twarz i zaniepokojone oczy.

– Co się stało? Gdzie jest Sal?

– Mario, sądzę, że lepiej będzie, jak wejdziemy do środka.

– Czy on jest ranny? Jest w szpitalu? Proszę mi powiedzieć, panie O’Neil. Proszę powiedzieć!

Conor ujął obie jej dłonie i spojrział w oczy. Czuł się tak, jakby ktoś wepchnął mu do gardła wielkie jabłko.

– Bardzo mi przykro, Mario. W naszym salonie był napad. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jeśli to może być dla pani jakimś pocieszeniem, Sal nie cierpiał.

Z oczu kobiety pociekły łzy. Chłopiec, który bawił się na schodach, wszedł do mieszkania, podszedł do matki i przytulił się do niej.

Gdy Conor wrócił do domu, było już dobrze po dziesiątej. Od razu podszedł do lodówki i wyciągnął zimne piwo. Przyłożył chłodną puszkę do czoła i przymknął oczy. Lacey stanęła za nim cicho, nic nie mówiąc.

Po chwili otworzył puszkę i pociągnął spory łyk.

– Tak mi przykro – powiedziała Lacey, głaszcząc go po policzku.

– On nie żyje. Nic nie można było zrobić, ani wtedy, ani teraz. Źle mi z tym. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale Sal zawsze zachowywał się bez zarzutu.

– Jak przyjęła to Maria?

– A jak sądzisz? Przyszła jej siostra. Wszyscy sąsiedzi jej pomagają. Tyle że... Boże drogi, ona ma czwórkę dzieci do wyżywienia.

Wyciągnął spod stołu jedno z żółtych krzesełek i usiadł ciężko. W całym mieszkaniu pachniało jeszcze malowaniem, a Lacey miała na sobie fartuch pochlapany żółtą i białą farbą.

Kiedy przeprowadzili się na Wschodnią Pięćdziesiątą Ósmą, starała się nadać mieszkaniu rustykalny wygląd szwedzkich domów i przemaalowała szarobrązowe ściany w stylu lat pięćdziesiątych, nadając im lekki i przyjemny wygląd.

– Widziałam cię w telewizji – powiedziała po chwili. – To, co zrobiłeś, było bardzo...

bardzo odważne. Było wspaniałe.

– Nie, nie było – odparł Conor i pokręcił głową. – Było po prostu aroganckie.

Powinienem pozwolić zająć się tym Slymanowi.

– Przecież złapałeś złodziei, prawda? Odzyskałeś cenne depozyty ludzi, którzy wam je powierzyli.

– Tak, to prawda. Ale Sal jest teraz w kostnicy z etykietką na dużym palcu u nogi.

Lacey wyciągnęła rękę, cofnęła ją jednak. Nie wiedziała do końca, co Conor czuje, bez względu na to, jak bardzo się starała. Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się kwaśno.

– Przepraszam cię, kochanie. Dopiero teraz w pełni dociera do mnie to, co się stało.

– Wiem, mój drogi... wiem. I na pewno jesteś wykończony. Chciałbyś coś zjeść?

– Może trochę później. Cholera, jak gorąco. Klimatyzacja nadal nie działa?

– Ten człowiek miał zadzwonić dzisiaj, obiecał, że naprawi, ale jego żona musiała iść do pracy.

Conor upił kolejny łyk piwa.

– Wiesz, jak brałem tę robotę u Spurrsa, nie sądziłem, że będę musiał odwiedzać żony...

wdowy po współpracownikach.

Lacey usiadła obok i zanurzyła palce w jego ciemnej czuprynie.

– Masz dwa siwe włosy – powiedziała, wrywając mu je. – Może powinieneś spróbować czegoś innego.

– Tak? A niby czego? Nie potrafię nic innego robić.

– Hmm... może mógłbyś zostać magikiem? Taki Copperfield robi na tym fortunę.

– Taa, już widzę, jak dwa tysiące ludzi pędzi do Carnegie Hall, żeby zobaczyć byłego detektywa, wyciągającego z kapelusza gotowane jajka.

Lacey ujęła go dwoma palcami pod brodę i trzymała tak długo, aż wreszcie spojrzał

prosto w jej ciemnoniebieskie oczy.

– Kochanie, przecież to właśnie ty mogłeś dzisiaj zostać w salonie Spurrsa. To Salvatore mógł dzisiaj przyjść do naszego domu i powiedzieć, że zostałam wdową. A jeszcze nawet się nie pobraliśmy.

– No cóż, zawsze mi powtarzałaś, że lubisz być wolnym ptakiem...

– Jeśli mam wybierać między wolnością bez ciebie a życiem z tobą... wybieram to drugie.

– Wiesz, powiem ci coś... Nie jest łatwo być żoną Irlandczyka. Irlandzka kobieta musi pracować mężowi koszule, gotować obiady, zmywać, sprzątać i wychowywać około setki dzieciaków. No i musi to wszystko robić po powrocie z pracy na Dworcu Centralnym, gdzie sprząta pociągi. Zostanie ci bardzo mało czasu na wolność.

Lacey milczała, gładząc go po głowie.

– O co chodzi? – zapytał Conor po chwili.

– Wiesz, może to nie jest najodpowiedniejszy moment...

– Powiedz.

– Nie wiem, czy...

– Lacey, na miłość boską, powiedz mi wreszcie.

- No dobrze. Dostałam dzisiaj telefon. Mogę mieć pracę.
- To znaczy? – Conor, popatrzył na nią wyczekująco.
- To nic nie znaczy. Poza tym, że mogę mieć pracę.
- Dobrą pracę? Taką, jak kiedyś miałaś? Pełny wymiar godzin... dobra pensja. Tak?
- Tak. – Lacey skinęła głową i spojrzała na niego. – Frank Rossi chce, żebym prowadziła nocny program dyskusyjny.
- A więc... weźmiesz to?
- Nie wiem. Najpierw chciałam porozmawiać o tym z tobą.
- A o czym tu dyskutować? To wspaniała propozycja. Nie pytaj, tylko po prostu bierz tę pracę.
- Wiesz, pomyślałam, że gdybym rzeczywiście się na to zdecydowała, nie musiałbyś już pracować w biurze ochrony. Mógłbyś rozejrzeć się za czymś spokojniejszym, bezpieczniejszym.
- Lisbeth, kochanie... Przez całe życie byłem detektywem. A praca policjanta ledwo mieści się na skali ryzyka Richtera.
- Dzisiaj też mogłeś zginąć.
- Dzisiaj mógł mi także spaść na głowę boeing siedemset czterdzieści siedem, niezależnie od tego, czy pracowałbym w Spurrście, czy nie.
- To śmieszne. Od dzisiejszego wieczoru mogłam spędzać wszystkie pozostałe w tej kuchni, siedząc sama na stołku.

Conor pocałował ją i popatrzył na nią czule. Po chwili powiedział:

- Wiesz, co zwykł mawiać mój dziadek? Twierdził, że gdy kobieta decyduje się zamieszkać z mężczyzną, przynosi ze sobą dwie walizki. W jednej są skąpe koronkowe majteczki i staniczki, a w drugiej łańcuchy.
- Ha, ha, ha... ale śmieszne. – Lacey uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

Poszła się przebrać, a Conor dokończył swoje piwo. Sącząc resztki z puszki, spoglądał w kierunku sypialni. Widział odbicie Lacey w lustrze. Nie wierzył, że po swoich doświadczeniach z Paulą pokocha jeszcze kiedyś jakąkolwiek kobietę. Ale w Lacey kochał

wszystko: to, jak na niego krzyczała, gdy przyłapała go na jedzeniu hamburgerów, i jej piosenki, które nuciła, dekorując mieszkanie. Miała przyjemny głos i zawsze uważał, że mogłaby zrobić karierę w biznesie muzycznym.

Jej prawdziwe imię i nazwisko brzmiały Lisbeth Johanssen. Była bardzo wysoka i miała ramiona jak pływaczka. Miała jasne włosy, wysokie kości policzkowe i zadarty nosek. Conor lubił mawiać, że zamiast ust ma dwie czerwone satynowe poduszeczki.

Swoją karierę zawodową zaczynała w NBC, a potem przeszła do działu telewizyjnego jako reporterka. Szybkie loty w górę zakończyła wskutek fatalnej znajomości z Larrym Elgarem. Ich związek był dla niej drogą krzyżową. Larry Elgar okazał się facetem, który pijał

stoliczną na śniadanie i regularnie bijał Lacey. Nie mogła prowadzić głównych wiadomości z sińcami pod oczyma i rozbitym nosem i wkrótce zmuszono ją do odejścia z telewizji. W

końcu jeden z jej przyjaciół, gej Sebastian Speed, znalazł jej pracę w magazynie „American Interior”, który zajmował się fotografowaniem sławnych ludzi w ich równie sławnych luksusowych domach.

Spotkała Conora na jednej z konferencji prasowych po rozprawie sądowej Klubu Golfowego z Czterdziestą Dziewiątą. Pracowała wtedy jako terenowa reporterka NBC.

Pewien krzykliwy, natarczywy dziennikarz dosłownie wepchnął ich wtedy sobie w ramiona –

kiedy potrącił Lacey, Conor przytrzymał ją, chroniąc od upadku. Ich drugie spotkanie miało miejsce na oficjalnym koktajlu, wydanym przez burmistrza w posiadłości Gracie Mansion.

Było to tuż po rezygnacji, którą Conor złożył w wydziale nowojorskiej policji. W owym czasie mało kto w ogóle z nim rozmawiał, i to niekoniecznie tylko z tego powodu, że Conor nie był urodzonym gawędziarzem. Ale był przystojny, miał bystre spojrzenie i w śnieżnobiałej koszuli i ciemnogrnatowym garniturze robił wrażenie. Lacey miała wtedy na sobie długą aksamitną suknię, a włosy upięła w zgrabny kok. „Pamiętasz? – zagadnęła go wtedy. – Tamtego dnia wyrwałeś mnie z objęć mafii”.

Conor nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko, ona jednak nie dała za wygraną i następnego dnia Conor zaprosił ją na kolację.

Po kolacji długo rozmawiali, poznając się wzajemnie. Lacey fascynowała w nim nieśmiała zalotność i twarda logika, którą kierował się w życiu. Za każdym razem, gdy wydawało jej się, że uchyla drzwi do swojej osobowości, natykała się na następne, zamknięte na cztery spusty. Był romantyczny i sentymentalny, potrafił znakomicie opowiadać dowcipy, ale czuła, że za ostatnimi drzwiami kryje się człowiek o żelaznym charakterze, który potrafi podejmować trudne decyzje. On zaś odkrywał w niej kobietę, jakich niewiele spotkał w swoim życiu. Była bardzo otwarta, ale jednocześnie miała dość lekceważący stosunek do własnej emocjonalnej bezbronności. Nie rozumiał, w jaki sposób mogła wytrzymać z tak sadystycznym typem jak Larry Elgar. W dodatku jeszcze obwiniała samą siebie za to, że ją bił. Przypuszczała, że być może po prostu prowokowała go do tego swoim zachowaniem.

– Wiesz – mówiła, patrząc gdzieś przed siebie – powinnam chyba lepiej go poznać. To ja byłam silna, a on słaby.

– Ale chyba nie aż tak słaby. W końcu połamał ci parę żeber.

– To była tylko demonstracja siły fizycznej... To się nie liczy i o niczym nie świadczy.

Conor zakochał się w niej. Była bardzo interesująca i bardzo ładna. Ale przede wszystkim była taka bezbronna. Zakochał się w niej i chciał ją chronić, przed wszystkim. Zawsze czuł

potrzebę chronienia słabszych. Słowa *By służyć i chronić* nie były dla niego pustym sloganem.

Lacey włożyła lekką, zwiewną sukienkę.

– Chcesz jeszcze jedno piwo?

– Nie, dziękuję. Chyba wezmę prysznic.

– Nie masz nic przeciwko mojej nowej pracy?

– Nie, kochanie. – Conor pokręcił głową i uśmiechnął się. Miał sporo zastrzeżeń, ale nie chciał ograniczać Lacey. Już dawno zrozumiał, że nikt nie powinien decydować o życiu kogoś drugiego.

Kiedy się kąpał, Lacey siedziała na brzegu wanny, rozmawiała z nim i przyglądała mu się. Był muskularnym, zgrabnym i przystojnym mężczyzną. Lubiła patrzeć, jak małe kaskady wody spływają z jego piersi.

– No to opowiedz mi, jak było na rozprawie.

– Niewiele mogę już dodać. Mam prawo widywania się z Fay, ale tylko wtedy, gdy Paula uzna, że jest to jej na rękę.

– Co to znaczy?

– Cóż... chyba to, że będę mógł widywać się z córką wtedy, gdy Paula i jej naftowy koleś będą się chcieli wyrwać gdzieś na weekend. Czyli po prostu mam być piastunką.

– No i co chcesz z tym zrobić? Możesz się odwołać od tej decyzji?

– Jeszcze nie wiem, co zrobię. Zaczynam się zastanawiać, czy sobie nie odpuścić.

– Nie rozumiem...

Conor wyszedł spod prysznica. Miał zmęczoną twarz, jak maratończyk po ukończonym biegu.

– Chodzi mi o to, że być może będę musiał poczekać, aż Fay będzie na tyle dorosła, by sama chciała się ze mną widywać.

Lacey wstała i wytarła go ręcznikiem.

– Miałeś ciężki dzień, kochanie. Na pewno nie chcesz podjąć takiej decyzji. Przynajmniej nie teraz, kiedy jesteś taki zmęczony.

Conor stanął przy Lacey. Jednym ramieniem objął ją w talii, a drugą głaskał po włosach.

Dotknęła małej blizny na jego lewym podbródku. Był to ich kod. Dawała mu w ten sposób do zrozumienia, że rozumie jego problemy i jest gotowa dzielić się z nim wszystkimi kłopotami.

Gdy zabrzmiał dzwonek u drzwi, powiedziała:

– Ja otworzę. To pewnie Gina... chyba jak zwykle chce pożyczyć kawy.

Skinął głową i wycierał się dalej, a Lacey poszła otworzyć drzwi. Conor spojrzął w zaparowane lustro, ledwo poznając swoją zmęczoną twarz. Twarz starego człowieka, który stracił cel w życiu. Przez uchylone drzwi usłyszał Lacey, która mówiła:

– Tak, dobrze, zaraz go poproszę. Momencik.

– To Drew Slyman – oświadczyła, wchodząc do łazienki. – Przyszedł z dwoma mundurowymi.

– Slyman? A czego on, u diabła, może teraz chcieć?

Conor owinął się ręcznikiem i wszedł do living-roomu. Porucznik Slyman stał przy oknie.

Oświetlał go neon apteki i jego głowę otaczała zielonkawą aureolą. Obok kanapy stali dwaj towarzyszący mu policjanci, wąsate typy z zadowolonymi minami.

– O’Neil – zaczął Slyman – przepraszam, że przeszkodziłem w przygotowaniach do miłego wieczoru... – Odszedł od okna i zatarł ręce. – Ale i tak pewnie nie jesteś przyzwyczajony do spokojnych wieczorów. No cóż, nie ma co owijać w bawełnę...

Widocznie to był twój motyw...

– O czym ty mówisz?

– Conor, daj spokój. Przecież nie myślałeś chyba, że jesteśmy tacy powolni i bezmyślni.

Nie wiem jeszcze, co chciałeś osiągnąć, ale wkrótce się dowiem.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Zobaczcie tylko! – zawołał Slyman, odwracając się do swoich mundurowych i rozkładając szeroko ręce. – On nie wie, o czym ja mówię! A jak sadzisz? Myślałeś, że co ja niby zrobię, gdy już odwiozę te skrzyneczki do Spurrsa? Sprawa zamknięta, tak? O’Neil zadbał o wszystko, więc możemy grzecznie wrócić wcześniej do domu, tak?

– A dlaczego nie? Nie zginęła żadna skrzynka. Sam powkładałem je do skarbca.

Slyman podszedł do Conora. Jego oczy błyszczały, a usta wydawały się jeszcze bardziej kobiece i czerwone.



– Tak, widziałem, jak je wkładałeś. Ale znasz mnie. Ja zawsze mam dupę krytą na wszystkie sposoby. Przystudiowałem sobie listę, którą mi dałeś. Dotarłem do dziewięciu spośród piętnastu nazwisk. Powiedziałem tym ludziom, co się stało.

– Serdeczne dzięki. Nie ma to jak prowadzić z tobą interesy.

– Zaprosiłem całą dziewiątkę do Spurrsa. Poprosiłem, by się upewnili, że ich depozyty są *virgo intacta*, że tak powiem. Siedem osób mieszka w obrębie miasta, jednak tylko cztery z nich mogły wpaść do Spurrsa. Ale ta czwórka wystarczyła.

– Nadal nie wiem, o czym mówisz, Slyman.

– Aha, nie wiesz. Skrzynki były puste... O tym właśnie mówię.

– Puste...?

Slyman uśmiechnął się i wbił wzrok w podłogę.

– Usiłuję dojść do tego, jak tyś to zrobił – powiedział po chwili. – Mógłbyś pozamieniać skrzynki, ale w furgonetce nie było innych skrzynek. Ale wiesz, co ja sądzę? Sądzę, O’Neil, że skrzynki były puste, zanim te dwa fiuty wpadły do Spurrsa, by je zwinąć.

– I o czym to świadczy?

– O tym, że to ty je wyczyściłeś.

Conor stał przez chwilę w milczeniu, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Slyman, chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz. Przecież to śmieszne. Nie mogę sam otworzyć sejfu, wiesz o tym, prawda? Znam tylko połowę kodu cyfrowego. Pozostałą część zna jeden ze starszych pracowników Spurrsa.

– Tak, to prawda – burknął Slyman, wyciągając swój notatnik. Poślinił palec i przewrócił

parę kartek. – W tym tygodniu był to Darrell Bussman. No cóż, pan Bussman jest nadal nieprzytomny, tak więc pozostajesz tylko ty. A ja mam ochotę na pogawędkę właśnie z tobą.

– Darrell niczego by nie ukradł ze Spurrsa. Za parę, lat to do niego będzie należała większa część tego interesu.

– Tak, ale to nie była kradzież z salonu. To klienci zostali obrobieni. Z tego, co mi powiedzieli twoi ludzie, O’Neil, wartość tych skrzynek idzie w miliardy. To łakomy kąsek dla kogoś, kto lubi ferrari, kobiety, grę na giełdzie i zakłady. A jeszcze trudniej oprzeć się takiej forsie byłemu gliniarzowi, który z niewielkiej pensyjki musi opłacić całą masę rachunków.

– Slyman, twoja dupa gada rozsądniej niż gęba.

– Doprawdy, O’Neil? Zdziwiłbyś się, ilu już widziałem takich, którzy nagle stawali się bardzo zachłanni... I gliniarzy, którzy zamieniali się w szmaty. – Slyman zamknął notatnik i włożył go do kieszeni.

– No więc – powiedział Conor, z trudem panując nad sobą – co takiego niby zniknęło?

– Stary, daj że spokój. Mówisz tak, jakbyś nie wiedział – zaśmiał się ironicznie Slyman.

– Oczywiście, że nie wiem. Jeśli chodzi o mnie, ludzie mogą trzymać w skrzynkach to, co im się żywnie podoba, mnie nic do tego.

– No cóż, my także nie jesteśmy do końca pewni. Żadna z tych czterech osób nie podała nam szczegółów. Jedna powiedziała, że zawartość depozytu była ubezpieczona. Szkoda jednak, że nie widziałeś, jakie mieli miny. Znałem wielu ludzi, którzy sporo stracili. Ale ci wyglądali tak, jakby zesrali się w gacie na przyjęciu u prezydenta. Idę o zakład, że były tam takie rzeczy, że ci goście dadzą każdą sumę, żeby tylko odzyskać te swoje zafajdane pudełeczka.

– Może sądzisz, że chcę ich szantażować? Z czym ty się na łby pozamieniałeś?

– Mówiąc szczerze, nie sądzę. Wiesz, kiedyś byłeś moim wzorem. Podziwiałem cię.

Sposób, w jaki załatwiłeś rodzinę Baroccich, zasługuje na najwyższe uznanie. Ale nigdy nie wiedziałeś, po czyjej jesteś stronie. I nigdy nie wiedziałeś, kiedy się zatrzymać. Musiałeś iść dalej, musiałeś dobrać się do dupy facetom z Klubu Golfowego. A oni byli jedynymi, których bały się te kutasy z mafii.

– To byli szantażyści i mordercy, Slyman. Sam najlepiej o tym wiesz.

– Może i tak. Ale to byli nasi szantażyści i mordercy. Trzeba było tylko przymknąć trochę oko, nic więcej.

– Ja tak nie potrafiłem, Slyman.

– Wiem. Zawsze byłeś świętoszkiem. Ale nawet święci spadają czasem ze swych piedestałów, no nie? O’Neil, jesteś aresztowany pod zarzutem kradzieży własności prywatnej stanowiącej depozyt wartościowy, ulokowany w oficjalnym sejfie Spurrsa na Piątej Alei. Czy chcesz, żebym przeczytał ci twoje prawa?

– Oczywiście, Slyman. Nie mam zamiaru ułatwiać ci roboty. To po pierwsze. Po drugie, żądam obecności swojego adwokata. Po trzecie, nie wyjdę z tego mieszkania, dopóki on tu nie przyjedzie.

– Nie, O’Neil, to nie takie proste – oświadczył porucznik Slyman. – Wobec ciebie jest postawionych tyle zarzutów, że nawet nie wiadomo, od czego zacząć. Sterroryzowanie policjanta na służbie, kradzież samochodu, siedem poważnych przestępstw drogowych, ciężkie uszkodzenia ciała... Mam wymieniać dalej? Jesteś aresztowany i idziesz z nami. Nie masz wyboru.

– O czym pan mówi? Przecież on jest bohaterem! – zawołała Lacey ze łzami w oczach. –

Jak go możecie aresztować?

– Jeśli chodzi o mnie, to on zawsze był bohaterem – odparł Slyman. – Problem w tym, że niekoniecznie w słusznej sprawie.

Conor podszedł do Lacey, uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy.

– Kochanie, muszę się ubrać. Zadzwoń do Michaela Baera. Pewnie poszedł już do domu, ale na pewno złapiesz go pod komórką. Powiedz mu, że mamy do czynienia z jakimś kosmicznym nieporozumieniem.

Natychmiast chwyciła za słuchawkę, a Conor poszedł do sypialni. Jeden z wąsaczy ruszył za nim.

– Ani kroku dalej – warknął Conor.

Zdumiony policjant zatrzymał się, a Conor zwrócił się do Slymana:

– Jeśli będę miał ochotę na pobyt w sypialni z sumem, to zadzwonię do zoo.

– On tylko chciał się upewnić, że nie dasz stamtąd nogi.

– Z siódmego piętra?

– Kto wie, co ci strzeli do głowy. Może będziesz chciał popełnić samobójstwo?

– A ty jesteś pierwszym, który by się tym przejmował. Gdybyś tylko miał okazję, sam byś mnie wyrzucił przez okno.

– Po prostu zostaw otwarte drzwi. To wystarczy.

Conor wszedł do swojej żółtej sypialni. Włożył czyste szorty, niebieską koszulkę polo i džinsy od Calvina Kleina. Gdy był w rogu pokoju, poza zasięgiem wzroku Slymana i jego ludzi, wziął jeszcze parę czystych rzeczy i maszynkę do golenia, którą zabrał z łazienki.

Wrzucił to wszystko do nylonowej torby, którą zarzucił na ramię.

Do sypialni weszła Lacey.

– Conor, Michael jest na przyjęciu urodzinowym. Powiedział, że spotkacie się na posterunku. Przyjedzie tak szybko jak to możliwe.

Conor przyłożył palec do ust.

– Co... – zaczęła Lacey, a potem zobaczyła torbę. – Nie możesz...

– Muszę, kochanie. Wiem, co jest grane. Zabiją mnie, jeśli tego nie zrobię.

– Jak mogliby zrobić coś takiego?

– Lacey, nie rozśmieszaj mnie. Kiedy człowiek dostanie się w ich łapy... to koniec.

– A jak chcesz się stąd wydostać? To siódme piętro.

– Przez dach. Potem pójde do Sebastiana.

– Przecież ty się boisz wysokości. Nie możesz, wiesz o tym.

Podszedł do niej, objął ją i pocałował. Czowała jego perfumy od Calvinia Kleina i zapach jego skóry.

– Odezwę się do ciebie, kiedy tylko będę mógł. Slymanowi nic nie mów. Dopiero jak się odezwie Michael. I nie pozwól, żeby te gnojki cię dręczyły.

– Ale ty nie zrobiłeś niczego z tych rzeczy, o które cię posądzają... prawda? Niczego nie ukradłeś z tych depozytów? Przecież oni muszą sobie z tego zdawać sprawę... muszą o tym wiedzieć.

– To nie ma znaczenia. Oni mnie zabiją, Lacey. Jeśli nie zgnoją mnie jeszcze na posterunku, to postarają się, żebym wylądował w Attice. A tam siedzi większość gości z Klubu Golfowego, których osobiście zapuszkowałem. Oni na pewno nie wypuszczą mnie stamtąd żywego. Nie mam wyboru, Lacey.

Z living-roomu dobiegł ich głos Slymana:

– O’Neill Masz już gacie na dupie? Nie będę tu sterczał przez całą noc.

– Muszę już iść, kochanie – szepnął Conor do Lacey. – Przykro mi, że doszło do takiej sytuacji. Ale wiem, że będziesz dzielna i sobie poradzisz, prawda? I pamiętaj, cokolwiek się stanie, nie pozwolę, żeby cię skrzywdzili.

– O’Neil, do cholery, pospiesz się!

Lacey posłała Conorowi uśmiech, od którego zrobiło mu się ciepło na sercu. Potem stanęła między nim a uchylonymi drzwiami – tak, by widać było odbicie jej pleców w lustrze w drugim kącie pokoju.

– Zaufaj mi – szepnęła. – Kocham cię.

Sięgnęła do tyłu ręką i rozpięła zamek błyskawiczny swojej sukienki, która opadła na podłogę.

Porucznik Slyman i jego ludzie musieli widzieć w prześwicie drzwi odbicie w lustrze jej nagich pleców. Nie odezwali się już więcej.

Lacey zrobiła krok do przodu i wyszła z leżącej na podłodze sukienki. Teraz miała na sobie tylko biały stanik na cienkich ramiączkach.

Conor przeturlał się cicho przez łóżko, podszedł do okna i otworzył je ostrożnie. Ich wysłużony klimatyzator szumiał tak głośno, że Conor mógłby odpalić chińskie sztuczne ognie, a Slyman i jego ludzie i tak niczego by nie usłyszeli. Lacey zdejmowała już stanik, ale Conor nie chciał na to patrzeć. Wiedział, że Slyman wszystko widzi.

Wysunął głowę przez uchylone okno i spojrzał na rozciągającą się przed nim rubinową przestrzeń. Poczł zawrót głowy, który nadszedł jak mdląca fala. Człł, jak ta fala go porywa, jak pragnie się w nią rzucić i popłynąć. Przełknął ślinę i otarł spocone czoło. Nie potrafi tego zrobić, nie potrafi się przełamać.

Spojrzał w tył. Lacey rzucała właśnie stanik na podłogę. Jej uwolnione piersi falowały.

Jakże mógł ją tak zostawić, nagą, bezbronną, ze Slymanem i jego ludźmi? Ale wiedział, co się stanie, jeśli im nie ucieknie. Wiedział, że Lacey nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby zginął.

Skoncentrował się i przeniósł nogę nad parapetem. Znalazł oparcie dla stopy na wąskim występie. Potem wyszedł na zewnątrz, starając się nie myśleć o tym, na jakiej jest wysokości i co się stanie, jeśli spadnie. Było już po zachodzie słońca, upał jednak nadal dokuczał. Pot kapał mu na oczy. Oparł się o okno. Przez sekundę widział jeszcze Lacey, ale szybko odwrócił głowę. Musiał się teraz maksymalnie skoncentrować.

Szedł powoli wzdłuż gzymsu. Beton był słaby; kruszył się pod stopami. Pogoda i spaliny zrobiły swoje. Kawałek gzymsu oderwał się nagle i Conor poczuł, że traci podparcie. W

ostatnim momencie chwycił się rury od rynny. W geście rozpaczony wyciągnął nogę i trafił na solidniejszy kawałek.

Pot zalewał mu czoło. Sapiąc z wysiłku, trzymał się rury i patrzył w dół. Siedem pięter...

Podwórce upstrzone było puszkami po piwie, zardzewiałymi, poskręcanyimi kawałkami żelaza, stały też na nim jakieś stare łóżka. Od żelaznej drabiny prowadzącej na dach dzielił

Conora niecały metr. Ale między nim a drabiną znajdował się szyb wentylacyjny, który wystawał poza gzyms. Musiał go jakoś ominąć.

Wyciągnął rękę i chwycił się rynny. Drobną siateczką starej czarnej farby odchodziła, ale sama rynna wydawała się dość mocna. Wszystko, co musiał zrobić, to uchwycić się jej obiema rękami, przerzucić ciało na drugą stronę i znaleźć oparcie dla stóp.

No dalej, przecież potrafisz, pomyślał. Robiłeś dużo gorsze rzeczy, mogłeś tyle razy zginąć. Nie, nie... nie robiłeś gorszych rzeczy. Do cholery, kogo chcesz oszukać. Trzymał się kurczowo rynny i przyciskał do niej twarz. Teraz ten szyb wentylacyjny był jego jedynym schronieniem, azylem, łącznikiem ze światem żywych. Święta Mario, Matko Boża, nie pozwól mi spaść na te zardzewiałe łóżka leżące tak daleko pode mną... Matko Święta, nie pozwól...

Wziął trzy głębokie wdechy. Przygotowywał się właśnie do przerzucenia przez szyb wentylacyjny, gdy nagle okno sypialni otworzyło się z trzaskiem. Obejrzał się i zobaczył

jednego z mundurowych, mierzącego do niego z pistoletu.

– Stać i nie ruszać się! – krzyknął policjant.

– Przecież się nie ruszam.

– Wracaj. Masz to zrobić powoli. Daj sobie czas.

– Nie mogę wrócić. Gzyms się zawalił.

Policjant wychylił się z okna i popatrzył w dół, a potem wycofał do sypialni.

Matko Boża, Święta Matko... to moja ostatnia szansa... – pomyślał Conor. Teraz albo nigdy... muszę, potrafię... Wziął głęboki oddech, jeszcze mocniej uchwycił się rynny i przerzucił ciało na drugą stronę. Ale gdy jego ciężar szarpnął rurą, puścił jeden z haków tkwiących w ceglach. Conor usłyszał głuchy dźwięk wysuwającego się ze ściany żelaza i zgrzyt wyginanej blachy. Rura odchyliła się o całe czterdzieści pięć stopni. Impet odrzucił

Conora i obrócił go plecami do rury, trzymał się jednak kurczowo jedną ręką. Na jego głowę poleciały kawałki tynku i pokruszonej cegły.

Wisiał na wygiętej rurze, która w każdej chwili mogła się urwać. Po omacku próbował

wybadać prawą stopą, czy żelazna drabina jest w jego zasięgu. Ale za każdym razem, gdy próbował bardziej się wychylić, rura zgrzytała złowieszczo i wychylała się do przodu. Conor wpatrywał się w ścianę przed sobą i nie śmiał spojrzeć w dół.

Lacey nauczyła go kiedyś, w jaki sposób oddychać, by móc się skoncentrować. Ale coraz bardziej odchylająca się do przodu rura nie pozwalała mu myśleć o niczym innym. Zdawał

sobie sprawę, że jego upadek z wysokości siedmiu pięter to kwestia paru sekund.

W oknie sypialni znowu pojawił się policjant.

– O’Neil!

Conor nie odpowiedział. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– O’Neil, albo natychmiast wracasz, albo będę strzelał.

Conor przymknął na moment oczy. Matko Boża... pomóż. Nie pozwól... O tak, na pewno by strzelił. Zrobisz to, bo nie myślisz, nie rozumiesz... niczego nie rozumiesz. To przerasta twój miniaturowy świat... więc na pewno strzelisz. Tacy właśnie jesteście... procedura...

rozkaz. Gdyby jutro rano na ziemi pojawił się Jezus, też byś Go zastrzelił.

A co tam, skoro i tak mam zginąć... Rozbijał ciało, najpierw w prawo, potem w lewo. Na moment dotknął drabinki, był jednak zbyt daleko, by stopa się utrzymała. Rozhuśtał się ponownie. Stara rura zgrzytnęła i odgięła się jeszcze bardziej, ale Conor ścisnął ją mocno.

– O’Neil, stawiasz czynny opór – dobiegł go głos Slymana. – Jeśli natychmiast nie wrócisz, zacznę strzelać.

Conor go zignorował. Był całkowicie pochłonięty rozpędzaniem swojego ciała. Ponowna próba i znów porażka. But ześlizgnął się z gładkiego szczebla drabinki.

Slyman oddał strzał ostrzegawczy. Kula odbiła się rykoszetem i zajazgotała gdzieś na dole.

– Następną pójdzie prosto w twój dumny łeb, O’Neil! – krzyknął Slyman.

Matko Przenajświętsza... ratuj... ocal... Conor jeszcze bardziej się rozhuśtał i rzucił w kierunku drabinki. Rura zgrzytnęła przeraźliwie i się oderwała. W dół poleciały kawałeczki cegły i tynk. Conor trafił stopą na drabinkę. Ześlizgnęła się, ale zdołał chwycić ręką jeden z żelaznych szczebli. Usłyszał dwa strzały, jeden po drugim. Pierwsza kula uderzyła w szyb wentylacyjny. Druga wybiła szybę w oknie naprzeciwko. Conor wspinał się po drabince tak szybko, jak tylko mógł, popędzany dodatkowo potężną dawką adrenaliny.

– I czego tak stoicie i się gapicie?! – usłyszał za sobą krzyk Slymana. – Zapiardalać na dach! Ten gnojek ucieka na dach, ścigać go!

Conor wspiął się na pokryty asfaltem dach. Pobiegł wzdłuż niego i zatrzymał się przy niskiej ścianie, oddzielającej go od następnego dachu. Było tak gorąco i duszno, że nie mógł

złapać tchu. Podeszedł do kolejnej drabinki, która prowadziła na dach sąsiedniego budynku, trzy piętra wyższego. Był cały spocony, jego mięśnie drżały, ale nie dawał za wygraną.

Wszedł na dach i zaczął zaglądać w szyby wentylacyjne, w kominy. Próbował znaleźć jakieś zejście lub choćby tylko oddalić się od swojego mieszkania. W końcu doszedł do gmachu Dane-Bulzigers, trzydziestoczworopiętrowej wieży ze szkła i aluminium. Nie było jak na nią wejść ani jej obejść, ani do niej wejść. Conor stał przed nią, ciężko dysząc. Wyglądał jak neandertalczyk, który nagle zetknął się z cywilizacją.

Odwrócił się. Ponad szumem samochodowego ruchu na Trzeciej Alei słyszał głucho uderzenia. To porucznik Slyman i jego ludzie usiłowali kopniakami wyłamać drzwi prowadzące na dach.

Wziął głęboki oddech i wychylił się poza obmurowanie dachu. Stał na szczycie starego biurowca z lat pięćdziesiątych. Na dole, na pierwszym piętrze, znajdowała się włoska restauracja Manziego. Conor rozpoznał czerwono-zieloną markizę nad głównym wejściem i sztuczne drzewka. Poszedł wzdłuż dachu i sprawdził prowadzące do wnętrza budynku drzwi, wściekle szarpiąc za klamkę. Były zamknięte. Kopnął jeszcze parę razy, nie ustąpiły jednak.

Usłyszał trzaśnięcie wyłamanego zamka, co oznaczało, że Slyman i jego ludzie są już na dachu.

– Gdzie on jest?

– Nie mógł nigdzie daleko odejść. Ty szukaj tutaj, a ty tam. Ruszać się!

Conor rozejrzał się nerwowo. Zobaczył stary neon zamocowany na dachu. Był częściowo rozmontowany, a zardzewiałe rury schodziły nieco w dół. Trochę dalej znajdowała się opuszczana platforma służąca niegdyś do mycia okien. Z pewnością nikt nie używał jej od dłuższego czasu. Zwisały z niej splątane sznury i kable, a pilot kontrolny nie miał ani jednego przycisku. Ale to była jedyna szansa ucieczki. Conor pochylił się nisko, by Slyman i jego ludzie nie mogli go zobaczyć, i pobiegł w kierunku platformy. Złapał oburącz grubą, zabezpieczoną smarem linę. Wyglądało na to, że dość mocno trzyma się platformy.

Jeden z policjantów dostał się już na dach wyższego budynku i krzyknął:

– Widzę go, poruczniku! Jest tutaj!

Padły strzały. Któraś z kul uderzyła w beton tuż przy stopie Conora, a druga w lśniącą taflę budynku Dane-Bulzigera. Teraz, powiedział sobie Conor, bo za chwilę będzie za późno.

Niech się dzieje, co chce.

Pospieszenie pociągnął linę w kierunku obmurowania dachu. Następny strzał i okruchy betonu poraniły mu policzek. Owinął się liną i spojrzał w dół, na ludzi idących w górę i dół

ulicy, na taksówki podjeżdżające pod Manziego. Znow nadeszła fala mdłości i towarzyszące jej przemożne pragnienie rzucenia się w pustą przestrzeń.

– Nie ruszaj się, O’Neil! Stój tam, gdzie jesteś! – krzyczał z góry Slyman.

Nie mam nawet czasu na modlitwę, pomyślał Conor. Matko święta...

Skoczył. Poczuł, jak wszystkie wnętrzości podnoszą mu się do gardła. Uderzył w jakiś parapet, zahaczył o mur, nadal jednak leciał w dół. Gdzieś po trzech piętrach poczuł ostre szarpnięcie. Zdawało mu się, że lina przetnie go na pół. Wisiał teraz, dyndając i obracając się, jak pajacyk na sznurku. Był wspaniałym celem dla porucznika i jego ludzi.

Ale nawet Slymanowi trudno byłoby udowodnić konieczność oddania strzału do bezbronnego, dyndającego na linie człowieka.

– Słuchaj, O’Neil, wciągamy cię. Wciągamy cię z powrotem.

Conor poczuł, że lina coraz bardziej zawija się wokół niego. Dwóch policjantów przewiesiło się przez obmurowanie i trzymało ją, by ułatwić Slymanowi jej wyprostowanie.

Conor uwolnił jedną nogę, co pozwoliło mu zachować jaką taką kontrolę nad ruchem obrotowym ciała. Potem uwolnił drugą stopę i oparł ją płasko o ścianę. Trzymając mocno linę, zaczął się powoli wspinać.



Nie był jednak w dogodnej pozycji. Z trudem zachowywał równowagę. W końcu zaczął się wspinać i po pewnym czasie doszedł do piątego piętra. Ręce ślizgały mu się na smarze, a wystające z liny stalowe nitki raniły skórę. Krew ściekała mu z nadgarstków i leciała do łokci.

– Do cholery, co ty wyrabiasz?! – krzyknął jeden z policjantów. – Nie wierć się tak, na miłość boską! Chcemy ci pomóc!

Conor wyciągnął rękę i przytrzymał się parapetu jednego z okien na piątym piętrze.

Wspiął się na wąski kamienny gzyms i znieruchomiał.

– Dobra, tak może być! – krzyknął policjant i popuścił trochę linę.

Conor odwrócił głowę, by zobaczyć, co robi Slyman. Węzeł liny zaklinował się między rynną i obmurowaniem dachu. Slyman, używając anteny telewizyjnej znalezionej na dachu, usiłował wyciągnąć go spod blaszanej rury, która uniemożliwiała wciągnięcie liny.

W końcu udało mu się uwolnić węzeł. Conor widział, jak Slyman się prostuje, i zaraz potem usłyszał:

– Dobra, lina wolna. Wciągajcie go do góry.

Conor, nie zastanawiając się ani chwili, skoczył z gzymsu. Po dwóch sekundach lina znów szarpnęła nim potężnie, wrzynając się w ciało.

– Cholera, znowu to samo! – krzyknął jeden z policjantów. – Ten gnojek prawie odciął mi palce!

– Trzymać go. Trzymać i nie puszczać!

Ale policjanci nie mogli utrzymać ciężkiej liny z wiszącym na niej Conorem i chwilę później wyślizgnęła im się z rąk. Conor poleciał na dół, machając nogami i uderzając o ścianę, w kierunku czerwono-zielonej markizy włoskiej restauracji.

Był już niedaleko niej, gdy znowu poczuł potężne szarpnięcie. Zatrzymał się i kołysał jak marionetka. Ale był już bardzo blisko, czubki jego butów niemal dotykały płótna markizy.

Spojrzał w górę. Zobaczył bladą twarz wpatrującego się w niego porucznika Slymana.

Dałby sobie głowę uciąć, że dostrzegł wyraz wściekłości i furii w jego oczach. Wiedział, co zahamowało upadek. To platforma przesunęła się przez cały dach i zatrzymała dopiero na jego obmurowaniu.

– Hej, O’Neil! – dobiegł go krzyk Slymana. – Nie wiesz, że nie wolno tak wisieć nad ulicą?

Conor nie mógł zaczerpnąć wystarczającej ilości powietrza, by cokolwiek odpowiedzieć.

Złapał lewą ręką linę i usiłował się nieco podnieść, ale nastąpiło kolejne szarpnięcie i lina wbiła mu

się pod pachy. Był całkowicie unieruchomiony. Słysana i jego ludzi już nie było na dachu. Conor wiedział, że za parę minut będą na dole.

Spojrzał w górę. Widział część platformy wystającą z nad niskiego obmurowania. Być może pod jego ciężarem przeleci przez niski murek. Ale gdy będzie spadała, on sam albo ktoś na ulicy może znaleźć się dokładnie pod nią. Impet uderzenia i ciężar platformy z pewnością spowodują śmierć.

Zdawał sobie jednak sprawę, że ściągnięcie platformy to jego jedyna szansa. Porucznik Slysman i jego ludzie z pewnością mu takiej szansy nie dadzą.

Na chodniku zebrało się już parę osób, obserwujących jego zmagania z liną. Jeden z przechodniów krzyknął:

– Hej, ty tam, potrzebujesz pomocy? Reklamujesz coś czy jak?

Conor kopnął kilka razy w ścianę i zaparł się nogami, dzięki czemu przestał się wreszcie obracać. Pomoc bardzo by mu się przydała, ale wiedział, że nie ma tyle czasu. Nie stać go było na luksus czekania, aż ktoś przyniesie drabinę. Wyprostował się, jak tylko mógł, i oparł

stopy na restauracyjnej markizie, a potem chwycił linę. Skóra na jego dłoni była niemal zupełnie zdarta, ale zacisnął zęby i podciągnął się. Kiedy udało mu się podnieść parę centymetrów, pozwolił opaść całemu ciału. Platforma uderzyła w murek i poszła trochę w górę, ale dużo brakowało do tego, by przeleciała na drugą stronę.

Conor, drżąc z wysiłku, cały zlany potem, podciągnął się jeszcze raz. Koło markizy zbierał się coraz większy tłum. Wśród gapiów stał także właściciel restauracji, w białej koszuli i śmiesznej czerwonej kamizelce.

– Hej, ty tam! Co tam robisz, do cholery?! Wszystko mi poniszczysz! Nie myśl, że wymigasz się od zapłaty.

Conor podciągnął się jeszcze parę centymetrów i opadł. Tym razem się udało. Platforma uderzyła w murek, przetoczyła się nad nim i poleciała w dół. Conor spadł na markizę i natychmiast zsunął się z niej na chodnik. Ułamek sekundy później platforma uderzyła w rusztowanie markizy. Rozległ się trzask rozdieranego płótna i zgrzyt aluminiowego stelażu.

Kable opadły na chodnik i uderzyły w sztuczne drzewka i zaraz potem na chodniku znalazła się cała platforma.

Jakaś kobieta krzyczała, zasłaniając sobie oczy rękoma. Właściciel restauracji wyprostował się, popatrzył wokół i zaczął krzyczeć:

– Ludzie, cholera, zobaczcie! No zobaczcie. Moja markiza. Moje pieprzone drzewka... No tylko zobaczcie.

Conor wstał i otrząpał się.

– I kto za to zapłaci, co?! – krzyczał właściciel lokalu, machając rękami. – Kto mi za to zapłaci? Wiesz, ile to kosztuje?

Conor chwycił go za ramiona, pozostawiając ciemnobrązowe ślady na jego białej koszuli.

– Wyślij kosztorys swoich strat na adres nowojorskiej policji – powiedział. – Oni za chwilę tu będą. A teraz wybacz, muszę lecieć.

7

Zadzwonił do drzwi dwa razy. Sebastian natychmiast otworzył i wyciągnął do niego rękę.

– Lacey już mi dała znać. Powiedziała, że pewnie przyjdiesz – powiedział, wpychając Conora do środka. Zanim zamknął drzwi, rozejrzał się jeszcze. – Mam nadzieję, że nikt za tobą nie szedł?

Conor pokręcił głową.

– Upewniałem się parę razy – odparł. – Nie bój się, nie jestem amatorem.

Sebastian zniknął drzwi i trzasnął zasuwą. Był wysokim, lekko garbiącym się Murzynem. Miał gładko ogoloną głowę, którą otaczała złota przepaska. Z jego uszu zwisały długie złote kolczyki w kształcie leoparda, a twarz zdradzała abisyńskie pochodzenie: wysokie kości policzkowe, haczykowany nos i ciężkie, opadające powieki. Miał na sobie białą welurową koszulę, która równie dobrze mogłaby być pizamą. Powiewając długimi rękawami, przepłynął przez korytarz niczym baletnica.

– Mój Boże, Conor... wyglądasz jak włóczęga. Co się stało z twoimi rękami? Wejdz do łazienki i umyj się, bo zachłapiasz mi krwią cały dywan na korytarzu.

Dywan Sebastiana porażał śnieżną bielą, więc Conor rozumiał niepokój przyjaciela.

Poszedł do łazienki, ale zanim sięgnął do kranu, Sebastian odkręcił go za niego. Łazienka była również biała, z połacaną armaturą i połacanymi strusimi piórami stojącymi w pseudoetruskiej wazie. Na połacanych haczykach wisiały pasujące do wystroju białe szlafroki, a ścianę zdobiła wielka reprodukcja przedstawiająca greckiego dyskobola.

Conor przejrzał się w jasno oświetlonym lustrze. Miał spuchniętą i pokrytą wielkimi szkarłatnymi siniakami twarz. Jego dolna warga była rozcięta i wyglądał, jakby miał małą kozią bródkę z zaschniętej krwi. Jeden rękaw koszuli był rozdarty, a spodnie pokrywały smugi tłuszczu.

Sebastian ujął jego głowę, jakby był dzieckiem, i ostrożnie obmył mu twarz miękkim kawałkiem materiału. Delikatnie zmył gąbką z jego dłoni tyle brudu, ile tylko mógł.

– Lepiej przemyjmy to jodyną – powiedział. – Chyba nie chcesz złapać jakiejś paskudnej infekcji.

– Matko Boska... – westchnął Conor, gdy Sebastian lał jodynę na jego rękę. Potem czekał

cierpliwie, aż przyjaciel owinie je gazą.

– A więc... czy mogę się dowiedzieć, jak doprowadziłeś się do takiego stanu? – zapytał

Sebastian.

– Oczywiście, ale najpierw muszę się napić.

Sebastian zaprowadził go do salonu. Od czasu, kiedy Conor był tu ostatnim razem, w pokoju wszystko się zmieniło. Ściany były teraz pomalowane na bladoróżowo, a lipowe i dębowe meble wyglądały, jakby sprowadzono je prosto z jakiejś francuskiej farmy.

Na jednej z kanap leżał w nonszalanckiej pozie osiemnastoletni, może dziewiętnastoletni chłopak o złotych lokach. Miał nagi tors i ciemnobłękitną przepaskę wokół pasa. Czytał

egzemplarz „Variety”.

– Conor, to jest Ric – oświadczył Sebastian i pocałował chłopaka w czoło. – Ric jest tancerzem. Ogromnie utalentowanym. Ogromnie.

– Przepraszam, ale nie mogę podać ręki – powiedział Conor, przytrzymując bandaż.

Ric obrzucił go taksującym spojrzeniem, jakby oceniał zwierzę na bydłącym targu.

– O Jezu... – wymamrotał w końcu. – Co ci się stało?

– Czego się napijesz? – zapytał Sebastian. – Mam trochę chardonnay Stag’s Lap. Jest naprawdę wyborne! Chyba że wolisz coś mocniejszego.

Ric prychnął, a zirytowany Sebastian machnął na niego jednym ze swoich długich rękawów.

– Może być whisky – odparł Conor. – Czy mógłbym skorzystać z twojego telefonu i zadzwonić do Lacey? – Wiedział, że Slyman nie zdążyłby jeszcze założyć tu podsłuchu.

– Jasne. – Przyjaciel podał mu przenośny telefon w złotym futerale.

Conor poczuł, że drżą mu nogi, więc usiadł na jednym z wielkich miękkich foteli.

Sebastian podszedł do barku i napełnił lodem ogromną kryształową szklanekę.

Telefon dzwonił przez dłuższą chwilę, zanim Lacey podniosła słuchawkę.

– Cześć, to ja. Jestem u Sebastiana.

– Przepraszam – powiedziała Lacey zimnym, obcym głosem. – Nie ma go tutaj.

– Slyman nadal tam jest?

– Dobrze, przekażę mu. Czy wszystko w porządku?

– Tak. Trochę oberwałem, ale to nic poważnego.

– Dobrze, powiem mu, że pan dzwonił.

Conor rozłączył się.

– Policja ciągle tam jest – mruknął. – Spróbuję zadzwonić później.

– Nie ma sprawy – odparł Sebastian. – Ale bardzo chciałbym się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Poczekaj, muszę wyjąć z lodówki wino.

Kiedy Sebastian poszedł do kuchni, Conor zwrócił się do Rica:

– A więc jesteś tancerzem. Taniec nowoczesny czy klasyczny?

– Biorę wszystko, co mi zaproponują. Głównie stepowanie.

– Mogłem cię w czymś oglądać?

– Ric występował w *A Chorus Line* – powiedział Sebastian, który właśnie wrócił do salonu.

– Jasne... W Buffalo. Jakie jest prawdopodobieństwo, że Conor kiedykolwiek oglądał *A Chorus Line* w Buffalo?

– Różne rzeczy się zdarzają, słoneczko – stwierdził Sebastian, podając Conorowi wielką szklankę z whisky. – Poza tym występowałaś przecież także w *Vaudeville Days*, a to było wystawiane na Broadwayu.

– Och, tak. Zapomniałem o tej ważnej roli. Trzymałem obręcz, przez którą skakał pies.

– Dlaczego zawsze tak nisko się oceniasz? W jaki sposób chcesz robić karierę w show-biznesie, jeśli nie doceniasz swojej wartości? Show-biznes to pewność siebie i wiara we własne siły!

– Boże, każdego dnia coraz bardziej przypominasz mi Deannę Durbin. Show-biznes nie ma nic wspólnego z pewnością siebie. To tylko kwestia szczęścia i całowanie odpowiednich tyłków.

– Musisz wybaczyć Ricowi – powiedział Sebastian. – Miał zbyt spokojne i pogodne dzieciństwo. – Usiadł obok Conora i skrzyżował nogi, na których miał złote sandały z białymi paseczkami. – Może teraz powiesz nam, jak wpakowałaś się w ten bałagan?

Conor opowiedział swoją historię. Czuł się wyczerpany, rozbity, a wydarzenia całego dnia wciąż kotłowały się w jego umyśle. Sebastian uważał jednak, że wszystko to jest niezmiernie zajmujące, zwłaszcza pościg za ciężarówką.

– Jest w tym chyba jakaś tajemnica – zauważył. – Tych dwoje ludzi czekających na ciebie za

drzwiami... Myślisz, że mieli jakiś związek z kradzieżą?

– Do diabła, Sebastian, zupełnie nie wiem, co o tym myśleć. Nie mam pojęcia, co oni tam robili i czego chcieli. Wiem tylko, że zacząłem z nimi rozmawiać i straciłem z życiorysu dwadzieścia minut.

– To niesamowite – stwierdził Sebastian. – Może byli kosmitami? Musisz być z nimi bardzo ostrożny. Zabierają cię do swoich statków kosmicznych i przeprowadzają tam różne dziwne eksperymenty seksualne.

– Och, naprawdę?! – zawołał Ric. – Skąd to wiesz? Zdarzyło ci się coś takiego?

– Mnie? Chciałbym mieć tyle szczęścia.

– Zaczekajcie chwilę – wtrącił Conor. – Darrell Bussman również ich spotkał, tylko w innym dziale, i też umknęło mu trochę czasu. Co prawda nie tyle co mnie, może kilka sekund.

W jednej chwili z nimi rozmawiał, a w drugiej już ich nie było.

– Pamiętasz, co ci powiedzieli? – zapytał Sebastian.

Conor pokręcił głową.

– Kobieta w ogóle się nie odzywała, a mężczyzna podniósł rękę i zapytał: „Znasz mnie?”.

Tylko tyle pamiętam. Możliwe, że powiedział coś jeszcze. Na pewno tak było, ale nie potrafię sobie tego przypomnieć.

– Opisz ich – zaproponował Ric.

– Mogę zrobić coś lepszego. Narysuję ich.

Sebastian przyniósł złoty automatyczny ołówek i kartkę papieru. Conor szybko naszkicował tajemniczą parę. Ric wziął od niego kartkę i zmarszczył brwi.

– Miałeś rację, Sebastianie. Oni naprawdę są kosmitami.

– Cóż, nie jestem artystą... – mruknął Conor.

– Nie, nie. Bardzo dobrze ich uchwyciłeś.

– Uchwyciłem ich? To ty ich znasz? Dodajesz mi otuchy.

– Ric zna wszystkich – oświadczył Sebastian. – Przemieszcza się po Nowym Jorku tak samo szybko jak zarazki.

Ric usiadł prosto i poprawił przepaskę na czole.

– Kobieta jest wysoka, ma około trzydziestu pięciu lat, bladą twarz i zupełnie czarne oczy niczym

zombie lub coś w tym rodzaju, tak? A facet wygląda na Latynosa, ubiera się w krzykliwe kolorowe ciuchy i ma kręcone włosy oraz wąsik a la Little Richard?

– Wszystko się zgadza. To oni. Nie wiesz przypadkiem, jak się nazywają?

– Pewnie, że wiem. Ramon Perez i Magda Sianie. On jest Meksykaninem, a ona Rumunką. Przynajmniej zawsze tak twierdziła. Nie ma jednak wyraźnego akcentu i może być równie dobrze Greczynką albo Rosjanką. Kto wie. To bardzo dziwna para. Prawie do nikogo się nie odzywali, a jeśli już to robili, nigdy nie było wiadomo, o co im chodzi. Nie widziałem ich ponad rok, od czasu, gdy zdjęli *Vaudeville Days*.

– Oni też występowali w *Vaudeville Days*! Są artystami?

– Tak. Ich sceniczne imiona to Hypnos i Hetti.

Conor przycisnął dłoń do czoła. Czemu wcześniej o tym nie pomyślał? Hipnotyzerzy.

Wprowadzili go w trans, a potem zmusili, by zrobił to, czego chcieli. Dlatego brakowało mu tych dwudziestu minut.

– Hypnos i Hetti to niezwykli hipnotyzerzy – powiedział Ric. – Ale nie byli mili dla publiczności. Wiesz, co mam na myśli? Zmuszali ludzi, by robili na scenie upokarzające rzeczy: żeby moczyli się w spodnie, przeklinali swoje żony albo płakali, ponieważ wydawało im się, że są dziećmi i zgubili swoje mamy. Miałem wrażenie, że oni nienawidzą publiczności. Nigdy nie wiedzieli, do jakiego momentu mogą się posunąć. Kiedyś zmusili jakąś kobietę, by lizała podeszwy butów swojego męża.

– Musieli również zahipnotyzować Darrella – stwierdził Conor. – Znałem tylko jedną połowę kodu otwierającego skarbiec, a on znał drugą. Myślisz, że zmusili go, by ją wyjawiał?

Czy mogli to zrobić w ciągu paru sekund?

– Chyba żartujesz. Oni mogą zrobić z tobą wszystko, bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie. Wielu ludzi uważa, że nie można zmusić nikogo, by zrobił coś wbrew swojej woli, ale to bzdura. Po premierze *Vaudeville Days* mieliśmy małe przyjęcie i Ramon zmusił

charakteryzatorkę w średnim wieku, by zdjęła ubranie i tańczyła nago z różową miotełką do kurzu wetkniętą w tyłek. Wyszedłem wtedy stamtąd. Pomijam fakt, że nie podobają mi się kobiety bez ubrania, ale to było podłe, poniżające i niemoralne.

Sebastian zdmuchnął niewidzialny pyłek ze swojego kolana.

– Ric jest fundamentalistą religijnym, kiedy zanadto się rozpędzi. Prawdę mówiąc, bardziej interesują go fundamenty niż religia.

– Ten Meksykanin – jak on się nazywa, Perez? – miał przy sobie wielką torbę –

powiedział Conor. – Musieli mnie zahipnotyzować i zmusić do otwarcia sejfu, a potem wyjęli ze

skrzynki depozytowych wszystko, co im się podobało.

– Ale skąd wiedzieli, które skrzynki wybrać? – zapytał Sebastian.

– Nie wiem. Mamy wykaz nazwisk i odpowiadających im skrzynek. Przechowujemy tę listę w bazie danych firmy, jest jednak ściśle tajna i zaszyfrowana.

– Mogli cię zmusić, żebyś otworzył plik – zasugerował Ric. – Mieli w końcu dość dużo czasu.

– Jestem pewien, że nie zrobiłbym czegoś takiego. Nawet jeśli byłbym zahipnotyzowany.

Nie mógłbym. To sprzeczne z całym moim wykształceniem.

– Mówię ci, Conor, Hypnos i Hetti potrafią zmusić ludzi do wszystkiego. Jeśli będą chcieli, mogą sprawić, że człowiek popełni samobójstwo. Hypnos często się przechwalał, że zahipnotyzował Sonny'ego Bono i zmusił go, żeby wjechał na drzewo.

– Ale dlaczego, do diabła, miałyby zrobić coś takiego?

– Och, chodzi prawdopodobnie o jakieś powiązania z mafią. Bono nadepnął na zbyt wiele wpływowych palców i to był jedyny sposób, żeby się go pozbyć. Hypnos mówił, że byli również inni, naprawdę sławne nazwiska. A najlepsze w tym wszystkim jest to, że nikt mu nigdy niczego nie udowodnił.

– No dobra – powiedział Conor – przypuśćmy, że dałem im tę listę... Ale jak to się stało, że tamci dwaj złodzieje również ją mieli? I czy była to dokładnie ta sama lista, którą zdobyli Hypnos i Hetti?

– Może ktoś włamał się do twojego komputera, ukradł ją i sprzedał na czarnym rynku.

– Istnieje taka możliwość, ale to nie wyjaśnia, dlaczego miały miejsce dwie oddzielne próby obrabowania skarbcza Spurrsa, których dokonano w odstępie zaledwie kilku godzin.

– Być może to zbieg okoliczności – zasugerował Sebastian. – Kiedyś zostałem dwukrotnie obrabowany na tej samej ulicy. Wiesz, co powiedziałem temu drugiemu rabusiowi? „Jeśli chcesz pieniędzy, grozisz nieodpowiedniej osobie. Leć za tamtym draniem”.

– Nie sądzę, żeby to był zbieg okoliczności – mruknął Conor. – Myślę, że kryje się za tym coś więcej.

– Cóż, te dwie kradzieże nie mogą być ze sobą związane. Po co znowu pokonywać wszystkie zabezpieczenia, żeby włamać się do skarbcza, który już jest pusty?

– Właśnie. Ale dla glin nie ma żadnej różnicy. Są przekonani, że to ja wyczyściłem te skrzynki. A ja nie mam pojęcia, jak im udowodnić, że się mylą. Mój jedyny świadek leży w śpiączce i tak samo nie pamięta, co zrobili z nim Hypnos i Hetti.

– Inaczej mówiąc, wpadłeś po szyję w bagno.



– Istnieje tylko jeden sposób. Muszę odnaleźć Hypnosa i Hetti i najlepiej, żeby nadal mieli przy sobie niektóre z tych rzeczy.

– O jakich rzeczach mówisz?

– Nie mam pojęcia. To mogą być szmaragdy, narkotyki, dokumenty... Wszystko, co nasi klienci trzymają w depozycie, jest ich prywatną sprawą.

– Przypuśćmy, że już tego nie mają. Albo przypuśćmy, że mają, ale ty nie będziesz w stanie udowodnić, że te rzeczy pochodzą ze skarbca. Przecież nikt dobrowolnie nie powie:

„Och, tak. Te trzy Paczki najczystszej kolumbijskiej heroiny należą do mnie!”.

– W takim razie muszę zmusić Hypnosa i Hetti, żeby się przyznali.

Ric uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie sądzę, by to było możliwe. Nie w przypadku tych dwojga. Wprowadzacie w trans, zanim zdążysz zadać pierwsze pytanie.

– Załatw ich pończochą, i tyle – wtrącił Sebastian. – Napijesz się jeszcze, Conor?

Wyglądasz okropnie. Jutro będziesz miał parę pięknie podbitych oczu.

– Domyślasz się, gdzie mogą być teraz Hypnos i Hetti? – zapytał Conor Rica.

– Nie. Kiedyś wynajmowali poddasze w TriBeCa, ale nie sądzę, żeby nadal tam mieszkali. Powiem ci jednak, co mogę dla ciebie zrobić. Dam ci numer do Eleanor Bronsky.

Kiedyś była ich agentem. Może wie, gdzie są.

Conor nie mógł tej nocy wziąć prysznicza z powodu zabandażowanych dłoni, ale Sebastian przygotował mu gorącą kąpiel, w której spędził prawie dwadzieścia minut.

Przymknął oczy i śnił, że idzie pustym korytarzem. Na jego końcu stały jakieś dwie ciemne postacie. Wiedział, że powinien się ich obawiać, ale dalej szedł w ich kierunku. Kiedy już prawie do nich dochodził, zobaczył, że wcale nie są dwiema osobami, lecz jedną. Dwoje ludzi splecionych ze sobą jak konary drzewa.

Z jakiegoś powodu przeraziło go to i odwrócił się, zamierzając uciec. Wtedy jednak zobaczył przed sobą ogromne drzwi, które zatrzasnęły się przed nim z głośnym metalicznym brzękiem i zablokowały drogę ucieczki.

Walił w nie bez opamiętania, wiedząc, że dwoje ludzi, którzy byli jedną osobą, jest coraz bliżej. Ale bez względu na to, jak mocno uderzał, słychać było tylko ciche stukanie.

Otworzył oczy. To Sebastian nieśmiało stukał do drzwi łazienki.

– Nie miałem zamiaru ci przeszkadzać. Chciałbyś, żebym umył ci plecy?

## 8

Tej nocy śnił mu się jeden koszmar po drugim. Spadał szybami wind, biegł tunelami, dusił się pod stertami koców. Mimo klimatyzacji w mieszkaniu Sebastiana było bardzo duszno, więc budził się co chwilę, cały zlany potem. Nieustające tykanie stojących wszędzie małych zegarów przeszkadzało mu zasnąć ponownie.

O szóstej rano przyjechała ogromna śmieciarka i z hałasem zaczęła opróżniać pojemniki.

Brzmiało to jak *Uwertura 1812*. Conor zwłókł się z łóżka niezgrabnie niczym siedemdziesięcioletni starzec i pokuśtykał do kuchni. Zrobił sobie filiżankę arabskiej kawy, a potem włączył przenośny telewizor. Nastawił głośność na minimum, by nie obudzić Sebastiana i Rica.

Przełączył program na poranne wiadomości. Po materiale o strzelaninie w szkole podstawowej w Bronksie pojawił się porucznik Slyman. Stał obok rozerwanej markizy restauracji Manziego, oświetlony czerwonymi światłami wozów straży pożarnej i policji, co nadawało mu diaboliczny wygląd.

– „...Conor O’Neil był jednym z najbardziej zdolnych i doświadczonych oficerów nowojorskiej policji... – mówił. – Dzisiaj udowodnił, że jest również bezwzględny i zdeterminowany. Dokonał udanej kradzieży, która może mu przynieść Ponad miliard dolarów czystego zysku. Jeśli wiedzą państwo, gdzie się obecnie znajduje, proszę się do niego nie zbliżać, tylko zadzwonić pod ten numer... Dowiedziałem się już, że właściciele zrabowanych rzeczy wyznaczili znaczne nagrody za ich odzyskanie...”.

– Hej, może powinniśmy cię wydać – powiedział Ric, który stanął w drzwiach kuchni. –

Sebastian i ja moglibyśmy zarobić niezłe pieniądze.

– Nie martw się – pocieszył go Conor. – Kiedy znajdę Hypnosa i Hetti, na pewno zostaniecie docenieni.

Ric wszedł do kuchni. Miał na sobie krótką purpurową koszulę i siatkę na włosach. Wyjął z lodówki sok owocowy i napił się prosto z kartonu.

– Nie przejmuj się. Sebastian i ja dostaniemy swoją nagrodę w niebie. – Usiadł na krześle i przyjrzał się uważnie Conorowi. – Mój Boże... wyglądasz okropnie.

Biuro Eleanor Bronsky znajdowało się na Broawayu, półtorej przecznicy na północ od Times Square, na czwartym piętrze wąskiego budynku z lat trzydziestych. Conor poszedł tam pieszo mimo okropnego upału i dużej wilgotności, ponieważ nie chciał zostać rozpoznany przez jakiegoś sprytnego taksówkarza, który oglądał poranne wiadomości. Z policyjnego doświadczenia wiedział, jak dokładnie kierowcy przyglądają się swoim pasażerom. Niewiele potrzebowali czasu, by zaliczyć ich do odpowiedniej kategorii: zamiejscowy, turysta, pomniejsza znakomitość, broker z Wall Street,

narkoman, pijak, nieszkodliwy wariat, niebezpieczny wariat i najgorszy ze wszystkich – skąpiec.

Przeszedł Times Square, rozpędzając stado trzepoczących skrzydłami i wydziobujących coś z ziemi gołębi. Miał na sobie tylko białą koszulkę i beżowe tenisówki, ale mimo to pot wciąż spływał po jego policzkach. W ciągu dnia temperatura miała przekroczyć czterdzieści stopni Celsjusza. Ludzie mdleli z gorąca na ulicach.

Doszedł do wąskich drzwi i nacisnął dzwonek z napisem AGENCJA TEATRALNA BRONSKY. Na schodach siedział jakiś włóczęga z małym dyszącym kundlem na smyczy.

– Masz drobne? – zapytał.

Miał zaropiałe oczy i brakowało mu większości uzębienia. Conor dał mu dolara i jeszcze raz nacisnął dzwonek. Po przeciwnej stronie stało dwóch policjantów; opierali się o swój samochód i gawędzili ze sprzedawcą lodów. Im szybciej wejdę do środka, tym lepiej, pomyślał.

– Masz kłopoty, no nie? – mruknął włóczęga. – Zawsze wyczuję faceta z problemami.

– Dzięki za troskę, ale wszystko w porządku.

– Ścigają cię, prawda? Depczą ci po piętach?

W domofonie odezwał się dziewczęcy głos:

– Kto tam?

– Jack Brown. Jestem przyjacielem Rica Vettera. Dzwonił do pani?

– Chcesz mojej rady? – zapytał włóczęga, a jego pies posłał Conorowi najbardziej pozbawione nadziei spojrzenie, jakie kiedykolwiek widział u człowieka lub zwierzęcia.

Nie odpowiedział.

– Posłuchaj: dwa w jednym to kłopoty. Jeśli to zrobią, pilnuj swojego tyłka.

– Co? – zapytał Conor, ale w tym momencie zabręczał dzwonek, więc pchnął drzwi i wszedł do mrocznego korytarza, pozostawiając włóczęgę na zewnątrz. W środku pachniało gazem. Po prawej stronie wisiał rząd rozwalających się i pootwieranych skrzynek na listy. Po lewej była mała winda z pomalowanymi na niebiesko drzwiami. Na wprost znajdowały się schody przykryte brzydkim zielonym linoleum, przymocowanym metalowymi listwami. Na piętrze połyskiwało zaplamione szkło obrazu – czyste art deco, przedstawiające odrzutowiec lecący nad oceanem w towarzystwie stada mew. W takim starym, rozwalającym się budynku wyglądało to dość niezwykle.

Conor wszedł do windy i pojechał na czwarte piętro. Winda trzeszczała, jakby wciągał ją sam Quasimodo. Na ścianie wisiało małe przydymione lustro. Conor zdjął okulary i przyjrzał się swojej twarzy. Miał tak podpuchnięte oczy, że prawie nie mógł ich otworzyć, a usta wyglądały jak dwa wielkie kawałki surowego mięsa.

Drzwi z napisem AGENCJA TEATRALNA BRONSKY były otwarte, więc wszedł

prosto do ciasnego sekretariatu. Za biurkiem siedziała rudowłosa dziewczyna w bluzeczce bez rękawów. Miała usta pomalowane purpurową szminką, która pasowała kolorystycznie do całej reszty. Stukała w klawiaturę komputera i żuła gumę, poruszając szybko szczękami.

– Pan Brown? – zapytała, nie zadając sobie trudu, by spojrzeć w górę. – Proszę wejść.

Cholera! – zaklęła, gdy pomyliła się w przepisywaniu.

– Dziękuję – odparł Conor i zapukał do wewnętrznych drzwi.

Eleanor Bronsky kołysała się na krześle, trzymając nogi na biurku, zawałonym kontraktami, połączanymi statuetkami i oprawionymi w ramki gratulacjami. Większość miejsca zajmowała wielka onyksowa taca. Za plecami Eleanor Bronsky rozciągał się ponury widok na Broadway. Mimo wysiłków astmatycznej klimatyzacji w pokoju panował

nieprzyjemny zaduch i kłębił się dym z papierosów. Eleanor Bronsky była szczupłą kobietą po sześćdziesiątce, nieco przywiedłą od palenia i dziesiątków lat nieprzespanych nocy. Miała krótko obcięte siwe włosy i musiała być kiedyś bardzo piękna. O dawnej urodzie świadczyły wysokie kości policzkowe i wielkie błękitne oczy, lecz skóra na twarzy kobiety była już pomarszczona, a błękit oczu przybladł niczym zasuszone w książce bławatki.

Była ubrana w kremową sukienkę ze złotym paskiem. Gdy Conor wszedł do środka, rozmawiała przez telefon, paląc marlboro w bursztynowej cygarniczce. Pomachała mu ręką i wskazała krzesło.

– Nie, Davidzie – mówiła do słuchawki. – Nie będę narażać reputacji Stelli taką produkcją. Nie, nie wierzę, że to się uda. Zresztą to okropny pomysł.

Conor rozejrzał się po pokoju. Półki ugięły się od scenariuszy i rękopisów z zagiętymi rogami, a na ścianach wisały dziesiątki fotografii: Eleanor Bronsky z Shelley Winters, Eleanor Bronsky z Lee Strasbergiem, z Tonym Franciosą, Harrym Guardino i Tennessee Williamsem, Eleanor Bronsky z pijacko uśmiechniętymi producentami przy stoliku restauracji Sardiego i Downeya.

– *Szalom*, Davidzie – powiedziała w końcu i rozłączyła się. Wydmuchnęła szarą chmurę papierosowego dymu i zwróciła się do Conora: – Czy może pan w to uwierzyć? To był David Bramwell. Chce wystawić musical oparty na życiu Hugh Hefnera – *Centerfold!* Wyobraża pan sobie? To będzie totalna kłapa.

Conor wyciągnął rękę.

– Jack Brown. Miło mi panią poznać.

Uścisk Eleanor Bronsky był suchy i zadziwiająco mocny. Był to uścisk dłoni kobiety, która miała do czynienia z silnymi mężczyznami.

– Mój Boże, panie Brown... Proszę mi wybaczyć, ale wygląda pan, jakby miał pan starcie z Godzillą

i przegrał.

– Mały wypadek samochodowy, to wszystko. Przejdzie mi. Ric Vetter dzwonił do pani dziś rano, prawda?

– Tak, dzwonił. Kochany Ric. Gdyby nie był tak fałszywy jak trzydolarowy banknot, sama bym go wymyśliła. Przypomina mi Blanche Dubois. Proszę wybaczyć, że palę –

powiedziała i pomachała ręką. – Próbuję rzucić od premiery *Wedding Feast*. A może to była premiera *The Member of the Wedding*!

– Czy Ric powiedział pani, kogo szukam? – zapytał Conor.

– Tak. Hypnosa i Hetti. Co to za para! Reprezentowałam ich przez trzy i pół roku, od czasu, kiedy po raz pierwszy się tu zjawili.

– Ale teraz już ich pani nie reprezentuje?

Potrząsnęła głową.

– Byli niewiarygodnie dobrzy. Potrafili zahipnotyzować tuzin ludzi stojących na przystanku autobusowym i sprawić, by gulgotali jak indyki. Ale było w nich też coś takiego, co mi się nie podobało, coś niezdrowego. Nie było w nich radości, rozumie pan? Wydawało się, że w ogóle nie są zainteresowani występami, przynajmniej nie tak jak większość artystów. Nie pragnęli uznania, nie chcieli aplauzu. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czego tak naprawdę chcieli.

– Kiedy widziała ich pani po raz ostatni?

Eleanor Bronsky zaciągnęła się papierosem i spojrzała na niego badawczo.

– Jest pan gliną? – zapytała.

– Oczywiście, że nie. Jestem producentem teatralnym.

– Jack Brown? Nigdy o panu nie słyszałam, a słyszałam o wszystkich.

– To dlatego, że pracuję w Toronto. Nie słyszała pani o moim spektaklu *My Man's a Mountie*!

– Przykro mi, ale nie. Brzmi to jak... cóż, nie wiem, jak to brzmi.

– Szło przez dwa i pół roku w York Theater. A teraz jestem zainteresowany wystawieniem *Vaudeville Days*.

– Mogę wyrazić swoją opinię, Jack? Jesteś jeszcze bardziej postrzelony niż David Bramwell. To przedstawienie umierało powolną i straszliwą śmiercią. Wszyscy mają teraz Internet. Nie muszą wybierać się do miasta, by przez dwie godziny oglądać chińskich żonglerów albo Leilę i jej tresowane pudle.

– Cóż, nie zgadzam się z tobą. Myślę, że ludzie nadal pragną rozrywki. Poza tym chciałbym spróbować. Mam sporo pomysłów, jak unowocześnić ten spektakl.

Eleanor wypuściła dym, odczekała chwilę i wypuściła resztę.

– I jednym z tych pomysłów jest włączenie do tego Hypnosa i Hetti?

– Właśnie. Hipnoza jest naprawdę wspaniała, zwłaszcza ten rodzaj hipnozy. Publiczność uwielbia oglądać, jak poniża się ludzi.

– Och, jeśli chodzi ci o poniżanie, to Hypnos i Hetti są dokładnie tymi, których szukasz.

Tak naprawdę to było coś więcej niż poniżanie. Wiesz, że zostali wylani z *Vaudeville Days*!

Zahipnotyzowali faceta na scenie i kazali mu zjeść szklanekę od whisky. Porozcinał sobie język, wszędzie było pełno krwi. Miał szczęście, że przeżył, ale już nigdy nie mógł mówić.

Wtedy właśnie przestałam ich reprezentować. Nie twierdzę, że jestem wielką moralistką i że nie będę reprezentować narkomana, bigamisty lub damskiego boksera. Jeśli taki potrafi grać lub śpiewać, co mnie obchodzi reszta? Ale w Hypnosie i Hetti było coś naprawdę nieprzyjemnego. Mój mąż Ned mawiał, że musieli zawrzeć pakt z szatanem, a przynajmniej z Davidem Merrickiem.

– A więc naprawdę nie wiesz, gdzie oni są?

Eleanor Bronsky potrząsnęła głową.

– Mogę ci dać ich ostatni adres, ale wątpię, czy ci się na coś przyda. – Popatrzyła na Conora i zgasila papierosa. – Jesteś gliną, prawda?

Conor zawahał się, a potem uniósł obie ręce w geście poddania.

– W porządku, przyznaję się. Znalazłem się w krytycznej sytuacji i muszę ich odszukać.

To długa historia. Krótko mówiąc, albo oni, albo ja.

– *My Man's a Mountie*, ha, ha – zaśmiała się Eleanor Bronsky grubym, przepalonym głosem. – Przez chwilę prawie ci wierzyłam.

Wstała i podeszła do rozwalającej się drewnianej szafy. Wysunęła szufladę i zaczęła w niej grzebać.

– Wiesz co, powinieneś być widzieć to biuro w latach mojej świetności. Reprezentowałam każdego, kto był kimś. Miałam dywany z tygrysiej skóry, meble w stylu Ludwika Czternastego i barek wielki jak Dworzec Centralny. Miałam nawet obrazy Jacksona Pollocka.

Boże, nienawidziłam ich, ale były takie drogie. A teraz nie ma tu już niczego. I popatrz na mnie... Nigdy nie przypuszczałam, że dni sławy mijają tak szybko.

Wzięła do ręki jakąś teczkę i powiedziała:

– Proszę. Ramon Perez i Magda Sianie, Thomas dziewięćset osiemdziesiąt jeden. Mogę ci jednak zagwarantować, że już ich tam nie znajdziesz. Wysyłałam im pocztę. Wysyłałam nawet pieniądze, ale wszystko wracało.

– Mimo wszystko dziękuję. Sprawdzę to.

– Czy oni ci to zrobili? – zapytała Eleanor Bronsky. – To oni zmasakrowali ci twarz?

– Właściwie nie, ale powiedzmy, że się do tego przyczynili.

– Cóż, jest jeszcze jedna możliwość, którą mógłbyś sprawdzić. Sidney Randall, jeśli jeszcze żyje.

Conor nie miał pojęcia, kim jest Sidney Randall.

– To jeden z największych hipnotyzerów w historii – wyjaśniła Eleanor Bronsky. – W

latach pięćdziesiątych miał swój własny show *When you Awake*. Reprezentowałam go przez trzy i pół roku i zarobiłam dzięki niemu mnóstwo pieniędzy. Sidney był zafascynowany Hypnosem i Hetti. Osobiście w ogóle go nie obchodzili, lecz uważał, że ich technika hipnotyzowania jest zdumiewająca. Być może ma z nimi kontakt.

– A gdzie znajdę tego Sidneya Randalla?

– Ostatnio słyszałam, że przeszedł na emeryturę. W obecnych czasach nie ma po prostu publiczności, która chciałaby oglądać ten rodzaj sztuki. Dlatego odczuwam ulgę, że jesteś gliną, Jack, a nie jakimś pomyłonym producentem.

– Właściwie nie jestem już gliną i nie nazywam się Jack. Jestem Conor O’Neil.

Eleanor Bronsky przypalała właśnie kolejnego papierosa.

– Mój Boże, a więc to ty! Widziałam cię w porannych wiadomościach! To nie świadczy dobrze o mojej pamięci do twarzy, prawda? Jesteś poszukiwany? – zapytała i wypuściła nosem dym. – Dostałabym nagrodę, gdybym cię wydała?

– Może to zabrzmie nieprawdopodobnie, ale jestem niewinny.

– Jesteś niewinny?

Conor nie odpowiedział. Usiadł i patrzył, jak Eleanor Bronsky pali papierosa.

– Jesteś tym gliną, który ujawnił korupcję w policji, tak? – odezwała się w końcu.

Pokiwał głową.

– Klub Golfowy przy Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Nie wiedziałem, że to pamiętasz.

– Oczywiście, że tak. Jesteś kimś w rodzaju bohatera, prawda?

– Narobiłem sobie pełno wrogów, jeśli to masz na myśli. Dlatego teraz mnie szukają.

– W porządku – mruknęła. – Jeżeli jesteś niewinny, zadzwonię do moich przyjaciół z Dobroczyнного Funduszu Artystów Wodewilowych i dowiem się, gdzie mieszka Sidney, o ile jeszcze żyje. Jeśli nie, jest jeszcze jedna, może dwie osoby, do których mogę zadzwonić.

Jak mam się z tobą skontaktować?

– Zostaw wiadomość u Rica. Dzięki, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

Eleanor Bronsky dotknęła policzka Conora.

– Jesteś przyjacielem Rica i jesteś niewinny. Co jeszcze mogłabym dla ciebie zrobić?

Miło wiedzieć, że po tych wszystkich latach mogę jeszcze zrobić coś użytecznego.

9

– Byłam taka przerażona, że nawet nie potrafię tego opisać – powiedziała Lacey. –

Porucznik Slyman oświadczył, że jego zdaniem jesteś poważnie ranny.

Ujęła jego dłoń i ucałowała czubki palców.

– Przepraszam – mruknął Conor. – Pachną *pastrami*.

Była trzynasta zero pięć. Siedzieli przy stoliku na tyłach delikatesów Stars przy Lexington Avenue. Było gorąco i tłoczno. Przy ladzie tłoczyli się pracownicy okolicznych biur, którzy zamawiali porcje indyka, kielbasę i kanapki z wołowiną, aby zjeść lunch na ławkach przy Citicorp Center. Conor kupił *pastrami* z ryżem, lecz kanapki w Stars miały trzy cale grubości, więc odczuwał ból, gdy otwierał szeroko usta. Nie poprawiała mu też apetytu świadomość, że w każdej chwili może zostać postrzelony bez ostrzeżenia przez jakiegoś gliniarza. Kulka w głowę, żadnych świadków, żadnych pytań. Nadal był policjantem, cokolwiek się zdarzyło. Urodził się policjantem. Ale teraz rodzina odrzuciła go i wszyscy pragnęli jego krwi.

Znał sposoby ich pracy. Gdyby był porucznikiem Slymanem, kazałby śledzić Lacey przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie mówiąc już o podsłuchu telefonicznym i przechwytywaniu e-maili. Dlatego właśnie wybrał Stars. Jadali tu regularnie podczas procesu Klubu Golfowego, wystarczyło więc, że wysłał do jakiegoś sklepu niemożliwy do wysledzenia faks o treści \*\*1 (Stars o pierwszej), by Lacey wiedziała, że chce się z nią spotkać. Delikatesy znajdowały się jedynie trzy przecznice na południe od Lipstick Building, gdzie pracowała. Tłum ludzi jedzących lunch chronił ich przed spojrzeciami z ulicy.



Nie widział Lacey zbyt dokładnie, bo siedziała tyłem do światła, lecz pomyślał, że pięknie wygląda. Ta burza rozwianych blond włosów... Miała na sobie cienką etaminową bluzeczkę, szyte na miarę spodnie i mnóstwo pobrzękującej biżuterii. Próbowwała zachować spokój, ale pod jej oczami rysowały się czarne cienie, ponieważ – podobnie jak Conor –

prawie nie spała w nocy.

– Jesteś pewna, że nikt za tobą nie szedł?

– Zatrzymywałam się kilka razy i patrzyłam w okna wystawowe. Potem poszłam Pięćdziesiątą Trzecią i obeszłam całą przecznice. Później weszłam do apteki Steinmana i wyszłam innymi drzwiami.

– Grzeczna dziewczynka. Slyman cię za bardzo nie męczy?

– Bez przerwy naciska, żebym powiedziała, gdzie jesteś. Mówi, że to mój obywatelski obowiązek. Ciągłe powtarza, że jeśli jesteś niewinny, to dlaczego uciekasz?

– Ale nie straszyl cię albo coś w tym rodzaju? Dotknął cię?

– Gdyby spróbował, pożałowałby tego. Możesz mi wierzyć. Wiesz, że potrafię o siebie zadbać.

– A co z moimi prawnikami? Rozmawiałaś z Michaeliem Baerem?

Kiwnęła głową.

– Michael mówi to samo, co Slyman. Wystąpił nawet w telewizji i powiedział, że jeśli jesteś niewinny, nie musisz uciekać. Oświadczył, że powinieneś się poddać i pozwolić, by bronił cię w sądzie. Dodał, że inaczej nie będzie mógł cię chronić.

– Nie jest w stanie mnie obronić. Nie przed Drew Slymanem. Nikt nie może.

– Ale Slyman nie może przecież zastrzelić cię z zimną krwią.

– Ależ może, kochanie. I na pewno spróbuje to zrobić. A ja nie chcę spędzić reszty życia, zastanawiając się, kiedy trafi mnie kula. Co to za perfumy?

– Issey.

Conor chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

– Ten zapach sprawia, że jeszcze bardziej tęsknię za domem. Ale nie mogę jeszcze wrócić, kochanie. Nie zrobiłem nic złego, muszę jednak tego dowieść.

Lacey pochyliła się nad stołem i pocałowała go w policzek.

– Kocham cię – szepnęła. – Nie pozwolę, żeby te dranie cię skrzywdziły, obiecuję.

– Masz jakieś wiadomości o Darrellu Bussmanie?

– Kiedy ostatni raz rozmawiałam ze Slymanem, Darrell nadal był w śpiączce.

– Cóż, niech Bóg ma go w swojej opiece, to wszystko, co mogę powiedzieć. On jest teraz moim jedynym świadkiem.

– Jest jeszcze coś – oświadczyła Lacey. – Michael powiedział, że po występie w telewizji zadzwoniło do niego trzech adwokatów reprezentujących klientów Spurra. Wszyscy ci ludzie oferowali wielkie pieniądze za zwrot swojej własności. Ale żadnych nazwisk, żadnych pytań.

– To nierealne. A co oznaczają te „wielkie pieniądze”?

– Miliony dolarów. Tak przynajmniej twierdzi Michael. Osiem, może dziewięć, a może jeszcze więcej. Nie sprecyzował tego.

Conor z rozbawieniem potrząsnął głową:

– Gdybym tylko miał te ich rzeczy...

Lacey odgarnęła ręką włosy.

– To i tak bez znaczenia, czy masz te rzeczy, czy nie, prawda? Przynajmniej dopóki myślą, że je masz. Możesz zrobić na tym dobry interes. Weź od tamtych ludzi te miliony, a w zamian nic im nie daj. Moglibyśmy kupić dom na Florydzie z widokiem na pole golfowe. Co ty na to?

– Wiesz, że nie mógłbym zrobić czegoś takiego.

– Wiem – odparła. – I właśnie za to cię kocham. Dlatego, że nie zrobiłbyś czegoś takiego nawet teraz, gdy nie jesteś już gliną.

– Tutaj się mylisz – powiedział. – Ja zawsze będę gliną i nic na to nie poradzę, chociaż to moje przekleństwo. Czy mogłabyś przestać być piękna?

– Nie schlebiaj mi. Nie jestem piękna. Ale cię kocham i będę o ciebie walczyć.

Dotknął jej włosów. Przymknęła oczy, a on wodził palcami po jej brwiach, policzkach, nosie i ustach. Zazwyczaj nie lubił publicznie okazywać uczuć, wiedział jednak, że prawdopodobnie długo jej nie zobaczy, może nawet nigdy.

– Proszę cię, żebyś była cierpliwa. To wszystko. Mam zamiar posprzątać ten bałagan i przeżyć. Nie rozmawiaj z nikim o mnie. Nie mów, że mnie widziałaś. Będę z tobą w kontakcie.

Trzymali się za ręce, a pomiędzy nimi leżała kanapka z *pastrami*, której Conor nie zdążył

zjeść. To było wszystko, co mogli zrobić. Przy sąsiednim stoliku siedział starszy kościsty jegomość na wózku inwalidzkim, z filiżanką kawy i pączkiem. Posłał im uśmiech spod swego wąsa, nachylił

się do Conora i szepnął:

– Przepraszam pana... Będzie pan jeszcze jadł?

– Proszę, niech się pan poczęstuje – odparł Conor i podał mu kanapkę. Kiedy to robił, dostrzegł mężczyznę stojącego na rogu ulicy. Nieznajomy miał na sobie płócienny płaszcz i kapelusz z wąskim rondem. W jego postawie było coś zastanawiającego i Conor poczuł w ustach słony smak niepokoju. Gliniarze są jak tancerze lub ciężarowcy; zdradzają swoją profesję sposobem zachowania. Conor nie mógł być całkowicie pewien, ale założyłby się nawet o duże pieniądze, że tamten jest detektywem w cywilnym ubraniu.

– Coś się stało? – zapytała Lacey.

– Jeszcze nie wiem – odparł. Czekał, aż światło dla pieszych zmieni się na zielone.

Mężczyzna pozostał na swoim miejscu, od czasu do czasu spoglądając w jedną stronę.

Zatrzymał się tam policyjny patrol, a potem jeszcze jeden. To było to.

– Muszę się stąd wydostać – oświadczył Conor.

Lacey poznała po jego oczach, że coś jest nie tak.

– W jaki sposób zdołali mnie wyśledzić? Przecież tak uważałam!

– To nie twoja wina. Oni mają w tym wprawę. – Rozejrzał się szybko po delikatesach.

Nie było tu tylnego wyjścia, drugie drzwi prowadziły tylko do toalety. Jeśli ludzie Slymana mieli przynajmniej połowę mózgu, na pewno już to odkryli.

Wyjrzał na rozgrzaną, zalaną słońcem ulicę. Nie było żadnych wątpliwości; policjanci czekali właśnie na niego. Nie wejdą do środka, bo mógłby być uzbrojony, a nie będą chcieli ryzykować, że jakaś zabłąkana kula zrani kogoś w tym tłoku. Ale dopadną go natychmiast, jak tylko przekroczy próg i wyjdzie na ulicę.

– Zemdlej – powiedział cicho do Lacey.

– Co?

– Zemdlej i osuń się na podłogę.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Po prostu zrób to, dobrze? To jedyny sposób, żebym mógł stąd wyjść.

– No... dobrze – odparła i patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, ciągle trzymając go za rękę. A potem nagle osunęła się na bok i spadła z krzesła. Zrobiła to tak realistycznie, że Conor niemal

uwierzył, iż naprawdę straciła przytomność. Wokół rozległy się okrzyki konsternacji i przerażenia. Conor szybko odstawił krzesło i przyklęknął na podłodze obok Lacey.

– Powietrze, proszę, dajcie jej trochę powietrza! – zawołał i ludzie cofnęli się o kilka cali.

Położył rękę na czole Lacey. – To przez ten upał... jest odwodniona. Muszę zawieźć ją do szpitala.

– Zadzwoń po pogotowie? – zapytał mały Włoch stojący za ladą.

– Mam telefon komórkowy – odezwał się jakiś młody biznesmen w złotych szelkach.

– Nie, dziękuję. Ona ma takie kłopoty już od kilku tygodni. Powinienem zawieźć ją prosto do jej lekarza. Czy ktoś mógłby wezwać dla mnie taksówkę?

– Oczywiście. – Mały Włoch podszedł do drzwi i przeraźliwie zagwizdał.

Lacey zaczęła poruszać się i stękać, ale Conor pochylił się nad nią i szepnął:

– Wytrzymaj jeszcze trochę, dobrze?

Zobaczył, że przed wejściem zatrzymała się żółta taksówka.

– Już przyjechała – oświadczył mały Włoch. – Pomóc panu zanieść ją do samochodu?

Conor obrócił się w stronę kościstego staruszka na wózku. Mężczyzna miał usta pełne *pastrami*.

– Proszę pana, czy mógłbym pożyczyć pański wózek, żeby zawieźć ją do taksówki? –

zapytał. – Zaraz go zwrócę.

Staruszek wymamrotał coś, bo nie mógł mówić z pełnymi ustami, a potem machnął ręką, dając znak, że się zgadza. Opuścił poręcz z lewej strony i przesiadł się na stojące obok krzesło.

– Wspaniale – powiedział Conor. – Dziękuję panu.

Podniósł Lacey z podłogi i posadził ją na wózku. Chudy staruszek podniósł poręcz i poklepał Lacey po ramieniu.

– A może jeszcze pożyczylby mi pan kapelusz? – zapytał Conor. – Mógłbym osłonić jej głowę przed słońcem.

– Mmm – mruknął staruszek i podał mu zniszczony kapelusz z niebieskiego płótna, który leżał na stole obok filiżanki z kawą.

– Jest pan prawdziwym dżentelmenem – oświadczył Conor.

Popchnął wózek, przedzierając się przez tłum klientów. Kiedy w końcu dotarł do drzwi, pochylił się i szepnął Lacey wprost do ucha:

– Chcę, żebyś teraz wstała z wózka i poszła do tej taksówki, która stoi przy krawężniku.

Wsiadź do niej i poproś kierowcę, żeby cię zawiózł do biura. Nie oglądaj się za siebie.

Przed drzwiami delikatesów stała grupka ludzi, którzy chcieli wejść do środka. Widząc Lacey i Conora, odsunęli się na bok, by pozwolić im wyjść. Na chodniku zapanowało małe zamieszanie.

– Teraz – powiedział Conor i klepnął Lacey w ramię.

Wstała z wózka i zaczęła przepychać się do wyjścia. Rozległy się okrzyki oburzenia.

Tymczasem Conor zajął jej miejsce. Nasunął kapelusz staruszka głęboko na oczy i popchnął

wózek w stronę drzwi. Natychmiast skierował się w stronę Pięćdziesiątej Pierwszej i jechał

wśród tłumu ludzi zdążających na lunch tak szybko, jak tylko mógł. Stwierdził, że wózkiem prawie w ogóle nie można sterować, i po chwili zderzył się z wielką czarną kobietą w krzykliwej sukience w afrykańskie wzory, która niosła torby z zakupami.

– Ty wariacie! – krzyknęła.

Nie mógł sprawdzić, czy policjanci zorientowali się, kim jest. Gdy jechał w kierunku następnej przecznicy, przez cały czas spodziewał się wezwania do zatrzymania lub strzału.

Nie miał jednak odwagi się odwrócić. Znalazł się na Pięćdziesiątej Pierwszej i nikt za nim nie krzyczał. Skręcił w lewo i jechał najszybciej, jak tylko mógł, aż dotarł do szerokiej rampy prowadzącej do podziemnego parkingu. Wjechał tam i po raz ostatni zakręcił kołami wózka.

W tym momencie zauważył samochód, który z zapalonymi światłami wyjeżdżał po rampie.

Kierowca zatrąbił, lecz Conor nie zatrzymał się. Przechylił wózek na jedną stronę i przewrócił

się na betonową podłogę, uderzając w krawężnik. Samochód zahamował zaledwie kilka cali od niego. Wyskoczył z niego przerażony kierowca i zaczął krzyczeć.

Conor podniósł się i pokuśtykał w jego stronę.

– W porządku – powiedział. – Nie ma sprawy. Nic mi nie będzie.

Kierowca nie był w stanie mówić. Oszołomiony patrzył, jak inwalida kuśtyka w stronę windy. Kiedy Conor szedł, słyszał wycie syren samochodów policyjnych, pędzących Lexington Avenue.

Wsiadł do windy i nacisnął guzik pierwszego piętra. Zanim drzwi się zamknęły, dołączyły do niego dwie kobiety. Obie miały na sobie pomarańczowe kostiumy o szerokich ramionach. Przez całą drogę spoglądały na niego beznamiętnie, aż w końcu winda zatrzymała się z brzękiem i Conor mógł uciec.

Następnego ranka spotkał się z Eleanor Bronsky na Staten Islands przy terminalu dla promów. Nadal było gorąco, lecz w Upper Bay wiał orzeźwiający wietrzyk, który marszczył

wodę. Eleanor miała na sobie przewiewny biały kostium w błękitne kwiaty i niebieski słomkowy kapelusz. Conor nosił ciemne okulary, czapkę baseballową i wielką zieloną koszulkę z napisem *St Francis College*.

Pocałował Eleanor w policzek i zapytał:

– W jaki sposób tak szybko go znalazłaś? Powinnaś być w moim zespole, kiedy pracowałem w policji.

– To nie było trudne. W Dobroczynnym Funduszu Artystów Wodewilowych nie wiedzieli, gdzie teraz jest. Prawdę mówiąc, myśleli, że nie żyje. Skierowali mnie jednak do Renaty Valli, która brała udział w pokazach czytania z myśli, a ona dała mi jego adres na Staten Islands.

– Ta Renata sądzi, że on żyje?

– Ona to wie, chyba że zdążył umrzeć od ostatniego czwartku. Dostała od niego list z datą piątego sierpnia. Napisał jej w nim, że pracuje nad książką na temat hipnozy, czytania z myśli i jasnowidztwa. Chciał się dowiedzieć, jaką techniką Renata i jej mąż posłużyli się w swoim słynnym numerze „prawda i konsekwencja”.

Weszli na pokład promu i znaleźli się w tłumie rozgadanych japońskich turystów.

– To był niezwykle pomysłowy i dowcipny numer. Renata wychodziła do publiczności i dotykała kogoś, kto ostatnio okłamał swojego partnera, a jej mąż mówił, na czym polegało to kłamstwo. Nie wiem, jak to robili. Może naprawdę potrafili czytać w myślach, a może po prostu dobrze znali ludzką naturę.

Przeszli po pokładzie i zatrzymali się przy balustradzie.

– Nie płynąłem promem od czasów szkoły średniej – powiedział Conor.

Eleanor zdjęła kapelusz i pozwoliła, by wiatr rozwiewał jej włosy.

– Kiedyś pływałam promem dwa, trzy razy w tygodniu. Miałam kochanka, który mieszkał w Oakwood Beach. Artysta. Miał na imię Rex. Gdzieś tam w świecie wisi piękny obraz z moim wizerunkiem. Leżę na kanapie i nie mam na sobie nic prócz naszyjnika z pereł.

Prom przepływał obok Governors Islands i statuy Wolności. Woda połyskiwała jak tłuczone szkło, a wokół nich krążyły mewy, krzycząc i lamentując.

– Rex mawiał zawsze, że mewy brzmią tak smutno, ponieważ są to dusze ludzi, którzy utonęli w morzu. Wszyscy pasażerowie *Titanica* i *Lusitanii*, wszyscy ci nieszczęśni marynarze, których storpedowano podczas wojny. Dlatego zawsze miał przy sobie krakersy i karmić mewy. – Eleanor wyciągnęła papierosa i włożyła go do cygarniczki. – Biedny Rex.

Był wspaniałym artystą, ale nie potrafił trzymać się z dala od alkoholu.

Conor spojrział tam, gdzie kiedyś było Centrum Handlu Światowego. Ciągłe nie mógł się przyzwyczać do krajobrazu pozbawionego wieżowców.

– Jesteś bardzo milczący – zauważyła po chwili Eleanor.

– Przez tę kradzież. Doprowadza mnie to do szaleństwa.

– Opowiedz mi o tym, co cię trapi. Może będę mogła ci pomóc.

– Chodzi o to, że w tym nie ma żadnego sensu. Dwa gangi obrabowały te same skrzynki depozytowe, a wszystko stało się zaledwie w ciągu kilku godzin... Wierzę w zbiegi okoliczności, ale nie wierzę w cuda.

– Przypuszczam, że Ramon i Magda zahipnotyzowali cię, żebyś podał im szyfr do sejfu.

– No tak, mnie i Darrella Bussmana. Znałem połowę kombinacji, a Darrell był jedyną osobą, która знаła jej drugą część. Nawet mój zastępca Sal jej nie znał.

– A ty nie możesz w żaden sposób udowodnić, że mówisz prawdę?

– Powinienem pozwolić tym dwóm facetom odejść ze skrzynkami depozytowymi, prawda? Wtedy wszyscy myśleliby, że to oni, a nie ja.

Eleanor dmuchnęła dymem z papierosa na wiatr.

– Zrobiłeś przecież to, co uważałeś za słuszne. Nawet gdy postępujesz właściwie, czasami mogą cię spotkać bardzo nieprzyjemne i niesprawiedliwe rzeczy. Możesz tylko uśmiechać się i znosić to ze spokojem.

Conor czuł, że Eleanor nie mówi wyłącznie o kradzieży. Odwróciła twarz, a on milczał, by nie płoszyć jej myśli.

– Wiesz, to ciekawe – odezwała się w końcu. – Obie pary rabusiów przyszły dokładnie po te same skrzynki. Jak myślisz, dlaczego?

– Istnieje tylko jedno logiczne wyjaśnienie tej sprawy. Oba gangi miały tę samą listę.

– Ale gdzie twoim zdaniem ją zdobyli?

– Nie pytaj mnie o to. Przypuszczalnie Ramon i Magda zahipnotyzowali mnie i zmusili, żebym podał im listę z mojego komputera... Ale jak tamte dwa dupki ją zdobyły? Kto wie?

Oprócz prawników Spurrsa tylko dwie osoby miały do niej dostęp: ja i Sal. A Sal, cóż, miał swoje problemy, biedny gnojek, ale gdy przyszli, zachowywał się w porządku.

Prom mijał terminal wojskowy, pełen dźwigów, wielkich zbiorników i wagonów. Na południowym wschodzie zobaczyli pochylnie zwodzonego mostu Verrazano. Za mostem, w Lower Bay, nad oceanem unosiła się opalizująca mgła. Pomalowany na biało prom wpływał

w nią niczym statek widmo.

– Jest jeszcze jedna sprawa, która mnie nurtuje – oświadczył Conor. – Kiedy ci dwaj złodzieje przetrzymywali nas w moim biurze, ten biały facet podszedł bezpośrednio do obrazu, za którym był sejf, i zdjął go ze ściany. Skąd wiedział, gdzie znajduje się sejf?

– To wygląda na robotę od środka, prawda?

Conor potrząsnął głową

– Nie wiem, Eleanor. To wszystko nie ma żadnego sensu. Mam przeczucie, że dzieje się coś naprawdę ważnego, ale zupełnie nie wiem, co to może być.

– Właśnie dlatego musimy porozmawiać z Sidneyem.

– Słuchaj, Eleanor... – zaczął Conor, gdy zbliżali się do przystani na Staten Island. Prom włączył syrenę, a z brzegu pomachały do nich dzieci. – Nie chcę wpakować cię w jakieś kłopoty. To naprawdę ostatnia rzecz, jakiej pragnę.

– Kłopoty? Mój drogi, mam kłopoty przez większość życia. Nie mogę się ich pozbyć.

Gdy przybijali do brzegu, odezwała się komórka Eleanor. To była Lacey, która dzwoniła z budki przy Rockefeller Center.

– Pięć minut temu zadzwonił do mnie Michael Baer z wiadomością od twoich prawników. Niemal wszyscy właściciele skrzynek depozytowych podwoili wysokość sum za zwrot swoich rzeczy. Chcą je odzyskać najszybciej jak to możliwe, bez żadnych zbędnych pytań.

– Podwoili ich wysokość? Wszyscy?

– Prawie wszyscy. Powiedzieli Michaelowi, że osobiście dzwoniłeś do ich adwokatów i zażądałeś tego.

– Jestem cholernie wymagający, no nie?

– Z całą pewnością. Ale wygląda na to, że są gotowi zapłacić. Michael twierdzi, że w grę wchodzi ponad siedemdziesiąt milionów dolarów.

– Matko Boska! Michael musi im powiedzieć, że nie mam z tym nic wspólnego.

Ktokolwiek do nich dzwonił, na pewno nie byłem to ja.

– Próbowałem im to wytłumaczyć, ale mu nie uwierzyli. Pomyśleli pewnie, że chce jeszcze bardziej



podbić cenę.

– Zaczynam naprawdę żałować, że nie mam tych wszystkich rzeczy. Czy mówiłem, jak mają przekazać mi pieniądze?

– Chyba masz zadzwonić do nich później i dokładnie powiedzieć, co mają robić. Gdzie zostawić pieniądze i gdzie będą mogli odebrać swoje rzeczy.

– Jak mam im to powiedzieć, skoro sam tego nie wiem?

– Myślę, że osoba, która się za ciebie podaje, powie im wszystko, co powinni wiedzieć.

– Słuchaj, Lacey, bądź ze mną w kontakcie, dobrze? Muszę wiedzieć, jak i gdzie właściciele skrzynek depozytowych mają przekazać pieniądze. Pewnie w takim miejscu, gdzie będą zupełnie bezbronni.

W słuchawce zapanowała chwila ciszy, a potem Lacey zapytała:

– Wszystko w porządku, Conor? Bardzo za tobą tęsknię.

– Ja też za tobą tęsknię, kochanie. Ale czuję się już dobrze i robię nawet pewne postępy.

Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Wydaje mi się, jakbym straciła cię na zawsze.

– Nie wolno ci tak myśleć. Dwa, góra trzy dni i wszystko się wyjaśni.

– Słyszę mewy.

– To nie mewy, kochanie. To dusze.

Sidney Randall mieszkał w wysokim, trzypiętrowym domu na Seguine Road, na południowym krańcu Staten Islands przy Wolfes Pond Park. Dom był zbudowany z czerwonego drewna, miał okna z kremowymi ramami i werandę z ręcznie wykonanymi drewnianymi zdobieniami, ocienioną rozłożystymi wiązami. Na podjeździe stał stary zardzewiały chrysler new yorker, na którym spał rudy kot. Ogródek był zarośnięty dzikimi kwiatami i pnączem, a powoje zaczynały już obrastać cały dom, jakby chciały wciągnąć go do środka ziemi.

Conor i Eleanor wysiedli z taksówki prosto w żar rozgrzanego powietrza.

– Znacie tego faceta? – zapytał kierowca.

– To przyjaciel – odparła Eleanor ostrym tonem.

Taksówkarz wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że Sidney Randall jest dobrze znanym miejscowym wariatem.

– Gdybyście potrzebowali pomocy, zadzwońcie pod ten numer – powiedział kierowca i podał im wizytówkę.

– Zabawne – mruknęła Eleanor. – Nigdy nie przypuszczałam, że jeszcze kiedykolwiek wrócę na Staten Islands. Rex miał studio na Sharrott Avenue. To niedaleko stąd.

W ogrodzie cykały świerszcze. Weszli na schody i Conor nacisnął metalowy dzwonek w kształcie warczącej paszczy wilka. Czekali przez chwilę, ale nikt się nie odezwał. Eleanor osłoniła dłonią oczy i zajrzała do środka przez małe okienka z żółtego szkła w kształcie karo.

– Nikogo nie widzę – oświadczyła. – Ale chyba tylne drzwi są otwarte i jestem pewna, że słyszę muzykę.

– Spróbujmy wobec tego wejść od tyłu – powiedział Conor.

Okrążyli dom, przedzierając się wąską ścieżką zarośniętą kłującymi krzakami róż. Teraz muzyka stała się jeszcze głośniejsza. Była to *Pavane pour une infante defunte* Ravela; wolna, melancholijna muzyka fortepianowa, która w połączeniu z upałem i cykaniem świerszczy sprawiała niesamowite wrażenie. Mieli dziwne uczucie, że przybyli do zupełnie innego świata.

Za domem, w hamaku zawieszonym pomiędzy dwiema jabłonkami spał szczupły starszy mężczyzna. Jego twarz przesłaniał biały płócienny kapelusz. Mężczyzna był ubrany w niebieską koszulę w paski, z białym kołnierzykiem, i obszerne białe spodnie. Na jego wielkim palcu u nogi przysiadł kolorowy motyl.

– Boże, ale się postarzał – szepnęła Eleanor.

Podeszła do niego, brodząc w wysokiej do kolan trawie. Motyl odfrunął. Eleanor stała przez chwilę przy hamaku i przyglądała się mężczyźnie. Sidney Randall powoli uniósł

kapelusz.

Otworzył oczy. Miał kanciastą pomarszczoną twarz, wydatny nos i bujną siwą brodę.

Wyglądał jak jeden z tych facetów ze zbiorowej fotografii z czasów wojny secesyjnej, siedzącym z Shermanem przy małym składanym stoliku.

– Wszyscy święci, ja chyba śnię!

– Nie, nie śnisz – powiedziała Eleanor. – To naprawdę ja.

Sidney Randall podniósł się i przyjrzał się jej.

– Na Boga, Bipsy, postarzałaś się.

– Minęło sporo czasu.

– Och, nie zrozum mnie źle. Jesteś tak samo piękna jak zawsze.

– Za późno – stwierdziła drwiąco Eleanor. – Powiedziałeś, że się postarzałam.

– Ale powiedziałem też, że jesteś piękna. To prawda! Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

Czy skłamałem chociaż raz?

– Och, daj spokój z tymi sentymentalnymi nonsensami. Chciałam ci przedstawić mojego nowego znajomego. To Conor O’Neil.

Sidney zsunął się niezgrabnie z hamaka. Podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu Conora.

– Miło mi pana poznać, panie O’Neil. Nie podam panu ręki, bo mam pewien mały problem.. Ale serdecznie witam. Może mrożonej herbaty? Albo kieliszek wina? Jest cholernie gorąco, prawda?

– W Dobroczynnym Funduszu Artystów Wodewilowych powiedziano mi, że nie żyjesz –

oświadczyła Eleanor. – Lepiej do nich zadzwoń i powiedz, że mają nieprawdziwe informacje.

– Do diabła, nie mam najmniejszego zamiaru. Sam im powiedziałem, że nie żyję, żeby przestali mnie prześladować. Bez przerwy wydzwaniali i prosili, żebym przychodził na jakieś dobroczynne przyjęcia i zebrania. Nigdy nie pracowałem za darmo przed przejściem na emeryturę i nie zamierzam robić tego teraz, do diabła. Wydaje im się, że skoro jestem emerytem, to mogą mnie wykorzystywać.

Zaprowadził ich do domu. W środku było odrobinę chłodniej, chociaż Sidney nie miał

klimatyzacji. Zostawił otwarte drzwi i gorące powietrze poruszyło wiszące w progu dzwoneczki, które zadźwięczały zgodnym chórem.

Podłogę z polakierowanych desek przykrywały gdzieś wytarte dywaniki. Meble wyglądały tak, jakby zamówiono je z katalogu Searsa na początku ubiegłego wieku. Ciężkie dębowe krzesła wyściełane skórą; kredensy, w których mogłyby się pomieścić całe rodziny; rzymskie kanapy i chińskie sekretarzyki. W holu wisiały dziesiątki oprawionych w ramki reklam i plakatów: „Sidney Randall, Niezwykły Hipnotyzer” – oraz fotografie o wiele młodszego Sidneya w typowej pozie scenicznego hipnotyзера: z wybałuszonymi oczami i rozczapierzonymi palcami.

– Bipsy, nigdy nie przypuszczałem, że cię jeszcze zobaczę – powiedział Sidney.

Zaprowadził ich do wysokiego pokoju z dywanem z tygryziej skóry i dwiema statuetkami z brązu, które przedstawiały nagie Indianki z piórami we włosach. Zasłony były zaciągnięte, lecz na zewnątrz świeciło tak mocno, że cały pokój był zalany słońcem.

– Siadajcie... Czego się napijesz, Bipsy?

– Nie pamiętasz?

Sidney dotknął czoła dwoma palcami, a potem mruknął:

– Jasne, że pamiętam. Biała Czarownica. Ale nie jestem pewien, czy mam *cointreau*.

Poszedł boszo przygotować drinka dla Eleanor. Conor pochylił się na krzesło i zapytał:

– Bipsy? Ty i on byliście...

– Blisko. – Eleanor pokiwała głową. – Bardzo, bardzo blisko. Ale kłopot z Sidneyem polega na tym, że od czasu do czasu odchodzi, by obcować z naturą. Budzi się pewnego ranka i mówi: „Odchodzę”, a potem pakuje się i leci do Nowego Meksyku, by spędzić sześć miesięcy z Indianami Zuni. Kochał mnie na swój sposób, nigdy jednak tak naprawdę nie zrozumiał, co oznacza poświęcenie. A przynajmniej ten rodzaj poświęcenia, jakiego potrzebowałam.

Sidney wrócił z Białą Czarownicą, do której dodał posypane cukrem liście mięty, oraz wielką szklanką białego wina dla Conora. Usiadł i powiedział:

– Nie przyszliście tutaj tylko po to, żeby mnie odwiedzić. Aczkolwiek bardzo mi miło.

– Conor potrzebuje twojej pomocy – oświadczyła Eleanor.

– Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z hipnozą? Już się tym nie zajmuję. Tylko o tym piszę.

– Cóż... w pewnym sensie tak – odparł Conor i wyjaśnił, co się zdarzyło w skarbcu Spurrsa.

Sidney pokręcił głową.

– To kiepska sprawa. Naprawdę kiepska. Ale nie mogę ci pomóc. Sześć, siedem lat temu przeżyłem tragiczne doświadczenie związane z hipnozą i przysięgłem, że już nigdy do tego nie wrócę.

– Nie musisz się tym zajmować – powiedziała Eleanor. – Conor chce się tylko dowiedzieć, gdzie może znaleźć Hypnosa i Hetti.

– Chciałbym wam pomóc, Bipsy, naprawdę. Ale nie widziałem Raniona od wieków.

Myślałem, że wrócił do Tijuany lub coś w tym rodzaju. Zresztą nawet jeśli ich znajdziesz, to co zrobisz? Podadzą ci rękę, a potem obudzisz się po pięciu godzinach, zastanawiając się, co się stało.

– Właśnie to zrobił ze mną Ramon – przyznał Conor. – Podał mi rękę. Podał mi rękę i zapytał: „Czy my się znamy?”.

Sidney pokiwał głową.

– Standardowy wstęp do hipnozy. Dlatego nie podaję ludziom ręki. I dlatego nie możesz szukać Hypnosa i Hetti. Nie wiesz nic o hipnozie, o mocy, jaką daje, i o sposobach opierania się jej. Nie pomogę ci, ponieważ nie chcę mieć z tym nic do czynienia. Nigdy więcej.

– Dlaczego? Co się stało? – zapytał Conor.

– Cóż... Jestem pewien, że nie masz ochoty na żadną ponurą historię. Masz dosyć własnych problemów.

– Jestem zrozpaczony, Sidney. Jestem zrozpaczony, zdesperowany i sfrustrowany. Jeżeli nie znajdę Hypnosa i Hetti, przez resztę życia będę musiał się ukrywać. Nikt nie może bez końca uciekać, więc pewnego dnia, gdy będę przechodzić przez ulicę lub wychodzić ze sklepu, dosięgnie mnie kula.

Sidney wstał i podszedł do kominka. Wisiał nad nim ogromny olejny obraz, przedstawiający Indianina walczącego z niedźwiedziem.

– Kiedyś przyszła do mnie młoda dziewczyna – powiedział zwrócony do nich plecami. –

Miała na imię Vanessa. Cierpiała na anoreksję i chciała nauczyć się, w jaki sposób zahipnotyzować samą siebie, by nie myśleć o tym, że ma nadwagę. Najpierw odmówiłem, ponieważ wydawało mi się, że nie jest zrównoważona. Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Miała skłonności do zmiennych nastrojów, do wybuchania płaczem i tak dalej. Ale była uparta, a jej rodzice dali mi swoje błogosławieństwo, więc nauczyłem ją, jak wprowadzić się w łagodny stan hipnotyczny. Nauczyłem ją, jak przekonać samą siebie, że jest lekka jak piórko.

– I udało się? – zapytała Eleanor.

– Och, tak. Nawet za dobrze. Vanessa uwierzyła, iż jest tak lekka, że może fruwać.

Pewnego dnia weszła na dach budynku, w którym mieszkała, i skoczyła, myśląc, że poniesie ją wiatr.

Sidney zamilkł na chwilę, oblizał usta, a potem dodał:

– Spadła z osiemnastego piętra prosto na szklarnię. Obcięło jej głowę.

– Skąd wiesz, że to nie było samobójstwo?

– Był świadek. Jedna z jej przyjaciółek. Vanessa powiedziała do niej: „Spójrz na mnie...

Jestem lekka jak puch!” – a potem skoczyła. Dlatego raz na zawsze skończyłem z hipnozą.

– Nie mógłbyś zrobić ostatniego wyjątku? – zapytała Eleanor.

Sidney uśmiechnął się smutno.

– Zawsze robiłem dla ciebie wyjątki, pamiętasz, Bipsy?

– A nie było warto?

– Och, z pewnością. Przykro mi, że ty i ja skończyliśmy ze sobą w taki sposób. Zraniłem cię, prawda?

– Daj spokój. Byliśmy młodzi. Miałeś wtedy inne rzeczy na głowie.

– Chyba tak – mruknął Sidney, ale na jego twarzy malował się ból.

Eleanor wstała i wzięła go za rękę.

– Nie możesz ciągle żałować przeszłości, Sidney.

– Dlaczego nie? Mam siedemdziesiąt osiem lat. Nie zostało mi zbyt wiele przyszłości.

– Conorowi również, jeśli mu nie pomożesz. No, Sidney. Proszę cię. Bardzo proszę.

Posłała mu zalotne, kokieteryjne spojrzenie. Sidney odwrócił wzrok, a potem znowu popatrzył na Eleanor i wybuchnął śmiechem.

– Nie wierzę własnym oczom! Flirtujesz ze mną, co? Tak jak zawsze!

– Nie mów mi, że tego nie lubisz.

– W porządku – odparł. – Lubię to. Zobaczymy, co mogę zrobić, żeby wam pomóc.

– Jesteś aniołem – powiedziała Eleanor i pocałowała go.

## 11

Sidney zabrał ich do Richmond Inn. Był to nieduży kolonialny budynek z przytulnym wnętrzem, ze stolikami przykrytymi czerwonymi obrusami i wabikami na kaczkę nad kominkiem. Usiedli na werandzie wychodzącej na mały ogródek. Conor zamówił szynkę z groszkiem, a Eleanor wybrała sałatkę z wędzonego kurczaka. Sidney stwierdził, że nie jest głodny, i zadowolił się solonymi orzeszkami.

Nie było wiatru, nawet najmniejszego podmuchu, a ogródek był tak nagrany, że mieli wrażenie, iż patrzą na niego przez tafłę wypolerowanego szkła.

Sidney zamówił wytrawne białe wino. Zanim kelner zdążył otworzyć butelkę, Conor wyciągnął ją z glinianego naczynia z lodem.

– Proszę, oto zwyczajna butelka wina – powiedział do Eleanor i Sidneya. – Ale popatrzcie tylko!

Owinął butelkę serwetą tak, że wystawała z niej tylko szyjka. Potem przeciął nożem foliowy kapturek, zdjął go i zwinął tak szybko, że ani Eleanor, ani Sidney nie zdążyli dostrzec, co się dzieje. Później uderzył dnem butelki o stół, aż zadźwięczały sztucce. Sekundę później korek wyskoczył z butelki i wylądował na półmisku Eleanor. Siedział na nim okrakiem małej ludziki zrobiony z folii.

Sidney nie mógł opanować śmiechu.

– To najbardziej fantastyczny sposób otwierania wina, jaki kiedykolwiek widziałem.

– Powinieneś występować w wodewilu – stwierdziła Eleanor.

Conor potrząsnął głową.

– To tylko sztuczka, której nauczył mnie mój wujek Dermot. Mówił, że magiczne sztuczki to dobra szkoła życia. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, nawet jeśli im udowodnisz, że się mylą.

– Cóż, podobnie jest z hipnozą – mruknął Sidney.

Kiedy jedli, wytłumaczył im różnicę pomiędzy hipnozą kliniczną i sceniczną. Miał

łagodny, monotony głos, który przypominał Conorowi bzyczenie pszczoły fruwejacej z kwiatu na kwiat.

– Zanim znalazłem się na scenie, byłem hipnoterapeutą klinicznym. Przez osiem lat studiowałem w Filadelfii na uniwersytecie Tempie pod kierunkiem Miliona Ericksona.

Wybrałem scenę nie dlatego, że chodziło mi o pieniądze, po prostu sądziłem, że tak powinienem uczynić. W końcu jednak zarabiałem w ten sposób pieniądze, i to całkiem spore.

Hipnotyzerzy sceniczni nie robili na mnie żadnego wrażenia, nawet ci najślynniejsi. Byli tacy niezdarni... a niektórzy nawet niebezpieczni. To tak, jakby dać trzylatkowi nabity rewolwer.

W większości przypadków wprowadzali swoje obiekty w zbyt głęboki trans. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych widziałem w akcji takich facetów jak Ralph Slater czy Franz Polgar, „najszybszy hipnotyzer świata”. Ale nie dorastali nawet do pięt hipnotyzerom klinicznym, takim jak Erickson, który potrafił zahipnotyzować cię, nie wymawiając ani jednego słowa. Kiedyś jadłem z nim śniadanie i chociaż nie wprowadził mnie w coś, co można by nazwać pełnym transem, udało mu się sprawić, że podporządkowałem się jego woli. Przez cały czas wykonywał ręką powtarzające się ruchy i zanim zorientowałem się, co robię, wstałem i przyniosłem mu kawę. Przekazał mi niewerbalną prośbę, że chce jeszcze jedną filiżankę.

Dobry hipnotyzer nie majta ci przed oczami jakimś wisiorkiem i nie mówi takich bzdur jak „za chwilę zaśniesz... twoje powieki stają się ciężkie”. Zamiast tego używa różnych technik niewerbalnych i zanim zdążysz się zorientować, już jesteś w transie. Ramon Perez i Magda Sianie są w tym wyjątkowo dobrzy. Jestem przekonany, że przynajmniej jedno z nich musi być hipnoterapeutą klinicznym. Rozmawiałem kilka razy z Perezem, gdy występowali w kabarecie na Siódmej Alei, lecz nie odpowiedział mi na żadne pytanie związane z jego sztuką, nie zdradził też, gdzie się jej nauczył. Powiedział tylko, że jego talent to *una maldicion*, czyli przekleństwo. Niestety nigdy się nie dowiedziałem, czy był przekleństwem dla niego, czy dla innych ludzi. Z pewnością jednak okazał się przekleństwem dla ciebie, Conor.

– Zawsze myślałem, że jestem zbyt podejrzliwy, by ktokolwiek mógł mnie zahipnotyzować – powiedział Conor. – Wiesz, jestem gliną. Zostałem wyszkolony, żeby być podejrzliwym. Ale jedną rzecz mogę powiedzieć z całą pewnością: nie pozwolę, by stało się to jeszcze raz.

Sidney kiwał ze współczuciem głową, a Conor uświadomił sobie nagle, że obserwuje jego ruchy.

Oczy Sidneya nie skupiały się na twarzy Conora, lecz gdzieś na pnączach porastających ścianę za jego krzesłem.

– Myślisz, że jesteś zbyt podejrzliwy. Myślisz, że jesteś ostrożny. Ale zapomniałeś, że trans to bardzo przyjemne uczucie i po chwili stwierdzisz, że twoja podejrzliwość i wrogość są zupełnie nieuzasadnione. Oczywiście nigdy nie pozwolisz, by ktoś wprowadził cię w głęboki trans, lecz taka lekka hipnoza jest bardzo przyjemna. Pozwolisz więc wprowadzić się w lekki trans i nadal pozostaniesz czujny...

– I?

– Wykonując cały czas swoją pracę...

– I?

– Pamiętaj, że lekki trans jest naprawdę bardzo, bardzo przyjemny. Jest niewiarygodnie odprężający. Nie musisz ruszać się i mówić, nikt cię nie niepokoi...

Conor nie mógł oderwać spojrzenia od kiwającej się głowy Sidneya. Wiedział, gdzie jest.

Wiedział, że siedzi przy stoliku z Sidneyem i Eleanor, chociaż czuł, że wcale go tam nie ma.

– Nie chcesz wchodzić w kolejny trans, prawda? – zapytał Sidney. – Wiesz, że wolałbyś robić coś zupełnie innego...

– I?

– Kiedy o tym myślisz, wydaje ci się, że jest coś jeszcze, czyż nie? Dlaczego więc nie spojrzysz w tamtą stronę?

Conor poczuł dziwny zawrót głowy. Popatrzył na drzwi prowadzące do restauracji i ujrzał stojącą w kuchni Lacey. Mieszała farbę na stole przykrytym gazetą.

– Lacey? – Zobaczył, że odwróciła się i uśmiechnęła, a potem wierzchem dłoni strząsnęła z twarzy kosmyki włosów. – Pomalowałaś już drzwi od sypialni?

Potrząsnęła głową. Conor słyszał w tle muzykę i odgłosy ruchu ulicznego.

– Lacey to twoja dziewczyna? – zapytał Sidney.

– Zgadza się. Właśnie maluje sypialnię.

– A gdzie ona teraz jest, Conor?

– Tam... w kuchni. Miesza farbę.



– Może potrzebuje pomocy. Dlaczego nie podasz jej tego pędzla?

Sidney wskazał na wielki pędzel, który leżał przed nim. Conor wziął go, odsunął krzesło i wszedł do restauracji. Położył pędzel na kuchennym stole, a potem pochylił się i pocałował

Lacey w czoło.

– Conor, teraz już nie śpisz – powiedział Sidney.

– Oczywiście, że nie śpię – odparł Conor i rozejrzał się dookoła.

Nagle stwierdził, że jest w restauracji i stoi przy stoliku jakiejś starszej pary, która przygląda mu się z przerażeniem.

– Przepraszam, proszę mi wybaczyć – wymamrotał. Spojrzał na Sidneya, który uśmiechał się lekko. – Myślałem... pomyliłem państwa z kimś innym.

Wyszedł na werandę, a starszy mężczyzna zawołał za nim:

– Myślę, że o czymś pan zapomniał!

W rękę trzymał drewnianą łyżkę do sałatki, którą Conor położył mu na talerzu z siekanym mięsem.

– Zahipnotyzowałeś mnie – stwierdził Conor, zwracając się do Sidneya. – Mimo że byłem czujny i świadomy. Nie chciałem zostać zahipnotyzowany. Powiedz mi, jak to zrobiłeś.

– To nie było trudne. Przez cały czas jesteś w wielkim stresie, psychicznym i fizycznym.

Po prostu zasugerowałem, że powinieneś uznać lekki trans za coś odprężającego i uspokajającego. I właśnie to zrobiłeś. Jest wielu ludzi, którzy – podobnie jak ty – myślą, że nikt nie będzie w stanie ich zahipnotyzować, ale mówię ci: na hipnozę jest podatne dziewięćdziesiąt procent populacji.

– Więc co ja właściwie zrobiłem? Dlaczego włożyłem łyżkę do talerza tego człowieka?

– Wyobraziłeś sobie, że to pędzel do malowania. Rozmawiałeś ze swoją dziewczyną, Lacey. Widziałeś ją w kuchni, jak mieszała farbę.

Conor potrząsnął głową.

– Nie pamiętam, żebym myślał, że to pędzel. Niczego nie pamiętam. – Był

dezorientowany i nie mógł nic na to poradzić. Ale był również zły, ponieważ Sidney potrafił

tak łatwo nim manipulować i zrobił z niego wariata, chociaż w delikatny sposób. Para starszych ludzi zjadła właśnie lody brzoskwiniowo-waniliowe i przez cały czas z wielką podejrzliwością przyglądała się wszystkiemu, co robił.

Eleanor chwyciła Conora za rękę i uściśnięła ją uspokajająco.

– Sidney nigdy by cię nie skrzywdził, uwierz mi. Chciał ci tylko pokazać, na czym to polega.

– Ale przecież ty do mnie dość długo mówiłeś, Sidney – zauważył Conor. –

Wprowadziłeś mnie w trans słowami. A Ramon Perez tylko podał mi rękę i zapytał: „Czy my się znamy?”.

Sidney włożył do ust następną garść orzeszków i zaczął je energicznie przeżuwać.

– Zgadza się. To książkowy przykład wprowadzenia w trans przez podanie ręki. Jest rzeczywiście bardzo skuteczny. Można podać komuś rękę zupełnie zwyczajnie. „O, cześć, jak się masz?”. Możesz to zrobić z kimkolwiek. Ale w ten sposób tracisz to, co najważniejsze.

Trzeba podać rękę, lekko dotykając dłoni obiektu kciukiem, palcem środkowym i małym.

Takie muśnięcie wystarczy, by rozproszyć uwagę obiektu. To sprawia, że zaczyna czuć się niepewnie i jednocześnie oczekuje, że wydarzy się coś ważnego.

W tym momencie bardzo delikatnie unosisz jego nadgarstek – tak aby nawet tego nie poczuł. Potem puszczasz go tak samo delikatnie i ręka pozostaje zawieszona w powietrzu –

ani nie podnosi się, ani nie opada. Obiekt nie może nią ruszyć, dopóki mu nie każesz.

Wtedy mówisz coś kłopotliwego, na przykład: „Czy w zeszłym roku nie spotkaliśmy się w Memphis?”. To sprawia, że obiekt zaczyna szukać w myślach odpowiedzi na twoje pytanie, jakiejś wskazówki. Zadając mu pytanie, które powoduje, że musi zagłębić się w siebie, zachęcasz go do wejścia w trans. Istota hipnozy polega na skierowaniu uwagi człowieka do wewnątrz. Obiekt jest tak zajęty szperaniem w zakamarkach swojego umysłu, że doświadcza czegoś w rodzaju uśpienia, chwilowej utraty wzroku lub słuchu albo *deja vu*.

Niektóre poziomy lekkiego transu wcale nie są czymś niezwykłym w naszym codziennym życiu. Pomyśl o chwilach, kiedy byłeś głodny, spragniony lub zmęczony, lecz odsunąłeś na bok te odczucia, ponieważ musiałeś wykonać jakąś pracę, rozwiązać jakiś problem. Twoje wewnętrzne poszukiwania biorą górę nad potrzebami fizycznymi.

– Nadal nie rozumiem, jak Ramon Perez zdołał mnie tak szybko zahipnotyzować.

– Chcesz spróbować? Daj mi rękę.

– Nie jestem pewien, czy tego chcę.

– Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi.

Conor wyciągnął rękę ponad stołem i podał ją Sidneyowi. Jego palce były suche i delikatne.

– Coś się stało z twoją ręką. Jest sztywna, nie możesz jej podnieść – powiedział Sidney.

Conor spróbował unieść ramię, ale nie mógł nim poruszyć. Nie było ciężkie, lecz odrętwiałe, nie odczuwał też żadnego bólu. Próbował poruszyć palcami, nie reagowały jednak.

– A teraz uniesiesz ramię... wyżej, wyżej, wyżej. – Sidney dotknął dłoni Conora, by zatrzymać jej ruch. – Dobrze, teraz opuść rękę. Już wszystko w porządku, czucie zaczyna wracać. Odczuwasz lekkie pieczenie, prawda? Zupełnie jakbyś dostał wysypki.

Miał rację. Conor rzeczywiście odczuwał pieczenie, jakby otarł się o bluszcz.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał.

– To wymaga treningu, ale właściwie wcale nie jest trudne. Musisz starać się zrozumieć ludzi, to wszystko. Musisz rozpoznawać ich troski i niepokoje. Większość ludzi nosi w sobie rozwiązania swoich problemów. Chcą stawić im czoło, ale nie mają odwagi. Rola hipnoterapeuty polega na tym, by zapewnić ich, że potrafią sobie z nimi poradzić, że wszystko jest do zrobienia. Och, a przy okazji, twoja wysypka zniknęła.

Pieczenie ustało. Conor obejrzał rękę ze wszystkich stron.

– Mógłbyś mnie tego nauczyć? – zapytał.

– Cóż... wydaje mi się, że wspaniale się do tego nadajesz. Cicho mówisz i promieniujesz silnym wewnętrznym autorytetem. Masz doświadczenie w radzeniu sobie z ludźmi, szczególnie z takimi, którzy mają problemy.

– A czy dzięki temu poradzę sobie z Hypnosem i Hetti? Zakładając oczywiście, że zdołam ich odnaleźć.

Sidney pokiwał głową.

– Mogę pokazać ci, na czym polega ich technika wprowadzania w trans i jak się przed nimi bronić. Ale musisz pamiętać o tym, że to jedni z najlepszych hipnotyzerów.

– Jak długo by to potrwało?

– To zależy od poziomu, jaki chciałbyś osiągnąć. Samych podstaw mógłbym nauczyć cię w ciągu kilku dni.

– Zrobiłbyś to?

Sidney zawahał się, lecz Eleanor poprosiła:

– Zrób to, Sidney... Conor i ja możemy zostać tu przez cały weekend. Będzie jak za dawnych czasów.

– No cóż... dobrze – zgodził się Sidney.

Eleanor pochyliła się i pocałowała go.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam, gdy mnie opuściłeś – powiedziała.

– Chciałbym, żeby to się nigdy nie stało. Naprawdę.

Siedzieli przy stoliku i gawędzili cicho o starych dobrych czasach. Nagle Conor zauważył, że do restauracji wchodzi dwaj krótko przystrzyżeni mężczyźni. Obaj mieli okulary o bursztynowych soczewkach. Podeszli do kierownika, a on wskazał ręką werandę.

Jeden z mężczyzn odwrócił się i zaczął iść w ich kierunku, drugi pozostał przy drzwiach. W

głowie Conora natychmiast zapaliło się światełko ostrzegawcze. Gdyby przyszli tylko coś zjeść, dlaczego się rozdzielili?

To klasyczna taktyka, pomyślał. Jeden idzie w kierunku upatrzonego celu, a drugi ubezpiecza. Mężczyzna idący w ich stronę sięgnął dłonią do kieszeni. Conor nie zastanawiał

się już dłużej. Chwycił swój talerz i rzucił w jego kierunku. Mężczyzna próbował się uchylić, ale talerz trafił go w ramię. Groszek, mięso i sos rozprysnęły się na jego płaszczu. Conor kątem oka dostrzegł rewolwer. Złapał brzeg stołu i szarpnął nim, przewracając go białem w kierunku mężczyzny. Potem chwycił Eleanor i ściągnął ją ku ziemi.

– Na ziemię! – krzyknął do Sidneya.

Rozległ się ostry gwizd, i kula uderzyła w dębowy blat stolika. Eleanor objęła głowę rękoma i przygięła się do ziemi tak nisko, jak tylko mogła. Przerażonymi oczami wpatrywała się w Conora. Następna kula uderzyła w stół, rozbryzgując strzępy blatu. W restauracji wybuchła panika. Ludzie zrywali się z krzeseł i pochyleni próbowali wydostać się na zewnątrz, przewracając stoliki i krzesła.

Conor widział, jak ich prześladowca zbliża się ostrożnie. Nie widzę twojej twarzy, pomyślał, ale wiem, że jesteś gliną. Jestem tego pewien. Poruszasz się jak glina.

– Czy on już poszedł? – zapytała szeptem Eleanor.

– Nie – pokręcił przecząco głową Conor.

– Co teraz zrobisz? – spytał również szeptem Sidney.

Conor mógł zrobić tylko jedną rzecz. Nie chciał, by coś się stało Eleanor i Sidneyowi albo komukolwiek innemu z restauracyjnych gości.

– Nie strzelaj! Wychodzę! – krzyknął i podniósł się z rękami w górze.

– Żadnych sztuczek – warknął mężczyzna. – Wszystko mi jedno, czy będziesz żył, czy nie, ale chyba więcej forsy dostanę za żywego.

- Jesteś gliną?
- A co cię to obchodzi?
- Wiem, kiedy mam do czynienia z gliną.
- Kiedyś byłem gliną. Tak jak ty.
- Kiedyś? To teraz kim jesteś?
- Doradcą w sprawach ochrony. Tak jak ty.
- Komu doradzasz?
- Pewnym grupom interesu.
- Wymień przynajmniej jedną.
- Niczego nie będę wymieniał. Chcę tylko wszystko odzyskać. Nic więcej.
- Odzyskać? Ale co? Nie wiem, o czym mówisz.

Rozległ się krótki gwizd. Partner przypominał, że nie ma czasu na pogawędki. Conor nie wiedział, czy mężczyzna stojący przy drzwiach ma broń, nikomu jednak nie pozwolił wyjść.

Klienci stali i czekali, ale Conor zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili sytuacja może wymknąć się spod kontroli. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, to aby jakiś siwowłosy starszy pan zaczął nagle odgrywać bohatera.

- I tak niczego tu nie mam – odezwał się po chwili. – Musimy wrócić na Manhattan.
- Nawet nie staraj się mnie wymanewrować.
- Dalej, człowieku, tracimy czas! – ponaglał rewolwerowca jego partner.
- Posłuchaj... – powiedział ostrożnie Conor. – Zachowaj – my spokój. Pojedziemy na Manhattan i tam dostaniesz to, co chcesz.
- Mówię poważnie, nie próbuj żadnych sztuczek.
- Pan jest barbarzyńcą! – oświadczył jakiś staruszek.

No tak, zaczyna się, pomyślał Conor.

- Czym jestem? – zapytał rewolwerowiec. – Niby kim, kurwa, jestem?
- Barbarzyńcą – powtórzył hardy staruszek. – Bez broni jesteś nikiem, chłystku.

– Do mnie mówisz, stary śmierdzielu? Do mnie? – Mężczyzna podszedł do staruszka i wymierzył broń w jego kolano. – Do mnie, kurwa, mówiłeś?

Rozległ się suchy trzask, z nogi trysnęła krew i staruszek runął na ziemię. Jego żona krzyknęła jak zraniony śmiertelnie ptak i padła przy mężu na kolana.

– Na miłość boską! – zawołał Conor. – Po coś to zrobił? On się mylił. Nie jesteś barbarzyńcą. Jesteś pierdolonym świrem!

Rewolwerowiec podszedł do Conora i przyłożył mu broń do czoła.

– To twoja ostatnia szansa. Albo oddajesz cały towar, albo zdychasz.

– Dobrze – powiedział Conor, oddychając ciężko. – Tylko nie rób już nikomu krzywdy.

– No, to ruszaj dupę. Im szybciej to zrobisz, tym lepiej.

Odwrócił się do szlochającej kobiety, która małą chusteczką próbowała zatamować krew płynącą obficie z kolana męża.

– Paniusiu, czy oddasz mi pierdoloną przysługę i zamkniesz na chwilę ryj?

Przez lata pracy w policji Conor nauczył się natychmiast rozpoznawać moment, kiedy bandyta zaczyna tracić nad sobą kontrolę. Wiedział, że najważniejszą rzeczą jest zachowanie spokoju i nieprovokowanie przestępcy. Należało go upewnić, że panuje nad sytuacją, zanim strach i zdenerwowanie doprowadzą go do tego, że zacznie strzelać do wszystkich, bez względu na to, czy ktoś stanowi dla niego zagrożenie, czy nie.

Wyszedł zza blatu stołu. W tym samym momencie wyszedł również Sidney.

– A ty, kurwa, gdzie się wybierasz? Zostań tam, gdzie jesteś – warknął do niego rewolwerowiec.

– Nigdzie nie mam zamiaru iść – odparł Sidney. – Nie wiesz, kim jestem?

– Gówno mnie to obchodzi.

– Teraz pewnie tak. Ale ja właśnie jestem człowiekiem, który może rozwiązać twoje problemy.

– No to, kurwa, gadaj, kim jesteś. I jakie moje problemy możesz rozwiązać?

Sidney zaczął mówić opanowanym, stonowanym głosem:

– Sam nie wiesz, co ci dolega. Wielu ludzi tego nie wie. Ktoś musi im pomóc dowiedzieć się tego. Masz poważny problem, ale możemy temu zaradzić.

– Czyś ty, do kurwy nędzy, zupełnie zidiociał ze strachu? – krzyknął rewolwerowiec. –

Nawet nie będę tego słuchał.

– Ale zainteresowało cię to, co powiedziałem, prawda? Chcesz rozwiązać swój problem.

Nie musisz niczego robić. Nawet nie musisz mnie słuchać, bo i tak będziesz wiedział, o czym mówię. Jesteś bardzo spięty. Dużo lepiej by było, gdybyś się odprężył. Wtedy poradzimy sobie ze wszystkim.

– Słuchaj no...

– Ostatnio żyjesz w wielkim napięciu. Martwisz się o pieniądze... tak?

– Może...

– Twoje życie nie jest takie, jak byś chciał... Ale to przejściowe... Dasz radę...

Rozwiążemy problem...

– W jaki sposób...

– Pomogę ci odnaleźć spokój... Bezpieczeństwo...

– Bezpieczeństwo...

– Spokój...

– Spokój...

– Sen...kojący sen...

Rewolwerowiec stał i patrzył na Sidneya, oddychając szybko i płytko. Jego partner denerwował się coraz bardziej i spoglądał na nich podejrzliwie.

– Jed... Jed! Co się tam dzieje?

– Nikogo nie słyszysz, Jed – powiedział Sidney. – Słyszysz tylko mnie.

– Jed! Jed! Kurwa mać, Jed! Co się dzieje?

Jed stał nieruchomo, wpatrując się w Sidneya.

– Jed, teraz odchodzisz. Odchodzisz bardzo daleko...

Partner Jeda krzyknął jeszcze raz i ruszył szybko w ich kierunku, wyciągając z kabury pistolet.

– Jed, gadaj wreszcie, co się dzieje! Ruszaj się, Jed!

– On nie może – powiedział Conor.

– Jak to, kurwa, nie może? O czym ty mówisz, dupku? – Mężczyzna podszedł do Jeda i potrząsnął go za ramię, a potem, widząc jego oczy wbite w dal, uderzył go w twarz. Ale Jed nawet nie drgnął.

– Chcę wiedzieć, kurwa, co się tu stało. Co mu zrobiliście? Jed, kurwa, pozbieraj się, chłopie! – Wycelował w Conora pistolet i syknął: – Za twoją dupę wyznaczili nagrodę. Jesteś poszukiwany. Nie myśl, kurwa, że się zawaham.

– Jed – powiedział szybko Sidney. – Do restauracji wszedł niedźwiedź. Stoi obok ciebie.

Broń się. Wyceluj w niego.

– Czy wyście powariowali? Gdzie ja jestem? – krzyknął drugi mężczyzna. – Jaki niedźwiedź, kurwa?

Jed uniósł rękę i wymierzył partnerowi między oczy. Ten stał, wpatrując się w niego z przerażeniem.

– Jed, kurwa, Jed... To ja! To ja, a nie żaden pierdolony niedźwiedź! To ja, Yapko!

Ale Jed nadal trzymał lufę przy jego czole.

– Posłuchaj, człowieku – powiedział Conor. – Opuść broń. Nie zastrzelisz nas wszystkich w tym samym momencie. Jeśli naciśniesz spust, Jed cię zabije. Opuść broń.

Nastąpił moment nerwowej ciszy. Yapko patrzył na nich i na Jeda. Na jego górnej wardze i czole pojawiły się kropelki potu.

– Kurwa... On naprawdę sądzi, że jestem niedźwiedziem?

– Tak – potwierdził Sidney, kiwając głową. – Myśli, że jesteś wrednym grizzly.

– No, dalej. Zakończmy tę sprawę, zanim komuś coś się stanie – zaproponował Conor. –

Jeszcze możemy to zrobić.

Yapko wciągnął głęboko powietrze i prawie niezauważalnie opuścił głowę. Conor wiedział już, że wszystko poszło nie tak. Yapko szybko przesunął ramię w kierunku Jeda. W

tej samej chwili Sidney krzyknął:

– Strzelaj!

Dwa suche trzaski tłumików zabrzmiały prawie równocześnie. Twarz Jeda w ciągu ułamka sekundy zamieniła się w krwawą miazgę. Głowa Yapka rozprysnęła się jak arbuz.

Obaj upadli niemal w tym samym momencie.

Eleanor podniosła się, drżąc cała.

– Już po wszystkim, kochanie – powiedział Sidney.



– No dobra, znikamy stąd – rzucił Conor. – Za chwilę będą tu gliny. Nie patrzcie nikomu w oczy.

Wyszli szybko na ulicę.. Kiedy byli zaledwie dwie przecznice dalej, usłyszeli policyjne syreny i pisk opon.

– Zatrzymajmy się na chwilę – wysapała Eleanor. – Ta moja angina... Wykończy mnie.

– Nie masz swoich lekarstw?

– Zostawiłam w domu. Ale nie martwcie się o mnie. Nic mi nie będzie. Zaraz złapię oddech.

Oparła się o ścianę przy wejściu do sklepu. Gdy czekali na nią, Conor powiedział do Sidneya:

– To był wspaniały pokaz. Byłeś bardzo szybki.

– Nie miałem wyboru

– To prawda.

– Teraz wiesz, dlaczego z tym skończyłem. To zbyt niebezpieczne.

– Już dobrze, możemy iść – oświadczyła Eleanor. – Ale chyba nie musimy iść tak szybko.

Poszli wolno w kierunku domu Sidneya. Było bardzo gorąco, a oni wciąż mieli świeżo w pamięci to, co się stało w restauracji. Gdy doszli do rogu Seguire Road, Conor zatrzymał ich ruchem ręki i wyjrzał zza rogu.

Na pierwszy rzut oka ulica wydawała się pusta. Stało na niej tylko kilka samochodów, nad ich maskami unosiło się drżące, rozgrzane powietrze. Dopiero po chwili Conor dostrzegł

zaparkowany w cieniu drzewa samochód. Był to ford taurus. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich palił papierosa.

– Wszystko w porządku? – zapytał Sidney.

Conor pokręcił głową.

– Nie. Czekają na nas. Przykro mi, Sidney, ale najwyraźniej wiedzą, gdzie mieszkasz.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie mogę wrócić do własnego domu?

– Jeszcze nie jestem pewien.

– Jeszcze?

– Dopóki nie znajdę Hypnosa i Hetti... Być może będziesz musiał poczekać.

– Ależ to może potrwać wiele dni. Może nawet tygodni!

– Raczej to drugie.

– Na świętego Piotra...

– Bardzo mi przykro, Sidney. Naprawdę bardzo mi przykro. Gdybym wiedział, że tak szybko mnie wyśledzą, nigdy bym tu nie przyszedł.

– Ale przecież ode mnie niczego nie chcą, prawda?

– Prawda. Będą jednak chcieli wiedzieć, gdzie ja jestem. I będą się dopytywali, kim jest Eleanor i ile wie.

– Chyba nie sądzisz, że im cokolwiek powiem.

– Myślę, że powiedziałbyś. To są ludzie, którzy potrafią przekonywać.

– Och, Sidney – westchnęła Eleanor. – Nie chciałam sprawiać ci tyle kłopotu... Wygląda na to, że zawsze masz przeze mnie kłopoty.

Sidney przymknął na moment oczy.

– Nic nie szkodzi. Za nic cię nie winię, Bibsy. Może tak musiało być.

– Nie rozumiem...

– Może po prostu potrzebne mi było coś takiego... Taki wstrząs. To bardzo dobrze wpływa na kogoś, kto spędzał całe dni na słuchaniu muzyki.

Jeden z mężczyzn siedzących w samochodzie skończył palić papierosa i natychmiast zapalił następnego. Najwyraźniej przygotowany był na długie czekanie.

– Najpierw musimy wydostać się ze Staten Island – powiedział Conor. – Prom wydaje mi się zbyt ryzykowny. Chyba najlepiej będzie, jak weźmiemy taksówkę do Jersey. Potem możemy pojechać inną taksówką na Perth Amboy.

– A gdzie będziemy mieszkać? – zapytał Sidney.

– Z przyjaciółmi mojej dziewczyny. Z Sebastianem Speedem i Rikiem Vetterem. Mają duże mieszkanie przy Czterdziestej Siódmej.

– No dobrze – mruknął Sidney. – Myślę, że im szybciej się stąd ulotnimy, tym lepiej.

Idziemy na postój taksówek.

– A co z twoim kotem? – zapytała Eleanor.

– Z Mesmerem? Nic mu nie będzie. Kiedy zgłodnieje, pójdzie do mojej sąsiadki. Ona mu niczego nie odmówi.

– Sidney, wierz mi, nie chciałem przewracać ci życia do góry nogami – powiedział

Conor.

– Nie ma tragedii. Lepiej mieć życie przewrócone do góry nogami, niż wyjechać z własnego domu nogami do przodu.

Sebastian otworzył drzwi i wydał wargi, pokazując, że nie jest bynajmniej zachwycony.

Przyjmował właśnie kilku przyjaciół z teatru na wczesnowieczornym koktajl party.

W korytarzu pachniało konopiami, a z pokoju dochodził głośny śmiech.

– Sebastian, słuchaj... – zaczął Conor – ...wiem, że to dla ciebie kłopot, ale mam jeszcze ze sobą dwie osoby. Też potrzebują schronienia.

– Conor, nie ma sprawy, ale chyba rozumiesz, że to nie jest hotel Chelsea.

– Wiem. Nie szkodzi. Słuchaj, naprawdę bardzo mi przykro, nie mamy jednak dokąd pójść. Śledzą nas. Na pewno się jeszcze nie znacie... To Eleanor Bronsky.

– O mój Boże! – Sebastian zaczerpnął głęboko powietrza. – Eleanor Bronsky! Jesteś przecież legendą! Conor, co za niesamowite spotkanie... Eleanor Bronsky na moim koktajl party!

Eleanor była okropnie zmęczona, ale wyciągnęła dłoń, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Bardzo mi miło...

– Och, ależ cała przyjemność po mojej stronie. Ric będzie w siódmym niebie. A to pewnie pani mąż... – Sebastian zwrócił się do Sidneya. – Cóż za szczęściarz.

– Nie, to nie jest mój mąż. Mój mąż nie żyje. Przez kubańskie cygara.

– Tak mi przykro.

– To Sidney Randall – powiedział Conor. – Największy hipnotyzer w tym kraju.

– Bardzo mi miło, bardzo...

Sebastian wprowadził ich do salonu. Było tam ponad dwadzieścia osób. Mimo że kilka z nich nosiło spódniczki, byli to sami mężczyźni. W najdalszym rogu stał Ric, ze świeżo ufarbowanymi na rudę brąz włosami. Kiedy zobaczył Eleanor, zawołał:

– Eleanor! Nie mogę uwierzyć.

Eleanor i Ric pocałowali się i uścisnęli.

– A więc jesteś hipnotyzerem – powiedział Sebastian, zwracając się do Sidneya. – Nigdy przedtem nie spotkałem hipnotyzera.

– Jestem byłym hipnotyzerem. Już nie praktykuję.

– Wiesz, uwielbiam ryby *reece*. Nie potrafię ich sobie odmówić, a one zupełnie rujną moją figurę. Nie mógłbyś...

– Czy ty tu mieszkasz?

– Tak, mieszkam. A dlaczego...

– Czy pracujesz jako projektant wnętrz?

– Tak.

– Czy dziś jest czwartek?

– Tak.

– Czy teraz jest za piętnaście szósta?

– Tak.

– Czy chciałbyś przestać jeść ryby *reece*!

– Tak.

– Czy gdybym wprowadził cię w trans, chciałbyś, żebym kazał ci przestać jeść te ryby?

– Tak.

Sidney spojrzał na Conora i uśmiechnął się.

– To jest właśnie „układ TAK”. Trzeba w ten sposób formułować pytania, by obiekt odpowiadał tylko „tak”.

– I Sebastian jest już w transie? Ot tak, po prostu?

– Mówiłem ci, że to łatwe. On jest bardzo podatny, a poza tym chciał czegoś ode mnie.

Sidney odwrócił się do Sebastiana i powiedział:

– Nienawidzisz ryb *reece*. Następnym razem, kiedy je zjesz, będziesz miał nieprzyjemne sensacje. Obudzisz się, gdy policzę do pięciu. Zapomnisz o wszystkim, co się tutaj działo.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

Sebastian rozejrzał się wokół i zadrzał.

– Wiesz – powiedział po chwili – miałem dziwne uczucie... jakby stado gęsi przeszło mi po plecach.

– Może powinieneś przykręcić nieco klimatyzację – zasugerował Conor.

– Masz rację, może powinienem. A może strumyczki potu przydadzą mi bardziej afrykańskiego wyglądu. Co o tym sądzicie?

Przyjęcie skończyło się koło ósmej. Pocałunkom, uściskom i pożegnaniom nie było końca. Kiedy już wszyscy sobie poszli, Conor, Sidney i Eleanor mogli położyć się spać.

Conor zakwaterował się razem z Sidneyem, a Eleanor dostała mały gabinet z antycznym biurkiem i wąskim łóżkiem.

Wzięła prysznic i włożyła turkusowy szlafrok Sebastiana. Zapukała do Conora i weszła do środka.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że łazienka jest wolna.

– Dzięki, Eleanor.

– Wiesz, jest coś jeszcze... Chciałabym, żebyś się o nic nie obwiniał. Co się stało, to się stało. To nie twoja wina.

– Jestem ci wdzięczny, że tak mówisz, ale gdybym nie zwrócił się do ciebie o pomoc...

– Do niczego nas nie zmuszałeś, Conor. – Eleanor pokręciła głową. – To był mój wybór.

W moim życiu pojawiają się pewne fale zdarzeń, a ja się im poddam.

Do pokoju wszedł Sidney ubrany w czarny podkoszulek.

– Bibsy ma rację – oświadczył, przysiadając na brzegu łóżka. – Cokolwiek by o tych falach sądzić, w końcu dzięki nim jesteśmy znów razem.

Oboje z Eleanor spojrzeli sobie w oczy. Patrzyli tak długo, że Conor poczuł się w końcu nieco zakłopotany. Odchrząknął i powiedział:

– Wiesz, Sidney, byłeś dzisiaj niesamowicie szybki. A sposób, w jaki zahipnotyzowałeś tych taksówkarzy...

– To nie był prawdziwy trans, tylko taka mała sztuczka. Nie będą pamiętali, że nas wieźli, to wszystko. Nauczę cię tego.

– Dzięki, Sidney. Teraz jednak muszę spotkać się z kilkoma osobami, którym skradziono depozyty.

Muszę pogadać z ich prawnikami. Chciałbym wiedzieć, co ja im mam, do diabła, powiedzieć. Jak jeszcze bardziej zwiększyć sumy, które wpłacają za odzyskanie swojej własności. Przecież musi istnieć jakiś sposób.

– Jaki masz plan?

– No cóż, wiem na pewno, że jeden z tych depozytów należy do Daviny Gambit. Kiedyś była żoną Jacka Gambita, magnata finansowego zajmującego się nieruchomościami. Mam zamiar spotkać się z nią i jej prawnikiem.

– Nie sądzisz, że to nieco ryzykowne? – zapytała Eleanor. – Mogą wezwać policję.

– Nie, nie sędzę. W całej tej sprawie jest niewiele plusów, ale to właśnie jest jeden z nich.

Ostatnią rzeczą, którą zrobi jakakolwiek z tych osób, będzie rozmowa z policją. Policja i urząd podatkowy to dla nich koszmar. Poza tym mam zamiar spotkać się z nimi tak, by Slyman i jego gnojki nie dowiedzieli się o tym.

– Nadal nie wiem, jakie masz plany.

– Posłuchajcie... Nie wydaje mi się, aby Davina Gambit i jej prawnik mieli cokolwiek wspólnego z Hypnosem i Hetti. Rozwód Daviny Gambit z mężem przypominał upadek cesarstwa rzymskiego. Świadczenia alimentacyjne szły w dziesiątki milionów dolarów. Ale przypuśćmy, że przed rozwodem pani Davina Gambit przelała co nieco na swoje konta... Jack Gambit może nawet nie wiedzieć, ile jest wart jego majątek, gdyby się jednak dowiedział, że został okradziony, wpadłby w szal. Jest bogaty, ale nie wielkoduszny. Zresztą wielkoduszni nie zdobywają majątków.

– Więc w jaki sposób ma to nas doprowadzić do Hypnosa i Hetti? – zapytała Eleanor.

– Nie wiem. Ale właśnie na tym polega praca detektywa. Trzeba dopasowywać elementy układanki. Nie jest to zbyt efektowne, za to może okazać się efektywne.

Zadzwonił telefon. To była Lacey. Dzwoniła z budki telefonicznej na tyłach marketu Gristede przy Trzeciej Alei.

– Conor, to ty? Jak się czujesz? Wszystko w porządku? Będę musiała się streszczać.

– Wszystko dobrze, nic mi nie jest. A jak u ciebie?

– Bardzo za tobą tęsknię. W domu jest tak pusto...

– Nie martw się. Myślę, że robimy duże postępy. Nie jestem sam, Lacey. Są ze mną wspaniali ludzie.

– Chciałam tylko powiedzieć, że powinieneś obejrzeć dzisiejsze wiadomości wieczorne.

Ktoś znów to zrobił.

– Co zrobił?

Lacey przerwała połączenie. Conor wpatrywał się przez chwilę w słuchawkę, zanim ją odłożył. Lacey musiała się bać, że ktoś ją obserwuje.

– To była Lacey. Powiedziała, że mówią coś w telewizji.

Główną wiadomością dnia było doniesienie, że FBI zrobiło nalot na mieszkanie przy Wschodniej Osiemdziesiątej Szóstej. Federalne Biuro Śledcze otrzymało informację, że w Nowym Jorku przebywa terrorysta Dennis Evelyn Branch.

Następne było gorące zaprzeczenie wiceprezydenta, jakoby przespał się z kubańskim transwestytą, Jolą Ramada.

Chwilę później doniesiono, że w śródmieściu w biurach prawniczych Goldmana, Farbara i Scheiera nastąpiło kilka zagadkowych zdarzeń i z archiwów zniknęły setki tajnych akt.

Dotyczyły one najważniejszych klientów tych biur. Policja nie bardzo potrafi wyjaśnić, jak do tego doszło.

Zniknięcie akt odkryto wczesnym popołudniem. Nie widziano nikogo obcego, nie zaobserwowano niczego podejrzanego. Nikt nie użył siły. Ale wiele do sprawy wnoszą kasety wideo, na których zarejestrowano kilku najbardziej zaufanych pracowników biur, wyjmujących dokumenty z sejfu i zanoszących je na niższe piętra. Tam ślad się urywa.

Wszyscy jednak stanowczo twierdzą, że nie zabierali żadnych akt.

Na ekranie pojawił się białowłosy detektyw o twarzy przypominającej barwą *pastrami* i oświadczył: „Jesteśmy otwarci na różne wersje. Niczego nie eliminujemy. Albo mamy do czynienia z działalnością przestępczą prowadzoną przez kilkunastu pracowników biur, którzy cieszyli się największym zaufaniem, albo jesteśmy świadkami jednego z najdziwniejszych przypadków zbiorowej amnezji. Tak czy inaczej, wszystko to jest jakby wyjęte z programu *Wierz albo nie*”.

– Twój porucznik Slyman na pewno uzna, że te wydarzenia mają ze sobą coś wspólnego

– stwierdziła Eleanor.

– Nie wiem – odparł Conor. – Nie ma dowodów, że to robota Hypnosa i Hetti. A Slyman wierzy w to, w co chce wierzyć. I przede wszystkim chce mnie widzieć w plastikowym worku. Albo przynajmniej za kratkami.

– Z mojego zawodowego punktu widzenia to, co robią Hypnos i Hetti jest bardzo interesujące – powiedział Sidney. – W tym świecie, gdzie każdy sobie rzepkę skrobie, tacy jak oni są ewenementem. Poza tym to nie jest znowu takie niezwykle. Jest wiele doniesień, zwłaszcza z Azji Wschodniej, o podobnych przypadkach.

– I o czym mówią te przypadki?

– Opowiem wam o jednym z nich. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku we Włoszech działał mały, trzyosobowy gang. Takich grup było wiele, ale ta trójka, dwóch mężczyzn i kobieta, ukradła prawie dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Hipnotyzowali swoje ofiary, powtarzając literę „i”, tak jak ja wprowadziłem w trans Sebastiana, każąc mu powtarzać słowo „tak”. Ten gang działał na głównej ulicy Novary.

Wchodzili do drogich, ekskluzywnych sklepów i hipnotyzowali obsługę, każąc im oddać towar i gotówkę. Trans nie był głęboki, trwał może kilka godzin. Ale tyle im wystarczało.

– No i co potem? – zapytał Conor. – Nie było świadków?

– Byli. Było mnóstwo świadków. Włoska policja dysponowała także rysopisami. Wkrótce ujęto tę trójkę w hotelu w Turynie i aresztowano. Zebrano przeciw nim wystarczająco dużo dowodów, by sprawę skierować do sądu.

– Ale? Bo pewnie jest jakieś ale.

– Tak. Następnego dnia ich wypuszczono. Nikt nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Podobno popełniono jakiś błąd w procedurze aresztowania. Ale główny oskarżyciel, pani prokurator Flavia Nasi, powiedziała, że jest niemal pewna, iż funkcjonariusze policji zostali zahipnotyzowani i dlatego pozwolili im odejść.

– Cóż... – powiedział Conor – ...gdybym nie poznał Ramona, Magdy i ciebie, prawdopodobnie nie uwierzyłbym w taką historyjkę.

– Wiem. Większość ludzi nie uwierzyłaby. Nikt nie chce wierzyć w to, że tak łatwo przejąć kontrolę nad czyimś umysłem. Ale to prawda, a ty widziałeś to na własne oczy.

Sidney zamilkł na moment.

– A tak przy okazji – powiedział po chwili – opis sprawców, jaki posiadała turyńska policja, pasuje do Hypnosa i Hetti. Mężczyzna o latynoskim wyglądem i wysoka, ciemnowłosa kobieta. Trzecia osoba z gangu to jakiś łysy facet. Trzy dni potem znaleziono go martwego w rzece Po.

– Myślę, że trzeba się z tym przespać. Nie wiem jak wy, ale ja...

– Ja z pewnością nie zasnę – powiedziała Eleanor.

– Mogę ci pomóc – powiedział Sidney.

– Och, daj spokój, Sidney. Nie mam zamiaru wpadać w żaden trans.

– Dobrze, Bibsy, jeśli sobie tego nie życzysz... Ale czy chciałabyś zasnąć teraz, czy później?

– Myślę, że mogłabym się położyć już teraz.



- Chciałabyś zasnąć leżąc czy na siedząco?
- Wszystko mi jedno...
- Chciałabyś zapaść w głęboki sen czy w płytką drzemkę?
- Wystarczy mi drzemka.
- Gdy zaśniesz, twoje ręce będą lekkie jak piórko. Będziesz unosiła się w powietrzu.

Która ręka nie będzie nic ważyć? A może obie?

- Nie... Nie wiem... Sidney.
- Możesz nie zasypiać jako osoba, ale jako ciało...
- A co to... Co to... znaczy?
- Masz wybór. Możesz zasnąć tak, jak zechcesz...
- I...
- I zaśniesz...

Eleanor wciąż siedziała, ale miała zamknięte oczy i oddychała głęboko.

- Nie zaniósłbyś jej do łóżka? Kiedyś sam bym to zrobił, ale te czasy już minęły.

Conor podniósł Eleanor. Wydawała się bardzo lekka, same kości i skóra jak u zagłodzonego ptaka. Ale nadal była piękną kobietą. Niosąc ją i patrząc na jej twarz, Conor zrozumiał, że wiek wcale nie musi niszczyć urody.

Zaniósł Eleanor do jej pokoju i położył na łóżku, a Sidney ucałował palce jej dłoni i czoło. W jego oczach zaśniły łzy.

Zaraz po północy usłyszeli jęki Sebastiana w łazience.

- Och, dobry Boże... Już nigdy więcej... Nigdy więcej tych paskudnych ryb...

Sidney uśmiechnął się.

- Mówiłem, że go wyleczę.
- Mówiłeś – odparł Conor sennym głosem.

W drodze do miasta Sidney powiedział do Conora:

– Chciałbym, żebyś trochę poćwiczył. Kiedy będziesz podawał taksówkarzowi pieniądze, trąć go delikatnie w nadgarstek środkowym palcem i zapytaj, czy przypadkiem nie wioził cię już kiedyś.

– I co potem?

– Patrz mu w oczy, ale skoncentruj się na dalszym punkcie... około pół metra za nim.

Powiedz, że na pewno musi się bardzo dobrze czuć w swojej taksówce, że jest odprężony.

Jest tak odprężony i zadowolony, że nawet nie chce napiwku.

– Nie jestem pewien, czy...

– Nie będziesz wiedział, dopóki nie spróbujesz.

Gdy zajechali pod świątynię Emanu-El, wielką synagogę na Wschodniej Sześćdziesiątej Piątej, taksówkarz odwrócił głowę i powiedział schrypniętym głosem:

– Jesteśmy na miejscu, panowie.

Licencja wisząca przy taksometrze informowała, że nazywa się Chaim Reeven Weintrop.

Conor wręczył mu dziesięć dolarów i dotknął lekko jego nadgarstka.

– Czy przywiózł mnie pan już tu kiedyś?

– Że niby co?

– Spytałem, czy kiedyś już pan mnie tu przywiózł...

– Może i przywiozłem. Kto by to pamiętał?

– Pewnie bardzo dobrze panu w tej taksówce. Bardzo dobrze i wygodnie.

– Bardzo dobrze? Żartuje pan czy jak? Złamana dźwignia oparcia fotela. Przez cały czas muszę siedzieć wyprostowany, bo inaczej nic nie widzę. Wie pan, co to kość ogonowa?

Lepiej o tym nie gadajmy.

– Więc nie jest tu panu dobrze i wygodnie?

– Wygodnie jak w piekle. Czuję się jak żaba w wiadrze.

Conor spojrzał na Sidneya, prosząc wzrokiem o pomoc. Ale Sidney uśmiechnął się tylko i powiedział:

– Nie zapomnij dać mu napiwku.

Wyszli z taksówki. Świeżość poranka zaczynała już ustępować nadchodzącemu upałowi.

– Powiedz mi, co zrobiłem źle – poprosił Conor, gdy stali na chodniku.

– Straciłeś pewność siebie i wiarę w to, co chcesz osiągnąć. Pozwoliłeś mu przejąć kontrolę. To on narzucił ci temat rozmowy. Nie dostałeś od razu takiej odpowiedzi, jaką chciałeś uzyskać, i to wytrąciło cię z równowagi. Zaskoczyło cię.

Weszli na stopnie synagogi, ale Conor zatrzymał się jeszcze.

– Więc co powinienem zrobić? Przecież jemu nie było ani dobrze, ani wygodnie w taksówce.

– Tak czy inaczej, powinieneś narzucić mu linię rozmowy. Skoro nie było mu wygodnie w taksówce, to może wygodnie mu w domu. Powinieneś powiedzieć: „Założę się, że chciałbyś się teraz znaleźć w domu, w swoim wygodnym fotelu. Twoje plecy nie czułyby zmęczenia. Chciałbyś jak najszybciej wrócić do domu”. I tak dalej.

– Nie wiem, czy potrafiłbym tak od razu...

– Conor, przede wszystkim musisz być pewien tego, co robisz. Po prostu musisz ćwiczyć.

Weszli do wielkiej synagogi. Światło było tu przytłumione i panował przyjemny chłód.

Conor był katolikiem, ale i tu czuł obecność Boga. W synagodze było kilkudziesięciu turystów i sporo modlących się. Ogromna świątynia mogła pomieścić ponad dwa tysiące ludzi.

Davina Gambit stała z przodu, a obok niej David Dempsey, jej prawnik.

Conor podszedł do nich ostrożnie, rozglądając się na boki. Sidney szedł tuż za nim.

– Pani Gambit? – zagadnął Conor, wyciągając rękę. – Jestem Conor O’Neil.

Davina Gambit podała mu dłoń w żółtej rękawiczce.

– A ten pan to kto? – zapytał David Dempsey, wskazując głową Sidneya.

– To mój przyjaciel. Jest neutralny. Nie musi pan wiedzieć, kim jest.

– W porządku. Dlaczego chciał się pan z nami spotkać i dlaczego właśnie tutaj?

– Bo to Dom Boży. Mam nadzieję, że dotrzyмалиście słowa, które mi daliście. Żadnych podsłuchów, żadnych glin. Żadnych nieprzyjemnych niespodzianek.

Dempsey rozejrzał się wokół i pokręcił głową.

– Ukradł pan Davinie Gambit jej własność i ma pan czelność mówić o dotrzymywaniu słowa?

– Niczego nie ukradłem, panie Dempsey.

– Pan tu przyszedł pożartować? Przecież przesłał mi pan kopie jej listów, żeby udowodnić, że...

– Niczego nie wysyłałem. To nie ja, panie Dempsky.

– Nie pan? A kto? Co pan usiłuje zrobić? Chce pan jeszcze więcej pieniędzy? Na miłość boską, pani Gambit dała już panu dwa i pół miliona dolarów! Ile pan jeszcze chce?

– Jeśli chciał mnie pan doprowadzić do ruiny, udało się to panu, panie O’Neil –

powiedziała Davina Gambit z silnym estońskim akcentem.

– Pani przesłała mi pieniądze? – zapytał zaskoczony Conor.

– Transfer poszedł wczoraj po południu, zgodnie z instrukcjami pana prawnika. Mam nadzieję, że jest pan usatysfakcjonowany.

Conor wzruszył ramionami.

– Proszę pani, nie wzięłem pani pieniędzy. Jeśli mój prawnik to zrobił, to na swoją odpowiedzialność. Nie wzięłem również pani listów. Wiem, że policja tak uważa, ale to nie ja. Wiem natomiast, kto mógł to zrobić. Dlatego poprosiłem o spotkanie. Może mi pani pomóc zlokalizować tego człowieka.

– Wczoraj rozmawiałem z porucznikiem Slymanem – powiedział z ironicznym uśmiechem Dempsky. – On jest na sto procent pewien, że to pan jest sprawcą.

– Jeśli nie pan, to kto mógł to zrobić? – spytała Davina Gambit. Błagam pana... Niech pan mi odda te listy, bo inaczej jestem zgubiona. Moja reputacja, moje świadczenia alimentacyjne... całe moje życie legnie w gruzach.

– Davina, bardzo cię proszę, mów nieco ciszej. A najlepiej nic nie mów – poradził jej Dempsky. – Nie mamy pewności, czy pan O’Neil nie chce nas wyrolować.

– Ale... On ma taką uczciwą twarz.

– John Gotti też ma uczciwą twarz.

– Jakie to niesprawiedliwe – powiedziała Davina Gambit, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– To są listy miłosne...

– Listy miłosne? – zdziwił się Conor. – Tylko miłosne?

– Może nie do końca tylko miłosne. Jest w nich także parę rzeczy, o których świat nigdy nie powinien się dowiedzieć.

– Davina, na miłość boską, trzymaj buzię na kłódkę! – syknął przez zaciśnięte zęby Dempsky.

Conor rozejrzał się dookoła i zwrócił się do prawnika:

– Czy nagrał pan tę rozmowę? Chodzi mi o tego człowieka, który żądał pieniędzy. O sprawcę...

– O sprawcę? Panie O’Neil, przecież to pan jest sprawcą. To pan dzwonił.

– Nie, panie Dempsky, to nie ja. Muszę wiedzieć, czy nagrał pan tę rozmowę.

– Nie – odparł Dempsky, wciągając powietrze nosem.

– Chce pan powiedzieć, że nie nagrywa pan rozmów?

– Nie w tym przypadku.

– Ale przecież jest pan dobrym prawnikiem, czyż nie? – wtrącił się Sidney.

– Tak... Przynajmniej chciałbym tak o sobie myśleć.

– I pracuje pan w biurze prawniczym Litwak i Dempsky?

– Tak.

– I osobiście reprezentuje pan panią Gambit?

– Tak.

– I zawsze chroni pan jej interesy?

– Tak.

– I to sprawia, że czuje się pan dobrze?

– Tak.

– Tak... Dobrze z tym panu. Ma pan pełną kontrolę nad wszystkim. Nie musi się pan o nic martwić. To bardzo wygodne... Bardzo wygodne... Czuje się pan dobrze... Pana umysł

wszystko kontroluje...

– Tak.

– Po telefonie od tego człowieka, który żądał pieniędzy... Gdzie pan umieścił taśmę?

Chciał pan dobrze... Chciał pan mieć kontrolę...

– Tak...

– Gdzie umieścił pan tę taśmę? Schował ją pan do biurka czy oddał na przechowanie sekretarce?

– Co tu się dzieje? – zapytała Davina Gambit.

– Cicho... niech skończą – szepnął Conor, przykładając palec do ust.

– Gdzie schował pan taśmę, panie Dempsky? W biurku? – tak.

– Gdzie?

– W środkowej szufladzie.

– Zamknął pan biurko?

– Tak.

– Czy taśma jeszcze tam jest?

– Tak.

– W takim razie chcę, żeby pan poszedł do swojego biura z panią Gambit i wziął taśmę z szuflady. Odda pan ją pani Gambit. Nic więcej nie musi pan robić. Potem usiądzie pan przy biurku, weźmie pan czystą kartkę papieru i napisze: „Niektórzy wieszczą koniec świata w ogniu... inni w lodzie”. Będzie pan przepisywał to zdanie tak długo, aż zadzwonię do pana i powiem, żeby pan przestał. Gdy usłyszysz pan mój głos, policzę do pięciu i wtedy pan się obudzi. Zapomni pan o taśmie. Zapomni pan o naszej rozmowie i spotkaniu w synagodze.

– Mój Boże, pan go hipnotyzuje... – Davina Gambit przyłożyła dłoń do ust i patrzyła na Sidneya przerażonymi oczami.

– Pani Gambit, my tylko staramy się, żeby pan Dempsky chętniej współpracował. Nic więcej – oświadczył Conor. – Czy pójdzie pani z nim do biura i weźmie tę taśmę? Spotkamy się potem w holu.

Spojrzał jej w oczy, koncentrując się jednak na stojącym za nią filarze.

– Wie pani przecież, że teraz to jedyne wyjście – dodał. – Może nam pani całkowicie ufać.

Davina Gambit zmarszczyła brwi.

– No dobrze – powiedziała po chwili. – No dobrze...

Potrząsnęła lekko głową, jakby oganiała się od muchy, ujęła Dempsky’ego pod ramię i wyszli z synagogi.

Sidney zdjął okulary i przetarł je.

– Wprowadziłbyś ją w trans – stwierdził. – Właściwie to już był lekki trans. Nie była do końca

przekonana, czy chce to zrobić, ale i tak ci się udało.

– Tak sądzisz?

– Tak. A teraz chodźmy do tego biura.

Conor i Sidney siedzieli w holu American Legal Building, starając się nie rzucić w oczy.

Z windy wyszło dwóch ochroniarzy. Conor rozpoznał jednego z nich. Były policjant, John Shaughnessy, przeniesiony w stan spoczynku po jednej z akcji, w której został ciężko ranny.

Conor zasłonił twarz gazetą, by John go nie rozpoznał.

Otworzyły się drzwi drugiej windy i wyszła z nich, stukając obcasami, Davina Gambit.

Podeszła od razu do Conora i rzuciła mu taśmę na kolana.

– Bardzo proszę, to pana taśma.

– Dziękuję, pani Gambit. Naprawdę, doceniam...

– Nic mnie nie obchodzi, czy pan docenia, czy nie. Chcę tylko moje listy.

– Zrobię, co będę mógł. Ale proszę mnie posłuchać. Ktokolwiek zadzwoni do pani, proszę nie płacić mu więcej pieniędzy, dopóki pani nie skontaktuje się ze mną.

– A jeśli ktoś zadzwoni i zagrozi, że poda treść listów do wiadomości publicznej? Co mam wtedy zrobić?

– Zadzwonić pod ten numer – odparł Conor, wręczając jej karteczkę. – To numer telefonu mojej dziewczyny. Ona wie, jak się ze mną skontaktować.

– Pan naprawdę myśli, że panu ufam?

– Tak. Powinna mi pani ufać.

– Wie pan, panie O’Neil... Czasami mam wrażenie, jakbym już pana znała...

– Zapomni pani, że dała mi tę taśmę.

– Och, proszę sobie darować. Nie zahipnotyzuje mnie pan. A w każdym razie nie w taki sposób, w jaki robi to pański przyjaciel.

Gdy wrócili do mieszkania Sebastiana, natychmiast zaczęli odsłuchiwać taśmę. Głos szantażysty był trudny do określenia. Z pewnością przykrył słuchawkę chusteczką lub szalikiem. Niewątpliwie starał się też naśladować Conora, używając charakterystycznych irlandzkich wyrażeń i stosując odpowiednią intonację.

– Wiecie co, to może być Ramon Perez – powiedział Sidney. – Rozmawiałem z nim bardzo dawno temu, ale... Coś w sposobie, jaki mówi... Chyba słyszę tu hiszpańskie szeleszczenia.

– Mnie się wydaje, że to południowiec – oświadczył Ric.

– To nam niewiele daje – westchnął Conor. – A jedynym adresem, jaki podał, jest adres mojego prawnika.

– Skontaktowałeś się już z nim?

– Nie, jeszcze nie. Jest w sądzie. Ale zostawiłem mu wiadomość.

– Puśćmy to jeszcze raz – poprosił Ric.

– Jeszcze raz? O Boże, nie! – zaprotestował Sebastian. – A już myślałem, że *Koty* są nudne.

Conor odtworzył taśmę.

– Tutaj! – zawołał nagle Ric.

– Tutaj? To znaczy gdzie? O czym ty mówisz?

– Tutaj... W tle. Nie słuchajcie głosu. Słuchajcie tego, co jest w tle.

Przysłuchiwali się przez chwilę, starając się wyłowić każdy dźwięk. Bez wątpienia w tle słyhać było muzykę i coś, co przypominało tupot.

– To próba – oznajmił w końcu Ric. – Próba przedstawienia. Ktokolwiek nagrywał tę taśmę, robił to w jakimś teatrze... Gdzieś za sceną... Daleko za sceną.

– Jesteś pewien?

– Puśćcie to jeszcze raz i posłuchajcie uważnie.

– Proszę...

– Tak... Słuchajcie... To próba, próba musicalu. I to dość dużego... Wiele osób na scenie...

Tańczą... Sebastian, co o tym sądzisz?

– Chyba minąłeś się z powołaniem, Ric – Sebastian machnął ręką i uśmiechnął się. –

Powinieneś zostać detektywem.

Ric odsłuchał taśmę jeszcze raz.

– Wiem nawet, co to jest, znam ten kawałek. Jeden z moich przyjaciół śpiewał to kiedyś. –



– Co jeszcze pamiętasz? Wiesz, o jakie przedstawienie chodzi?

– Nie, ale mogę zadzwonić do niego.

Ric sięgnął po telefon i usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami.

– Tyne? Witaj, złotko, witaj. Aaa dziękuję, znakomicie... Naprawdę... No dobrze, szczerze mówiąc, do niczego. Słuchaj, pamiętasz może ten kawałek... Nuciałeś go mi...

Wybieraliśmy się wtedy na ten musical... Tak, tak, właśnie ten... Jaki ma tytuł? – Zasłonił słuchawkę dłonią i powiedział: – *Franklin*.

– Musical oparty na życiu Benjamina Franklina. Boże, miej nas w swojej opiece... – mruknął Conor.

– To George Kranz – odezwała się Eleanor. – Oparte na książce Felixa Steinberga.

– Tyne – mówił dalej do słuchawki Ric – możesz mi to zanucić jeszcze raz? Taak... Tak, to właśnie to...

Zaczął nucić razem z Tyne'em.

– Tak, to ta sama melodia – przyznał Conor. – Ta sama, co na taśmie.

– Okropna, prawda? – Eleanor skrzywiła się z niesmakiem. – Idę o zakład, że wyłożą się na tym. Jeśli nie zdejną tej szmiry w ciągu trzech dni, rzucam palenie. A jak nie zdejną za dziesięć dni, to rzucam oddychanie.

– Myślę, że nadal będziesz oddychała – zaśmiał się Conor. – Ale najważniejsze, że wiemy teraz, iż Ramon Perez nagrał to w Rialto. Tam go dopadniemy. To nawet dość logiczne... Gdzie najciemniej? Zawsze pod latarnią. Nasz ptaszek siedzi w teatrze.

– Nie dasz rady – mruknął Sidney. – Ramon Perez zahipnotyzuje cię, zanim zdążysz go zobaczyć.

– No, to musisz mnie podszkolić – odparł Conor. – Ja jestem gotowy.

– Zanim nauczę cię podstaw, miną co najmniej dwa dni. Dwa dni, zanim będziesz miał choćby blade pojęcie, jak chronić się przed transem.

– Więc na co czekamy? Zabierajmy się do roboty.

Conor dotarł do Oak Bar dopiero parę minut po siódmej. Umówił się tam ze swoim prawnikiem, Michaeliem Baerem. Był pewien, że przynajmniej tam nie będzie podsłuchu.

- Michael, co się dzieje?
- Ludzie przesyłają mi pieniądze, oto, co się dzieje. Ostatnio doliczyłem się sześćdziesięciu pięciu milionów dolarów.
- Matko boska, sześćdziesiąt pięć milionów... Nie możemy przyjąć takiej forsy. Niczego nie możemy przyjąć.
- Nie możemy nie przyjąć, Conor. Ci ludzie chcą odzyskać swoją własność, swoje papiery wartościowe... I nie chcą, żeby o tym ktokolwiek wiedział, a w szczególności policja.
- To czyni nas współuczestnikami przestępstwa.
- Wiem o tym, ale z tymi ludźmi się nie dyskutuje, Conor. Nie mam zamiaru przymierzać betonowych butów. Oni płacą sześćdziesiąt pięć milionów za swoją własność. Chcą ją odzyskać, i tyle.
- No to mamy problem – powiedział Conor, pocierając czoło.
- Problem polega na tym, że oni chcą, żebyś pokazał im część z tego.
- Jak mam to zrobić? Przecież nie mam niczego, co do nich należy.
- Nie wiem, Conor. Na razie udaje mi się trzymać ich na odległość. Ale nie wiem, jak długo.
- Co zrobimy z tymi pieniędzmi?
- No cóż, wczoraj miałem dwa telefony od naszych przyjaciół. Chcą wiedzieć, czy coś w tej sprawie drgnęło.
- Czy powiedzieli... Czy dali ci do zrozumienia, kim są?
- Nie. Ani jednego słowa na ten temat. Ani jednej wskazówki. Jeden z nich miał południowy akcent: Alabama, Luizjana, coś w tym stylu.
- A jakiś numer kontaktowy?
- Gdy tylko otrzymam wszystkie płatności, mam dokonać elektronicznego transferu na wskazane konto.
- Gdzie ono jest?
- W Oslo.
- Oslo w Minnesocie?
- Nie, w Norwegii.

– W Norwegii? Nie rozumiem.

– Ma być przesłane na konto Fjords Finanskompaniet na Karl Johansgate. To konto rozliczeniowe na hasło J.A.S.

– Michael, to jakieś szaleństwo.

– Tak, to szaleństwo. Ale jeśli mówisz prawdę, ten przekręt nie ma z tobą nic wspólnego.

Jako twój prawnik dam ci dobrą radę: trzymaj się od tego z daleka. Niech ten okup zostanie wpłacony, niech ich własność wróci tam, gdzie była. Potem pomyślimy, jak udowodnić, że nie byłeś w to zamieszany.

– To nie takie łatwe. Oczywiście, że muszę udowodnić, iż nie brałem w tym udziału. Ale muszę to zrobić w taki sposób, żeby Slyman raz na zawsze dał mi spokój. Albo tak, albo...

– Albo tak, albo co?

– Albo tak, albo ja zrobię mu to, co on usiłuje zrobić mnie. Ale ja będę pierwszy.

– Conor, jesteś Irlandczykiem. Kto jak kto, ale właśnie ty powinienesz wiedzieć, że przemoc niczego nie rozwiązuje.

– Siedzenie na dupie i patrzenie, jak sufit wali ci się na głowę, też niczego nie rozwiązuje.

Kolejne czterdzieści osiem godzin Conor i Sidney spędzili w sypialni Sebastiana. Rolety były zasłonięte. Sidney wprowadzał Conora w trans i wyprowadzał go z niego. Miało to miejsce tyle razy, że Conor już nie bardzo wiedział, co było transem, a co jawą. Sidney uczył

go, jak wprowadzać w trans, jak mówić, by zwrócić na siebie uwagę, i co zrobić, by być uważnie słuchanym.

Pokazywał mu także, w jaki sposób można wprowadzić ludzi w stan zrelaksowania, uspić ich lub skłonić do wykonania sugerowanych czynności.

– Pamiętaj, że dla większości ludzi wchodzenie w stan odprężenia to przyjemna nowość –

mówił. – Myślą, że to oni sami tym kierują, tak jak kierowca autobusu kieruje pojazdem.

Większość czynności mentalnych jest autonomiczna; jeśli przekonujesz ludzi, że powinni się odprężyć, nie mówić, nie ruszać się, nie wykonywać niczego, co wymaga wysiłku, są zaskoczeni, że wszystko to zaczyna działać samo. To jest właśnie początek transu.

Od czasu do czasu do pokoju wchodzili Ric albo Eleanor i przynosili wodę mineralną lub sok owocowy. Sidney nie pozwalał na kawę, jako zbyt stymulującą. Jedli też kanapki z szynką i serem, które przygotowywała Eleanor, albo jabłka i banany.

W pokoju nie było zegara. Robili sobie przerwy, kiedy mieli na to ochotę.

Pod koniec drugiego dnia Conor próbował zasugerować Sidneyowi, żeby się odprężył

– Conor, jestem przekonany, że dokonasz tego. Widzę to. Potrafisz to zrobić.

– Co masz na myśli?

– To, że możesz zahipnotyzować prawie każdego.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Ponieważ przed chwilą o mało mnie nie zahipnotyzowałaś. Jesteś bardzo dobrym studentem.

– Schlebiasz mi.

– Nie. Jesteś człowiekiem, który może mieć, jeśli zechce, bardzo silny wpływ na drugą osobę. Ale wprowadzić kogoś w trans to nie wszystko. Musisz się nauczyć bronić przed czymś wpływem. Pamiętasz tego taksówkarza? Pomyśl... On ani razu nie zaprzeczył temu, co powiedziałaś. Przynajmniej niebezpośrednio. Ale przez cały czas prowadził rozmowę na takie tematy, na jakie chciał. Jeśli sądzisz, że ktoś usiłuje cię zahipnotyzować, możesz zastosować eksternalizację swoich myśli. Trzymaj się swojego toku myślenia.

– Nie jestem pewien, czy do końca rozumiem... – Conor potarł podbródek i uśmiechnął się niepewnie.

– Chodzi o to, że nie możesz podejmować bezpośredniej walki. Unikaj umysłowych zapasów. Jeśli zaczniesz koncentrować się na tym, co się dzieje w twoim umyśle, to już po tobie.

– Czyli, jednym słowem, mam gościa zignorować, tak?

– Tak. Nie zwracaj uwagi na to, co mówi. Będzie chciał zachwiać tobą emocjonalnie. Nie odpowiadaj na jego pytania, bez względu na to, o co cię pyta. A jeśli już musisz odpowiedzieć, to najpierw poproś o powtórzenie pytania, powiedz, że go nie rozumiesz. Każ mu wyjaśniać i zbijaj go z głównego toku myśli. Zepchnij go do defensywy. Przede wszystkim trzeba wytrącić go z jego własnego toku myśli.

– A jak to zrobić?

– Zmieniaj tematy. Jeśli cię zapyta, co lubisz robić, mów o wszystkim, czego nie lubisz robić. Wtedy twój umysł skoncentruje się na kontradykcji, a nie na tym, co mówi hipnotyzer.

– Co jeszcze?

– Przeszkadzaj mu. Zadawaj mu pytania niezwiązane z jego linią myślenia. Na przykład zapytaj go nagle, gdzie kupił płaszcz albo cokolwiek innego, co akurat ma na sobie. Albo zapytaj, która godzina.

Nie pozwól mu wpaść w indukcyjny sposób mówienia.

– A jak odpowiadać na pytania, jeśli trzeba?

– Odpowiadaj, ale nie daj się złapać w pułapkę. Jeśli hipnotyzer zadaje pytania typu

„czy”, uważaj na swoje odpowiedzi. Dam ci przykład: hipnotyzer pyta, czy chcesz zasnąć teraz, czy później. Musisz odpowiedzieć, że w ogóle nie chcesz zasnąć. Nawet przez sekundę nie rozważaj tej możliwości.

– Pewnie to wszystko nie jest takie łatwe, jak brzmi.

– Nie, nie jest, ale da się zrobić. I jeszcze jedno, Conor. Staraj się utrzymywać fizyczną aktywność.

– Co masz na myśli?

– Chodź. Jeśli to możliwe, nie stój w miejscu. Siadaj, wstawaj, chodź wokół rozmówcy.

Podchodź do hipnotyzera i odchodź, odwracaj głowę, patrz w różne miejsca, ale nie w jego oczy. Jeśli nie masz możliwości poruszania się, staraj się napinać mięśnie, przeciągać się.

Oddychaj krótko i płytko.

– Nie miałem o tym wszystkim zielonego pojęcia.

– A skąd miałeś mieć? Słuchaj dalej. Nie zwracaj uwagi na powtarzające się ruchy. Nie ściskaj mu dłoni. Nie pozwól, by w jakikolwiek sposób cię dotykał. Najogólniej mówiąc, nie pozwól mu działać na jego zasadach. A teraz wypróbujemy to w praktyce.

Było już po jedenastej w nocy, gdy Sidney powiedział, że ma ochotę na drinka.

– Czyli skończyliśmy, tak?

– Na jakiś czas. Masz już niezłe opanowaną teorię. Teraz musisz ćwiczyć.

– Jak mam to zrobić? Na kim mam się wprawiać?

– Na kim chcesz. Na przechodniach, na sprzedawcach, w banku, na wrogach. Tych ci w końcu nie brakuje. Po pewnym czasie dojdiesz do takiej wprawy, że wprowadzisz człowieka w trans w środku rozmowy.

Wstali i rozprostowali kości.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować, Sidney. Mam nadzieję, że będę mógł ci się jakoś odwdziaczyć.

– Już to zrobiłeś. Sprowadziłeś moją Eleanor z powrotem. Teraz znajdź Hypnosa i Hetti, a potem spróbujemy nadrobić to, co straciliśmy.

Chwilę później zadzwoniła Lacey z wiadomością, że porucznik Slyman wpadł z

„odwiedzinami”.

– Czego on, u diabła, chciał tym razem?

– Powiedział, że ma dla ciebie propozycję. Pytał, czy się z nim skontaktujesz.

– Czy mówił coś więcej o tej propozycji?

– Nie, ale oświadczył, że byłoby z twojej strony niemądre, gdybyś tego nie rozważył.

Według niego to rozwiązanie dobre i dla ciebie, i dla niego.

– Tak? Ciekawe, co ten przyk znowu wymyślił. Nie wierzę mu za grosz.

Po chwili milczenia Lacey powiedziała:

– Conor, tęsknię za tobą. Naprawdę. Czy to wszystko kiedyś się skończy?

– Staram się, kochanie, wiesz o tym.

– Ale to tak długo trwa... Tak bardzo chciałabym cię zobaczyć. Oddałabym wszystko, żeby tylko trochę z tobą pobyc.

– Może coś da się zrobić. Zapytam Sebastiana. Myślisz, że udałoby ci się tu przyjechać bez ogona? Jeśli tak...

– Conor, na pewno mi się uda. Tym razem im się nie dam.

Conor odwrócił się do Sebastiana.

– Sebastian, czy...

– Chcesz wiedzieć, czy może przyjechać? Jasne, że może.

– Upewnimy się, że nikt za nią nie idzie...

– Lacey jest moją przyjaciółką. Znamy się oboje dłużej, niż ty ją znasz. Jak mógłbym jej czegokolwiek odmówić?

– Ale wiesz, że jest pewne ryzyko...

– Podejmuję ryzyko codziennie rano, wstając z łóżka.

Lacey dojechała zaraz po północy. Gdy wchodziła do mieszkania, była bardzo zdyszana.

– Wszystko zrobiłam tak, jak mi powiedziałeś. Wsiadłam do taksówki i wysiadłam z drugiej strony.

Szłam raz w jedną stronę, raz w drugą. Weszłam nawet do męskiej toalety.

Zdjęła czapkę i jej jasne włosy rozsypały się na wszystkie strony.

– No i jestem – uśmiechnęła się.

Conor również się uśmiechnął.

– Czuję się tak, jakbym nie widział cię całe wieki.

– Przyniosłam ci pocztę, Conor. Zadzwoił adwokat Pauli i powiedział, że wycofali wniosek o zakaz twojego widywania się z Fay.

– A wiadomo coś o Darrellu? Zadzwoiłaś może do szpitala?

– Tak, ale ponieważ nie jestem z rodziny, nie powiedzieli mi, jakie są rokowania. Wiem tylko, że nadal jest nieprzytomny.

Weszli do pokoju. Eleanor poszła już spać, ale Sidney i Ric wciąż grali w szachy.

– Sidney, Ric... Poznajcie się. To jest Lacey.

– Miło mi – powiedział Sidney.

– Tylko nie podawaj mu ręki – zaśmiał się Conor. – Sidney to światowej klasy hipnotyzer.

– Coś mi się wydaje, że zahipnotyzował mnie podczas naszej partyjki – zauważył Ric. –

Wykonywałem takie posunięcia, jakich nigdy bym nie zrobił.

Podniósł się z sofy, podszedł do Lacey i pocałował ją w rękę.

– Jesteś spod znaku Barana, prawda?

Lacey ze zdziwieniem pokręciła głową i zaśmiała się.

– Skąd wiesz?

– Wystarczy, że na ciebie spojrzałem. Silna, zdeterminowana, pełna energii, ale skłonna do sentymentalizmu... No a poza tym wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o znakach zodiaku i Conor powiedział mi, że jesteś Baranem.

Sebastian otworzył butelkę August Sebastiani Zinfandel, rocznik 1996. Podobała mu się nazwa tego wina, bo zawierała jego imię. Wino miało smak arbuza i zapach kwiatów, było rześkie i lekkie. Siedzieli nad tą butelką do wpół do drugiej nad ranem.

Lacey nie wiedziała nic więcej na temat propozycji porucznika Slymana, ale miała nadzieję, że Conor zorientuje się, o co chodzi. Conor znał porucznika wystarczająco dobrze i wiedział, do czego

jest zdolny. Widział już ciała ofiar Slymana i jego Klubu. Widział efekty ich specyficznego poczucia sprawiedliwości. Widział zmasakrowane ciała pewnego mafiosa, jego żony i sześciolatniej córki. Śmierć, czyli porucznik Slyman, dopadła ich na niedzielnym pikniku. Conor prowadził też śledztwo w sprawie śmierci innego członka mafii. Człowiek ten został zgarotowany. Jego głowa znajdowała się na podłodze, a reszta ciała osunęła się na łóżko, na którym leżał jego umierający ojciec. Ten „akt sprawiedliwości” miał miejsce w Nowojorskim Centrum Medycznym. Conor prowadził również sześć innych spraw związanych z działalnością Klubu Golfowego. Wśród ofiar byli nie tylko członkowie mafii, ale także ich żony i dzieci. Sprawców nie udało się postawić przed sądem, bo brakowało dowodów. Klub Golfowy wszędzie miał swoje wtyczki.

– Mafia ma przynajmniej jakiś swój honor – mruknął Conor. – Ale Drew Slyman nie zna znaczenia tego słowa. Teraz jednak chciałbym tylko, żeby przyznał, że jestem niewinny.

Gdy weszli do sypialni, Lacey zamknęła drzwi. Usiadła na brzegu łóżka, zdjęła buty i skarpetki, a potem ściągnęła spodnie i wstała. Miała na sobie tylko białą koszulkę.

Conor podszedł do niej i pocałował ją w usta.

– Kochanie, ty drzysz.

– Jestem trochę zdenerwowana. Ta cała sprawa bardzo mnie niepokoi.

– Nie martw się, poradzę sobie. Jutro postaram się zlokalizować Hypnosa i Hetti. Kiedy ich znajdziemy, bardzo wiele spraw się wyjaśni.

Popatrzył Lacey w oczy. Ujęła jego dłoń i przyłożyła do swoich piersi. Nie miała stanika i Conor czuł twardość jej sutków pod cienką bawełną.

– Tak bardzo mi ciebie brakowało – szepnął.

Lacey pocałowała go, rozchylając usta i muskając językiem jego zęby. Potem odsunęła się i ściągnęła koszulkę. Jej duże piersi zafalowały swobodnie. Usiedli na łóżku. Conor zdjął

ubranie, zrzucając spodnie szybkimi kopnięciami nóg, a Lacey całowała go namiętnie. Conor przykrył jej piersi dłonią i zaczął pieścić sutki.

– Tak bardzo cię pragnę – szepnęła Lacey. – Chodź, kochanie, chcę cię, pragnę...

Jej dłonie powędrowały w dół. Objęła członek Conora dłonią i zaczęła przesuwając ją w górę i w dół. Potem ześlizgnęła się z łóżka, uklękła między nogami Conora i włożyła sobie jego penis do ust. Conor poddał się ogarniającej go fali przyjemności. Usta Lacey zaciskały się na czubku jego członka, a język zataczał szerokie kręgi. Conor był tak napięty, że z trudnością mógł się poruszać.

W momencie, gdy wydawało mu się, że już nie wytrzyma ani chwili dłużej, Lacey wstała i usiadła na jego kolanach. Jej piersi dotykały jego klatki piersiowej. Całowała go namiętnie, jej język tańczył w jego ustach. Po chwili zsunęła się na podłogę. Conor widział jej wilgotne wargi sromowe otoczone jasnymi włosami łonowymi. Pochyliła się, ponownie wsunęła sobie jego penis do ust i zaczęła go



ssać. Po paru minutach znowu się odwróciła, ujęła penis, wsunęła go sobie głęboko i zaczęła unosić się rytmicznie w górę i w dół, a jej biodra tańczyły w przód i w tył. Odchyliła do tyłu głowę, włosy spływały jej na ramiona i kark.

Poruszała się coraz szybciej i szybciej. Tuż przed wytryskiem Conor poczuł, że gwałtownie zwalnia. Po chwili znieruchomiała i opuściła głowę. Chwycił ją za ramiona i zapytał:

– Lacey, co się stało?

Odgarnęła włosy i spojrzała na niego.

– Nie wiem, nie mogę... Nie mogę dokończyć. Czuję, jak ten moment się zbliża, ale za chwilę odchodzi.

– Chcesz, żebym ci pomógł?

– Nie rozumiem...

– Hipnoza. Mogę ci w ten sposób pomóc.

– Chyba żartujesz.

– Nie, mówię całkiem poważnie. Powiedz tylko słowo...

Lacey milczała przez chwilę, a potem skinęła głową. Zaczęła poruszać rytmicznie biodrami, unosząc się lekko na kolanach. Conor trzymał ją za ramiona i patrzył jej w oczy.

– Pamiętasz... wtedy, w Albany... byliśmy na tej konferencji z mojego wydziału...

Mieliśmy iść na uroczysty obiad, ale spędziliśmy cały dzień w łóżku.

Potwierdziła skinieniem głowy, nie przestając poruszać biodrami.

– Pamiętasz, jak nam wtedy było dobrze, prawda? Pamiętasz, jak się czułaś? Teraz też możesz się tak poczuć. Już zaczęłaś... Przypominasz sobie...

– Skoro... skoro tak mówisz...

– Czujesz się lepiej, niż myślałaś, że to możliwe. Czujesz rozkosz, ciepło ogarniające całe twoje ciało. Czujesz dreszcze... Każdy fragment twojego ciała chłonie ciepło rozkoszy...

Twoje usta, ramiona, nogi... biodra... Wzbiera tam potężna energia szukająca ujścia... Twoje piersi są ciężkie, pragną dotyku... Nigdy nie czułaś tak silnej energii rozchodzącej się po całym twoim ciele... Wodzę delikatnie palcami po twoich plecach i po ustach... Muśnięcie, dotyk... Gładzę twoje kolana, gładzę zagłębienia pod kolanami, muskam ustami twoje ręce...

Moja dłoń daje ci rozkoszne ciepło, które wędruje w dół brzucha, czujesz to... Czujesz przyjemność

dotyku spływającą w dół, między twoje nogi... Koncentrujesz się tylko na tym...

Głos Conora stawał się coraz cichszy i bardziej melodyjny. Lacey zamknęła oczy i odchyliła głowę. Na jej czole ukazały się kropelki potu. Poruszała się coraz szybciej i gwałtowniej, zaciskając coraz mocniej mięśnie pochwy na jego członku. Conor był bliski wytrysku, ale nie przestawał mówić:

– Jesteś już blisko, bardzo blisko... Nie zatrzymuj tego... chcesz uwolnić nagromadzoną energię. Jesteś bliska spełnienia.

Lacey przestała się na moment poruszać i zastygła, z głową wciąż przechyloną do tyłu.

Potem westchnęła, przez jej ciało przebiegł dreszcz, a dłonie zacisnęły się w pięści. W tym samym momencie Conor eksplodował. Wydawało mu się, że cały świat zanurkował w głęboką ciemność. Lacey opadła na niego, a on objął ją ramionami. Leżeli tak razem, nic nie mówiąc. Dopiero po dłuższej chwili Conor powiedział:

– Już. Teraz możesz się obudzić.

Lacey otworzyła jedno oko, potem drugie i uśmiechnęła się.

– Conor, nie gniewaj się, ale ja wcale nie zasnęłam.

Obudził się dopiero o 9:15. Słońce świeciło mocno, kładąc się bursztynowymi smugami na łóżku. Lacey jeszcze spała, obejmując go ramieniem.

Wstał cicho i poszedł do komody, którą Sebastian oddał na ich użytek. Ubrania były czyste, pachnące i złożone w równe kostki. Zawdzięczali to Ricowi, który wczoraj zaniósł

wszystko do pralni.

Conor ubrał się i poszedł do kuchni, gdzie siedzieli już Sidney i Eleanor, pijąc poranną kawę z Rikiem i Sebastianem.

– Jak się wam spało? – zapytał Sebastian.

– Całkiem nieźle, dziękuję.

– Nam też. A teraz Eleanor zasypuje nas najnowszymi plotkami. Zna takie skandale Broadwayu jak nikt inny.

Sebastian nalał Conorowi pełen kubek kawy. Gdy Conor Pociągnął długi łyk, zapytał:

– Zamierzasz dzisiaj poszukać Hypnosa i Hetti, tak?

– Zgadza się.

– Ric i ja sądzimy, że powinniśmy iść z tobą. Wszyscy.

– Myślę, że to nie najlepszy pomysł. To może okazać się niebezpieczne.

Być może. Ale sam nie dostaniesz się za kulisy Rialto. Oni bardzo dbają o bezpieczeństwo. Zwłaszcza wtedy, gdy wystawiają jakieś przedstawienie.

– Nie jestem pewien, co o tym myśleć, ale wydaje mi się, że już za bardzo wtargnąłem w wasze życie.

– Posłuchaj... Im szybciej odnajdziesz tych ludzi, tym szybciej my wrócimy do normalnego życia. A Lacey wreszcie odetchnie i nie będzie co rano budziła się ze strachem, że wieczorem już cię nie zobaczy.

W tym momencie do kuchni weszła Lacey, zapinając bluzkę.

– Podoba mi się to, co usłyszałam – oświadczyła.

Podeszła do Conora i pocałowała go w usta.

– A ty co o tym myślisz, Sidney? – zapytał Conor.

– Myślę, że to dobry pomysł. Mógłbym spróbować wytrącić naszych przyjaciół z równowagi. Hypnos i Hetti są bardzo dobrzy, ale nawet im trudno będzie zahipnotyzować cztery osoby jednocześnie.

– Dobrze więc, zgadzam się, ale pod jednym warunkiem. Jak powiem, żebyście brali nogi za pas, natychmiast to zrobicie. Musicie robić to, co wam każę.

– Jesteś taki władczy, Conor... – mruknął z uśmiechem Sebastian.

Dopili swoje kawy, a Lacey objęła Conora, pocałowała go i powiedziała:

– Mam nadzieję, że nie muszę ci mówić, żebyś na siebie uważał, prawda?

– Nie martw się, kochanie. Nie zamierzam robić żadnych głupstw. Wszystko będzie dobrze.

## 15

Poprosili portiera, by wezwał taksówkę. Gdy w końcu udało mu się to i taksówka zajęła pod dom, Conor pocałował Lacey i powiedział:

– Kochanie, nie martw się. Poradzę sobie ze wszystkim.

Spojrzała mu w oczy, pocałowała go w milczeniu i wyszła na ulicę. Ruszyła w kierunku Piątej Alei, nie oglądając się za siebie. Nie po raz pierwszy Conor pomyślał, że ta kobieta zasługuje na kogoś lepszego. Na młodego człowieka, który ma jeszcze przed sobą karierę. Na kogoś, kto wie, kim jest i czego chce. Kogoś, kto nie ma tylu obciążeń i kto być może nie będzie musiał zaczynać wszystkiego od nowa.

– Nasz powóz zajechał, ruszajmy więc – ponaglił ich Ric.

Przez całą drogę taksówkarz utyskiwał na religię, twierdząc, że jest główną przyczyną niepokojów i wojen na świecie.

– Mówię wam, tak właśnie jest. Metodyści nienawidzą katolików, a katolicy nienawidzą żydów. A wszyscy razem nienawidzą muzułmanów. Jakbyście mnie pytali, to powiem wam, że ten Branch ma rację jak jasna cholera.

– Jaki Branch? – zapytał Ric.

– No, ten facet, co się nazywa Branch. Mówią, że to terrorysta. On gada, że wszyscy powinni wyznawać taką samą religię.

– Ach, ten... – mruknął Sebastian. – Coś mówili dziś rano w wiadomościach. To jakiś wariat. Przez takich gości nawet przedszkolaki schodzą na złą drogę.

Podjechali pod samo wejście do Rialto na Zachodniej Czterdziestej Piątej. Conor wysiadł

z taksówki i wytarł czoło i szyję chusteczką. Omiótł uważnym spojrzeniem ulicę, a Sebastian zapłacił taksówkarzowi. Na rogu Czterdziestej Piątej i Broadway stała budka z hot dogami.

Conor przyjrzał się sprzedawcy, ale mężczyzna nie sprawiał wrażenia policjanta w przebraniu.

Sidney położył Conorowi rękę na ramieniu i powiedział:

– Postaraj się myśleć tylko o tym, co masz do zrobienia. Oczyść umysł. Nie pozwalaj nikomu zakłócić twojego toku myślenia. Liczy się teraz tylko to, co masz zrobić, nic więcej.

Masz wejść do tego teatru i znaleźć Hypnosa i Hetti. To wszystko.

– Wiem. Wobec tego chodźmy.

Ric zadzwonił do drzwi. Po minucie ciszy zadzwonił jeszcze raz. Conor czuł, jak pot spływa mu po plecach. W końcu drzwi się otworzyły i zobaczyli ciemnoskórego staruszka o włosach mocno przyprószonych siwizną. Staruszek spojrzał na Rica zdziwionym wzrokiem.

– I kto by pomyślał... – wymruczał. – Pan Ric Vetter, che, che... Nie widziałem pana od czasów *Przystanku Autobusowego*. Aaa, jest także pański przyjaciel, Sebastian Speed... Che, che, jak się pan miewa?

– Jakoś idzie. Dzięki, Sammy.

– Co mogę dla panów zrobić? Teraz jesteśmy w trakcie próby. Każdy lata jak z pieprzem w tyłku, che, che.

Conor słyszał dochodzącą z głębi teatru muzykę i stuk butów o deski sceny.

– Szukamy pewnych ludzi, Sammy – powiedział Ric. – To nasi starzy znajomi. Wiesz, jak to jest, kontakt się zerwał, adresy gdzieś się zapodziały... Ale teraz chcielibyśmy odnowić znajomość. Ktoś mi powiedział, że najlepiej poszukać ich tutaj.

– Tyle tu luda przychodzi i odchodzi. A jak się nazywają ci wasi przyjaciele?

– Jest ich dwóch, a właściwie dwoje: Ramon Perez, taki niski Kubańczyk, i Magda Sianie, bardzo wysoka. Wykonywali numer z hipnozą pod tytułem *Hypnos i Hetti*.

– Hmm... nie ma tu takich. – Sammy pokręcił głową i potarł w zamyśleniu brodę. – Jakby byli, to bym o tym wiedział. Jestem tu cały dzień. Otwieram tu i zamykam, widzę, jak przychodzą i wychodzą.

– Może pomyliłeś przedstawienia – powiedział Conor, zwracając się do Rica.

– Nie. To był *Franklin*. Jestem pewien.

– Teraz mają z tego próbę – potwierdził Sammy. – Ale *Franklin* to nie moja muzyka.

Zawsze się po tym źle czuję.

Sidney postąpił krok naprzód i ujął staruszka za ramię.

– Nie masz nic przeciw temu, że będę cię nazywał Sammy, prawda?

– A czemu miałbym mieć? Tak mi dali na imię, che, che.

– Ja mam na imię Sidney. Zastanawiam się, czy mnie już kiedyś widziałeś.

– Nie mogę powiedzieć, żebym widział. – Sammy zmarszczył brwi i zamyślił się.

– Nic nie szkodzi. Nie musisz mnie pamiętać, nawet jeśli się już spotkaliśmy.

– Rozumiem, proszę pana.

– Zastanawiam się, co jest na samym skraju twojej percepcji, Sammy. To coś takiego, co jest po bokach i umyka normalnemu postrzeganiu.

Sammy zmarszczył brwi i wyraźnie było widać, że nie zrozumiał z tego ani słowa.

– Sammy, mówię o tym, że mogłeś kogoś widzieć, ale ten ktoś wmówił ci, że jest inaczej.

– Nie sądzę, proszę pana. Nie rozumiem, jak by to było możliwe.

– Dwoje ludzi, Sammy. Niski mężczyzna i wysoka kobieta. Mówili do ciebie w ten sam sposób, w jaki ja teraz mówię. Pamiętasz ich lepiej, niż ci się wydaje.

– Nie wiem. Może ich widziałem. To możliwe.

– Zastanów się. Przypomnij sobie, co cię zdziwiło, kiedy z nimi rozmawiałeś. Czy zastanowiło cię coś w ich wyglądzie?

– Ten człowiek, teraz to widzę jeszcze raz... On nosił rękawiczki. Myślałem, że to bardzo dziwne.

– Sammy, chcę, żebyś uściskał temu człowiekowi dłoń. Rozejrzyj się. Gdzie teraz jesteś?

– W przebieralni... numer jedenaście.

– Co widzisz wokół siebie?

– Stół, krzesło... Jest jeszcze telewizor... I kilka walizek... I coś tam jeszcze wisi, jakieś ciuchy. I jakieś płyty żelazne... są w całej przebieralni.

– Czy ktoś tam jeszcze jest z tobą?

– No jasne... Jest kobita, siedzi na krześle.

– Czy tam jest łóżko?

– Tak. Oni go używają, jak śpią między przedstawieniami. A może i wtedy, jak się pieprzą.

– Sammy, opisz tę kobietę.

– Ma czarny gorset. Wygląda w nim jak pszczoła. Roliuje rajstopy w dół. Teraz patrzy na mnie i tak się jakoś dziwnie uśmiecha. Nie wiem czemu, ale czuję się jak mucha, a ona jest jak pająk, który zaraz mnie porwie.

– Czy mężczyzna coś mówi do ciebie?

– Tak, proszę pana.

– Powiedz mi, co on mówi.

– Mówi, że nie będę niczego pamiętał, jak się obudzę. I że nie będę pamiętał, że ta kobita tu była. I że nawet ta przebieralnia... że jej też nie ma. Że jak sobie przypomnę o drzwiach z numerem, to będę widział tylko białą plamę albo pustą ścianę.

Sebastian wziął głęboki oddech i pokręcił głową, patrząc na Conora, Rikiego i Sidneya.

– To niesamowite, prawda? – mruknął. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Sammy, kiedy policzę do pięciu, obudzisz się i zapamiętasz całą naszą rozmowę – powiedział Sidney.

– Tak, proszę pana. Rozumiem.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Budzisz się.

Sammy patrzył na nich rozszerzonymi oczami, w których czaiła się podejrzliwość i niepewność.

– Że jak? O co chodzi?

– Nic – odparł Ric. – Cieszymy się, że znaleźliśmy naszych przyjaciół.

– Tak? Znaleźliście?

– Oczywiście. To ci ludzie w przebieralni numer jedenaście. Ramon Perez i Magda Sianie.

– Tak... Tak, no jasne, że to oni, Hypnos i Hetti. Wiecie, jaki numer zrobili? Takiej jednej kobiecie wmówili, że zakochała się w koniku morskim.

– Czy oni teraz tam są? – zapytał Conor.

– Hetti na pewno jest, ale nie wiem, gdzie poszedł Hypnos.

– Wejdziemy i rozejrzemy się, dobrze?

– Czemu nie? Pokażę wam drogę.

Przechodząc obok Sammy'ego, Sidney powiedział:

– Tak naprawdę, to mnie też znasz. – Uśmiechnął się i klepnął staruszka po ramieniu.

Sammy poprowadził ich korytarzem obok swojego pokoiku, w którym czekała na niego jeszcze gorąca kawa. Leżała tam sterta starych programów i tuziny fotografii z autografami aktorów, którzy w sztucznym uśmiechu ukazywali równie sztuczne zęby: „Dla Sammy'ego...

jesteś wspaniały... Gene Wilder”. „Od Sammy'ego dla Sammy'ego... Wszystkiego najlepszego... Sammy Davis junior”.

Weszli szybko po cementowych schodach na pierwsze piętro i ruszyli korytarzem biegnącym za kulisami sceny.

Każdy zawód ma swoją specyficzną woń, pomyślał Conor. Kurz, pot, zapach farby emulsyjnej, rozgrzane lampy... Scena była rześście oświetlona na różowo i niebiesko. Kilka osób ćwiczyło swoje role w nowym przedstawieniu.

Conor przysłuchiwał się przez chwilę śpiewanej przez nich piosence, a potem pokręcił

głową i mruknął:

– Nie wiem, czy *Almanach Biednego Ryszarda* nadaje się na piosenkę. Ale muzyczka jest dość chwytliwa.

– Daję dziesięć dolców, że po pierwszym przedstawieniu zamkną interes – oświadczył

Sammy. – Nigdy się nie pomyliłem.

– Dalej, idziemy – ponaglał Sebastian.

Przeszli przez tył sceny i weszli po kolejnych schodach. Przebieralnie były w większości puste. Doszli do końca korytarza i stanęli przed zielonymi drzwiami z numerem jedenastym.

Były uchylone. Conor wyczuł zapach bałkańskich papierosów. Z pokoju dobiegał odgłos śmiechów i dialogów z jakiegoś programu telewizyjnego. Był to jeden z tych momentów, gdy Conor żałował, że nie ma ze sobą broni.

Sammy uniósł rękę i chciał zapukać, ale Conor chwycił go za ramię.

– Nie pukaj. Chcemy, żeby to była niespodzianka.

– Niespodzianka? Mnie to pasuje.

– Jaki mamy plan? – zapytał Sidney Conora.

– Plan jest taki, że nie mamy planu. Ja popchnę drzwi, a ty będziesz stał w progu. Bądź widoczny. Musimy się upewnić, że w środku nie ma nikogo więcej i że nikt nie ma broni.

Potem wpadniesz do pokoju.

– Broń? O czym wy gadacie?

Conor położył staruszkowi rękę na ramieniu w uspokajającym geście i powiedział przyciszonym głosem:

– Nie ma powodu do niepokoju, Sammy. Wszystko, co musisz zrobić, to zejść na dół. Nie chcemy, żeby ci się coś stało, gdyby Ramon stracił poczucie humoru.

– Mówiłeś, że on jest twoim przyjacielem.

– Tak, ale wiesz, jak to jest z przyjaźnią. Jednego dnia jesteście kumplami, a drugiego chcecie sobie łeb urwać.

– O co tu biega? – spytał podejrzliwie Sammy. – No dalej, mówcie, chcę znać prawdę. W końcu to mój teatr.

– Uspokój się... Odpręż... – powiedział Sidney, podchodząc do niego. – Nic złego się nie dzieje. Teraz bardzo chcesz zejść na dół i napić się kawy.



– To by się zgodzało – wymamrotał Sammy. – Bardzo chce mi się kawy.

Obrócił się na pięcie i poszedł do swojego biura.

– Wciąż nie wiem, jak ty to tak szybko robisz – mruknął Conor, kręcąc głową.

– Nauczysz się – odparł Sidney, wzruszając ramionami.

Conor podszedł do drzwi. Sebastian i Ric stali za nim.

– Jesteście gotowi? – zapytał.

Obaj przytaknęli i przysunęli się bliżej.

W tym momencie drzwi się uchyliły i stanęła w nich Magda Sianie. Wokół głowy miała owinięty czarny błyszczący szal, który wyglądał jak turban, i była ubrana w długą czarną togę, która kontrastowała z jej bladą twarzą, białą jak księżyc na czarnym zimowym niebie.

W kąciку ust trzymała papierosa. Spojrzała Conorowi prosto w oczy i powiedziała:

– No proszę... Conor O'Neil we własnej osobie. Szybko nas pan znalazł.

Nie daj się wyprowadzić z równowagi, pomyślał Conor. Nie daj się zmieszać. Masz tylko jedno zadanie: musisz przywoździć Hypnosa i Hetti i odzyskać skradzione depozyty.

– Ramona nie ma? – zapytał, zerkając dyskretnie do środka pokoju. Panował tam dość duży bałagan. Wyglądało na to, że Hypnos i Hetti mieszkają w tej garderobie.

– Wyszedł. Miał coś do załatwienia. Kim są twoi przyjaciele?

Wyraz oczu kobiety mówił, że uważa ich za grupkę dziwaków.

– To nie jest przyjacielska wizyta, panno Sianie. Przyszedłem odzyskać skradzione depozyty... te, które rąbnęliście ze Spurrsa.

– Pan chyba oszalał. Myśli pan, że je ukradłam i trzymam pod łóżkiem?

– Conor, uważaj... – powiedział ostrzegawczo Sidney.

Dopiero teraz Conor uświadomił sobie, że kobieta usiłuje narzucić mu swój tok myślenia i wprowadzić rozmowę na swoje tory.

– Wiem, że to macie – oświadczył. – Jestem tu po to, by dać wam szansę: przekazujecie mi wszystko, a ja damy tobie i Ramonowi dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie Nowego Jorku. Minutę później nasyłam na was gliny.

– Myślisz, że my to mamy, ale nie masz dowodu.

– Czyżby? A jeśli nie wy, to kto ma to mieć?

– A kto jeszcze miał dostęp do waszych depozytów? Pomyślałeś o tym?

Dobra jest, pomyślał Conor, bardzo dobra. Potrafi odwrócić każdy temat. Spycha mnie do defensywy.

– Jesteś bardzo spięta – wtrącił się Sidney. – Próbujesz udawać, że jesteś odprężona, ale tak nie jest. Masz pewnie wiele do ukrycia. Może wreszcie przestaniesz walczyć i postaramy się rozwiązać wszystkie problemy jak dorośli ludzie, co?

– Nie znam cię.

– Owszem, znasz, ale minęło już wiele czasu.

– Stań w świetle, żebym cię wyraźnie widziała.

– Nie muszę. Pamiętasz mnie, Magda. Pomyśl, przypomnij sobie *Vaudeville Days*...

Hetti wpatrywała się przez chwilę w twarz Sidneya. Panowała kompletna cisza. Dopiero po minucie powiedziała:

– Niemożliwe... Sidney Randall? Słyszałam, że nie żyjesz.

– W pewnym sensie tak było. Ale teraz znów jestem wśród żywych.

– Słyszałam, że masz zaawansowanego raka.

– To nie był rak, Magda, ale coś, co toczyło mnie w podobny sposób. To były wyrzuty sumienia.

– A teraz próbujesz wprowadzić mnie w trans? Mnie, Hetti? Chyba jesteś niespełna rozumu. Co tu robisz z tym policjantem? To do ciebie zupełnie niepodobne...

– Panno Sianie, chyba nie zdaje sobie pani sprawy, w co się pani wplątała. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej będzie dla nas wszystkich. Proszę mi wierzyć, mamy do czynienia z ludźmi, którzy posiadają połowę Manhattanu. Niech pani z nami współpracuje, bo oni najpierw zaczną panią torturować, a dopiero potem będą zadawali pytania. A gliny w niczym nie pomogą.

Hetti przymknęła oczy i wpatrywała się w Conora spod w półprzymkniętych powiek.

Conor widział jej czarne jak węgielki oczy i nagle uświadomił sobie, że jest niezwykle piękna.

– Czy pan myśli, że to chodzi tylko o ten napad? O kradzież? Tak mało wiecie...

– Więc może pani powie nam coś więcej.

– Naprawdę chce pan to usłyszeć?

– Oczywiście.

– To długa historia, ale pan lubi długie historie, prawda?

– Tak, lubię...

– Uważaj! – powiedział znowu Sidney.

Conor odwrócił głowę, tracąc połączenie wzrokowe z Hetti.

Kobieta spojrzała na hipnotyzera wzrokiem wściekłej lwicy.

– No tak, rozumiem. Sidney uczy pana jakichś sztuczek... Myśli pan, że stanie się dzięki temu odporny na hipnozę. Śmiechu warte. Czy naprawdę jest pan tak zadufany w sobie, że myśli, iż może mi się przeciwstawić?

– Popróbować nigdy nie szkodzi.

– To niedorzeczne. I tak do niczego się nie przyznam. Czy widzicie tu jakieś pudełko?

Jakieś torby? Skrzynki? Cokolwiek, co może służyć do ukrycia papierów wartościowych, biżuterii i czego tam jeszcze...

– Sama nam pani to powie.

– Tak myślicie? Jesteście szaleni. Poczekamy, aż wróci Ramon. On wam zrobi sieczkę z mózgow.

– Nie będziemy czekać na Ramona – oświadczył Conor. – Zabieramy panią ze sobą, panno Sianie. Kiedy Ramon tu przyjdzie, zobaczy, że pani nie ma. I szybko się dowie, że nie zobaczy pani tak długo, dopóki wszystkie depozyty nie wrócą do Spurrsa.

Hetti spojrzała na niego swoimi czarnymi oczami. Były takie piękne, głębokie... Conor pragnął podążyć za tą obiecującą ciemnością, zaznać zupełnie nowego wymiaru egzystencji, którą te oczy obiecywały... Odprężenie, wygoda, radość... Żadnych problemów... Błogość...

W tym momencie Sidney położył mu dłoń na ramieniu i Conor się ocknął.

– Proszę się ubrać – powiedział Sebastian do Hetti. Idziemy.

– Nigdzie z wami nie idę – odparła z wściekłością. – Nie mam niczego z tych rzeczy, o których mówicie. Niczego. Nikomu nic nie ukradłam.

Conor podszedł do niej i sięgnął po krzyżyk, który miała na szyi.

– Nic pani nie ukradła, tak? Ten krzyżyk należy do pani Nils Stannard. Dostała go od męża. Przywiózł go jej z Lourdes. Został zdeponowany u Spurrsa niecały tydzień po tym, jak zostałem szefem ochrony. Pani Stannard nie omieszkała mi go pokazać. Skoro pani go ma, panno Sianie, może

pani mieć także inne rzeczy z tych depozytów.

– Ładna detektywistyczna dedukcja – zaśmiał się Sebastian i klasnął w dłonie.

– Nadal niczego nie może mi pan udowodnić – upierała się Hetti. – Mogłam ten krzyżyk kupić wszędzie.

– Już raz mnie pani zahipnotyzowała, panno Sianie – powiedział Conor. – Ale to się pani więcej nie uda.

Zapadła cisza. Wydawało się, że trwała całe wieki, zanim Hetti odparła:

– Niech pan nie będzie tego taki pewien. Mogę pana wprowadzić w trans, kiedy tylko zechcę.

– Proszę się ubrać, panno Sianie – polecił Conor, starając się nie patrzeć jej w oczy. –

Musimy już iść.

Kobieta wahała się jeszcze przez chwilę, ale potem odwróciła się i weszła do garderoby.

Kiedy do nich wróciła, zamiast czarnej togi miała na sobie ciemną suknię. Podchodząc do Conora, powiedziała:

– Proszę mi pomóc z tym zamkiem.

– Proszę uprzejmie.

– Więc gdzie mnie zabieracie? Wiecie chyba, że to porwanie i wiecie, jaka za to grozi kara.

– A co, zgłosi to pani policji?

Hetti sięgnęła po torebkę i wyszła z przebieralni, zamykając za sobą drzwi. Conor ujął ją pod prawe ramię, a Sidney szedł z drugiej strony. Przeszli szybko z tyłu sceny i ruszyli do drzwi wyjściowych. Już mieli wyjść zza rogu korytarza, gdy drzwi otworzyły się z hukiem.

Do środka wdarły się promienie słońca. Usłyszeli gwar rozmów. Spośród niego wybił się jeden głos, najdonośniejszy:

– *Tengo mucha prisa.*

– Okay, dobrze, *comprendo...*

– Kto to? – zapytał Conor, mocniej ściskając Hetti za ramię.

Ric wyjrzał zza rogu i cofnął się.

– Widzę tylko ich nogi. Chyba jest ich troje. Tak, jednym z nich musi być Ramon...

Wszędzie poznałbym te kubańskie buciki.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Sebastian.

– Nic szczególnego – odparł Conor. – Musimy rozpędzić się, wpaść na nich z krzykiem i porwać Ramona. To typowa metoda SWAT.

W tym momencie Hetti zaczęła się wyrwać, wrzeszcząc:

– Ramon, uważaj... Ramon! O’Neil tu jest!

– Sebastian, Ric, ruszajcie! – zawołał Conor.

– Co jest? Co jest grane? – zapytał ktoś, ale Sebastian i Ric już biegli w kierunku drzwi.

Krzycząc głośno, wpadli z impetem na Ramona i jego towarzyszy. Conor usłyszał jakieś przekleństwo i brzęk tłuczonej szyby w okienku portiera.

– Spierdalajcie! Spierdalajcie mi stąd wszyscy! – darł się Sammy.

– Uspokój się, kobieto! – krzyknął Conor do wyrrywającej się Hetti.

– Puść mnie, ty skurwysynu! Nawet nie wiesz, na coś się porwał.

Szarpnęła się i upadła na podłogę. Conor chwycił ją, obrócił i z całej siły uderzył

zewnątrzną stroną dłoni w twarz. Potem ujął ją pod pachy i postawił na nogi. Hetti stała, chwiejąc się lekko. Z kącika jej ust ciekła strużka krwi, a oczy miała szeroko otwarte z przerażenia.

– Myślisz, że będę do ciebie ćwierkał? Myślisz, że nie oberwiesz jeszcze raz, jeśli będę musiał? Nie myśl, że będę ci współczuł. Na pewno nie, ani trochę.

– Ruszamy! – zawołał Sidney.

Conor był wściekły. Pociągnął Hetti za sobą i szybko podeszli do drzwi. Toczyła się tu prawdziwa bitwa. Sebastian i Ric próbowali unieszkodliwić ochroniarzy Ramona. Sebastian rozdawał szybkie ciosy; bił w twarz, klatkę piersiową i głowę. Kopnął dwa razy przeciwnika w brzuch i przygwoździł go do ściany. Uderzył jeszcze raz i mężczyzna znieruchomiał.

Wtedy natychmiast rzucił się na pomoc Ricowi, który miał znacznie więcej kłopotów ze swoim przeciwnikiem. Gdy wreszcie z nim skończył i wepchnął go do pokoiku Sammy’ego, odsapnął i zaśmiał się.

– Przez siedemnaście lat ćwiczyłem karate. To była kaszka z mleczkiem.

Hetti krzyknęła i znów próbowała się wyrwać, ale Conor pchnął ją na ścianę i warknął:

– Nawet o tym nie myśl, ostrzegam po raz ostatni.

– Sammy, zawołaj nam taksówki, dobrze? – poprosił portiera Sidney.

– Nie ma problemu. Już się robi.

Uwolniona z uścisku Conora Hetti podeszła do Ramona, a on objął ją ramieniem.

– Panie O’Neil, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał.

– Można powiedzieć, że to już koniec zabawy w kotka i myszkę. Ukradliście depozyty ze Spurrsa. Teraz macie je oddać.

– Albo...?

– Albo spotkacie się z porucznikiem Slymanem.

– Nie macie dowodów.

– Będziemy mieli. Czy piętnaście lat za kratkami brzmi przekonująco?

– Pieprzę cię! – krzyknął Ramon.

– Na pieszczotę trzeba zasłużyć – zaśmiał się Conor.

Ramon sięgnął do kieszeni i wyciągnął foliowy woreczek.

– Mogę sobie strzelić? – zapytał. – Ta cała sytuacja zupełnie mnie wytrąciła z równowagi.

– A co to jest?

– Proszek odprężający. Wciągnę sobie tylko trochę w jedną dziurkę, jeśli pozwolicie. Już nie mogę wytrzymać. Proszę...

Coś mi tu nie gra, pomyślał Conor, zauważając kątem oka drgnięcie ust Hetti.

– Proszę mi to pokazać – zażądał, wyciągając rękę po woreczek. Znajdujący się w nim proszek był ciemnobrązowy i bardzo miałki. Conor otworzył woreczek i ostrożnie wytrząsnął

niewielką ilość proszku na brzeg woreczka. Pochylił się lekko, ale w tym momencie Ramon również się pochylił i dmuchnął silnie.

Ściany rozsunęły się, falując delikatnie, korytarz nagle wydłużył się w nieskończoność, a podłoga skoczyła do góry, uderzając Conora w twarz.

Unosił się w powietrzu, zataczając szerokie kręgi. Był bardzo wysoko. Przed sobą widział

szczyt wielkiego namiotu. Cyrk. Był małym chłopcem. Spał we własnym łóżku, a na ścianie wisiał

krzyżyk. Był przerażony skręconym w boleściach ciałem. Jezus... Jezus Chrystus... Tak bardzo było mu Go żal, tak bardzo Mu współczuł. Przyniósł ciasteczka i podał Mu je... Żeby nie umarł z głodu...

– Tak mi przykro, Jezu... Tak mi przykro... Szczerze żałuję... Tak mi żal...

– Przykro ci? Wiesz, wzruszyłeś mnie do łez. – Głos brzmiał sarkastycznie, obco.

Conor zamrugał powiekami i otworzył oczy. Wszystko było rozmyte i niewyraźne, ale powoli odzyskiwał ostrość widzenia.

Siedział na twardym krześle. Ściany miały intensywny żółty kolor. Tuż przed nim stał

wysoki białowłosy mężczyzna. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne o szafirowych szklach. Pochylił się i zajrzał Conorowi prosto w oczy.

– Obudziłeś się? No to wspaniale. Zaczynałem się już martwić, że będziesz spał do końca życia.

## 16

Conor rozejrzał się. Ściany były puste i tylko ciemniejsze prostokąty wskazywały na to, że kiedyś wisiały tam obrazy. Zza zasłoniętych roletami okien dochodził szum ulicy. W

pokoju było jeszcze parę innych osób. W najdalszym kącie stało dwóch mężczyzn, rozmawiających przyciszonymi głosami. Na krześle pod ścianą siedział jeszcze jeden mężczyzna, mocno zbudowany, z założonymi jedna na drugą nogami. Typowy tępy mięśniak, pomyślał Conor.

Człowiek w okularach chodził wokół pokoju. Po chwili usiadł na krześle przed Conorem i patrzył na niego przez moment.

– Co się dzieje? – wymamrotał Conor. – Co ja tu robię?

– Jesteś tu po to, bym mógł ci się dokładnie przyjrzeć – odpowiedział mężczyzna. Był

bardzo przystojny, mimo śmiertelnej bladości twarzy.

– Kim pan jest? – zapytał Conor. – Myślałem, że jestem w...

– W teatrze Rialto? Tak, byłeś tam. Ale teraz jesteś gdzie indziej.

Conor nie wiedział, co powiedzieć. Mężczyzna w okularach uśmiechał się lekko, a dwaj faceci stojący w rogu pokoju nadal rozmawiali przyciszonymi głosami. Po chwili mężczyzna w okularach powiedział:

– Naprawdę nie wiesz, kim jestem? Ech, ta cała publika... Można wisieć na wielkim plakacie na środku Times Square przez cały tydzień, a ludzie nadal nie będą cię poznawali.

– Myślę, że ma pan coś wspólnego z Ramonem Perezem i Magdą Sianie.

– Hypnos i Hetti? Ha, ha... – Mężczyzna wyprostował się i klepnął dłońmi w kolana. –

Tych dwoje stoczyło się tak nisko, jak tylko może stoczyć się mężczyzna i kobieta. Ale ja podniosłem ich z błota i wskazałem właściwą drogę. Teraz wiedzą, że można inaczej żyć, będąc częścią wielkiego planu Boga.

– Kim pan jest? – powtórzył Conor.

– Nie wierzę, że mnie nie rozpoznajesz. Byliśmy w tych samych wiadomościach. Może lepiej wyglądam na małym ekranie.

Nagle twarz mężczyzny wydała się Conorowi znajoma.

– Tak, teraz już wiem. Poznaję pana. Dennis Evelyn Branch, prawda? Religijny terrorysta... Fundamentalista...

– Dla ciebie jestem wielebny Dennis Evelyn Branch. A takie określenia jak religijny terrorysta albo fundamentalista nie pasują do mnie. Równie dobrze mógłbyś nazwać terrorystą Mojżesza.

– O ile dobrze pamiętam, Mojżesz nie podkładał bomb w miejscach publicznych. Chyba że mnie okłamali w szkole.

– Nie, nie okłamali, ale może nie powiedzieli wszystkiego. Mojżesz robił o wiele gorsze rzeczy, na dużo większą skalę. Sprowadzał powodzie i szarańcze, zabijając tysiące ludzi...

Wcale nie musiał podkładać bomb.

– No dobrze, wielebny, więc o co dokładnie tu chodzi? Jak się tu znalazłem?

– Ooo, to bardzo proste. Jesteś tutaj, bo Hypnos zastosował jakieś tam swoje sztuczki. Ale nie musisz wiedzieć, gdzie się znajdujesz. Wystarczy, jeśli sobie uświadomisz, że los pokierował twoim życiem tak, a nie inaczej. Teraz jesteś zaangażowany w wielką krucjatę.

Takiej krucjaty świat jeszcze nie oglądał.

– Krucjata? O czym pan mówi?

Dennis Evelyn Branch westchnął i potarł ręce o kolana.

– Posłuchaj... Nie masz wyjścia. Pan nasz dokonał wyboru. Widocznie taka była Jego wola. Zostałeś wybrany, a z wyborami naszego Pana się nie dyskutuje.

Conor podniósł się powoli, ale umięśniony mężczyzna siedzący przy ścianie natychmiast wstał i ruszył w jego stronę.

– Bardzo proszę, usiądź i słuchaj. Dla własnego dobra. Nie mam zbyt wiele czasu. Jak ci zapewne wiadomo, Federalne Biuro Śledcze już wie, że jestem w Nowym Jorku. Trzeba przyznać, że



znakomicie pracują. Muszę się stąd wynieść do piątej po południu, żeby zdążyć wszystko załatwić i kupić bilety na samolot. Inaczej nie dostaniemy się tam, gdzie chcemy się dostać. Nie mam zamiaru zostawać tu ani minuty dłużej niż to absolutnie konieczne. FBI nie jest łatwym przeciwnikiem, a ja nie zamierzam spędzić reszty życia w więzieniu z takimi typami jak Unabomber.

Conor nadal stał, ale nie zrobił ani jednego kroku.

– Nie rozumiem, czego pan ode mnie chce – powiedział. – Przecież ja nie mam tych skradzionych depozytów. Nie wiem nawet, gdzie one są. Zostałem zaangażowany w całą tę sprawę przez przypadek. Chodzi mi tylko o to, żeby gliny przestały deptać mi po piętach.

– Wiem – odparł Dennis Evelyn Branch. – Ale rzecz w tym, że jesteś w to zaangażowany.

Nie jesteś już policjantem. Wiesz teraz, jak to jest być ściganym. Gdybyś pozwolił wtedy wyjść Gary’emu Motsonowi ze Spurrsa, nie tkwiłbyś w tym po szyję.

– Gary Motson? To on tak się nazywał? – Conor wciąż myślał o tamtym jak o Archaniele Gabrielu.

– No, jakoś przecież musiał się nazywać. Akurat nazywał się Gary Motson. On nie jest tu w tej chwili najważniejszą postacią. To tylko drobny złodziejaszek. Ale potem zjawili się ty i dałeś nam kogoś lepszego... To ktoś, na kim bardzo nam zależało. Ktoś, kogo znałeś...

– Salvatore Morales? Mój partner?

– Właśnie. Okazał się bardzo pomocny. Przykro mi było, gdy się dowiedziałem, co się stało.

– Nie rozumiem... Salvatore znał Gary’ego Motsona przed napadem?

– Oczywiście – odparł Dennis Evelyn Branch z wyraźną satysfakcją. – Potrzebowaliśmy kogoś, kto wzięłby na siebie winę za zniknięcie depozytów. Wy to nazywacie „podpuchą”.

– Nie wierzę, żeby Salvatore zaangażował się w coś takiego.

– Nie wierzysz? To znaczy, że nie znasz się na ludziach. Nie wiesz, jak bardzo potrafią być słabi. Między innymi to właśnie, O’Neil, jest celem mojej krucjaty: sprawienie, by wszyscy ludzie znowu stali się silni. Twój partner miał bardzo zły nałóg... był hazardzistą i miał długi. Założę się, że o tym nie wiedziałeś. Ale to jeszcze nie wszystko. Jego matka miała raka i Morales był winien szpitalowi dziesiątki tysięcy dolarów. A poza tym, O’Neil, twój partner nienawidził instytucji, w której pracował. Firma dała stanowisko, o którym marzył, komuś innemu. Dała je tobie. Morales uważał, że należy się jemu. Wierz mi, nie ma nic łatwiejszego, niż namówić kogoś takiego jak on do tego, do czego go namówiliśmy.

Conor pochylił głowę. Teraz wszystko zaczęło mu się układać w logiczną całość. Jak inaczej Gary Motson zdobyłby listę depozytów przechowywanych w skarbcu? Skąd wiedziałby, gdzie jest sejf ścienny w jego biurze?

– Tak więc, O’Neil, złożyliśmy panu Moralesowi propozycję, a on się zgodził. Miał

dostać za swoją pomoc sporo pieniędzy. Ale cóż, Bóg chciał inaczej.

– A co z tym Motsonem?

– To był pomysł twojego partnera. Chodziło o drugi napad, który miał odwrócić uwagę od tego pierwszego. Morales obiecał Motsonowi, że dostanie jedną trzecią tego, co było w depozytach. I sam zaproponował, że będzie zakładnikiem. Miało to pomóc w wydostaniu się ze Spurrsa. Nie wyglądałoby to wtedy jak robota od wewnątrz, ale po prostu napad. Otwarcie sejfu, wzięcie zakładnika, wyjście, ucieczka. Motson zgodził się. Uważał, że to świetny pomysł. Nie wiedział oczywiście, że skrzynki depozytowe były już puste. Ty też nie wiedziałeś. Wszystko byłoby dobrze, gdybyś się we wszystko nie wmieszał i nie był taki zawzięty.

Branch uniósł jedną brew.

– Ale to wszystko mało istotne sprawy – dodał. – Najważniejsza jest nasza misja: mamy wypełnić wolę Pana naszego. Jak na razie, O’Neil, wszyscy myślą, że maczałeś palce w napadzie. Właściciele tych depozytów zwrócili się o ich oddanie do ciebie. A dzięki twojemu obrotnemu prawnikowi wszystko doskonale się układa.

– A co mnie może powstrzymać przed pójściem na policję? – zapytał Conor. – Mogę im to wszystko opowiedzieć.

– Są trzy powody. Oczywiście nie mówię o tym, że nie dotarłbyś tam, bo wcześniej bym cię zabił. Teraz jednak tego nie zrobię, bo kto wpłacałby pieniądze na konto martwego człowieka? A więc, po pierwsze: policja nie kiwnie palcem w twojej sprawie. Zostawiliby cię samemu sobie albo wsadzili do aresztu, a tam dopadłaby cię depresja i powiesiłbyś się. Po drugie: nawet gdybyś jakimś cudem przetrwał, to i tak nikt by ci nie uwierzył. Pomyśl, jak by to brzmiało w sądzie: stojąc przed poważnymi ludźmi, opowiadasz historyjkę, że przyszedł

jakiś hipnotyzer i zahipnotyzował cię w ciągu sekundy, a ty nic nie mogłeś zrobić. Potem kazał ci otworzyć sejf... itede, itepe. Z pewnością wszyscy łatwiej uwierzyliby, że miałeś kłopoty finansowe. Czekają cię rozwód. Masz do utrzymania swoją młodzieńką ślicznotkę i wasze nowe gniazdko. Morales był skłonny do współpracy, bo dusiły go długi. Dlaczego ty nie miałbyś zrobić tego samego? Nie wiem, co twój partner naopowiadał Motsonowi, ale on gotów jest zeznawać, że byłeś zamieszany w tę kradzież. Wiem, że nie byłeś, to jednak niczego nie zmienia.

Popatrzył na Conora i uśmiechnął się kącikiem ust.

– Ja na pewno nie będę zeznawał na twoją korzyść. Szanowny panie, masz tylko jednego świadka, Darrella Bussmana. Ale on jest w szpitalu i tak szybko nie wyjdzie ze śpiączki.

– Więc co mam zrobić? Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał Conor, przełykając ślinę.

– No cóż, jest jedna rzecz, którą mógłbyś zrobić – odparł Dennis Evelyn Branch. –

Potrzebujemy więcej pieniędzy, jakieś piętnaście, dwadzieścia milionów. Na konto twojego prawnika wpływają pokaźne sumki, nieprawdaż? Pomożesz nam zdobyć jeszcze trochę pieniędzy.

– Niech pan o tym zapomni. Nie zrobię tego.

– Ależ zrobisz.

– Odmawiam. Jestem już wmieszany w tę sprawę, czy tego chcę, czy nie. Wszyscy uważają, że brałem udział w tej kradzieży. Kilka osób, dla których dyskrecja jest ważniejsza od wszystkiego innego, wpłaca pieniądze za moje milczenie i oddanie depozytów. I ja mam dać te pieniądze panu? Nie przeżyłbym nawet kilku dni.

– No cóż, przykro mi to słyszeć. Musisz się jednak przyzwyczaić do myślenia o sobie jako o męczenniku. Każdy z nas jest w pewnym sensie męczennikiem. Ale cóż to wszystko znaczy w obliczu wielkiej krucjaty. Największej od czasu papieskich wypraw krzyżowych w trzynastym wieku.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie wielebny. Tak czy inaczej, moja odpowiedź brzmi „nie”.

– W takim razie nie pozostawiasz nam wyboru.

W tym momencie dwaj mężczyźni w rogu pokoju przestali rozmawiać i odwrócili się w jego stronę. Mięśniak siedzący na krześle wstał i podszedł bliżej.

Po chwili wstał także Branch. Podniósł rękę do twarzy i zdjął okulary. Conor zobaczył jego oczy; jasnorożowe jak oczy królika. Tęczówki były zaledwie małymi kropeczkami.

– Bóg wybrał mnie, bym głosił słowo boże. Mam do wypełnienia misję. Pan nasz przemówił do mnie. Dał mi swoje błogosławieństwo. Mogę korzystać z wszelkich środków, by sprowadzić świat na właściwą drogę. Chcę zbudować Panu naszemu największą świątynię, jaką kiedykolwiek świat widział.

Podszedł do Conora i położył kciuk na jego czole.

– Nie będzie to świątynia z cegieł ani z kamienia. Mówię o świątyni, która wyrośnie w umysłach wszystkich ludzi. To oni będą nosić dzieło moje. A ty mi pomożesz w mojej misji, w mojej krucjacie. Zrobisz wszystko, co powiem.

– Dobrze, ale najpierw pocałuj mnie w dupę.

Dennis Evelyn Branch uśmiechnął się i powiedział:

– Nie jesteś w moim typie, bobasku. Ale wiesz co? Mam coś dla ciebie. Na pewno musisz być głodny.

– Obejdzie się. Nie róbcie sobie kłopotu, panowie.

– Och, to żaden kłopot. Nikt, kto był gościem wielbego Brancha, nie może odejść bez poczęstunku. Kiedy zaspokoisz potrzeby ciała, może inaczej spojrzysz na wiele rzeczy. Może przestaniesz myśleć tylko o sobie. Być może nawet będziesz skłonny poświęcić się misji krzewienia słowa Pana naszego...

Uniósł dłoń. Mięśniak stojący przy Conorze przeszedł przez pokój i otworzył drzwi do jasno oświetlonej kuchni.

– Tak czy inaczej, od razu mówię „nie”. Cokolwiek wymyślicie, na nic się nie zgodzę.

– No cóż, zobaczymy – uśmiechnął się Branch.

Mięśniak chwycił go za ramiona. Conor próbował się wyrwać, ale Branch uderzył go z całej siły w twarz. Mięśniak wygiął mu ręce do tyłu, za oparcie krzesła, i spiął je kajdankami.

– Nie wkurzaj mnie, O’Neil. Bóg nie lubi takich typków, a ja jestem narzędziem Boga.

– Narzędzie Boga, dobre sobie. Gówno prawda, psychopato.

Mięśniak przyklęknął i przywiązał nogi Conora do krzesła.

Z kuchni wyszedł wysoki mężczyzna, trzymając w rękach słoik.

Podszedł i podał go Branchowi.

– Na ogół wszyscy reagują tak samo. Niektóre robaczki służą wielu kuchniom świata. Ale te pocieszki nie są przysmakiem. Chociaż... Nigdy nic nie wiadomo.

Branch zbliżył się do Conora, trzymając w rękach słoik pełen karaluchów. Przebierały swoimi długimi odnóżami, wdrapując się i zsuwając po szklanych ścianach.

– Drugie śniadanko – oświadczył Branch.

## 17

Conor rzucił się w bok i w tył, Mięśniak jednak trzymał go mocno.

– Puść mnie, ty pierdolcu! – krzyknął Conor.

– Przykro mi, ale muszę ci odmówić – powiedział Branch. – Chyba że mi pomożesz.

Conor czuł się zupełnie bezradny. Już kiedyś czuł się podobnie, gdy trzech żołnierzy mafii uwięziło go w garażu w Queens. Teraz ogarnęła go taka sama desperacja.

– Na nic się nie zgodzę, Branch. Nie licz na to. Przez ciebie zginęły dwie osoby.

– Tak. Jedną z nich był wiarołomny funkcjonariusz ochrony, a drugim złodziej fajtlapa.

Ale nie powinieneś ich żałować. Każdy, kto umarł za sprawę mojej krucjaty, będzie miał swoje miejsce w niebieskich dominiach Pana naszego.

– Jesteś szalony.

– Szalony? Czyż nie tak mówiono o Chrystusie? Mówili, że zwariował. Ale teraz już tak nie mówią. I nie oskarżają Go o morderstwo. A przecież tylu ludzi zginęło za Niego. – Branch pochylił się do przodu i spojrzał Conorowi prosto w oczy. – Jeszcze wielu ludzi umrze, zanim moja krucjata dobiegnie końca. Bardzo wielu. Ale ty nie musisz być jednym z nich.

– Spierdalaj.

Dennis Evelyn Branch odkręcił słoik i uśmiechnął się.

– Ach, jakie niemiłe istotki. *Periplaneta americana*. Ale nazwa jest nieco myląca, bo sprowadzono je z Afryki.

– Jesteś chory, idioto.

– Mają bardzo specyficzny zapach, nie sądzisz? Zobacz sam... – Branch podsunął

Conorowi pod nos słoik.

Conor zmarszczył nos i odwrócił głowę.

– Zakończ już ten wykład, nędzny belferku z przedmieścia.

Branch skinął na swojego pomocnika. Ten chwycił Conora za włosy i pociągnął do tyłu.

Conor poczuł ostry ból w kręgosłupie, pokój zawirował mu przed oczami. Mięśniak drugą ręką ścisnął jego szczękę, ugniatając nerw. Conor w żaden sposób nie mógł zamknąć ust. Tamten dobrze wiedział, gdzie nacisnąć.

– Mój przyjaciel pracował kiedyś jako sanitariusz w zakładzie dla umysłowo niestabilnych – zaśmiał się Branch. – Wierz mi, O’Neil, umie nakarmić pacjenta nawet wbrew jego woli.

Wysoki mężczyzna włożył Conorowi do ust plastikowy lejek, mocując go między szczękami taśmą. Conor nie mógł nawet myśleć o próbie zamknięcia ust. Branch pochylił się nad nim i powiedział:

– Pewnie sobie mówisz: „Nie, on nie robi tego, tylko mnie tak straszy”. Ale wiesz co, O’Neil... Już nie dam ci szansy. Nawet gdybyś nie wiem co mówił, nie dostaniesz szansy.

Dałem ci ją trzy razy, a ty, jak Piotr Symeon, trzy razy się zaparłeś. Wiesz, te karaluchy to też stworzenia boże. Teraz spotkają swojego Stworzyciela.

Conor próbował się szarpać, ale Mięśniak i taśma trzymali zbyt mocno.

Branch przechylił słoik i Conor usłyszał, jak karaluchy zsuwają się plastikowym lejkiem prosto do jego gardła.

Boże, Boże... Nie!!! – krzyczał w myślach. Czuł, jak karaluchy przebierają odnóżami w jego gardle, jak próbują przedostać się przez zaciśniętą krtań.

W tym momencie przypomniał mu się ojciec O’Faoglin, który opowiadał mu o torturowanych świętych. „Wkładano im ręce do wrzącej oliwy, palono wnętrzności roztopionym żelazem, ale oni się nie ugięli. Nie wyparli się. Wierzyli do końca”.

– Ależ z ciebie uparciuch. – Branch zaśmiał się i pokręcił głową. – Po co ci to? I tak się złamiesz. Chcesz jeszcze? Poczekaj do końca mojej krucjaty. Wtedy zobaczymy, czy będziesz taki twardy.

Branch ponownie przechylił słoik i kolejne karaluchy zsunęły się do gardła Conora.

– Patrzcie wszyscy na tego człowieka. Cóż za hardość... Podziwiam, naprawdę podziwiam. No więc jak, poddajesz się czy odmawiasz? Pomożesz mi?

Conor skinął powoli głową.

– Co oznacza ten gest? Czy było to „tak”, czy „nie”?

Wysoki mężczyzna wyciągnął lejek z ust. Conor chciał coś powiedzieć, ale nagle poczuł, jak wszystko w nim wzbiera, i jednym gwałtownym chluśnięciem zwymiotował poranną kawę i wszystkie karaluchy.

– No dobrze, O’Neil, poczekamy chwileczkę, aż dojdiesz do siebie – oświadczył Branch.

– Nie jesteśmy przecież okrutnikami, prawda?

Roześmiał się znowu, a Mięśniak zawtórował mu chrapliwie.

– Na wszelki wypadek zostawiłem jeszcze trochę tych miłych stworzeń w słoiku.

Conor wiedział, że dalszy opór nie ma sensu. Branch był niewątpliwie psychopata.

Torturowanie sprawiało mu przyjemność.

– No więc, jak już powiedziałem, O’Neil, nie oczekuję od ciebie zbyt wiele. Masz tylko spotkać się z paroma osobami, dogadać się z nimi i zdobyć określoną przeze mnie kwotę. I to zanim wyjedziemy z Nowego Jorku. Pieniądze przelejesz na wskazane konto.

Conor skinął głową, nic nie mówiąc. Nie mógł wydobyć z gardła ani jednego słowa.

– Czy dajesz mi słowo honoru, O’Neil?

Conor ponownie potwierdził skinieniem głowy.

– Da... daję... daję słowo... – zdołał wreszcie wykrztusić.

– W porządku, ale to trochę za mało. Poczyłem już pewne kroki... przygotowałem się.

Musiałem się zabezpieczyć, sam rozumiesz.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że twoja przyjaciółka zmieniła chwilowo miejsce zamieszkania.

– Lacey? Masz na myśli Lacey, psychopato?

– Ach, O’Neil, nie wyzywajmy się tak okropnie – zaśmiał się sarkastycznie Branch. –

Robiło się już tak miło...

– Ty gnoju! Posłuchaj, jeśli jej choć jeden...

– Tak, tak, wiem... Jeśli jej choć jeden włos spadnie z głowy, ble, ble, ble, et cetera, et cetera... Proszę sobie darować całą resztę. Dopóki będziesz robił to, co przyrzekłeś, nic jej się nie stanie.

Mięśniak rozpiął Conorowi kajdanki i odkleił taśmę.

– Teraz możesz odejść. Dziś po południu skontaktuje się z tobą pewien człowiek, Victor Labrea. Masz robić wszystko, co on ci powie. I nie szukaj nas już tutaj, bo tu nikogo nie będzie.

Conor wstał z krzesła. Nie wiedział, co ma powiedzieć, więc nie odezwał się ani słowem.

Wyszedł z mieszkania i otworzył frontowe drzwi. Zalała go fala gorąca, a oczy poraził blask słońca. Stojący nieopodal wejścia obdartus powiedział zachrypniętym głosem:

– Koniec świata nastąpi w przyszłą środę. W przyszłą środę. O trzeciej piętnaście.

Conor wrócił do mieszkania Sebastiana dopiero wtedy, gdy się upewnił, że nikt go nie śledzi.

– Boże drogi, jak ty wyglądasz – przywitał go Sebastian. – Myśleliśmy już, że cię straciliśmy.

– Nawet nie wiem, co się stało – mruknął Conor. – Walczyliśmy z ludźmi Ramona Pereza, a potem znalazłem się nagle w jakimś mieszkaniu.

Wszedł do pokoju. Byli tam już Sidney i Eleanor. Sidney był bardzo blady i wyraźnie nie czuł się dobrze.

– Ric też nie jest w najlepszej kondycji – powiedział. – Poszedł spać.

– Myślę, że Sidney potrzebuje lekarza – oświadczyła Eleanor.

– Nie, nie... Dajcie spokój. Nic mi nie będzie. A tobie co się stało? Jesteś szary na twarzy.

– Nic takiego – odparł Conor. – Pewnie zaszкодziło mi coś z drugiego śniadania.

Z westchnieniem usiadł na sofie i opowiedział im wszystko: o wielebnym Branchu, o karaluchach i o wielkiej krucjacie.

– Najgorsze jest to, że mam ukraść pieniądze. Jeśli tego nie zrobię, ucierpi Lacey. Te świry ją mają.

Sebastian skoczył jak oparzony.

– Jeśli tylko włos spadnie jej z głowy...

– Tak, tak, Sebastian, wiem.

– Więc co teraz zrobimy? Co zamierzasz, Conor?

– Nie wiem. Co ja mogę zrobić? Ten gość jest zupełnie stuknięty.

– Przecież musi być jakiś sposób.

– Tak, musi być – mruknął Conor, wstał i usiadł obok Sidneya. – A jak ty się czujesz?

– Trochę słabo. Ale nic mi nie będzie.

– Powiedz mi, co tak naprawdę się stało? Jak to się wszystko odbyło? Myślałem, że nawet ktoś taki jak Ramon Perez nie zdoła zahipnotyzować czterech osób jednocześnie.

Uczyłeś mnie odporności na trans, a tu nagle łuuup, i po sprawie. Niespodziewanie znalazłem się na Wschodniej Dwudziestej Dziewiątej, i to nawet nie wiem jak.

– Ramon dmuchnął nam w twarz jakimś proszkiem. Nie pamiętasz tego?

– Tak, coś pamiętam. Ale nawet mnie nie dotknął.

– Nie mieliśmy do czynienia ze zwykłą indukcją transu. Ten proszek to na pewno burundanga.

– Burundanga? A co to takiego?

– Niektórzy nazywają to „proszkiem zombi”. Tak to się nazywa na Haiti. Miesza się bardzo silne środki uspokajające, takie jak barbiturany i skopolamina. Ja też kiedyś używałem skopolaminy, ale w bardzo małych dawkach.

– A podana w dużych...

– W dużych dawkach ma silne działanie hipnotyczne. Czasem powoduje paraliż. Działa halucynogennie, powoduje dezorientację... Ale przede wszystkim ofiara staje się bardzo podatna na sugestie.

– No tak, rozumiem...



- Ramon Perez nie użył niczego nowego. W Kolumbii stosują to od dawna.
- Sidney, Ric i Sebastian obudzili się na ławkach przed Centrum Rockefellera – wtrąciła Eleanor. – Też nie wiedzieli, jak się tam dostali.
- Tak czy inaczej, moi drodzy, wielebny Branch szykuje jakąś krucjatę. To religijny maniak. Bóg jeden wie, po co mu aż tyle pieniędzy.
- Przede wszystkim musimy znaleźć Lacey – stwierdził Sidney.
- Taak? A jak tego dokonamy? – zapytał Sebastian. – Hypnos i Hetti zniknęli.

Wyprowadzili się z tej przebieralni.

- Czyli jesteśmy w punkcie wyjścia – westchnął Conor.
- Może napijemy się herbaty? – zaproponowała Eleanor. – To jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

## 18

Jeden z narożników salonu Sebastiana został przerobiony na małe biuro z antycznym mahoniowym biurkiem, na którym stał faks oraz komputer marki Hewlett-Packard.

Conor odsunął krzesło.

- Posurfujmy trochę i przekonajmy się, co znajdziemy na temat naszego drogiego przyjaciela Dennisa Evelyn Brancha – powiedział, a potem postawił obok komputera szklanekę z irlandzką whisky. Sebastian natychmiast ją podniósł i podłożył pod nią srebrną tackę.

Conor nie potrzebował wiele czasu, by znaleźć pliki poświęcone Światowemu Ruchowi Posłannictwa Dennisa Evelyn Brancha, Kościołowi ewangelickiemu założonemu w Lubbock w stanie Teksas, którego „przywódcą i boską inspiracją” był Dennis Evelyn Branch. Celem ruchu było „przekazanie prawdziwego przesłania świętej woli Boga sercom i umyśłom ludzi wszystkich kultur na całym świecie”. Ruch Posłannictwa organizował masowe spotkania modlitewne, festiwale pieśni religijnych, dobroczynne maratony telewizyjne oraz „ćwiczenia plenerowe”. Został założony w roku 1987, a liczbę jego członków szacowano obecnie na ponad dwa i pół miliona. Conor znalazł także listę kościołów Światowego Ruchu Posłannictwa znajdujących się w jedenastu dużych miastach Stanów Zjednoczonych, głównie na południu, między innymi w Atlancie i Birmingham, lecz także w Minneapolis, Filadelfii i Nowym Jorku – przy 1441 Zachodniej Dziewiętnastej.

Były tam również doniesienia prasowe oraz wycinki z „Time’a” i „Newsweeka”, a nawet wydawnictwa samego Światowego Ruchu Posłannictwa.

Dennis Evelyn Branch był siódmym synem Wayne’a Brancha, pastora Kościoła baptystów z Wichita Falls w Teksasie, oraz jego żony Noreen (z domu Turtle). Urodził się w 1956 lub 1957 roku – „wydaje się, że nie istnieje żadne świadectwo urodzenia”. Wayne Branch był jednym z najbardziej wpływowych kaznodziejów, a jego piętnastominutowa audycja *Posłannictwo* przez siedemnaście lat

była stałym punktem porannego programu telewizyjnego w Wichita Falls. Jej przesłaniem było „pokonanie szatana kryjącego się pod wszelakimi maskami, jakie tylko zdoła wymyślić, i oczyszczenie się ludzi ze wszystkich ziemskich grzechów – nic więcej, nic mniej”.

W wieku dziewięciu lat Dennis Evelyn Branch pojawił się w programie swojego ojca; czarno-białe zdjęcie przedstawiało szczupłego chłopca o poważnym wyrazie twarzy i lśniących białych włosach. Dennis został ponoć obdarzony „darem uzdrawiania polegającym na odnajdywaniu demonów, które się w nas kryją, i wypędzaniu ich”. Był nad wiek rozwinięty i rok przed czasem ukończył szkołę średnią w Wichita Falls, zdobywając doskonałe oceny z nauk przyrodniczych oraz studiów nad Biblią. Ukończył wydział

medyczny na uniwersytecie w Teksasie i zrobił doktorat z mikrobiologii, studiując w tym samym czasie w Dallas. W roku 1979 znalazł dobrze płatną posadę naukową w Texas BioSystems w Houston, gdzie był odpowiedzialny za „oryginalną i wysoce kreatywną” metodę zwalczania potencjalnego wybuchu epidemii ospy. Był to ogromny postęp w medycynie, ponieważ Stany Zjednoczone posiadały jedynie siedem milionów szczepionek ospy dla populacji liczącej blisko dwieście sześćdziesiąt milionów ludzi.

W innych warunkach osiągnięcia Dennisa Evelyn Brancha zostałyby upamiętnione w specjalistycznej prasie, lecz było zupełnie oczywiste, że koledzy z Texas BioSystems niezbyt za nim przepadali. Współpracownicy przedstawiali go jako „przebiegłego socjopatę głęboko zaangażowanego w fundamentalizm religijny oraz zwolennika przewagi białej rasy”.

Mówiono jednak o nim także, że „miał silną motywację do pracy, która graniczyła wręcz z obsesją, i był niezwykle wartościowym pracownikiem wydziału badawczego”.

Jeden z asystentów opisał go reporterowi „Time’a” jako „niespokojną duszę o wielkim naukowym zacięciu”.

Wydaje się, że Dennis Evelyn Branch nie miał bliskich przyjaciół, a bielactwo i egzema utrudniały mu także stosunki z kobietami. Spędzał więc wolny czas na organizowaniu spotkań ewangelicznych związanych z działalnością duszpasterską swojego ojca.

Po trzech latach pobytu w Houston został aresztowany za wywołanie małej eksplozji na posterunku w Fort Sam Houston, głównej kwaterze Piątej Armii USA, w której zostały lekko ranne dwie kobiety. Policja wojskowa nie potrafiła wyjaśnić, w jaki sposób białowłosy kaznodzieja o różowych oczach zdołał przeniknąć przez system bezpieczeństwa bazy, a Dennis Evelyn Branch odmówił zeznań. W sądzie oświadczył, że był to jego protest przeciwko utrzymywaniu przez Amerykę stosunków dyplomatycznych z krajami islamskimi, takimi jak Arabia Saudyjska i Iran. Powiedział również, że jest mu przykro.

Oskarżyciel: *Jest panu przykro? Mógł pan kogoś zabić.*

Dennis Evelyn Branch: *Oczywiście, ale nie udało mi się tego zrobić. Właśnie dlatego jest mi przykro.*

Został skazany na dziesięć lat więzienia, lecz uwolniono go już po jedenastu miesiącach, bez jakiegokolwiek oficjalnego wyjaśnienia. Zresztą żadne oficjalne wyjaśnienie nie było konieczne, gdyż jego nazwisko pojawiło się na liście naukowców zatrudnionych przez armię amerykańską w Moab w stanie Utah.

Według doniesień prasowych Pentagonu naukowcy ci pracowali nad sposobami zneutralizowania biopreparatu, wchodzącego w skład radzieckiego programu wojny biologicznej. Ale w roku 1986 w laboratorium medycznym zdarzył się jakiś wypadek, oficjalnie przedstawiony jako „niewielka awaria sterylnej zbiornika”, w wyniku którego połowa personelu Moab została ewakuowana na przeszło tydzień. „Washington Post” postawił wtedy pytanie: „Szukamy sposobów ochrony przed bronią biologiczną czy też w tajemnicy i wbrew prawu sami ją produkujemy?”.

W listopadzie 1989 roku Dennis Evelyn Branch nie zgłosił się do pracy. Przeszukanie jego domu nie dało żadnych wskazówek co do prawdopodobnego miejsca pobytu zaginionego. FBI przeprowadziło śledztwo, biorąc pod uwagę możliwość, że został porwany przez sowieckich agentów w związku z niedawną ucieczką na zachód radzieckiego mikrobiologa Vladimira Pesechnika. Krążyły pogłoski, że Pesechnik znalazł metodę przetwarzania Czarnej Śmierci w skuteczną broń biologiczną.

Pojawiły się również doniesienia, że Dennis Evelyn Branch został zamordowany przez konkurencyjny odłam zwolenników wyższości białej rasy. Niektórzy sugerowali, że przypadkowo zaraził się jakąś straszliwą chorobą i uciekł do lasu, aby tam umrzeć, ponieważ nie chciał zainfekować swoich współpracowników. („Nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę jego charakter” – skomentował tę pogłoskę agent FBI, który prowadził śledztwo).

W trakcie dochodzenia, które prowadzono po zamachu dokonanym 11 września 2001

roku, pojawiły się podejrzenia, że Dennis Evelyn Branch wspierał terrorystów z Al Q'edy, zamierzając skierować amerykańską opinię publiczną przeciwko islamowi. Jego nazwisko związane było również z planami zbombardowania Midtown i Holland Tunnels, a także z przesyłaniem pocztą do przedstawicieli rządu zarazków wąglika.

Od czasu do czasu pojawiały się niepotwierdzone pogłoski, że widziano go w Kanadzie, Afryce Południowej oraz Irlandii. Pewien agent CIA twierdził, że widział go w Chile. Ale działo się to przed rokiem 1995, w którym ponownie pojawił się na scenie. W „International Herald-Tribune” i kilku arabskojęzycznych czasopismach pojawiło się całostronicowe ogłoszenie informujące o utworzeniu Światowego Ruchu Posłannictwa, „stowarzyszenia, które ma przekonać wszystkich niedowiarków tego świata, że istnieje tylko jedna prawdziwa droga do Boga”.

W sierpniu 1996 roku Dennis Evelyn Branch przesłał do NBC News pokrętny list, w którym utrzymywał, że jest odpowiedzialny za zbombardowanie Municipal Center w Omaha w stanie Nebraska. W zamachu tym zginęła jedna sekretarka, a trzech innych pracowników biurowych zostało ciężko rannych. Branch oświadczył, że zamach miał służyć sprawie

„wyrwania rodzaju ludzkiego z uścisku ateistów, bluźnierców i renegatów oraz przywróceniu świętego prawa boskiego na całym świecie i nawróceniu na prawdziwe chrześcijaństwo tych wszystkich, którzy są zwolennikami bałamutnych, kłamliwych religii”.

Powiedział: „Nasze kościoły muszą być znowu pełne. Musimy od nowa nauczyć się śpiewać nasze święte pieśni. Światło Pana musi zapłonąć wszędzie, od największych katedr po najędzniejsze slumsy. Przysięgam, że wypenię wszystkich muzułmanów, mormonów, katolików, żydów oraz zwolenników każdej fałszywej religii. Jeśli nie dadzą się nawrócić perswazją, będą musieli zostać nawróceni boskim strachem”.

Był gotów poświęcić życie „wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy żyją na tej planecie”, jeśli tego będzie wymagał sukces jego misji. Jego przesłaniem było: „zostań zbawiony lub zgiń, gdyż brak zbawienia jest po stokroć gorszy niż śmierć”.

Wkrótce Światowy Ruch Posłannictwa został oficjalnie odrzucony przez Konferencję Południowego Kościoła Baptystów, na której uznano Dennisa Evelyn Brancha za

„wysłannika szatana”.

Na ekranie ukazała się niewyraźna czarno-biała fotografia przedstawiająca człowieka, którego uważano za Dennisa Evelyn Brancha. Był to szczupły mężczyzna w okularach. Miał

bladą twarz i bardzo krótkie włosy. Zdjęcie zrobiono w momencie, gdy wsiadał do toyoty landcruisera. Spoglądał w kierunku aparatu, a jego groźny wzrok w niczym nie przypominał

spojrzenia tamtego chłopca, który stał w kościele obok swojego ojca.

Conor przyglądał mu się przez chwilę, po czym wyłączył komputer i usiadł z pochyloną głową.

– I jak? – zapytał Sebastian. – Znalazłeś to, czego szukałeś?

Conor potrząsnął głową.

– Nadal nie wiem, po co mu są potrzebne te pieniądze. Domyślam się, że planuje coś naprawdę wstrętnego.

Rozmawiali do późnej nocy. Wszyscy prócz Eleanor mieli kaca, który był efektem zatrucia burundangą, a Conor od czasu do czasu miewał przyływy dziwnych halucynacji.

Kiedy wyjrzał przez okno, wydawało mu się, że widzi na ulicy swoją matkę wychodzącą z zakupami ze sklepu. Popatrzyła na niego, ale w jaskrawych promieniach letniego słońca nie widział wyraźnie jej twarzy. Pomachała ręką, a Conor odpowiedział jej tym samym. Potem wydawało mu się, że widzi swojego ojca, który – zmęczony nocną zmianą – siedzi z pochyloną głową, jakby czuł się odpowiedzialny za to, że w metrze okradani są i mordowani niewinni ludzie.

Przede wszystkim jednak czuł nieustanne ukłucia strachu na myśl o tym, co Dennis Evelyn Branch i jego ludzie mogli zrobić Lacey. Ten strach, niczym lodowate stalowe imadło, trzymał jego umysł w żelaznym uścisku i nie chciał puścić.

Eleanor prawdopodobnie wyczuła, o czym myśli, bo wyciągnęła rękę i pogłaskała go po dłoni.

– Zawsze musisz wierzyć, że wszystko skończy się dobrze – powiedziała. – W moim przypadku tak się stało.

– W twoim tak, ale zobacz, jak to długo trwało. Ile lat.

– Lata nie mają żadnego znaczenia, Conor. Dowiesz się tego, kiedy będziesz starszy. Pięć minut szczęścia jest warte pięćdziesięciu lat samotności.

Około dziesiątej lub jedenastej zaczęło rozjaśniać im się w głowach. Zamówili koreańskie jedzenie – faszerowane mątwy, makaron z wołowiną i ogórkiem oraz naleśniki z kapustą i fasolą, czyli *bindae duk*.

Tej nocy Conor spał bardzo niespokojnie. Przez cały czas się zastanawiał, jak się dowiedzieć, gdzie Dennis Evelyn Branch trzyma Lacey, oraz jak wpaść na trop Ramona Pereza i Magdy Sianie. Kiedy był szefem wydziału śledczego, miał do pomocy całą policję i komputerową bazę danych, dzięki której zawsze wiedział, gdzie są poszczególni oficerowie.

A teraz poruszał się zupełnie po omacku.

Nadal jednak mógł jeszcze przeprowadzić wiele rutynowych działań śledczych. Mógł

wrócić rano do teatru Rialto i przekonać się, czy ktokolwiek z obsady *Franklina* nie domyśla się, gdzie mogą ukrywać się Hypnos i Hetti. Mógłby również poprosić Eleanor, by zadzwoniła do wszystkich znanych agentów teatralnych i sprawdziła, czy nadal znajdują się na czyjejs liście. A Ric, kiedy tylko dojdzie do siebie, mógłby mu pomóc swoimi kontaktami w świecie kabaretu.

Zamknął oczy i zmówił modlitwę, której nauczyła go matka, prosząc Świętą Dziewicę o siłę i wsparcie.

O 6:30 rano zadzwonił telefon komórkowy Sebastiana. Po chwili Sebastian wszedł do pokoju Conora i delikatnie potrząsnął go za ramię.

– Nie śpisz? To do ciebie.

Conor usiadł na łóżku. Po drugiej stronie pokoju zawinięty w koc Sidney przewrócił się na drugi bok niczym stary pies na swoim pościeliu.

– Pan O’Neil? Mówi Victor Labrea. Sądzę, że wielebny Branch mógł wymienić moje nazwisko.

– Zgadza się. Czego pan chce?

– Chcę, żeby dzisiejszego ranka załatwił pan dla mnie jedną małą sprawę. Pewien dżentelmen pragnie rzucić okiem na dwa listy.

– Mów pan dalej.

– Umówiłem go z panem przy wejściu do dziecięcego ogrodu zoologicznego w Central Parku

dokładnie o jedenastej trzydzieści pięć. Będzie miał na głowie panamę z czerwoną wstążką i egzemplarz magazynu „New York” z tego tygodnia.

– Rozumiem. Czy powie mi pan, jak on się nazywa?

– To nie jest konieczne. Musi pan jedynie przedstawić się, wręczyć mu listy, a potem odejść.

– Skąd mam wiedzieć, czy to bezpieczne?

– To proste. Mamy resztę listów, a ten dżentelmen wolałby raczej odciąć sobie kutasa tępymi nożyczkami, niż dopuścić do ich opublikowania.

– I to wszystko, co muszę zrobić?

– Wszystko. Jeśli zejdzie pan na dół i zajrzy do skrzynki pana Speeda, znajdzie tam pan te listy.

– Skąd pan wiedział, że tutaj jestem?

– Nie sądzi pan, że Magda mogła rozpoznać pańskiego przyjaciela, Rica Vettera? Panie O’Neil, przecież był pan kiedyś detektywem. A tymczasem – *ciao*.

– Proszę nie odkładać słuchawki! Zanim to zrobię, muszę wiedzieć, czy Lacey jest bezpieczna.

– Jest bezpieczna. Daję na to moje słowo.

– Nie zrobiliście jej krzywdy, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Jeśli jest cała i zdrowa, pozwólcie mi z nią porozmawiać.

– Och, nie sądzę, żeby to było możliwe.

– Słuchaj, Labrea...

– To ty słuchaj, O’Neil. Z twoją dziewczyną jest wszystko w porządku. Ale zanim zaczniesz mieć jakieś nierozsądne pomysły, zapamiętaj, że jest pod opieką moich dwóch przyjaciół, którzy kształcą się na chirurgów plastycznych. Z przyjemnością skorzystaliby z okazji i popracowali nad kimś tak ślicznym jak Lacey. Tu wyciąć, tam wyciąć, może usunąć piersi...

– Znajdę cię. Mówię poważnie, znajdę cię i zabiję.

– Nie znajdziesz mnie, a gdyby nawet, to i tak mnie nie zabijesz. Jesteś uczciwym katolikiem, O’Neil. Nie zamordowałbyś nikogo z zimną krwią, nawet mnie.

– Pójdiesz do czyścica, możesz mi wierzyć.

Victor Labrea zaśmiał się.

– Czyściec! Czyż to nie cudowne?

Conor odetchnął głęboko.

– Słuchaj, nie spotkam się z tym facetem, dopóki nie porozmawiam z Lacey.

Victor Labrea milczał przez chwilę. Conor miał wrażenie, że słyszy, jak oblizuje wargi, a może był to klekot jego sztucznej szczęki.

– W porządku – odezwał się w końcu Labrea. – Powiem, żeby zadzwoniła do ciebie za pięć minut. Tylko się skrcaj. I uważaj, co mówisz.

– Ty draniu!

Labrea odłożył słuchawkę. Conor czekał niecierpliwie na kolejny telefon. I chociaż się tego spodziewał, podskoczył, kiedy usłyszał dzwonek.

– Halo? Lacey?

W telefonie rozległy się trzaski, gdy ktoś przekazywał słuchawkę. Potem Conor usłyszał

Lacey:

– Conor? To ty? – Jej głos brzmiał jak pęknięcie zmrożonego szkła.

– To ja, kochanie. Dobrze się czujesz? Nie zrobili ci krzywdy, prawda?

– Po prostu wdarli się do mnie, Conor. Nie wiedziałam, co się dzieje. Usiłowałam do ciebie zadzwonić, ale nie mogłam.

– Nie skrzywdzili cię? Nie dotykali cię lub coś w tym rodzaju?

– Nie. Ale straszą mnie wszystkim, czym tylko mogą. Conor, musisz robić to, co mówią.

– Gdzie jesteś? Masz jakiś pomysł? Powiedz tylko „tak” lub „nie”.

– Nie.

– Czy to mieszkanie?

– Tak.

– Stary budynek czy nowy? Powiedz „pierwsze” albo „drugie”.

– Pierwsze.

– Jest cicho czy głośno? Czerwone to cicho, a białe – głośno.

– Raczej czerwone.

– Słyszysz jakieś niezwykle dźwięki? Na przykład helikoptery lub statki. Powiedz

„głodna” lub „spragniona”.

– Głodna. Co kilka minut.

Telefon zamilkł. Conor spojrział na niego i rzucił go na łóżko.

Siedział przez chwilę bez ruchu z głową ukrytą w dłoniach. Ogarnęło go przygnębienie i zniechęcenie. Nagle coś zamajaczyło w zakamarkach jego umysłu. Jakaś wizja, przebłysk jakiegoś obrazu. Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Magda Sianie. Conor starał się na nią nie patrzeć na wypadek, gdyby chciała go zahipnotyzować. Zastosował się do rady Sidneya i patrzył na to, co znajdowało się za jej plecami. Była tam garderoba, a w niej pomięte jedwabne bluzki, przezroczyste czarne staniki i porozrzucane czarne rzemienie. To wszystko go podniecało i wstydził się do tego przyznać. Ale zobaczył ten pokój w każdym szczególe, a nawet jeszcze wyraźniej. Jego umysł był niczym kamera, która obejmowała całość pomieszczenia; wszystko, co się w nim znajdowało.

Obudził Sidneya.

– Słuchaj... musisz coś dla mnie zrobić.

– A która godzina?

– Siódma. Właściwie szósta czterdzieści cztery.

– Nigdy nie otwieram oczu przed dziewiątą. Pamiętaj, że jestem zmęczony.

– Ale ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Sidney usiadł w końcu na łóżku. Włosy lepiły mu się do głowy, a oczy były zaklejone jak dwa ślimaki.

– O co chodzi, na miłość boską?

Conor usiadł obok niego.

– Szukamy Hypnosa i Hetti, tak?

– Zgadza się.

– Już nie wrócą do teatru Rialto, więc musimy ich wytropić.

– To ty jesteś detektywem, Conor, i ty ich musisz wytropić. Ja jestem tylko hipnotyzerem, do tego emerytowanym – odparł Sidney.



Naciągnął koc na głowę i próbował z powrotem zasnąć.

Conor odczekał kilka chwil, a potem powiedział:

– Mam wrażenie, że... Słuchasz mnie, Sidney? Mam wrażenie, że coś widziałem. To był trop... A może nawet nie trop, tylko jakaś wskazówka... sam nie wiem.

Sidney znowu usiadł na łóżku.

– Jaka wskazówka?

– Kiedy Magda Sianie otworzyła drzwi garderoby numer jedenaście... nie chciałem patrzeć jej w oczy, bo się bałem, że mnie zahipnotyzuje... ale zobaczyłem bardzo wyraźnie całą garderobę i naprawdę mam przeczucie, że...

– Wiem. Naprawdę masz przeczucie, że gdybym cię zahipnotyzował, przypomnielibyś sobie wszystko. Mam rację?

– Tak – przyznał Conor. – Skąd wiedziałeś?

– Ponieważ od czterdziestu lat przychodzą do mnie ludzie, usiłujący przypomnieć sobie rzeczy, o których zapomnieli. „To gdzieś tam musi być. Mam to na końcu języka”. I płacą mi za to, żebym ich zahipnotyzował, bo chcą na nowo odkryć to, o czym zapomnieli. Czasami udaje się doskonale. Pomagam im odnaleźć zagubione obrączki lub biżuterię. A potem są całusy i darmowy szampan.

– Sidney, zahipnotyzuj mnie. Cofnij mnie do wczorajszego popołudnia, kiedy poszliśmy do Rialto. Cofnij mnie do chwili, gdy Hetti otworzyła drzwi.

– To nie jest dobry pomysł, Conor. Masz już zakłócenia w korze mózgowej wywołane burundangą. To nie będzie dla ciebie dobre, zwłaszcza w tym stanie umysłu.

– Nie mam przecież wyboru, prawda?

Sidney odsunął koc i wstał. Miał na sobie długą różową koszulkę z czerwonym nadrukiem Golden Gate Bridge. Jego palce u nóg były owłosione i suche jak korzenie drzew.

– A więc dobrze... jeśli tego właśnie chcesz. Usiądź spokojnie i bądź cicho. Oddychaj głęboko i spróbuj się odprężyć.

– Jestem odprężony – zapewnił go Conor.

– Och, nie. Nie jesteś. Prawdę mówiąc, jesteś bardzo spięty. Ale to żaden problem.

Musisz uczyć się negatywnych rzeczy tak samo jak pozytywnych. Musisz nauczyć się, że możesz dużo łatwiej o czymś zapomnieć, niż przypomnieć sobie o tym. Wiesz, co mawiał

Erickson? Możesz powiedzieć studentom medycyny: „Egzamin odbędzie się w czwartek w sali numer siedemnaście w budynku C i zacznie się o drugiej po południu”. Kiedy obrócisz się, by opuścić salę, zobaczysz, że studenci nachylają się do siebie i pytają: „Kiedy?”, „W

jakiej sali?”, „W którym budynku?”, „O której godzinie?”. Usłyszeli, co powiedziałaś, lecz natychmiast o tym zapomnieli. Informacja jednak gdzieś tam jest i ciągle możemy ją odzyskać. Musisz po prostu zrelaksować się i cofnąć do najlepiej zapamiętanej chwili poprzedzającej wydarzenie, które chcesz sobie przypomnieć.

– Usiłowałem zhipnotyzować kierowcę taksówki – odparł Conor. – Nie wyszło, więc dałem mu napiwek i wysiadłem. Potem Ric podszedł do wejścia na scenę i nacisnął dzwonek.

Sidney usiadł obok Conora.

– A co się stało później? – zapytał, czubkiem palca głaszcząc wierzch prawej dłoni Conora. Jego dotyk był jednocześnie kojący i drażniący; mężczyźni nie dotykają się zazwyczaj w ten sposób.

W drzwiach stanął Sammy. Conor widział, że kiwa głową i porusza ustami, ale nie słyszał, co mówi. Weszli za starym portierem do teatru. Conor wiedział, że znajduje się w pokoju Sebastiana, był świadom obecności Sidneya, lecz jednocześnie szedł teatralnym korytarzem. Było to tak wyraźne, jakby rzeczywiście tam był.

– Dochodzisz do garderoby – powiedział Sidney. – Wahasz się przez chwilę. Potem drzwi się otwierają i pojawia się Magda Sianie.

– Widzę ją. Jest ubrana na czarno.

– Próbuje zwrócić twoją uwagę, ale zapomnij o niej. Miń ją, wejdź do pokoju i rozejrzyj się. Zrób to powoli. Nie spiesz się.

Conor wszedł do garderoby. Na oparciu kanapy piętrzyła się sterta ubrań, które już przedtem widział. Na toalecie leżały porozrzucane podkłady, błyszczyki do ust i konturówki do oczu. Conor był pewien, że gdyby dokładniej przyjrzał się kosmetykom, mógłby przeczytać znaki firmowe. Revlon, Christian Dior, Oil of Olay.

– Widzę ubrania i kosmetyki.

– Co jeszcze? Widzisz jakieś listy, bilety, kartki papieru?

Trzy puste butelki po wódce. Taca. Pomięta paczka marlboro. Na pół zjedzone czekoladowe ciastko w opakowaniu Entenmanna. I coś jeszcze... Butelka z tabletkami.

Pochylił się i spojrzał na etykietę. Pani Magda Sianie. Phenelzina. Kaufman Pharmacy, przy Lexington Avenue i Pięćdziesiątej Ulicy, NY 10022. Telefon 755 2266.

Zamrugał oczami i obudził się z transu.

– Daj mi ołówek – poprosił Sidneya. – Muszę to zapisać, zanim zapomnę. Phenelzina.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Eleanor.

– Usłyszałam, że rozmawiacie... Nie mogłam spać.

– Wejdz – powiedział Conor i podał jej kawałek papieru, na którym zapisał nazwę lekarstwa Magdy Sianie. – Wiesz, co to może być?

– Inhibitor monoaminy oksydazy – odparła Eleanor i pokiwała głową. – To dość popularny środek antydepresyjny. Brała go moja siostra, gdy mąż ją opuścił.

– A więc Hetti cierpi na depresję... – mruknął Sidney. – Któż by jej nie miał przy takim trybie życia, jaki ona prowadzi.

– Nie o to chodzi – przerwał mu Conor. – Depresja to stan długotrwały, prawda?

Widziałem, że w butelce zostało tylko kilka kapsulek. A to oznacza, że Hetti prawdopodobnie zjawi się wkrótce w aptecce Kaufmana.

– Chyba nie sugerujesz, żebyśmy obstawili tę aptekę? – zapytał Sidney, choć w jego głosie pojawił się cień podniecenia.

– Żartujesz? Apteka Kaufmana jest otwarta przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Nie, mogę zrobić coś dużo lepszego. Znam prawie wszystkich, którzy tam pracują. Kiedy byłem wywiadowcą, zawsze chodziłem tam na kawę i kanapki.

Zamierzam poprosić ich, żeby zadzwonili do mnie, gdy Magda Sianie znowu się tam pojawi.

– To mi wygląda na trudne przedsięwzięcie – zauważyła Eleanor.

– Bo takie jest. Ale ja zawsze mam do czynienia z trudnymi przedsięwzięciami.

## 19

Na spotkanie w Central Parku przyszedł trochę za wcześnie. Przed wejściem do ogrodu zoologicznego było pełno ludzi: dzieci ze szkolnej wycieczki biegały w kółko, przekrzykiwały się i śmiały. Conor oparł się o ścianę i wypatrywał mężczyzny w panamie.

Obok przechodziło właśnie dwóch gliniarzy; jeden z nich przyglądał mu się podejrzliwie.

Conor miał mu ochotę powiedzieć: „Niech się pan mną nie przejmuj, nie jestem pedofilem.

Jestem tylko dekoracją w tym ogrodzie różności”.

Dokładnie o 11:35 pojawił się szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki. Miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami, na nosie okulary przeciwsłoneczne, a na głowie panamę z czerwoną wstążką.

Pod pachą ścisnął gazetę. Zatrzymał się w samym środku kłębowiska rozbieganych dzieci i rozejrzał lękliwie dookoła.

Conor nie podszedł do niego od razu. Najpierw sprawdził, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto wyglądałby na policjanta po cywilnemu, ochroniarza lub bandytę. Widział jednak tylko nianie z szalejącymi dziećmi, udręczone nauczycielki i sprzątacza z walkmanem, zbierającego niedopałki papierosów.

W końcu oderwał się od ściany i zaczął przedzierać się przez kłębowisko dzieci.

Szturchnął w łokieć nieznajomego mężczyznę. Ten odwrócił się gwałtownie, natychmiast jednak rozpoznał Conora i cofnął się niepewnie o krok.

Conor pokazał mu dużą żółtą kopertę. Nie miał pojęcia, kim jest ten człowiek ani co jest w kopercie. Nieznajomy wyglądał na bardzo spiętego, a jego niepokój wibrował jak dźwięk gwizdka wydającego niesłyszalne dla innych dźwięki i sprawiał, że jego nerwy przez cały czas były napięte do granic możliwości.

– Czy kiedy pieniądze zostaną przelane, dostanę wszystko z powrotem? – zapytał. – Taka jest umowa, prawda?

Conor nic nie odpowiedział. Po prostu nie wiedział, co powiedzieć. Podał mężczyźnie kopertę, a ten rozerwał ją i zajrzał do środka.

– Gówno – wymamrotał, a potem spojrzał na Conora i potrząsnął głową. – Kiedyś myślałem, że jest pan kimś w rodzaju bohatera... To zabawne, prawda?

– Niech pan zorganizuje pieniądze, dobrze? – powiedział Conor. – Im szybciej to wszystko się skończy, tym lepiej.

– Jesteś cholernym oszustem – warknął mężczyzna.

Conor oddałby wszystko, by móc powiedzieć mu prawdę. Ale mógł jedynie odwrócić się i odejść, zostawiając go z kopertą w dłoniach wśród gromady rozbawionych dzieci. Może i sprawiam wrażenie oszusta, pomyślał, lecz tylko jeden Bóg wie, jakie twoje grzechy ujawniają te papiery, skoro jesteś gotów zapłacić za nie pięć milionów. Szedł w kierunku Sześćdziesiątej Czwartej, gdy nagle usłyszał jakiś dziecięcy głos, wołający: „Tatusiu!”.

Każdy tatuś w anglojęzycznym świecie jest nazywany tatusiem, więc nie zwrócił na to uwagi i szedł dalej. Po chwili usłyszał za sobą zbliżające się kroki. Odwrócił się i zobaczył

Fay. Ciemnowłosą, wielkooką, w letniej różowej sukience, o długich ramionach i nogach, z aparatem na zębach.

– Hej, nie mogę w to uwierzyć! Mój cukiereczek! – Podniósł ją do góry, obrócił dookoła i mocno przytulił.

– Tatusiu, co tutaj robisz? Mama powiedziała, że zamknęli cię w więzieniu!

– W więzieniu? Mnie? Tylko kryminaliści siedzą w więzieniu!

– Widziałam w wiadomościach. Powiedzieli, że policja cię szuka.

Conor podrapał się po nosie.

– To nieporozumienie. Wiesz, jacy głupi są gliniarze. Ja chyba najlepiej to wiem. Kiedyś byłem jednym z nich. – Zmrużył oczy przed ostrym słońcem i rozejrzał się dokoła. – A gdzie jest twoja matka? Chyba nie jesteś sama?

– Jej matka jest tutaj – odezwał się czyjś matowy głos.

I rzeczywiście była; ze ściągniętymi w koński ogon ciemnymi włosami jeszcze bardziej niż zazwyczaj przypominała Audrey Hepburn. Miała na sobie jedwabną purpurowo-błękitną bluzkę oraz białą spódnicę, która kończyła się tuż nad kolanami. Conor zawsze uważał, że ubiera się zbyt poważnie i staromodnie jak na swój wiek.

– Paula... świetnie wyglądasz. Zeszczuplałaś. Do twarzy ci z tym.

– Możesz postawić moją córkę na ziemi?

Conor uściskał Fay i powiedział:

– Jak sądzisz, cukiereczku? Myślisz, że powinienem postawić jej córkę na ziemi?

Fay zakryła oczy wierzchem dłoni. Zawsze tak robiła, gdy Conor i Paula zaczęli się kłócić. Conor włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej białą chusteczkę. Zwinał ją, pomógł

sobie zębami i nadał jej kształt królika z wielkimi kłapciastymi uszami.

– Może zapytamy Pana Królika, co o tym myśli?

Fay spojrzała na niego przez palce.

– Jestem za duża na Pana Królika – oświadczyła.

– Daj spokój, Conor. Postaw ją na ziemi – powtórzyła Paula.

– Może jesteś za duża na Pana Królika, lecz on ciągle za tobą tęskni. Ja zresztą też.

Fay wyslizgnęła się z jego uścisku. Conor popatrzył na nią ze smutkiem.

– Myślałam, że już cię złapali – powiedziała Paula.

– Nic nie zrobiłem. To nieporozumienie.

– Oczywiście. Zawsze byłeś prawy i uczciwy, prawda? Zawsze postępowałeś słusznie, bez względu na to, jak bardzo to wszystkim raniło. Zdradziłeś kolegów, zdradziłeś mnie i swoją córkę. A wszystko w imię swoich beczennych zasad! Spójrz na siebie. Poszukiwany za kradzież. Jak się mają teraz do tego te twoje zasady?

– Ja naprawdę nic nie zrobiłem. Przysięgam na moje życie. Przysięgam na Fay.

Paula spojrzała na niego z taką nienawiścią, że poczuł chłód.

– Nigdy nie przysięgaj na życie mojej córki. To przez ciebie Fay nie ma teraz ojca. Nie przyszło ci do głowy, co się stanie z tobą i twoją rodziną, gdy likwidowałeś ten Klub Golfowy? Komu zagrażali? Nikomu z wyjątkiem mafii, szumowin i mętów! Dlaczego, na Boga, nie udawałeś, że tego nie widzisz? Dlaczego nie patrzyłeś na to przez palce?

Conor spojrział w dół i zobaczył, że w zgięciu łokcia ciągle trzyma Pana Królika. Dorosły mężczyzna z „chusteczkowym” królikiem.

Nie wiedział, co powiedzieć Pauli. Zlikwidował Klub Golfowy, ponieważ ci ludzie „byli źli”? To brzmiało tak infantylnie. Ale przecież właśnie dlatego to zrobił.

– Jeśli jesteś niewinny, dlaczego się nie poddasz i nie udowodnisz tego?

– To nie takie proste, jak się wydaje.

– Właśnie, że tak. Pokażę ci, jak to zrobić – oświadczyła i podniosła rękę. – Policja!

Tutaj, policja! – zawołała.

– Do diabła, Paula, co ty wyprawiasz?! – krzyknął.

Ale ona odskoczyła od niego i dalej machała ręką.

– Policja! Tutaj jest mężczyzna, którego poszukujecie! Szybko!

Conor złapał ją mocno za ramię i spojrział prosto w twarz.

– To boli... – syknęła i uśmiechnęła się z triumfem. – Ale w tym jesteś dobry, prawda? W sprawianiu ludziom bólu.

– Tatusiu! – zawołała Fay. – Tatusiu, policjanci tu biegną!

Przez ułamek sekundy Conor dostrzegł w twarzy Pauli kobietę, w której kiedyś się zakochał. Nadal tam była, lecz dla niego zupełnie niedostępna. Gdyby tylko mógł powiedzieć coś, co by sprawiło, żeby wróciła. Jedno słowo. Ale w tym momencie usłyszał wołanie policjantów:

– Stać! Niech pan się nie rusza!

– Tatusiu!

Nie odwrócił się. Zanurkował obok Pauli i zaczął biec, roztrącając uczniów, turystów i grupkę zakonnic.

– Stać! Zatrzymać się albo będę strzelać! – wrzeszczał policjant, ale Conor wiedział, że nie zaryzykuje trafienia jakiegoś dziecka.

Przebiegł obok basenu z fokami i karuzeli, a potem wybiegł z parku przy Sześćdziesiątej Czwartej. Nie zważając na ruch uliczny, przebiegł Piątą Aleję, niemal przeskakując przez dach jakiejś taksówki. Zanim policjanci pojawili się na horyzoncie, skręcił w Sześćdziesiątą Trzecią i zniknął.

## 20

Eleanor spędziła cały poranek przy telefonie. Rozmawiała z każdym agentem teatralnym, który jej przyszedł do głowy, próbując trafić na ślad Hypnosa i Hetti.

Trwało to bardzo długo. Większość agentów była zadowolona, że do nich dzwoni. Chcieli całymi godzinami rozmawiać o starych dobrych czasach na Broadwayu, o Lee Strasbergu i Benie Gazzara, o Christine White, Harrym Guardiano i Jayu Julienie. Każda rozmowa coraz bardziej ożywiała Eleanor i dodawała blasku jej oczom, więc nikt jej nie ponaglał, mimo że sprawa była niecierpiąca zwłoki. Rozmawiała i śmiała się, a Sidney siedział obok niej i patrzył na nią z czułością.

– Co za kobieta! – powiedział z podziwem, gdy Conor wszedł do pokoju.

Po ucieczce z Central Parku Conor poszedł do teatru Rialto i jeszcze raz porozmawiał z portierem Sammym oraz kilkoma osobami z zespołu *Franklina*. Hypnos i Hetti musieli dobrze wykorzystać swoje umiejętności, ponieważ prawie nikt nie mógł sobie przypomnieć, że tam byli.

Pewna młoda dziewczyna z chóru oświadczyła:

– Pamiętam, że w korytarzu widziałam jakiegoś mężczyznę i kobietę... ale miałam wrażenie, że nie powinnam na nich patrzeć.

– Widziałem ludzi, których tu nie było – powiedział jeden z tancerzy. – Zaczynam myśleć, że ten teatr jest nawiedzony. No wie pan, przez duchy.

Conor wrócił do mieszkania Sebastiana o trzynastej pięćdziesiąt sześć. Był zgrzany, zmęczony i nie miał żadnych nowych informacji.

– Czy Eleanor się poszczęściło? – zapytał Sidneya.

– Na razie nie. Wszyscy pamiętają Hypnosa i Hetti. Któż by o nich zapomniał? Ale nikt nie ma pojęcia, gdzie teraz są.

– Macie ochotę na szklaneczkę *chablee*? – przerwał im Ric, wchodząc tanecznym krokiem do pokoju. Miał na sobie czarne dżinsy i białą jedwabną koszulę. – A może chcielibyście, żebym otarł wam pot

z czółek?

Zadzwonił telefon Sebastiana. Ric podniósł słuchawkę i powiedział:

– Taaak?

Po chwili zmarszczył brwi i podał ją Conorowi.

– To do ciebie. Jakiś Morrie Teitelbaum.

– Morrie? Co się dzieje? – zapytał Conor, a potem położył dłoń na słuchawce i wyjaśnił:

– To Morrie z Kaufmana.

– Conor, ta kobieta, na którą mieliśmy mieć oko... Jakies dwie, trzy minuty temu weszła do apteki... Jimmy powiedział jej, że przygotowanie lekarstwa trochę potrwa... Wróci tutaj za dziesięć minut.

– Morrie, czeka na ciebie wspaniałe miejsce w niebie.

– Daj spokój z niebem. Wystarczą mi dwa tuziny White Owls.

Conor wyłączył telefon.

– Znaleźliśmy ją. Sidney, Ric, Sebastian, chcecie iść ze mną?

– A co z burundangą? – zapytał Ric. – Przypuśćmy, że znowu dmuchną tym na nas? Bóg jeden wie, co jeszcze mogą nam zrobić.

– Weź jakiś szalik – zaproponował Sidney. – Jeżeli Perez znowu to zrobi, przyciśniesz go do nosa i ust.

Ric przyniósł cztery szaliki w jaskrawych kolorach i rozdał je.

– Będziemy wyglądali jak piraci – stwierdził ze śmiechem.

Pozbierali portfele, klucze i zaczęli szykować się do wyjścia. Nagle Eleanor podniosła rękę i zawołała:

– Sidney! Conor! Zaczekajcie chwilę!

– O co chodzi, Bipsy? – zapytał Sidney.

Eleanor ciągle wisiała na telefonie.

– Rozmawiam właśnie z Normanem Frischem. Pamiętacie Normana? Robił wszystkie obsady dla *April in Augusta*. Niecały tydzień temu widział Hypnosa i Hetti w Shark Bar na Amsterdam Avenue.

– Naprawdę?



– Rozpoznał faceta, z którym rozmawiali. To ten pomyłony bogaty baptysta, który próbował odwołać spektakl *Ewangeliści w Lyceum* pod zarzutem, że to bluźnierstwo.

– Och, jasne, przypominam sobie. Ale nie pamiętam jego nazwiska.

– Victor Labrea – powiedziała Eleanor.

– Victor Labrea?! – zawołał zaskoczony Conor. – To facet, który pracuje dla Dennisa Evelyn Brancha. To on przetrzymuje Lacey.

– Cóż... Jeśli odnajdziemy Hetti, będziemy mieli szansę odnaleźć także jego – stwierdził Sidney. – A jeśli go odnajdziemy, będziemy mieli szansę odnaleźć również twoją Lacey.

– Chodźmy – ponaglił ich Conor. – Ale na Boga, tylko spokojnie. Ci pomyłeńcy są zdolni do wszystkiego.

Pojechali taksówką na skrzyżowanie Lexington i Czterdziestej Dziewiątej, które znajdowało się jedną przecnicę na południe od apteki Kaufmana. Znowu było bardzo gorąco i parno, lecz w przeciwieństwie do poprzednich dni niebo miało dziwny brunatny odcień, było jakby zasnuwane wyblakłym brązem. Kiedy Conor wysiadał z taksówki, wydawało mu się, że słyszy dalekie dudnienie burzy.

Zostawił Sidneya przed sklepem z upominkami, który znajdował się naprzeciwko apteki Kaufmana. Sebastian stanął na wschodnim skrzyżowaniu Lexington i Pięćdziesiątej Pierwszej

– na wypadek, gdyby Hetti wyszła z apteki i skierowała się na północ. Ric stanął po wschodniej stronie Lexington przy skrzyżowaniu z Czterdziestą Dziewiątą. Conor wszedł do środka.

Apteka była klimatyzowana i jasno oświetlona. Conor spojrzął szybko w stronę półek z lakierami do włosów i przecenionymi perfumami, aby upewnić się, że Hetti jeszcze nie przyszła. Kiedy ukończył Akademię Policyjną, u Kaufmana była długa lada, na której stały ciastka przykryte szkłem, a z tyłu znajdowała się wąska kuchnia, w której serwowano mięso, tłuczone ziemniaki oraz kurczaka z groszkiem i sosem. Tego wszystkiego już nie było, lecz pozostał Morrie oraz trzy lub cztery inne osoby, które pamiętały, jak Conor przychodził tu głodny i zmęczony po skończonej służbie.

– Jeszcze nie wróciła. – Morrie był ledwie widoczny znad lady. Miał łysą piegowatą głowę, gęste bokobrody i nosił okulary w ciężkiej oprawie.

Conor sprawdził godzinę na zegarze ściennym.

– Powiedziałaś jej, żeby przyszła za dziesięć minut?

– Na pewno wróci – oświadczył wysoki rudy aptekarz stojący na tyłach sklepu. –

Przychodzi tu regularnie. Bardzo dziwna kobieta. Przyprawia mnie o dreszcze.

– Jak leci, Conor? – zapytał Morrie. – Słyszałem o tym rabunku u Spurrsa. Ciągłe próbują cię za to przygwoździć?

Conor pokiwał głową.

– Drew Slyman siedzi mi na ogonie. To facet, który nie uwierzy w twoją niewinność nawet wtedy, gdy ją udowodnisz.

– Drew Slyman? Nigdy go nie lubiłem.

W tym momencie Morrie powiedział:

– Hej... właśnie idzie. Chcesz tutaj wejść?

Otworzył drzwi i wpuścił Conora za ladę, aby mógł być niewidoczny z miejsca, gdzie znajdowały się półki z kosmetykami. Conor usłyszał najpierw skrzypienie otwieranych drzwi, odgłosy ruchu ulicznego, a potem stukot wysokich obcasów Hetti. Zobaczył jej odbicie w lusterku do robienia makijażu stojącym na jednej z półek. Miała na głowie czarny słomkowy kapelusz z szerokim rondem i była ubrana w krótką czarną sukienkę ze srebrną błyszczącą broszką. Wyglądała, jakby właśnie wybierała się na jakiś pogrzeb w Beverly Hills.

– Przepraszamy za spóźnienie – powiedział Morrie i podał jej lekarstwo. – I jeszcze zwyczajowe ostrzeżenie... Proszę przyjmować tego w połączeniu z alkoholem lub innymi lekami, zwłaszcza z fenylopropalamina.

Hetti włożyła pigułki do torebki, a potem podniosła głowę i powiedziała:

– Jest pan czymś poruszony. Stało się coś złego?

– Słucham? Poruszony?

– Tak. Wyczuwam to. Coś jest nie w porządku.

– Hej, wszystko układa się świetnie... Żona ma wszystkiego dosyć, jeden z synów został przyłapano najeździe po pijanemu, kot jest chory, a na weekend przyjeżdża teściowa.

Dlaczego miałbym być poruszony?

Hetti nie odzywała się przez długą, naprawdę długą chwilę. Conor zeszywniał i przycisnął głowę do pudełek z lekarstwami. Gdyby patrzył na jej odbicie, wystarczyłoby, żeby Hetti spojrzała w kierunku lustra, a wtedy na pewno by go zobaczyła. Ale ona nie spuszczała wzroku z Morriego i milczała. Jej oczy były pozbawione blasku i przypominały dwa czarne żuki.

– Hmm... – mruknęła w końcu i odwróciła się w stronę wyjścia. Conor już chciał

podnieść głowę, gdy Hetti zatrzymała się i jeszcze raz popatrzyła na Morriego. – Jest coś...

Nie wiem co. Chyba powinien się pan zdecydować na małą hipnoterapię.

– Jasne. Na pewno to zrobię. Cała przyjemność po mojej stronie. Życzę miłego dnia.

Hetti wyszła ze sklepu. Morrie odczekał chwilę, wyglądając na ulicę, a potem dotknął ramienia Conora i powiedział:

– W porządku. Przechodzi przez Pięćdziesiątą i kieruje się w stronę śródmieścia.

Powodzenia. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Dzięki, Morrie – odparł Conor. – *Mazel tow.*

Wyszedł z apteki na ulicę. Na zewnątrz było wilgotno jak w łaźni parowej. Sidney zauważył już Hetti i szedł po przeciwnej stronie Lexington Avenue, jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt stóp za nią. Ric także ją dostrzegł. Opuścił narożnik Czterdziestej Dziewiątej i szedł trzy przecznice przed nią.

Conor spojrzął za siebie i zobaczył Sebastiana. Hetti była w potrzasku, bez względu na to, w jakim kierunku zamierzała pójść.

Zatrzymała się na Czterdziestej Dziewiątej, a potem przeszła przez Lexington Avenue i skierowała się na zachód. Szła w górę Czterdziestej Dziewiątej w stronę Park Avenue. Conor zagwizdał i pomachał do Rica, że powinien iść w tym samym kierunku Czterdziestą Ósmą i pospieszyć się, aby znaleźć się tam przed Hetti.

Niebo było ciemne i posępne. Na chodnik spadły pierwsze wielkie krople deszczu. Gdy Hetti doszła do Park Avenue, w budynek PanAmu uderzyła oślepiająca błyskawica, a po niej rozległ się łoskot grzmotu. Deszcz zaczął padać coraz obficie i zanim Conor i Sidney dotarli na miejsce, lał się już strumieniami.

– Gdzie ona jest? – zapytał Sidney, rozglądając się gorączkowo. – Tylko mi nie mów, że ją zgubiliśmy.

– Nie – uspokoił go Conor. – Jest tam.

Hetti wchodziła właśnie przez obrotowe drzwi hotelu Waldorf-Astoria.

Przebiegli przez ulicę, rozbryzgując kałuże wody, i schronili się pod hotelowym baldachimem. Conor ostrożnie zajrzał przez drzwi. Zobaczył przestronny hol urządzonego w stylu lat trzydziestych. Hetti stała przy sali bankietowej i rozmawiała z rumianym mężczyzną w żółtym sportowym płaszczu. Nieznajomy miał gęste czarne wąsy i krótko ostrzyżone włosy tego samego koloru. Hetti skinęła głową i zrobiła prawą ręką okrężny gest. Mężczyzna pochylił się lekko w jej stronę, żeby lepiej słyszeć, ale nie wyglądał na zbyt przejętego tym, co mówiła.

Sidney natychmiast go rozpoznał.

– To ten twój facet – oświadczył. – W zeszłym miesiącu był o nim artykuł w „Theater”.

Chodziło o to, że grupy wywierające presję religijną zagrażają swobodzie wyrazu artystycznego.

Dołączył do nich Ric i potrząsnął głową niczym mokry pies. Po chwili doszedł również Sebastian.

– Spójrzcie na tę jedwabną koszulę... – jęknął. – Powinno się ją czyścić tylko na sucho!

Niebo przecięła następna błyskawica, a po niej przeszła kolejna lawina grzmotów. Tuż obok nich portier Waldorf-Astorii rozłożył olbrzymi parasol i wyszedł na spotkanie białego ogromnego cadillaca. Z przedniego siedzenia wygramolił się tłusty ochroniarz, który towarzyszył Hypnosowi w teatrze Rialto. Tym razem miał na sobie elegancki szary garnitur, ale jego policzek nadal zdobiły dwa siniaki – pozostałości po kopniaku Sebastiana. Na nosie miał przyklejony plaster.

Podciągnęli wyżej kołnierze i przesłonili rękami twarze, aby ochroniarz ich nie rozpoznał.

Nie musieli się jednak o to martwić, bo przy wejściu do hotelu zebrało się tylu przemoczonych ludzi, że nie mógł ich zauważyć. Poza tym był zbyt zajęty swoją podopieczną, blondynką około czterdziestki ubraną w krótką białą sukienkę od Valentina.

Kobieta wysiadała właśnie z obitego białą skórą i dyskretnie oświetlonego tylnego siedzenia cadillaca.

Ochroniarz wprowadził ją do hotelu, a goniec z nieszczęśliwą miną zbierał torby i pakunki od Bergdorfa Goodmana, Normy Kamali, Charlesa Jourdana i z galerii Lafayette.

Blondynka od razu podeszła do Hetti i Victora Labrei. Pochyliła się i pocałowała mężczyznę w policzek, a on chwycił ją za rękę. Conor zobaczył, że wszystkie jego palce zdobią ciężkie złote pierścienie, a bransoleta mogłaby posłużyć do zaczepienia kotwicy.

Kobieta strzepnęła niewidoczny włos z ramienia Victora Labrei. Miała długie, pomalowane na purpurowo paznokcie. Bez przerwy go klepała lub głaskała, zupełnie ignorując Hetti. Jej zachowanie wskazywało, że obecność tamtej nie bardzo przypadła jej do gustu. W pewnym momencie wyglądało nawet, że się o coś kłóca.

Nagle rozmowa się skończyła. Victor Labrea wstał i zaczął iść w kierunku wind, a za nim natychmiast podążyły obie kobiety.

– To jest to – mruknął Conor. – Dowiedzmy się, w którym pokoju mieszkają.

– A potem co? – zapytał Sebastian.

– Wejdziemy, uwolnimy Lacey i zabierzemy rzeczy skradzione z depozytu. To wszystko.

– Tak po prostu wejdziemy i uwolnimy Lacey?

– Masz jakieś inne propozycje?

Sebastian nabrał powietrza w płuca i położył ręce na biodrach.

– Inne propozycje? – Milczał przez pięć, sześć sekund, a potem odparł: – Nie, chyba nie mam.

– A więc zrobmy to, zanim będzie za późno.

Weszli do holu z wielkimi żyrandolami, połyskującymi kolumnami i rzeźbami w stylu art deco. Grzmoty, błyskawice i mrok, który zapanował w samym środku dnia, tworzyły apokaliptyczną scenę. Wokół recepcji tłoczyli się elegancko ubrani goście hotelowi, zirytowani i niezadowoleni, że burza zniweczyła ich wyprawy na zakupy do Bloomingdale'a albo na umówione spotkania w Quilted Giraffe.

Mimo łagodnych, kojących dźwięków fortepianu było w tym wszystkim coś z atmosfery *Tragedii Posejdon* – jakby świat nagle przewrócił się do góry nogami.

Conor podszedł szybko do kontuaru recepcjonisty. Pakunki i torby blondynki leżały już na wózku, gotowe do wyruszenia w drogę do jej pokoju. Recepcjonista rozmawiał przez telefon. Był to uprzejmy i nudny jegomość w okularach w stalowej oprawce.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, zasłaniając słuchawkę dłonią.

– Nie wie pan, kim jestem?

– Słucham?

– Nie zna pan mojego nazwiska?

– Żałuję, ale...

– Nie możesz przypomnieć sobie, jak się nazywam, ale jesteś tu po to, żeby mi pomóc.

Nadal usiłujesz przypomnieć sobie moje nazwisko, ale to zupełnie bez znaczenia. Jeśli zrobisz to, o co cię poproszę, będziesz mógł się odprężyć. Chciałbyś się zrelaksować, prawda?

– Oczywiście, proszę pana.

– Odpręż się. Nie musisz przejmować się tym, co mówię. Zadam ci kilka pytań, a ty musisz jedynie pozwolić swojej podświadomości, by na nie odpowiedziała.

– Tak.

– Tutaj są pewne bagaże. Czy wiesz, do kogo należą?

– Do pani Labrei, proszę pana. Prosiła, by zanieść je na górę do jej pokoju.

– Jaki jest numer pokoju pani Labrei?

– Siedemset jedenście, proszę pana.

– Doskonale. Widzisz, jakie to proste, gdy czujesz się zrelaksowany? Teraz zabiorę te pakuiki do pokoju pani Labrei, a ona będzie bardzo zadowolona, że tak szybko wykonałeś swoją pracę.

– Tak, proszę pana. Bardzo dobrze.

Conor ostrożnie podniósł zakupy blondynki. Podał Sebastianowi dwie torby – w jednej z nich znajdowały się buty od Charlesa Jourdana. Sebastian obejrzał je. Były to wieczorowe czółenka z purpurowych skórzanych paseczków.

– Spójrzcie na to! – zawołał. – Są cudowne! Ciekawe, czy mają takie w moim rozmiarze.

Sidney przyłożył palec do ust. Wiedział, że trans, w który Conor wprowadził

recepjonistę, jest bardzo powierzchowny. Byle hałas mógł rozproszyć uwagę tego człowieka, a kiedy otrząsnąłby się z hipnozy, przyłapałby ich na gorącym uczynku.

– Dokładnie za minutę obudzisz się z transu – powiedział Conor do recepcjonisty. – Nie będziesz pamiętał, że zabrałem zakupy pani Labrei. Zrobił to chłopiec hotelowy. Będziesz szczęśliwy, zadowolony i spokojny.

Zabrali zakupy i poszli w kierunku wind. Conor spojrzał za siebie; recepcjonista powrócił

do swojej rozmowy telefonicznej i wydawał się całkowicie beztroski. Musieli się trochę cofnąć, bo z windy wychodziła właśnie grupa kobiet w strojach od Armaniego i Chanel, pozostawiając za sobą ciężki zapach markowych perfum. Powietrze w windzie było tak gęste, że można było je niemal zobaczyć.

– Macie swoje szaliki? – zapytał Sidney. – Dobra. Jeśli zauważycie, że Hypnos zamierza rozpylić burundangę, zakryjcie ręką nosy i usta, a potem wyciągnijcie szaliki. Zachowajcie spokój. Nie pozwólcie, by Hypnos i Hetti was oszołomili. Idziemy tam po to, by uwolnić Lacey. A jeśli to będzie możliwe, spróbujemy odzyskać papiery ukradzione z depozytu. Nic więcej, pamiętajcie.

Winda zatrzymała się ze świstem na siódmym piętrze.

– Siedemset jedenście jest na lewo – powiedział Conor. – Hypnos i Hetti z pewnością wybrali najdogodniej położony pokój.

Ruszyli cichym, zimnym korytarzem i po chwili doszli do pokoju oznaczonego numerem siedemset jedenście. Przed drzwiami leżała taca z zeschniętymi resztkami smażonego kurczaka, ziemniaków i rosyjskiej sałatki.

– Jak się tam dostaniemy? – zapytał Sebastian. – Jestem dobry, ale nie na tyle, by wyważyć drzwi.

– Zapukamy – odparł Conor.

Podszedł do drzwi i trzy razy głośno zapukał. Potem pokazał Sebastianowi, że powinien stanąć z zakupami pani Labrei tuż przed judaszem.

Przez dłuższą chwilę nikt nie odpowiadał. W końcu jakiś głos zapytał:

– Kto tam? Czego chcesz?

– Recepcjonista. Przyniosłem zakupy.

– Nie widzę twojej twarzy.

– Słucham?

– Połóż paczki. Nie widzę twojej twarzy.

– Bardzo pana przepraszam, ale jestem strasznie obładowany i zaraz wszystko mi spadnie. Jeśli więc nie ma pan nic przeciwko temu...

W tym momencie Conor usłyszał ostry kobiecy głos:

– Charlie? Czy to moje zakupy? Otwórz te drzwi, na miłość boską.

Drzwi się otworzyły. Conor zaczekał, aż opadnie łańcuch, a potem kopnął je z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć.

– Naprzód! – krzyknął i obiema rękami pchnął człowieka stojącego w drzwiach.

Mężczyzna potknął się, uderzył głową w ścianę i upadł ciężko na dywan.

– Charlie! – wrzasnęła kobieta.

Conor wszedł do pokoju, a za nim podążyli Sidney, Sebastian i Ric. Pokój był wielki i ponury, umeblowany drogimi imitacjami antyków. Hetti, bez butów, siedziała na fotelu.

Hypnos stał przy małym barku po drugiej stronie pokoju. W ręce trzymał miniaturową butelkę tequili. Pani Labrea właśnie wstawiała z kanapy.

– Kim jesteście? – zapytała. – Jak śmiecie wdzierać się tutaj w taki sposób? Ramon, zobacz, co z Charliem. Upewnij się, czy wszystko w porządku.

– Ramon, zostań tam, gdzie jesteś – ostrzegł Hypnosa Conor. – Przyniosłem zakupy –

zwrócił się do pani Labrei. Wziął pakunki od Sebastiana i rzucił je na podłogę.

– Ramon, wezwij ochronę – warknęła pani Labrea. – Czego chcecie? Gotówki? Mam dużo pieniędzy.

– Gdzie jest Lacey? – zapytał Conor.

– Lacey? Kto to jest Lacey?

– Nie róbcie ze mnie głupka. Gdzie ją trzymacie?

Conor podszedł do sypialni, otworzył drzwi i zajrzał do środka. Sypialnia była pusta, na łóżku leżała bielizna w brzoskwiniowym kolorze.

– No mów, Ramon, gdzie ona jest?

– Nie ma jej tutaj, panie O’Neil. Przykro mi.

– A więc gdzie jest?

– Czy pan naprawdę sądzi, że wielebny Branch trzymałby ją tutaj? – zapytała Magda. –

Jego umysł nie jest tak prostacki jak pański.

– Kim jest ten szaleniec? – chciała wiedzieć pani Labrea.

Ramon odstawił butelkę tequili i ruszył do przodu tanecznym krokiem. Prawdziwy profesjonalista, pomyślał Conor.

– Proszę pozwolić, że go pani przedstawię. To Conor O’Neil, kiedyś kapitan nowojorskiej policji, a później szef bezpieczeństwa Spurrsa na Piątej Alei.

– Rozumiem – odparła pani Labrea. Nie była piękna. Miała wylupiane oczy i lekko haczykowaty nos, ale była tak wytwornie ubrana, że wytwarzała wokół siebie aurę władzy, bogactwa i pewności siebie. Stalowa magnolia. – A więc to jest ten człowiek, którego wszyscy oskarżają o kradzież dokumentów z depozytu?

– Właśnie. Jak pan nas znalazł, panie O’Neil? Dobry kawał detektywistycznej roboty.

– Chyba najlepiej będzie, jak pan stąd wyjdzie – stwierdziła pani Labrea i złapała za telefon.

W tym momencie podszedł do niej Ric i wyrwał jej słuchawkę z ręki.

– Co pan wyprawia?! – zaprotestowała pani Labrea, ale Ric przerzucił słuchawkę z jednej ręki do drugiej i nie pozwolił, by ją chwyciła.

– Oddaj mi to, ty draniu! – krzyknęła, tracąc panowanie nad sobą.

– Gdzie jest Lacey? – powtórzył Conor. – Jeśli ją skrzywdziliście, przysięgam na Boga, że znajdę was nawet na końcu świata. I nie ma znaczenia, jak długo to potrwa. Osobiście rozerwę was na strzępy.

– Hej, czy tak mówi samozwańczy obrońca sprawiedliwości? – zapytał Ramon.



– Powiedz mi tylko, gdzie jest Lacey.

Ramon potrząsnął głową.

– To niemożliwe, panie O’Neil. Cała ta sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, niż pan sądzi. Najlepiej niech pan nie robi zamieszania. Proszę postępować tak, jak każe wielebny Branch, a wtedy wypuścimy Lacey.

Conor okrążył kanapę i chwycił Ramona za purpurowy jedwabny krawat.

– Powiedz mi, gdzie ona jest, albo...

– Albo co? – zapytał Ramon. – Co mi pan zrobi? Uderzy mnie?

– Conor... – ostrzegł go Sidney.

Magda z trzaskiem otworzyła małą czarną torebkę z krokodylowej skóry. Sidney odwrócił się, żeby zobaczyć, co robi, ale ona wyciągnęła z torebki tylko pomadkę. Kiedy jednak odwrócił się w drugą stronę, odrzuciła szminkę i wyjęła małą foliową torebkę.

– Uwaga! – wrzasnął Sebastian i rzucił się przez pokój.

Chwycił Magdę za nadgarstek, strząsając foliową torebkę na podłogę. Ramon spostrzegł, co się dzieje, i szybko ją złapał, ale Conor uderzył go w szczękę silnym prawym sierpowym. Ramon upadł na mały stolik, uderzając w wielką mosiężną lampę.

Pani Labrea zerwała się na równe nogi.

– Przestańcie! Dość tego! Rozkazuję wam przestać! – krzyknęła.

Conor złapał Ramona za poły kaszmirowego płaszcza, podniósł go na nogi, a potem wykręcił mu rękę.

– Powiedz mi, gdzie jest Lacey, albo przysięgam na Boga, że wyrwę ci tę łapę.

– Jesteś totalnie popieprzony, wiesz o tym?

Nagle bez żadnego ostrzeżenia otworzyły się drzwi sypialni i stanął w nich Victor Labrea.

Był mokry i przewiązany w pasie wielkim ręcznikiem kąpielowym.

– Ty! – zawołał Conor. – Zostań tam, gdzie jesteś!

Ale Victor Labrea cofnął się do sypialni i zatrzasnął drzwi.

– Sebastian, Ric, wyciągnijcie go stamtąd – polecił Conor.

Sebastian okrążył kanapę i podszedł do drzwi sypialni. Poruszył klamką.

– Zamknięte. Będziemy musieli je wyważyć.

– Nie możecie tego zrobić – oświadczyła pani Labrea. – To wbrew prawu.

– Ja jestem prawem – odparował Conor. Powiedział to w taki sam sposób, jak mówił wtedy, gdy był detektywem.

Sebastian zapukał do drzwi sypialni.

– Niech pan lepiej wyjdzie – powiedział. – Nie chcę się zdenerwować. Jeszcze pan nie widział, jak tracę panowanie nad sobą.

Nie było żadnej odpowiedzi, więc po chwili zapukał ponownie, tym razem gwałtowniej.

– Niech pan stamtąd wyjdzie! Ostrzegam pana!

Victor Labrea otworzył drzwi, wymierzył w Sebastiana dziewięciomilimetrową berettę z tłumikiem i strzelił mu prosto w ramię. Na boazerii rozprysnęła się wstęga jasnoczerwonej krwi, a Sebastian upadł na dywan.

– Sebastian! – zawył Ric i przeskoczył przez kanapę.

Victor Labrea wystrzelił po raz drugi, trafiając chłopaka w gołeń. Ric przewrócił się, krzycząc z bólu.

Conor ustawił przed sobą Ramona i podniósł rękę.

– Labrea! Rzuć broń! Natychmiast rzuć pistolet na podłogę!

Mężczyzna nie odezwał się ani słowem, nie rzucił też broni. Miał wodniste niebieskie oczy, krzaczaste wąsy i policzki naznaczone popękkanymi naczyńkami. Nadal był owinięty ręcznikiem. Przekroczył leżącego Sebastiana, objął ramieniem żonę i zaprowadził ją do sypialni.

– Daj spokój, Labrea, potrzebujemy lekarza! Wiesz, kim jestem?

Victor Labrea wziął dwa głębokie wdechy, a potem odparł:

– Pewnie, że wiem... dokładnie wiem. Jesteś jedną z najpodlejszych kreatur, jakie nosi ta ziemia. Jesteś bluźniercą i cudzołożnikiem. Kto dał ci prawo wdzierać się do mojego pokoju hotelowego, terroryzować moich przyjaciół i żonę? – Spojrzał na swojego ochroniarza, który ciągle leżał przy drzwiach. – Charlie! – zawołał. Mężczyzna jęknął i spróbował unieść głowę, ale nie dał rady. Musiał być naprawdę solidnie poturbowany.

Ric jęczał i zwijał się z bólu za kanapą. Sebastian cierpiał w milczeniu.

– Zadzwoń po lekarza – powiedział Conor.

– Zostaniesz tam, gdzie jesteś, i nie ruszysz się, dopóki nie zjawią się tutaj moi ludzie.

– Albo co?

– Albo ciebie również postrzelę.

– Przez Ramona?

– Jeśli będę musiał...

– *Muchas gracias* – mruknął Ramon.

– Czy nie da się jakoś tego załatwić? – zapytał Sidney i zrobił krok do przodu.

Victor Labrea posłał mu jadowite spojrzenie.

– O czym ty mówisz? Co to znaczy „załatwić”?

– Niech pan pomyśli, Labrea... Wpakował się pan w kłopoty. Postrzelił pan dwóch nieuzbrojonych ludzi.

– To jest mój pokój. Mam prawo działać w obronie własnej.

– Cóż, szczerze mówiąc, to, co pan zrobił, daleko wykracza poza ramy obrony koniecznej, nawet w Nowym Jorku. Z pewnością zechce pan rozwiązać ten problem bez dalszych nieprzyjemności.

– A więc? Co pan proponuje?

– Chcę, żeby pan się uspokoił. Jest pan bardzo zdenerwowany i wcale się to panu nie podoba. Nerwy sprawiają, że serce bije coraz szybciej, a pan pragnie, by pańskie serce biło coraz wolniej... i wolniej... i wolniej. Chce się pan odprężyć i zrelaksować.

– Niech pan nie słucha tego faceta, panie Labrea – wtrącił Ramon. – To jeden z najlepszych hipnotyzerów w Ameryce. Nie rozumie pan, co on próbuje zrobić?

Conor tak mocno wygiął rękę Ramona, że jego palce dotykały włosów na karku.

– Cholera, O’Neil, to boli!

Victor Labrea najpierw wycelował pistolet w ich stronę, a potem w Sidneya.

– Myślisz, że możesz mnie zahipnotyzować, staruchu?

Sidney potrząsnął głową.

– Pragnąłem tylko rozładować sytuację, to wszystko. Chciałem, żeby pan się odprężył i nie zrobił jakiegoś głupstwa, którego mógłby pan później żałować.

– Myślisz, że możesz robić ze mnie idiotę, tak?

– Panie Labrea, zamierzałem jedynie załagodzić sytuację. Chcę, żeby przypomniał pan sobie jedną z tych chwil swojego życia, kiedy czuł pan największy spokój. Proszę cofnąć się myślami do tego momentu i opowiedzieć mi o tym.

Victor Labrea milczał przez chwilę. Jego oczy były całkowicie pozbawione wyrazu.

Przez chwilę miał językiem w ustach, jakby próbował usunąć resztki jedzenia, a potem wystrzelił dwa razy prosto w pierś Sidneya. Impet strzałów odrzucił starego hipnotyzera do tyłu. Powoli obrócił się do Conora. Na jego twarzy malował się zawód, a na koszuli rozlewała się szkarłatna plama.

– Zabił mnie... – wykrztusił i upadł na kolana. Po chwili przewrócił się na bok, uderzając głową w fotel.

Wściekłość sprawiła, że Conor widział jak przez mgłę. Popychał przed sobą Ramona, aż Kubańczyk zderzył się z Victorem Labreą, który poleciał na ścianę, upadł i potoczył się, gubiąc po drodze swój ręcznik. Ta krótka chwila wystarczyła; Conor jeszcze raz pchnął

Ramona na Victora Labreę i złapał pistolet, który tamten trzymał. Chwycił rękę przeciwnika, nie mógł jednak rozdzielić palców. Jedna kula uderzyła w sufit, a następna odbiła się rykoszetem od kaloryfera. Ramon usiłował stawiać opór, lecz Conor chwycił go za gęste tłuste włosy i mocno uderzył jego głową w czoło Labrei.

Sapiąc i przeklinając, Labreą próbował obrócić berettę i skierować ją w głowę Conora, ale uniemożliwiał to zbyt długi tłumik. Przez niemal minutę trzej mężczyźni pozostawali w bezruchu, przypominając klasyczną rzeźbę przedstawiającą greckich zapaśników. W końcu jednak Victor Labreą zdołał opuścić rękę i pociągnąć za cyngiel. Stało się to dokładnie w tej samej chwili, gdy Conor uniósł głowę Ramona. Kula trafiła hipnotyzera prosto w usta, strzaskała zęby, rozdeła język do wielkości pomidora i wyszła tyłem głowy, mijając dłoń Conora zaledwie o ćwierć cala.

Conor wyrwał pistolet z ręki Labrei i przycisnął go do jego lewej skroni. Mężczyzna drgnął i zmrużył oczy niczym przestraszony pies, ale nie powiedział ani jednego słowa. Nie błagał o litość.

Conor zrzucił ciało Ramona na dywan i wstał, ciągle celując w głowę Victora Labrei.

Jego klatka piersiowa unosiła się gwałtownie z wysiłku i emocji.

W drzwiach sypialni stanęła pani Labreą; przyciskała jedną dłoń do drugiej, jakby się modliła. Hetti wycofała się w głąb pokoju i przywarła plecami do brązowych aksamitnych zasłon. Jej twarz była biała jak orientalna maska.

– Powiniennem cię teraz zabić – stwierdził Conor. Był tak roztrzęsiony i przepelniony gniewem, że nie rozpoznawał nawet barwy swojego głosu.

– Nie zabijaj go... – jęknęła pani Labreą. – Proszę... Możesz wziąć, co chcesz. Pieniądze?

Czy tego właśnie chcesz? Bierz wszystko.

Conor podszedł do Rica, który już nie płakał, ale nadal głaskał czoło Sebastiana. Conor nigdy przedtem nie widział, by Sebastian był tak blady.

– Nie martw się, Ric... Wezwę pogotowie, zaopiekują się wami.

– Nie będę więcej tańczyć, prawda? – wyszeptał chłopak. Jego twarz, zazwyczaj tak pełna życia, teraz była szara jak popiół.

Conor położył mu dłoń na ramieniu, żeby go uspokoić.

– Wszystko będzie w porządku. Zanim się zorientujesz, wrócisz do Buffalo, by zatańczyć *A Chorus Line*. A ja na pewno przyjdę cię obejrzeć.

Podniósł słuchawkę i wykręcił 911.

– Tak, była strzelanina. Trzy osoby ranne, jedna nie żyje. Pokój siedemset jedenaście, hotel Waldorf-Astoria.

Potem wrócił do Victora Labrei. Mężczyzna nadal leżał w tej samej pozycji. Jego nagi tors był czerwony od krwi Ramona.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest moja dziewczyna i co zrobiliście z tym wszystkim, co zostało skradzione z depozytu Spurrsa.

– Nie powiem ci – odparł Victor Labrea. – To, w co próbujesz się wtrącać, jest potężniejsze niż ty, potężniejsze niż ja. Toruje drogę dla Drugiego Przyjścia. Nie ma żadnego znaczenia, co ze mną zrobisz.

– Jeśli mi teraz tego nie powiesz, Bóg mi świadkiem, że odstrzelę ci łeb.

– Powiedz mu, Victor – błagała pani Labrea. – Nie chcę, żebyś zginął.

– Nie – powtórzył Victor Labrea. – Nie wierzę, że ten gość zabije mnie z zimną krwią, jeśli jednak to zrobi, spotkam mojego Stwórcę. Cóż, taka widocznie będzie wola Boga, a kimże jestem, by się jej przeciwstawiać?

## 21

Kiedy Conor wrócił do mieszkania Sebastiana, był tak zniechęcony i przygnębiony, że prawie minutę stał pod drzwiami, zanim nacisnął dzwonek.

– Kto tam? – zapytała niemal natychmiast Eleanor.

– To ja, Conor. Wpuścisz mnie?

Drzwi otworzyły się i Eleanor zobaczyła, że Conor jest sam.

– Coś się stało, prawda? – wyszeptała, podnosząc rękę do gardła.

Conor pokiwał głową. Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Obiecał sobie, że nie będzie płakać, ale nie potrafił powstrzymać łez. Połączył Eleanor i Sidneya po tylu latach, a teraz był odpowiedzialny za jego śmierć. To było więcej, niż potrafił znieść.

– Powiedz mi. – Eleanor wyciągnęła rękę i ujęła jego dłonie. Wyraz jej twarzy przypominał mu obraz, który wisiał w domu jego babci: Błogosławiona Dziewica, zdejmująca z krzyża Chrystusa. *O clemens, o pia, o dulcis Virgo Maria.*

– Wszystko poszło źle. Victor Labrea miał pistolet. Sebastian i Ric zostali ranni.

– A Sidney? Co stało się z Sidneyem?

– Przykro mi, Eleanor. Dostał bezpośredni strzał, bez żadnego powodu.

– Rozumiem – wyszeptała i uwolniła jego rękę. Zrobiła to w taki sposób, w jaki Sidney mógłby ich uwolnić, gdyby wprowadził ich w stan hipnozy. Odwróciła się i powoli przeszła korytarzem wyłożonym białym dywanem, kierując się w stronę salonu. Conor stał przy drzwiach i obserwował ją. Myślał o tym, jaka jest drobna i bezbronna. Kiedy doszła do salonu, zatrzymała się na chwilę w jaskrawym świetle słońca wpadającego przez okno.

Conorowi wydawało się, że stapia się z tym światłem i niknie w nim coraz bardziej.

Podszedł do Eleanor i objął ją ramionami. Nie wiedział, jak długo tak stali, tuląc się do siebie. Dwoje ocalałych. Czuł jej kruche kości, zapach papierosów i perfum. Niemal słyszał

odgłosy dawnych dni jej chwały: oklaski, wiwaty. Teraz wszystko odeszło.

– To była moja wina – powiedział. – Nie powinienem tak się spieszyć. Zachowałem się całkowicie nieprofesjonalnie.

Eleanor spojrzała na niego.

– Nie. To nie była twoja wina. Wiesz, co Sidney mi powiedział? Lepiej umrzeć, robiąc coś ekscytującego, niż powoli gasnąć, nie robiąc nic. Powiedział, że wyobraża sobie, jak leży w hamaku i każdego dnia staje się coraz bardziej przezroczysty. Aż w końcu hamak będzie się kołysać zupełnie pusty.

– On nie powinien był umrzeć.

Eleanor przeszła przez pokój, otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej swoją cygarniczkę i papierosy.

– Chcesz się napić? – zapytała. – Ja muszę się napić.

Usiedli razem w rozświetlonym słońcem pokoju i wtedy opowiedział jej, co się wydarzyło.

– Potem musiałem się stamtąd szybko wydostać. Przyjechało pogotowie i gliny. Prawie się z nimi minąłem. Ale zanim wyszedłem, był taki moment, kiedy mogłem strzelić Victorowi Labrei między oczy.

Eleanor wyciągnęła swoje żylaste, pomarszczone ręce i pogłaskała go po przegubie dłoni.

Miała na palcach trzy diamentowe pierścionki, wszystkie w stylu lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

– Może powinieneś był to zrobić. To znaczy zastrzelić go. Myślę, że ogień czasem trzeba zwalczać ogniem. – Sięgnęła po butelkę i naląła mu po trój na porcję wyborowej. – Pragniesz zemsty, prawda? Cóż, ja również. Dlaczego więc nie przestajesz przejmować się swoją katolickością i nie zemścisz się? Nie pracujesz już w policji. Może nadszedł czas, żebyś zapomniał o zasadach.

– Nie wiem. Jestem uczciwym człowiekiem.

– Oczywiście. Ale dokąd zaprowadziła cię ta uczciwość? Conorze O’Neil, pozwól, że coś ci powiem. Czasy się zmieniły. Uczciwość i przyzwoitość umarły dawno temu. Powinieneś przeczytać scenariusze, które mi przysyłają. Są pełne plugawego języka. Czy możesz sobie wyobrazić, że Willie Loman mówiłby w ten sposób w *Śmierci komiwojażera* w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku? Publiczność wyszłaby z sali. I robi się coraz gorzej. Nie ma sensu, by ludzie tacy jak ty i ja zamykali oczy i zatykali uszy w nadziei, że będzie lepiej, ponieważ nie będzie. A więc musimy zrobić to, co musimy zrobić... pobić łajdaków ich własną bronią.

– Upiłeś się – stwierdził Conor.

– Nie, wcale nie. Jestem po prostu zraniona. Ty też. Ale ty ciągle masz Lacey, o którą musisz się martwić. Znalazłeś się między młotem a kowadłem, Conor. Istnieje tylko jeden sposób wyjścia z tej sytuacji. Pokonaj ich. Pokonaj tych drani. Nie jesteś już szefem detektywów ani szefem ochrony. Jesteś Conorem O’Neilem. Nikt nie może ci mówić, co masz robić. Możesz zrobić wszystko.

Conor wstał i podszedł do okna. Było zasłonięte cienką muślinową firanką ręcznej roboty.

Pociągnął za sznurek i odsłonił je. W dole była Czterdziesta Siódma zatłoczona samochodami, taksówkami i ludźmi. Zobaczył dziewczynę w czerwonej sukience i pomyślał: nawet nie wiesz, że na ciebie patrzę. I już nigdy cię nie zobaczę, przez całą resztę mojego życia.

Odwrócił się do Eleanor. Jej policzki lśniły od łez.

– Masz rację – powiedział. – Nie będzie lepiej.

Osoba, która odebrała jego telefon, mówiła przytłumionym, pełnym rezerwy głosem.

– Kto mówi?

– Conor O’Neil. Pan Guttuso mnie zna.

– Pan Guttuso? Nie ma tu nikogo o takim nazwisku.

– Pan Guttuso osobiście dał mi ten numer. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek będę potrzebował jakiejś przysługi, mam zadzwonić i powiedzieć, kim jestem. Powiedział również, że kiedy to zrobię, ktoś natychmiast połączy mnie z jego prywatnym numerem, żebym mógł z nim porozmawiać. A może źle usłyszałem?

– Jak pan się nazywa? Conoronil?

Do telefonu podszedł Luigi Guttuso. Jego głos brzmiał tak jak zwykle: jakby ktoś wylewał oliwę z oliwek z pierwszego tłoczenia na rozpalony gont.

– Conor, jak dobrze, że dzwonisz. Myślałem, że może stało się coś złego. Wysłałem ci zaproszenie na ślub mojej siostrzenicy, a ty nie odpowiedziałeś. Byłem zdumiony i zmartwiony. Po tym wszystkim, co zrobiłeś dla rodziny... Jesteś samą sprawiedliwością, wiesz? Mogę cię za to pochwalić? Nie będziesz zakłopotany? Jesteś samą sprawiedliwością.

Nieczęsto spotyka się taką sprawiedliwość.

– Przepraszam za ten ślub – powiedział Conor. – Chyba byłem bardzo zajęty.

– No cóż, słyszałem, że byłeś zajęty. Słyszałem, że byłeś zajęty opróżnianiem sejfu Spurrsa na Piątej Alei. To jakiś przekręt, co?

– Nie zrobiłem tego, Luigi. Właśnie dlatego do ciebie dzwonię.

– Nie zrobiłeś tego? Conor, rozczarowujesz mnie. Kiedy obejrzałem w wiadomościach reportaż o tobie, wiesz, co powiedziałem Angeli? Powiedziałem: „Ten facet ma prawdziwy talent”. Właśnie tak powiedziałem. „Zrezygnował z pracy w policji i co robi? Czy otwiera sklep z żarciem? Czy sprzedaje ubezpieczenia? Nie, on zostaje w biznesie, na którym zna się najlepiej – w przestępczości”.

– Dzięki za komplement, Luigi, ale fakt pozostaje faktem. Ja tego nie zrobiłem.

– Masz rację. Masz rację, że się nie przyznajesz, nawet przede mną. Ja też zawsze tak robię. „Wysoki Sądzie, mimo że mam trzy zestawy ksiąg będące dowodem, jakiego rodzaju interesy prowadzę, mimo że mój brat został złapany z narkotykami, a dwie dziewczyny z mojego klubu oferowały policjantowi w cywilu dwie godziny pełnego szaleństwa za pięćdziesiąt dolców plus podatek – wszystkiemu zaprzeczam”.

– Wiem, co powiedziałaś po procesie. A gdybym potrzebował przysługi?

– Chyba nie myślałeś, że mówiłem to poważnie, prawda? Zrobiłeś wtedy taką minę jak dupek, który przed chwilą zjadł chili. Ale teraz mówiłem poważnie. Jesteś samą sprawiedliwością. Potrzebujesz przysługi? Powiedz jakiej.

– Może moglibyśmy się spotkać?



Nie oczekiwał, że Luigi Guttuso spotka się z nim w Umberto's Clam House lub w jednej z tych restauracji we włoskiej dzielnicy, w których przykrywano stoły czerwonymi obrusami, a w tle grała muzyka z *Ojca chrzestnego*. Ale oczekiwał przynajmniej jakiejś wysokiej klasy włoskiej restauracji, takiej jak Contrapunto lub Elaine's. Zamiast tego jednak Guttuso zaproponował mu drugie piętro F.A.O. Schwarz na Piątej Alei, wielkiego domu towarowego z drogimi zabawkami.

Wszedł na górę krętymi schodami i ruszył między półkami z domkami dla lalek, grami nintendo, klockami lego i deskami surfingowymi dla lalek Barbie. Ostatnim razem był w F.A.O. Schwarz, gdy kupował dla Fay surfującą Barbie.

Guttuso pochylał się nad jednym ze stolików i z błyszczącymi z uciechy oczami manewrował wielkim, zdalnie sterowanym samochodem policyjnym z migającymi światłami i zawodzącą syreną. Był ubrany tak samo jak zawsze: w trzyczęściowy garnitur ze srebrnego jedwabiu. Jego siwe włosy były zaczesane do tyłu, odsłaniając kościste czoło. Miał głęboko osadzone oczy i był na swój sposób przystojny. Conor mógłby go niemal polubić, gdyby nie wiedział, jaki jest bezlitosny i skorumpowany.

Niedaleko Guttusa stało dwóch młodych ludzi, których wygląd wzbudzał prawdziwy szacunek. Mieli krótkie włosy, nieskazitelnie białe koszule i doskonale skrojone garnitury.

Złożone ręce trzymali grzecznie na wysokości genitaliów i nie wykazywali najmniejszego zainteresowania buczącymi, skaczącymi i piszczącymi zabawkami. Omiatali spojrzeniami całe pomieszczenie, wypatrując kogoś, kto mógłby sprawić jakiś niepotrzebny kłopot.

– Conor! – zawołał Guttuso, kierując samochód policyjny pomiędzy holownik i ogromną zieloną Godzillę. – Przepraszam, że cię tu ściągnąłem. Muszę kupić prezent urodzinowy dla wnuka. Powinieneś pobawić się tym samochodem. Przywołuje wspomnienia.

– Mogę się obyć bez takich wspomnień – burknął Conor.

Guttuso wykonał zwrot i samochód zderzył się z białym puszystym królikiem, który grał na cymbałkach. Auto przewróciło się na dach, ale jego syrena nadal żałośnie zawodziła.

– Proszę – powiedział Guttuso. – Czy to cię satysfakcjonuje?

– Nie zamierzam niczego owijać w bawełnę, Luigi. Nie zwracałbym się do ciebie, gdybym miał kogoś innego.

Guttuso objął Conora kościstym ramieniem.

– Rozumiem to, chociaż sam żyję inaczej niż ty. Gdy tylko widzę jakąś okazję, wykorzystuję ją bez względu na to, czy jest to legalne, czy nie. Ale szanuję cię. Naprawdę darzę cię wielkim szacunkiem. To, co robisz, wymaga wielkiego samozaparcia, a tego zawsze mi brakowało.

Obeszli powoli cały sklep. Guttuso zatrzymywał się od czasu do czasu i wybierał zabawki

– postać ze *Star Treka*, kij baseballowy Marka McGwire’a, zdalnie sterowanego dodge’a vipera – i przyglądał im się dokładnie. Ale Conor wiedział, że Włoch przez cały czas go słucha. Opowiedział mu o Dennisie Evelynie Branchu, o Światowym Ruchu Posłannictwa i o tym, że Branch porwał Lacey.

– Muszę ją odzyskać, Luigi. Gdybym nadal był w policji, miałbym do dyspozycji ludzi i wszystkie media. Ale nie jestem. I właśnie dlatego proszę cię o przysługę.

– Chcesz ludzi? Mam ludzi. Mam również środki. Komputery, cały ten kram. Windows i sieć.

– Do tej pory dowiedziałem się tylko, że Lacey jest więziona w jakimś miejscu w pobliżu lądowiska helikopterów. Słyszysz helikoptery co kilka minut. Domyślam się, że to gdzieś w pobliżu lądowiska przy Trzydziestej Zachodniej albo przy Trzydziestej Czwartej Wschodniej.

– Cóż, to zawęży pole działania. Co proponujesz?

– Gdybyś mógł wysłać paru chłopców, przyczepić ogon temu Victorowi Labrei... i dowiedzieć się, czy nie chodzi gdzieś w pobliże tych dwóch miejsc.

– Nie ma problemu.

– Jest coś jeszcze – dodał Conor. – Potrzebuję jakiegoś bezpiecznego miejsca na kilka dni. Ci ze Światowego Ruchu Posłannictwa wiedzą, gdzie mieszkam... a dzisiaj była strzelanina. Dwaj goście, u których się zatrzymałem, zostali ranni. Gliniarze na pewno sprawdzą ich mieszkanie.

– Conor... jesteśmy braćmi. Nie musisz się tłumaczyć. Mój dom jest twoim domem. Mam naprawdę miłe mieszkanie na ostatnim piętrze na Bleecker Street. Możesz tam zostać tak długo, jak chcesz.

– Jeszcze jedna sprawa. Potrzebuję broni. Nic ciężkiego. Może browning.

Guttuso pokiwał głową.

– Załatwione.

– Gdybyś mógł jak najszybciej wysłać swoich chłopców za Victorem Labreą... Nie jestem pewien, ile cierpliwości pozostało jeszcze Światowemu Ruchowi Posłannictwa.

– A co mają zrobić moi ludzie, kiedy dowiedzą się, gdzie jest twoja pani?

– Zadzwoń do mnie. To wszystko.

Luigi Guttuso milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Wiesz, czego pragnę? Chciałbym, aby przestępstwo było zgodne z prawem. Dlatego, że cię lubię. Gdyby było zgodne z prawem, zostalibyśmy naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Ty i ja, prawda?

– Nie wiem, Luigi. Wiem tylko, że ci maniacy religijni mają moją dziewczynę, a ja chcę ją odzyskać.

W takich sytuacjach przestajemy myśleć o moralności i zaczynamy mówić o przetrwaniu.

– Wiesz co? Dawno, dawno temu, kiedy miałem dziesięć lat, ojciec powiedział mi pewną rzecz... Posadził mnie sobie na kolanach, dał mi łyk *corvo rosso* i zaczął przemawiać do mnie tak cichym głosem, że ledwo go słyszałem. Mówił mi o różnych „dorosłych” sprawach, których prawie nie rozumiałem. Ale miał na myśli to, że mężczyzna powinien troszczyć się o swoją rodzinę, o ludzi, których kocha. To ważniejsze niż cokolwiek innego. Ważniejsze niż konstytucja. Ważniejsze niż wszystko.

Podali sobie ręce przy wielkiej półce z lalkami Barbie. Conor nigdy nie wymienił uścisku dłoni z kimś takim jak Luigi Guttuso. Nie był to wyraz przyjaźni. Czuł się tak, jakby popełniał jakąś niewiarygodną herezję i jakby piętro domu towarowego F.A.O. Schwarz miało się za chwilę otworzyć z trzaskiem, by mogły go pochłonąć czeluście piekielne.

Guttuso złapał go za łokieć i mrugnął porozumiewawczo, co jeszcze bardziej pogorszyło nastrój Conora. Włoch wskazał ruchem głowy jedną z lalek Barbie i powiedział:

– Gdyby była dwadzieścia razy większa, a ja dwadzieścia lat młodszy... Wtedy pan Guttuso nie zastanawiałby się ani chwili.

Tragiczna strzelanina w hotelu Waldorf-Astoria była głównym tematem wszystkich wieczornych wiadomości. Na ekranie ukazywały się krwawe obrazy przedstawiające Ramona Pereza, leżącego na podłodze pokoju Victora Labrei, oraz Sidneya, Sebastiana i Rica, których pogotowie zabierało do szpitala. Conor nie mógł tego znieść. W świetle telewizyjnych reflektorów ich twarze wyglądały jeszcze mizerniej, a krew była jeszcze czerwiejsza.

Ale z wielką ulgą dowiedział się, że Sidney – chociaż ciężko ranny – nadal żył.

Sprawozdawca CNN, Walt Edridge, mówił:

– „W tajemniczej strzelaninie w eleganckim hotelu Waldorf-Astoria zginął jeden mężczyzna, a trzech zostali ranni, w tym jeden bardzo ciężko. Policja poszukuje byłego kapitana nowojorskiej policji, Conora O’Neila, który brał udział w strzelaninie i został

rozpoznany przez świadków. O’Neil zdołał zbiec przed przybyciem policji i najprawdopodobniej nie został ranny. Jest już poszukiwany w związku z wielomilionową kradzieżą, której dokonano w skarbcu Spurrsa przy Piątej Alei.

(...) Śmiertelną ofiarą jest trzydziestosześcioletni hipnotyzer Ramon Perez. Lekarze oświadczyli, że zginął w trakcie strzelaniny w pokoju numer siedemset jedenaście. Inny hipnotyzer, siedemdziesięcioośmioletni Sidney Randall, został dwukrotnie postrzelony w klatkę piersiową i w stanie krytycznym znajduje się obecnie w Uniwersyteckim Centrum Medycznym. Trzydziestotrzyletni projektant wnętrz, Sebastian Speed, oraz dziewiętnastoletni tancerz, Ric Vetter, również mają rany postrzałowe i przebywają w szpitalu, ale ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

(...) Policja przesłuchała mężczyznę, zajmującego pokój siedemset jedenaście. Jest nim

czterdziestosześcioletni Victor Labrea, który podaje się za międzynarodowego inwestora bankowego. Po ponad czterogodzinnym przesłuchaniu pan Labrea został zwolniony i nie postawiono mu żadnego zarzutu. Według Duke'a Johnsona, adwokata pana Labrei, jego klient został zmuszony do użycia broni, by chronić siebie i swoją żonę przed »gwałtownym i zagrażającym życiu naruszeniem prawa«, którego dopuścił się Conor O'Neil wraz ze swoimi towarzyszami. Pan Labrea nie potrafi powiedzieć, dlaczego stał się ofiarą tego ataku.

(...) Victor Labrea zwrócił na siebie uwagę opinii publicznej Nowego Jorku w zeszłym roku, kiedy domagał się zdjęcia z afisza musicalu *Ewangeliści*. Jako żarliwy zwolennik Światowego Ruchu Posłannictwa, który nawołuje do ogólnoświatowego nawrócenia się na surowe zasady Kościoła baptyistów, próbował zaprotestować przeciw wystawianiu tego musicalu, argumentując, że jest to »błuznierstwo oraz grubiańska i prostacka obraza dla wszystkich bogobojnych ludzi«.

(...) Policja apeluje do wszystkich, którzy widzieli dzisiaj Conora O'Neila, aby dzwonili pod następujący numer... i jednocześnie ostrzega, by nie zbliżać się do niego, ponieważ może być uzbrojony i niebezpieczny”.

Kiedy Edridge zakończył swoją relację, drugi sprawozdawca, Larry Hoffman, zapytał go:

„Czy wiadomo, co Conor O'Neil robił w towarzystwie dwóch hipnotyzerów?”.

„Na razie nie, Larry. To niezwykle tajemnicza i »hipnotyzująca« sprawa”.

Conor włączył inny program. *Star Trek Voyager*. Pstryknął następny. *Simpsonowie*.

Wyłączył telewizor.

– Może powinnam zadzwonić do szpitala i dowiedzieć się o stan zdrowia Sidneya? –

zapytała Eleanor.

– Zaczekaj trochę – powiedział Conor, a potem wstał i wziął ją za rękę. – Najlepszą rzeczą, jaką możemy dla niego teraz zrobić, jest modlitwa.

– Nie wiem, czy modlitwa będzie mu w stanie pomóc.

– Moja matka tak robiła. Modliła się nawet o to, by suflet dobrze wyrósł.

– A ty?

– Ja też jestem dobrym katolikiem, Eleanor. Dobrzy katolicy wierzą w potęgę modlitwy.

Była 18:17. Gdy tylko Conor wrócił ze spotkania z Luigim Guttusem, zabrali z Eleanor wszystkie swoje rzeczy z mieszkania Sebastiana i pojechali taksówką do śródmieścia. Teraz znajdowali się na Bleecker Street w Village, na ostatnim piętrze ogromnego wieżowca. Conor domyślał się, że Guttuso użyczał tego mieszkania swoim gościom. Na podłodze z wypolerowanego tekowego drewna leżały kolorowe, ręcznie tkane dywany. W salonie stały kanapy i fotele z białą skórzaną tapicerką oraz

włoskie lampy w kształcie wrzeciona. Ściany zdobiły wielkie purpurowo-akwamarynowe abstrakcyjne obrazy olejne, a z ogromnego świetlika w suficie wpadało złociste światło wczesnego wieczoru.

Panowała wręcz niesamowita cisza, bo nie dochodziły tu żadne odgłosy ulicy.

– Chcesz kawy albo drinka? – zapytał Conor.

– Już wszystko w porządku – powiedziała Eleanor, chociaż jej głos był nabrzmiały łzami i wyglądała na wyczerpaną. Conor nie dziwił się temu – dzisiejszego popołudnia uwierzyła, że straciła Sidneya na zawsze.

Zadzwonił telefon Sebastiana, który leżał na stole. Conor natychmiast go odebrał.

– Pan O’Neil! – odezwał się znajomy głos. – Jak pan się miewa?

– Kto mówi?

– Nie poznaje mnie pan? Z tej strony pański przyjaciel, Victor Labrea.

– Labrea? Żartujesz sobie? Chyba nie myślisz, że po tym, co się dzisiaj stało, mam ci jeszcze coś do powiedzenia?

– Och, niech pan da spokój, panie O’Neil. Chyba większość winy musi pan wziąć na siebie, prawda? To, co pan zrobił, było bardzo nierozważne i nieprzemyślane. I mogło się skończyć o wiele gorzej.

– Ramon zginął, a Sidney jest w stanie krytycznym. Nie potrafię sobie wyobrazić nic gorszego.

– Cóż, mogłeś mnie zastrzelić, prawda? A gdyby tak się stało, wątpię, czy twoja mała Lacey nadal by żyła. Wielebny Branch nie jest mściwym człowiekiem, ale on i ja przeszliśmy długą, bardzo długą drogę. Jesteśmy czymś więcej niż przyjaciółmi. Chyba rozumiesz, co mam na myśli? Jesteśmy pokrewnymi duszami.

– Czy z Lacey wszystko w porządku?

– Na razie tak, cieszy się dobrym zdrowiem. Jeśli jednak znowu spróbujesz czegoś takiego jak dzisiaj... Cóż, nie mogę dać ci żadnych gwarancji co do jej przyszłego seksapilu.

– Do diabła, czego znowu ode mnie chcesz?

– Chcę, żebyś był cierpliwy, to wszystko. Większość pieniędzy została już przekazana do Norwegii, ale będziemy musieli jeszcze dwa razy skorzystać z twoich usług, aby osiągnąć nasz cel.

– Chyba nie myślisz poważnie, że teraz wyjdę i zdobędę dla was pieniądze?

– Musisz to zrobić, kolego. Kruczjata wymaga wyrzeczeń.

– Niczego nie zrobię, jeśli nie pozwolisz mi jeszcze raz porozmawiać z Lacey.

– Cóż... mógłbym to zrobić, ale nie w tej chwili. Nadal jestem w hotelu i czekam, aż przeniosą moje bagaże do nowego pokoju. W tym starym nie mogę zostać, bo wszędzie jest pełno krwi.

– Nie zapomnij do mnie zadzwonić. W przeciwnym razie następnym razem nie zawaham się ani chwili i pociągnę za cyngiel.

– Niech pan nie będzie taki nerwowy, panie O’Neil. Zadzwonię za dwadzieścia minut i wyznaczę następne spotkanie, a potem będzie pan mógł z nią porozmawiać.

Połączenie zostało przerwane. Conor natychmiast zadzwonił do Guttusa.

– Kto mówi? – zapytał ten sam podejrzliwy głos co poprzednim razem.

– Conor O’Neil. Muszę natychmiast porozmawiać z panem Guttusem.

– Nie ma tu nikogo takiego.

– Na Boga, mówi Conor O’Neil. Rozmawiałem z nim kilka godzin temu.

– W porządku. Pan Guttuso wymienił pańskie nazwisko. Proszę chwilę poczekać.

Conor usiadł na kanapie i czekał z opuszczoną głową. Eleanor usiadła obok niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie poddawaj się, Conor. Bądź silny.

Po chwili odezwał się Luigi Guttuso:

– Conor? Jak leci? Jak ci się podoba apartament?

– Jest wspaniały, Luigi. Wspanialszy, niż mógłbym pomyśleć.

– No co ty, stary... Rozwaliłeś tych pomyleńców z Klubu Golfowego. Kto jak kto, ale ty nie musisz o nic prosić.

– Słuchaj, Luigi... Myślę, że Victor Labrea zaraz będzie wychodził z Waldorf-Astoria.

Jest całkiem możliwe, że pójdzie tam, gdzie trzymają Lacey.

– Na zewnątrz mamy sześciu żołnierzy, Conor. Nie martw się. Gdziekolwiek pójdzie, będziemy mu siedzieć na ogonie.

– Luigi, tylko nie zapomnij zadzwonić do mnie, kiedy już będziecie wiedzieć, gdzie to jest.

– No pewnie... Za kogo mnie masz?

Za mordercę, kanciarza, lichwiarza, sutenera i handlarza narkotykami, pomyślał Conor.

– W każdym razie zadzwoń, dobrze? – powiedział błagalnym tonem.

22

Zasnął, czekając na telefon od Victora Labrei. Śnił mu się Dennis Evelyn Branch, który stojąc w uchylonych drzwiach mówił: „Dwa i jeden to trzy... Pilnuj tyłka, bo następny jesteś ty”.

*Nieczysty...*

*Nieczysty...*

*Nie dotykaj mnie... Nie dotykaj...*

Otworzył oczy. Była dwudziesta piętnaście. Dzwonił telefon.

– Pan O’Neil? Tu Victor Labrea. Ma pan coś do pisania? Proszę zapisać, powiem, gdzie się jutro spotkamy.

– Chcę rozmawiać z Lacey.

– Proszę bardzo.

– Lacey? Lacey, kochanie... Jak się czujesz?

– Wszystko w porządku, Conor... Wszystko dobrze – powiedziała Lacey, ale Conor słyszał, że była na granicy łez. – Proszę, zabierz mnie stąd. Conor, proszę...

– Lacey, postaraj się zachować spokój. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Jeszcze tylko jakąś godzinkę, dobrze? Godzinka i będzie po wszystkim.

– Dobrze, Conor. Po prostu mnie stąd zabierz.

Victor Labrea odebrał jej słuchawkę.

– Słyszałeś swoją uroczą Lacey, panie O’Neil. Niech pan odbędzie jutro te dwa spotkania i wszyscy będziemy szczęśliwi.

Ledwo Conor zdążył odłożyć słuchawkę, gdy telefon znowu zadzwonił.

– Conor? Tu Luigi. Znaleźliśmy to gniazdko. To jakiś wszawy hotelik na Zachodniej Dwudziestej Dziewiątej. Nazywa się Madison Square Marquis. Labrea zamelinował się w pokoju pięćset dwadzieścia pięć pod nazwiskiem pani i pan Tapatio. Facet w recepcji powiedział, że pani Tapatio jest blondynką, i to dość niezłą. Nie powiem ci dokładnie, jak ją określił, Boże mnie chroń. Moja matka nie wybaczyłaby mi takich słów...

– Wiem, gdzie to jest – przerwał mu Conor. – Powiedz swoim chłopcom, żeby nie ruszali się z miejsca.

– Oczywiście. Miło się z tobą pracuje, Conor. Niech ci Bóg sprzyja.

Przed Madison Square Marquis stały dwa lśniące buicki. W każdym z nich siedziało dwóch mężczyzn. Conor otarł pot z czoła; wieczór był bardzo upalny. Podeszedł do pierwszego wozu i zapukał w szybę. Okno zjechało w dół i z wnętrza powiało przyjemnym chłodem i zapachem wody po goleniu Cerruti. Od strony pasażera siedział gładko uczesany i świeżo ogolony młody człowiek.

– Dobry wieczór, panie O’Neil.

Conor natychmiast go poznał: Tony Luca, jeden z kuzynów Luigiego Guttusa i jeden z jego najlepszych żołnierzy. Luca znany był z tego, że nie bawił się w ceregiele. Zleczone mu zadania wykonywał bardzo szybko i bardzo sprawnie.

– Dobry wieczór. Czy Labrea wciąż jest w środku? – zapytał Conor.

– Tak – odparł Luca. – Oprócz niego są tam jeszcze dwie osoby. Tak nam powiedział recepcjonista. Facet przypuszcza, że zanoszą się na jakąś orgię, che, che.

– Pomożecie mi?

– Po to tu jesteśmy, proszę pana – oświadczył Luca i wysiadł z samochodu.

Z drugiej strony wysiadł mężczyzna około czterdziestki. Jego Conor również znał – był to John Convertino, specjalizujący się w wymuszeniach i handlu narkotykami. Miał też podobno na koncie kilka morderstw, ale nigdy niczego mu nie udowodniono.

– Miło pana widzieć, kapitanie O’Neil – przywitał Conora Convertino, ale jego oczy pozostały zimne jak oczy rekina.

Przy wejściu do hotelu dołączyło do nich jeszcze dwóch żołnierzy Guttusa. Conor rozpoznał tylko jednego, Franka Garibaldiego, który zwykle pracował jako ochroniarz w lokalach Guttusa. Drugi był ogromnym facetem o twarzy psychopaty.

– Jaki mamy plan, kapitanie? – zapytał Convertino. – Pan Guttuso mówi, że tam w środku jest miłość pana życia.

– Nie możemy dopuścić do konfrontacji – powiedział Conor. – Musimy ich jakoś zmylić i stropić.

– Zmylić i stropić... Nie ma sprawy – mruknął Luca. – Tylko jak to zrobimy? Ma pan może gaz paralizujący, który działa przez drzwi? Albo granaty mylące? A może nagrania Barry’ego Manilowa?

– Bardzo śmieszne, Luca. Chodźcie za mną.



W słabo oświetlonej recepcji siedział młody człowiek i oglądał w małym telewizorku kreskówkę, rozmawiając jednocześnie przez telefon: „Nieee, żartujesz... Żartujesz... No powiedz, że żartujesz... Żartujesz...”.

– Co za debil – mruknął Convertino i zawołał: – Hej, ty... dzieciaku! Pracujesz tu czy się wydurniasz?

– Już, zaraz idę... No nie, żartujesz, żartujesz... Na pewno żartujesz...

Convertino przechylił się przez kontuar i wyrwał chłopakowi słuchawkę. Ten popatrzył na niego przestraszony, a potem zerknął na Tony’ego Luce, Franka Garibaldiego i Conora.

– Bardzo przepraszam, panowie... Bardzo przepraszam... Przepraszam... Co mogę dla panów zrobić?

– Możesz zamknąć na chwilę buzię, chłopcze. Masz tu stać i nie gadać. Mamy nad wszystkim kontrolę, nad pozycjami horyzontalnymi i wertykalnymi też. Jeśli będziesz grzeczny, zachowasz pozycję wertykalną. Jeśli będziesz pierdolił głupoty, zmienisz pozycję na horyzontalną.

– Zrobię dla panów wszystko, co tylko będę mógł.

– Jak to miło, że się rozumiemy.

Convertino zwrócił się do Conora:

– I co teraz, kapitanie?

– Idziemy pod pięćset dwadzieścia pięć. Gdzie tam jest alarm przeciwpożarowy?

– Na końcu korytarza, proszę pana – odpowiedział natychmiast chłopak, przetykając głośno ślinę. – Zaraz obok maszynki do lodu.

– Dobrze. A teraz posłuchaj... Usłyszysz alarm, ale nie będzie żadnego ognia.

Rozumiesz? Nie musisz ewakuować ludzi ani nikogo wzywać. Straży pożarnej powiesz, że to fałszywy alarm. Nie ma żadnego ognia, tylko jakiś pijany gość narozrabiał. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana. Wszystko rozumiem.

– I pamiętaj, chłoptasiu – dodał Convertino – ma nie być żadnych glin. Masz zachowywać się normalnie i wyglądać normalnie. Więc popracuj nad swoją gębą, bo nie wyglądasz normalnie.

Chłopak nerwowo potwierdził skinieniem głowy, że wszystko rozumie.

– No, to idziemy – rzucił Conor. – Frank, czy możesz zostać na dole i ubezpieczać wyjście? W końcu w tym jesteś najlepszy.

– Jasne.

– Gdyby ktoś próbował stąd nawiać, to niech się na tobie zatrzyma.

– Rozkaz, kapitanie.

Co za ironia losu, pomyślał Conor. Musiałem wylecieć z policji i przeprowadzać akcję z żołnierzami mafii, żeby ktoś zwracał się do mnie „panie kapitanie”. Co za świat...

Podeszli do windy i czekali, aż zjedzie na dół.

– O co w tym wszystkim chodzi, kapitanie? – zapytał Luca. – Jak to się stało, że ci goście trzymają teraz pana kobietę?

– To długa historia, Tony. Ale wierz mi, zapłacą za to.

– I pomyśleć, kapitanie, że stoję tu z panem przed tą cholerną windą, a mógłbym się teraz byczyć na Florydzie. Co za świat...

Conor spojrzał na niego zdziwiony.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że jakiś czas temu Luigi miał na pana kontrakt, a ja miałem pana posłać do piachu. Ćwierć miliona dolców, kapitanie.

– Nie spodobałoby ci się na Florydzie.

Wsiedli do windy i wjechali na piąte piętro. Wyszli na wąski, słabo oświetlony korytarz i podeszli do drzwi z numerem 525.

– Teraz już cicho – rozkazał Conor. – Nie spodziewają się nas i musimy to wykorzystać.

Convertino i Luca wyciągnęli swoją broń: magnum 357 i automatyczną czterdziestkęczwórkę. Conor sięgnął po swojego browninga, którego Guttuso zostawił mu na Bleecker Street, a potem wyciągnął telefon komórkowy Sebastiana i wystukał numer hotelu.

– Proszę mnie połączyć z pokojem pięćset dwadzieścia pięć.

Po chwili ciszy odezwał się Labrea.

– Tak? O co chodzi? – zapytał niecierpliwie, jakby był czymś zajęty.

– Nie chciałbym przeszkadzać, proszę pana – powiedział Conor zmieniając głos – ani straszyć, ale w hotelu wybuchł mały pożar. Mamy dość nerwową sytuację. Muszę pana prosić o opuszczenie pokoju i skierowanie się do schodów awaryjnych znajdujących się po prawej stronie, na końcu korytarza.

– Z którym pokojem chciał pan rozmawiać?

– Proszę pana, dzwonię do wszystkich. Jak już powiedziałem, mamy pożar. Musi pan natychmiast opuścić pokój. Proszę skierować się do schodów awaryjnych...

– Kto mówi? – zapytał Labrea, a w jego głosie zabrzmiała nutka podejrzliwości.

– Recepcjonista.

– Recepcjonista, tak? I mówi pan, że hotel stoi w ogniu?

– Powiedziałem, proszę pana, że mamy mały pożar. Pali się na trzecim piętrze. Ale musimy ewakuować cały hotel. Takie mam instrukcje...

Nastąpił moment ciszy. Conor niemal słyszał, jak Labrea intensywnie myśli.

– Proszę pana, nalegam, żeby... – zaczął, ale w tym momencie drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha. Żołnierze Guttusa natychmiast przywarli do ściany. Ktoś, kto otworzył

drzwi, najwyraźniej nasłuchiwał. Po chwili usłyszeli, jak kilkakrotnie wciąga nosem powietrze. Parę sekund później drzwi się zamknęły.

– Proszę pana – powtórzył Conor – ja bardzo proszę...

– Nie słyszę żadnej ewakuacji. Niczego nie słyszę. I nie czuję dymu.

– To na razie bardzo mały ogień. Ale...

– Czy zawiadomił pan straż pożarną?

– Oczywiście. Zaraz tu będą.

– Nie słyszę syren.

– Jest pan pewien, że nie słyszy syren? – zapytał Conor, ścisząc głos.

– Przecież chyba mówię wyraźnie, że nie słyszę. Skoro nie słyszę, to nie słyszę.

– Czy jest pan pewien, że nie czuje dymu? Na pewno pamięta pan te wszystkie momenty, kiedy czuł pan dym. Te wszystkie spalone budynki... Dym... Zapach dymu...

– Do cholery, panie... Wiem, jak pachnie dym. Co za kit mi pan tu wciska?

– Tak, wie pan. Wie pan bardzo dobrze, jak pachnie dym... Ostry zapach dymu... Martwi się pan, że hotel jest w ogniu... Chce pan opuścić pokój... Opuścić pokój...

– Sam nie wiem... Nie wiem... Może coś zaczynam wyczuwać...

Conor czuł, że Labrea może za chwilę wpaść w trans, ale w tym momencie ktoś w pokoju powiedział: „Panie Labrea? O co chodzi? Co się dzieje? Przecież nigdzie nie ma żadnego dymu”.

Labrea zawahał się, ale po sekundzie oświadczył:

– To jakiś kit, panie recepcjonisto, czy kim tam jesteś. Gadaj co chcesz, mu ty zostajemy.

– Proszę pana, muszę pana ostrzec... – powiedział Conor, Labrea jednak odłożył już słuchawkę.

– O co w tym wszystkim biega? – zapytał Convertino.

– Chciałem go zahipnotyzować przez telefon, ale mi się nie udało.

– Przez telefon? Nie szkoda czasu? – burknął Luca. – Gdybyśmy to zrobili po swojemu, ten gość wgryzałby się już w wykładzinę.

– Nie doceniasz go, Tony. Kiedy przyłożyłem mu lufę do głowy, nawet mu nie drgnęła powieka.

– Jak ja bym mu przyłożył, to pomachałby uszami. Ale nieważne. Co dalej, kapitanie?

– Plan B. On musi uwierzyć, że tu rzeczywiście się, pali. Tony, jak twój kumpel ma na imię?

– Bruno – odpowiedział towarzysz Luki, wyraźnie zły, że Conor nie zapytał jego, tylko Tony’ego.

– Przepraszam, Bruno. Ale tyle mam na głowie... Nie bawię się w kurtuazję... Słuchaj, widzisz ten alarm? Kiedy dam ci znak, rozbijesz szybkę.

– Nie ma sprawy.

Tony Luca przyniósł z końca korytarza winylowe krzesło. Conor postawił je przed drzwiami pokoju 525. Convertino bez słowa wyciągnął zapalniczkę. Conor wziął ją i ustawił

na największy płomień, a potem podpałił krzesło na brzegach i pod spodem.

Po chwili krzesło zajęło się. Conor dał sygnał i Bruno zbił łokciem szybkę. Na korytarzu rozległ się ogłuszający dzwonek alarmowy. Oczekali chwilę, ale z pokoi nikt nie wyszedł.

Albo wszyscy zignorowali alarm, albo na piętrze nikogo nie było. Nie otworzyły się żadne drzwi, nie wyjrzała żadna przestraszona twarz.

– Jezu! – zawołał Conor. – Gdyby to był prawdziwy pożar...

– Pewnie nikogo tu nie ma – mruknął Convertino.

– Gdybym to ja był tutaj, już by mnie tu nie było – oświadczył Luca, zatykając sobie nos.

– Labrea nie jest łatwym przeciwnikiem. Może coś podejrzewa.

Luca obwiązał sobie twarz jedwabną chustką.

– Ha, ha... wyglądasz, jakbyś był złodziejem bankowym – zaśmiał się Convertino.

– Nie wyglądam, jakbym był, kretynie... Ja jestem złodziejem bankowym.

Na korytarzową wykładzinę spłynął winyl z palącego się krzesła.

– Lepiej przynieście tę gaśnicę, chłopcy – powiedział Conor – bo to zaraz wymknie nam się spod kontroli.

– Jasne, kapitanie – odparł Bruno i kaszląc poczłapał po gaśnicę.

Conor, Luca i Convertino przywarli do ściany i czekali, aż z pokoju 525 zaczną wychodzić ludzie.

– Kiedy wszyscy wyjdą, nie możecie pozwolić im wrócić – powiedział Conor. –

Zabarykadują się i będzie po akcji.

Nagle poczuli, że na korytarz wtargnęło świeże powietrze. Być może ktoś otworzył drzwi od windy. Dodatkowa dawka tlenu sprawiła, że wykładzina zaczęła się mocniej tlić, a w paru miejscach pokazały się płomienie. W tym momencie nadszedł Bruno z gaśnicą. Odbezpieczył

ją, skierował na palącą się wykładzinę i nacisnął cyngiel. Z gaśnicy spadło na podłogę kilka strzępków piany.

– No to wspaniale – mruknął Convertino. – I co teraz, kapitanie? Zakaszlemy się na śmierć?

– Co za świat – westchnął Luca. – Nawet nie dadzą porządnie popracować. My tu urządzamy pożar, a oni nawet nosa nie wystawią zza drzwi. Tak się nie robi.

– Masz rację – poparł go Convertino. – Te gnojki nie dadzą popracować.

– Spalimy tę budę do szczytu – mówił dalej Luca – a oni nie wyjdą i kapitan nie odzyska swojej dziewczyny. Zadowolony będzie tylko właściciel tej budy. Pewnie od lat kombinuje, jak spalić tę norę i dostać kasę z ubezpieczenia.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi i wyrzwał z nich wymizerowany, chudy jak szczapa młody człowiek. Popatrzył w prawo, potem w lewo i objając się ramieniem o framugę, cofnął się do pokoju.

– Hej, tu się pali! – krzyknął Conor.

Chudzielec wyrzwał jeszcze raz, jakby chciał upewnić się, czy rzeczywiście ktoś go woła, po czym wzruszył ramionami i trzasnął drzwiami.

– Chyba muszę zadzwonić po straż pożarną – stwierdził Conor, kaszląc po każdym słowie. – To się

wymknęło nam spod kontroli.

– W takim razie ja stąd spadam – oświadczył Convertino. – Nie mam zamiaru szlajać się po komisariatach i odpowiadać za spalenie szcurzej nory, której nawet nie spaliłem osobiście.

Conor nie mógł uwierzyć, że ogień tak szybko się rozprzestrzenił. Jeszcze parę minut i nie wydostaną się stąd. Odwrócił się i walnął pięścią w drzwi pokoju 525.

– Ogień! Pali się! – krzyczał.

Ale z pokoju nikt nie wyszedł. Tony Luca i Convertino czekali z wymierzoną w drzwi bronią, rozglądając się z niedowierzaniem po korytarzu.

– Kapitanie, to się nie uda – mruknął po chwili Luca. – Za parę minut będą tu gliny i straż pożarna.

– Wszyscy uciekać! – wrzasnął Conor. – Pożar... Ogień!

W tym samym momencie ogień, jak na rozkaz, wybuchł z pełną siłą, sięgając sufitu.

– Kapitanie, spadajmy stąd – powiedział nerwowo Luca. – Tu się robi... che, che... bardzo gorąco...

Gdy zaczął chować broń, drzwi się otworzyły. Pojawił się w nich jakiś młody człowiek, a za nim następny. Lacey, trzymana za ramię przez Victora Labręę, wyszła sekundę później.

Dym na korytarzu był już tak gęsty, że w pierwszej chwili nikt z nich nie zorientował się, że ktoś jest na korytarzu. Dopiero teraz zaczęły otwierać się pozostałe drzwi.

Tony Luca był bardzo szybki. Dopadł pierwszego z wychodzących z pokoju mężczyzn, zanim tamten zdolał zareagować, i pchnął go z impetem na ścianę. Pół sekundy później wyciągnął mu zza paska broń.

Convertino zrobił to samo z drugim mężczyzną, a Conor wycelował swojego browninga w Labręę.

– Lacey, wszystko w porządku?

– Tak, w porządku – odpowiedziała słabym głosem Lacey, raczej zgadując, że to Conor, niż widząc go.

– Jesteś bardziej szalony, niż mi się wydawało, O’Neil – stwierdził Labrea chrapliwym głosem i zakaszłał.

– Puść ją – rozkazał Conor.

– Utrudniasz mi życie, O’Neil. Zawsze robię wszystko dokładnie i do samego końca. A ty mi się wpięprzasz. – Labrea znowu zakaszłał.

– Posłuchaj mnie... To nie musi się tak skończyć – powiedział Conor. – Puść ją. Nie musisz nic

więcej robić, tylko ją puść. Wtedy wszyscy stąd wyjdziemy.

W oddali zabrzmiały policyjne i strażackie syreny.

– Kapitanie, spieszmy się – ponaglał Luca. – Możemy wydostać się tylnym wyjściem.

– Za chwilę nie damy rady, kapitanie – dodał Convertino. – To ostatni moment.

– Ostatni moment już minął, panowie – usłyszeli przez gęsty dym.

Conor odwrócił się i zobaczył porucznika Slymana, trzymającego w obydwu dłoniach pistolety.

– Noo... Witam, O'Neil. Niespodzianka? Nie powinieneś być aż tak zaskoczony. Przecież to właśnie ty nauczyłeś mnie kiedyś, jak należy tropić. Nie patrz na przyjaciół, bo oni cię zmylą. Obserwuj wrogów. To twoje słowa, dzielny kapitanie O'Neil.

Podszedł blisko, mierząc w Conora.

– Labrea dostał ogon i tak trafiłem tutaj – dodał. – Wiedziałem, że tu za nim przyjdiesz.

– Wskazał ruchem głowy Convertina i Luce. – To twoi nowi kumple?

– Tak, moi kumple.

– Wyglądają na niezłych kumpli. Czy to przypadkiem nie John Convertino? Jak się masz, John? Wpadłeś tu na kawkę?

– Dobrze się mam. I jak dla pana, poruczniku, jestem pan Convertino.

– O'Neil, rzuć broń. Jesteś aresztowany.

Convertino błyskawicznie uniósł pistolet i wycelował w niego.

– Nie sądzę, poruczniku. Kapitan O'Neil jest teraz pod ochroną pana Guttusa.

– Och, doprawdy? A co zrobisz, jak go zaraz poczęstuję kulką?

– Wtedy ja pana poczęstuję. A kawka gratis.

– A ja dołożę deser – oświadczył Luca, mierząc Slymanowi między oczy.

– Nie macie jaj, panowie. Nie zrobicie tego – stwierdził Slyman, wciąż celując w Conora.

– Dobrze wiecie, jaki dostaniecie wyrok za zabójstwo policjanta.

– Dajmy spokój – wtrącił Conor. – Słuchaj, Drew, ja tu przyszedłem po Lacey. Tylko po nią.

Luca kątem oka dostrzegł, że Labrea wyciąga broń.

– Kapitanie...

Conor zerknął w bok i zobaczył rewolwer w dłoni Labrei.

– Przykro mi, że was rozczaruję, ale ta pani idzie ze mną – powiedział Labrea. – I pan O’Neil również. Mamy jeszcze interes do zrobienia.

– Zamknij pysk, dupku – warknął Slyman. – I rzuć broń.

– Muszę odmówić. Tak mi przykro, poruczniku...

– Kurwa, ale bajzel – podsumował Luca. – Każdy mierzy do każdego, a zaraz nam wszystkim dupy spłoną. Dogadajcie się wreszcie.

– Tak właśnie będzie, jeśli mnie nie posłuchacie – oświadczył Labrea. – Niech wszyscy rzuć broń. Wychodzę stąd z tą damą i z O’Neilem.

Conor rozejrzał się nerwowo na boki. W tym momencie otworzyły się drzwi po lewej stronie korytarza i wybiegło z nich kilka osób, krzycząc i opędzając się od dymu.

– Ratujcie nas! – wrzeszczała jakaś kobieta. – Ratujcie nas!

Biegnący za nią mężczyzna potknął się o wypalone krzesło, stracił równowagę i wpadł na Labrę i Lacey. Victor Labrea zachwiał się i oparł o framugę. Conor rzucił się na podłogę i przetoczył się, oddając dwa strzały w jego kierunku. Pierwsza kula trafiła go w ramię, druga w szyję.

Conor błyskawicznie odwrócił się, wciąż leżąc na podłodze, i chciał wymierzyć w Slymana, ale ten był już przy Lacey i obejmował ją mocno za szyję.

– Rzuć broń! Kurwa, O’Neil, rzuć broń, bo ją rozwalę!

Conor położył broń na podłodze i podniósł się.

– Złożyłem ci propozycję, ale ty jesteś tak zadufany w sobie, kutasie, że nawet nie zadzwoniłeś.

– Puść ją, Slyman. Masz mnie. Ona nie jest ci do niczego potrzebna.

– Przestań chrzanić, O’Neil.

– Puść ją.

– Zamknij się. Kiedy tylko zorientowałem się, jaki numer wycinasz z tą forszą, chciałem się z tobą skontaktować – powiedział Slyman. – Posłałem dwóch dobrych gliniarzy, żeby się z tobą dogadali. Ale ty zrobiłeś z nich sieczkę. Pamiętasz Jeda Ferrisa i Martina Yapka? Po spotkaniu z tobą nikt nie mógł ich rozpoznać. Nawet do mnie przedtem nie zadzwoniłeś, kutasie.

– Drew... Posłuchaj...



– Moja propozycja jest nadal aktualna, O’Neil. Przemyśl to. Żadnego ukrywania się, żadnej ucieczki. Będziesz miał spokój. Chcę dziesięć procent, to wszystko.

– Ja nie mam żadnej forsy, Drew. Jej już nawet nie ma w kraju. Posłużono się mną, to wszystko. Nie możesz uwierzyć, że jestem niewinny?

– Nie, nie mogę. – Slyman pokręcił głową. – Stawiam ci ultimatum, tu i teraz. Dziesięć procent dla mnie albo twoja Lacey dostaje kulkę. Ja jej nawet nie zabiję. Jeden strzał w dół

pleców wystarczy. Potem hysterektomia i już nigdy nie będzie małych O’Neilow.

Opuścił broń i przyłożył ją do pleców Lacey.

– Myśl szybciej, O’Neil.

W tym momencie buchnął wysoki ogień. Victor Labrea jęknął, a Slyman uniósł rękę, by zasłonić oczy. Ta sekunda nieuwagi wystarczyła. Tony Luca błyskawicznie wymierzył i strzelił. Slyman nie zdążył jeszcze upaść na podłogę, gdy Luca chwycił Lacey. Conor podniósł swój pistolet i wycelował w Slymana.

– Nie! Conor, nie rób tego! – krzyknęła Lacey.

Porucznik jęczał, leżąc na podłodze, i szukał swojej broni. Dym był już tak gęsty, że nikt prawie niczego nie widział. Slyman doczołgał się do ściany i oparł się o nią. Swoje pistolety położył na kolanach i dyszał ciężko.

– Niczego nie próbuj, Drew – ostrzegł go Conor. – Nie chcę cię zabijać.

Slyman stęknął, zaparł się rękami o ścianę i wstał powoli. Luca i Convertino cały czas mierzyli do niego, czekając tylko na jedno słowo Conora.

– Drew, daj spokój – powiedział Conor. – To już koniec.

– Kapitanie, zostawmy go – wtrącił się Convertino. – Musimy stąd uciekać.

Conor patrzył, jak porucznik cofa się w głąb korytarza, zgięty wpół, z twarzą ściągniętą bólem. W korytarzu było już straszliwie gorąco i nie było czym oddychać.

– Kapitanie! – krzyknął Convertino i zakaszłał gwałtownie.

– Dobra, bierzcie Lacey i uciekajcie. Ja muszę to dokończyć.

Convertino pokręcił głową i powiedział:

– To pana cyrk i pana małpy, kapitanie. Ale jak pan się nie pośpieszy, spotkamy się na pana pogrzebie.

Luca i Convertino ujęli Lacey pod ramiona i ruszyli szybko ku schodom.

Conor i Slyman zostali sami, patrząc na siebie.

– To już koniec, Slyman. Wyjdźmy stąd, zanim ta płonąca buda spadnie nam na głowy.

– Koniec? – wycharczał Slyman. – Dla ciebie to się nigdy nie skończy. Albo dasz mi forszę, albo będziesz miał mnie na karku aż do śmierci. Przeżyję i będę cię ścigał... – Przerwał

i zakaszłał. – I na pewno cię dopadnę, O’Neil. Z forszą czy bez, dopadnę cię. Klnę się na wszystko.

– Przestań pieprzyć, Drew. Zdechniesz w tym dymie.

– Sam się pieprz, O’Neil.

Zasłonił go wielki kłęb dymu. Conor słyszał tylko jego kaszel. Ostrożnie zrobił parę kroków do przodu. Żar był nie do zniesienia. Wiedział, że zostało bardzo niewiele czasu.

– Daj spokój, Drew. To twoja ostatnia szansa. Człowieku, na miłość boską...

Nie usłyszał jednak, czy Slyman coś odpowiedział, bo przy końcu korytarza nastąpił

wybuch i w powietrze poszła potężna kula ognia, uderzając w sufit. Nie wahał się już ani sekundy. Obrócił się na pięcie i zaczął uciekać. Dopadł do schodów przeciwpożarowych, gdzie czekał na niego Convertino. Pozostałych już nie było.

– Slyman...? – zapytał Convertino.

Conor zakaszłał i pokręcił głową.

– Uciekaj stąd, John. Policja zaraz tu będzie.

– Nie ma mowy – odparł Convertino. – Nie zostawię tu pana, kapitanie. Idzie pan ze mną.

– Daj... daj spokój – wykrztusił z trudem Conor, ale nagle świat zawirował mu przed oczami.

Convertino chwycił go pod pachy i zaczął z nim schodzić po żelaznych schodach. Gdy znaleźli się na parterze, pchnął drzwi wyjścia awaryjnego i do ich pruć dotarło świeże powietrze. Conor przystanął i zaczął je chwytać łakomymi haustami, Convertino jednak wciąż go ponaglał.

– No dalej, kapitanie. Może pan sobie wypluwać płuca później. Teraz idziemy.

Przeszli przez małe podwórze i weszli w bramę. Convertino otworzył drzwi i wyszli na Zachodnią Dwudziestą Piątą, tuż przy salonie dywanowym Levitza. Paru przechodniów spojrzało na słaniającego się, trupio bladego Conora. Gdy uszli kilkadziesiąt jardów, Convertino powiedział:

– Z całym szacunkiem, kapitanie, ale następnym razem, kiedy trzeba będzie dopaść kogoś w pokoju

hotelowym, zrobię to po swojemu, w uświęconym tradycją stylu. Kopnę w drzwi, wpadnę do pokoju i zanim ktokolwiek zdąży mrugnąć, będzie po wszystkim.

– Po prostu nie chciałem, żeby Lacey coś się stało.

– Pewnie, że pan nie chciał, kapitanie – odparł Convertino. – Ja to rozumiem. Ale praca to praca. Nie zawsze można być sentymentalnym.

Przytrzymał Conora jednym ramieniem, a drugą ręką wyciągnął telefon komórkowy.

– Tony? Masz dziewczynę kapitana? To dobrze. Spotkamy się tam gdzie zawsze. Jasne...

Tak, jest ze mną. Trzymaj się.

Schował telefon i powiedział z uśmiechem:

– Tony mówi, że pana kobiecie nic nie jest.

Conor skinął głową i również się uśmiechnął.

– Myślę, że powinienem wam podziękować.

– Niech pan podziękuje Tony’emu. Wszyscy jesteśmy panu wdzięczni za ten parszywy Klub Golfowy. Zdmuchnął ich pan...

– Was też chciałem zdmuchnąć...

– Pewnie, że pan chciał. Ale pan Guttuso mówi, że pan jest jednym z nas, kapitanie, a mnie to wystarcza. Powinien pan poprosić go o pracę. Puszczą pan z dymem hotele jak się patrzy, che, che.

Conor roześmiał się, zakaszłał i pokręcił głową.

– Ech, Johnny... Kawał parszywca z siebie...

Gdy szli Zachodnią Dwudziestą Piątą, Conor odwrócił się i zobaczył daleko za sobą policyjne światła i kilka wozów straży pożarnej. Doszli do skrzyżowania. Po drugiej stronie stał czarny buick. Podeszli do niego i Convertino otworzył drzwi.

W środku siedziała Lacey i Bruno. Conor wsiadł, a Lacey bez słowa objęła go ramionami i pocałowała. Nie puściła go już aż do chwili, gdy wjechali w Bleecker Street.

## 23

Conor oglądał właśnie poranne wiadomości, gdy do salonu weszła Lacey. Podeszła do okna.

– Chcesz kawy? – zapytał.

Pokręciła głową i nadal patrzyła przez okno.

– Mówili o tym *pożarze* w wiadomościach – powiedział Conor. – Wygląda na to, że ugaszono ogień, zanim objął cały budynek.

– A Slyman?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, jak mógłby się wydostać z tego piekła, ale nie mówili o żadnych śmiertelnych ofiarach. Victor Labrea jest w stanie krytycznym. Rany postrzałowe i oparzenia drugiego stopnia.

Zapadła cisza. Conor patrzył na Lacey, czuł jednak, że dziewczyna chce być sama. Nie spała dobrze w nocy, a pod oczami miała sińce. Conor zdawał sobie sprawę, jak musi się w tej chwili czuć. Po tym wszystkim, co ją spotkało od Victora Labrei i jego kompanów, wróciła tutaj, na Bleeker Street, tylko po to, by się dowiedzieć, że Sebastian i Ric są ranni, a Sidney wciąż walczy o życie.

Spojrzała na obandażowane ręce Conora.

– Jak się czujesz? – zapytała. – Jak twoje dłonie?

– Bola, ale da się przeżyć.

– Mogłeś zginąć, Conor... Wiesz o tym, prawda? Wszyscy mogliśmy zginąć.

– Ogień wymknął się nam spod kontroli. Gdyby udało mi się zahipnotyzować...

– Conor, przestań – jęknęła Lacey, obejmując się ramionami. – To nie ma żadnego znaczenia. Ja już nie daję rady...

– Jesteś już bezpieczna, kochanie. Tutaj nic ci nie grozi.

– Ale ja nie chcę być tutaj. Chcę wrócić do domu. Chcę, żeby wszystko było takie jak dawniej.

– Kochanie, w tej chwili to niemożliwe. Nawet jeśli Slyman nie żyje, to i tak nadal będę ścigany. Jestem oskarżony o kradzież depozytów i chcą mnie przesłuchać w sprawie tego, co się stało w Waldorf-Astoria.

– Ale... Conor... Tyle zniszczeń, tyle różnych nieszczęść... Czasami mi się wydaje, że ty sam dążysz do zagłady i pociągasz za sobą innych.

– Więc co mam zrobić? Poddać się? W policyjnym areszcie nie przeżyję nawet godziny.

Wiesz o tym dobrze.

Lacey odwróciła się do niego i Conor zobaczył łzy w jej oczach.

– Słuchaj, ja naprawdę nie daję rady. To dla mnie za wiele. Dłużej już tego nie zniosę.

Wstał i podszedł do niej, ale nie dotykał jej.

– Więc co zamierzasz?

– Nie wiem. Chyba wyjadę na jakiś czas do Minnesoty, do wuja i ciotki. Tam przynajmniej będę bezpieczna.

– Ale przecież tu też jesteś bezpieczna...

– Bezpieczna? Conor, tutaj? Mam się ukrywać w tym mieszkaniu? W mieszkaniu gangstera? Człowieka, którego przez całe lata usiłowałeś wsadzić za kratki? Co się z tobą dzieje, Conor? Dokąd ty zmierzasz?

Opuścił głowę.

– Nie wiem. Nie wiem, kochanie, ale to wszystko...

– Conor, będę musiała odejść od ciebie. Nie widzę innego wyjścia. Jak chcesz udowodnić, że jesteś niewinny, skoro nie zamierzasz poddać się policji? Im dłużej to trwa, tym więcej osób cierpi. Czy ty tego nie widzisz?

W tym momencie do salonu weszła Eleanor.

– Lacey, przecież wiesz, co się stanie, jeśli Conor się podda, prawda?

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na Conora. Ból i żal w jej spojrzeniu był tak ogromny, że Conor nie mógł tego znieść.

– Tak mi przykro, kochanie – powiedział. – Tak bardzo mi przykro. Nie wiem, co jeszcze mam ci powiedzieć. Nie mogę cię powstrzymać, jeśli będziesz chciała odejść. Ale gdybyś dała nam jeszcze szansę... Potrzebuję cię, Lacey. Potrzebuję twojej miłości i twojego wsparcia.

Lacey otarła łzy.

– Mnie też jest przykro, Conor. Naprawdę. Ale jestem już tak wyczerpana, że więcej nie wytrzymam. Jestem przerażona. Czy ty wiesz, co się tam działo, w tym pokoju hotelowym?

Opowiadali mi, jak mnie będą gwałcili i jak mnie potem zabiją. Opowiadali, co zrobią z moim ciałem.

Zadrżała i zaczerpnęła głęboko powietrza.

– A potem ten pożar, ogień, dym... I to, co się stało z Sebastianem i Rikiem... I z Sidneyem. Za dużo tego wszystkiego, Conor... Za dużo. Już nie mogę.

– Dowiedziałam się, że stan Sidneya jest stabilny – wtrąciła Eleanor.

– Dzięki Bogu – powiedział Conor, ale zdawał sobie sprawę, że Lacey i tak nie zmieni zdania.

– Czy mogę stąd zadzwonić? – spytała. – Muszę skontaktować się z wujem. A potem muszę sobie zarezerwować bilet.

Conor dotknął jej włosów zabandażowaną ręką i pogładził je.

– Lacey, do diabła... To nie musi się tak skończyć. Proszę...

Nie odpowiedziała. Stała i patrzyła przed siebie. Conor westchnął i powiedział po chwili:

– Oczywiście, że możesz stąd zadzwonić.

Lacey poszła do telefonu w kuchni, a Eleanor nadal stała w tym samym miejscu i patrzyła na niego.

– Eleanor, nic nie mów – poprosił. – Daj spokój, to nie ma sensu.

– Wcale nie zamierzałam niczego mówić. Na jej miejscu pewnie zrobiłabym to samo. Jest młoda i ma przed sobą całe życie. Nie chce ciągle ocierać się o śmierć, nie chce patrzeć na cierpienie i zabijanie. Ty i ja jesteśmy przyzwyczajeni, że ludzie, których kochamy, odchodzą. Ale ona nie.

Przez chwilę stali w milczeniu, a potem Eleanor powiedziała:

– Chcesz przecież odnaleźć ludzi, którzy ukradli te depozyty, prawda? Chcesz udowodnić swoją niewinność?

Conor usiadł powoli na sofie. Nagle poczuł się, jakby miał siedemdziesiąt lat i był

całkowicie bezradny. Słyszał, jak w kuchni Lacey mówi: „Wujek Jürgen? To ja, Lisbeth...

Tak, z Nowego Jorku...”.

Gdy skończyła rozmowę, wyszła z kuchni i popatrzyła na Conora pytająco, ale on nie miał już nic do powiedzenia. Patrzył, jak idzie do łazienki, i odprowadzał ją wzrokiem, gdy z niej wychodziła. Potem sam sięgnął po telefon. Kiedy wystukiwał numer, Eleanor przyglądała mu się z ciekawością.

Michael Baer musiał akurat być w siłowni, bo jego głos był zdyszany i miał płytki, szybki oddech.

– Michael? Tak, to ja... Słuchaj, czy wysłałeś już te pieniądze do Oslo?

– Tak, dziewięćdziesiąt procent. Gdzie jesteś?

– To nieistotne. Gdyby ktokolwiek o mnie pytał, powiedz, że dzwoniłem z Alaski.

– Z Alaski? A co ty tam miałbyś robić? Szukać złota?

– Coś w tym rodzaju – odparł Conor i odłożył słuchawkę.

– I co teraz? – zapytała Eleanor.

– Co teraz? Teraz jadę do Oslo.

Lacey wyszła zaraz po dziesiątej. Miała zarezerwowany lot na popołudnie. Conor odprowadził ją do drzwi.

– Co mogę zrobić, żebyś zmieniła zdanie? – zapytał.

– Cóż... myślałam, że uda nam się zerwać z przeszłością. Ale nie udało się. Przeszłość zniszczyła naszą teraźniejszość i przyszłość.

– Nie da się zerwać z przeszłością. Nigdy.

– Tak, teraz to rozumiem.

– Więc dlaczego odchodzisz?

– Bo bardzo się boję, Conor. Bardzo.

W popołudniowych wiadomościach podano, że w hotelu Madison Square Marquis znaleziono zwęglone zwłoki. Nieopodal leżał policyjny rewolwer. Policja twierdzi, że rewolwer należał do porucznika Drew Slymana, ale nie potwierdzono jeszcze, że to jego zwłoki. Z powodu niemal całkowitego zwęglenia ciała w celu identyfikacji zwłok muszą zostać przeprowadzone badania dentystyczne.

Conor wyłączył telewizor i przymknął oczy. Pomodlił się o duszę Slymana. Porucznik był jego wrogiem, ale Conor nigdy nie życzył mu śmierci. A może Lacey ma rację, pomyślał.

Może rzeczywiście ciągnie się za mną procesja nieszczęść.

Wrócił do apartamentu wczesnym wieczorem i od razu poszedł do kuchni, gdzie siedziała Eleanor. Popijała wino i przeglądała notatnik.

– No i jak? Co załatwiłeś?

Conor również nalał sobie wina.

– Coś piszesz, Eleanor?

– Tak, pamiętnik. Mogłabym z tego zrobić całkiem niezłą sztukę. Ale powiedz, co załatwiłeś.

– Niewiele. Zablokowali mi wszystkie karty kredytowe.

– Kto?

– Policja. To standardowa procedura. Chodzi o utrudnienie poruszania się.

– A twoje pieniądze na koncie?

– Zamrożone. Eleanor, powiedz mi, czy możesz jakoś...

Pokręciła głową i powiedziała:

– Przykro mi, Conor, ale jestem spłukana.

– No to mam problem. Bilet nie jest aż tak drogi, to nieco ponad tysiąc dwieście dolarów.

Ale nie wiem, jak będzie na miejscu. Nie wiem, jak długo będę musiał tam zostać. Poza tym słyszałem, że Oslo nie jest najtańszym miastem na świecie.

– A może pogadasz o tym z twoim przyjacielem Guttusem?

– Nie, Eleanor. I tak już za dużo korzystam z jego... hmm, dobroczynności. Nie chcę mieć go potem na karku do końca życia.

– Potrzebujesz po prostu sponsora.

– Tak, pewnie tak... Ale kogo?

– Kogoś, komu zależałoby na tym, żebyś odzyskał depozyty i pieniądze... Kogoś, komu będzie zależało na twoim sukcesie...

– Davina Gambit! – krzyknęli niemal równocześnie.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie. Byłam na obiedzie charytatywnym – powiedziała Davina Gambit.

Conor zaaranżował spotkanie z nią w IBM Garden Plaza przy Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy.

– Pani Gambit, zechce pani poznać Eleanor Bronsky. Eleanor jest agentem teatralnym.

Pomaga mi niemal od samego początku tej sprawy.

– Bardzo mi miło – odparła Davina Gambit. – Ale i tak niczego już nie rozumiem z tego wszystkiego. Otrzymałam z powrotem wszystkie swoje papiery, wszystkie swoje listy. Nic nie zginęło.

– Nic, poza czterema i pół milionem dolarów, które pani zapłaciła za ich odzyskanie.

– A co innego miałam zrobić? Gdyby Jack zobaczył te listy, zostałabym z niczym.

Wylądowałabym na ulicy.

– Pani Gambit... Proszę mi wierzyć, że robiłem wszystko, by je odzyskać. Ale zabrakło mi czasu. Tu chodzi o coś więcej, to nie tylko zakrojony na szeroką skalę szantaż. Ci ludzie nie zgarnęli pani pieniędzy po to, by się wzbogacić. Im chodzi o znacznie więcej.



– Skąd pan to wie?

– Stąd, że człowiekiem, który zorganizował kradzież depozytów, jest Victor Labrea. A Victor Labrea to agent do zadań specjalnych wielkiego Dennisa Evelyn Brancha.

– Nigdy o nim nie słyszałam – stwierdziła Davina Gambit i pokręciła głową.

– Branch to chrześcijański fundamentalista. Terrorysta i przywódca skrajnego ugrupowania o nazwie Światowy Ruch Posłannictwa. Nie ośmieli się przebywać długo w Ameryce, bo ściga go FBI. Ma na koncie kilka zamachów bombowych. A Victor Labrea to jego człowiek od brudnej roboty. Teraz przebywa w szpitalu.

– Ale po co temu Branchowi aż tyle pieniędzy? Przecież tu chodzi o dziesiątki milionów dolarów.

– O ile mi wiadomo, prowadzi właśnie jakąś krucjatę, mającą doprowadzić do zbawienia świata. Jego cele są sprzeczne z tym, na co czeka świat, ale on tego nie rozumie.

– Ja też nie. Jak on chce...

– Pani Gambit, nikt tak do końca nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Wiem jednak, że jeśli Branch wprowadzi w życie swoje plany, na świecie wybuchnie największa w historii wojna religijna.

– To brzmi jak jakieś szaleństwo.

– Ale to prawda. Ten człowiek już nieraz udowodnił swoją skuteczność w działaniu.

Nawet dla FBI jest twardym orzechem do zgryzienia.

Davina Gambit milczała przez dłuższą chwilę. W końcu potrząsnęła głową i powiedziała:

– Wspomniał pan przez telefon, że może odzyskać moje pieniądze.

– Zamierzam spróbować to zrobić – odparł Conor. – Nawet muszę próbować, bo od tego zależy cała moja reputacja... Całe moje życie od tego zależy.

– Ile pan potrzebuje, żeby dostać się do Oslo?

– Nie mam pojęcia, ale Oslo to drogie miasto. Nie wiem, jak długo będę musiał tam przebywać...

– Czy wystarczy panu dwadzieścia pięć tysięcy?

– Myślę, że tak. Przynajmniej na początek.

Davina Gambit spojrzała na Eleanor.

– Słyszałam o pani. Jest pani dość znaną osobą.

- Byłam... – mruknęła Eleanor.
- Dla mnie nadal pani nią jest. Czy pani uważa, że mogę zaufać temu młodemu człowiekowi?
- Conorowi? Tak. Ja mu ufam, a znam się na ludziach. W końcu to mój zawód.
- Więc bardzo proszę, niech pani coś dla mnie zrobi. Proszę jechać z nim do Norwegii i opiekować się nim. Proszę się upewnić, że ten zapalczywy młodzieniec nie zrobi jakiegoś głupstwa.
- Eleanor nie może być moją niańką – zaprotestował Conor.
- Ależ oczywiście, że może – powiedziała Davina Gambit. – Każdy czasami potrzebuje niańki.
- Ale to może być bardzo niebezpieczna wyprawa. Mamy do czynienia z fanatykami.
- Więcej, mamy do czynienia z ludźmi, których nawet fanatycy się boją.
- Dlatego właśnie potrzebuje pan wsparcia.
- Eleanor, a co ty o tym sądzisz? Zgodzisz się chyba ze mną, że powinnaś zostać tutaj, z Sidneyem.
- Już nic więcej nie mogę dla niego zrobić – odparła Eleanor. – Zanim dojdzie do siebie, miną miesiące. A co będzie potem, tylko Bóg jeden wie. Może będziemy razem, a może nie.
- Miłość do Sidneya zabrała mi trochę lat życia. On też potrzebuje niańki, ale teraz nie wiem, czy mogę sobie pozwolić na kolejne...
- Conor milczał przez chwilę, a potem wyciągnął rękę i ujął dłoń Eleanor. Davina Gambit położyła swoją dłoń na ich dłoniach.
- Młody człowieku, otrzyma pan pieniądze jutro rano. Umowa stoi.
- Pani Gambit, chciałbym serdecznie...
- Proszę nie dziękować. Niech mi pan da swój numer telefonu. Zadzwonię jutro o dziewiątej.

## 24

- Kiedy Conor nalewał sobie drugą filiżankę kawy, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i powiedział:
- Dzień dobry, pani Gambit, w samą porę.
- W samą porę na co? – odpowiedział kobiecy głos, który z pewnością nie należał do Daviny Gambit.
- Kto mówi? – spytał Conor

– Co się dzieje? – Eleonor zaciągnęła się papierosem i spojrzała na niego.

Głos po drugiej stronie słuchawki powiedział:

– Twój mały przyjaciel z apteki Kaufmana dał mi ten numer telefonu. Nie wiń go za to, nie zrobił tego dobrowolnie.

– Hetti...

– Wolałabym, żebyś mówił do mnie Magda, zwłaszcza teraz, gdy Ramon odszedł. Nigdy więcej hipnotycznych snów, nigdy więcej Hetti.

– Przykro mi z powodu Ramona, bez względu na to, co zrobił.

– Nie musi ci być przykro, był głupcem i w dodatku nieznośnie napuszczonym, bądź co bądź zawsze byłam lepszym hipnotyzerem od niego. Sama nie wiem, dlaczego z nim pracowałam i dlaczego go kochałam. To idiotyczne, że rzeczy, które robisz wbrew sobie, są lepszym wyjściem, nieprawdaż?

– Przypuszczam, że wszyscy popełniamy błędy – powiedział Conor. – Czego chcesz?

– Chcę spotkać się z tobą i porozmawiać. Mogę powiedzieć ci wszystko, co wiem o napadzie u Spurrsa na Piątej Alei.

– Czemu chcesz to zrobić?

– Chcą mnie zabić, oto dlaczego. Potrzebuję twojej ochrony.

– Kto chce cię zabić?

– Wiesz, kim oni są. Dennis Evelyn Branch i jego zwolennicy. Ludzie w czarnych ubraniach, z krucyfikami. Chcą usunąć mnie, by upewnić się, że niczego nie powiem.

– W porządku, spotkajmy się zatem – zgodził się Conor

– Jutro?

– Nie, dzisiaj, tak szybko, jak to tylko możliwe.

Nie powiedział jej, dlaczego tak się spieszy, nie powiedział, że wyjeżdża do Norwegii za niecałe dziewięć godzin.

– Gdzie jesteś? – zapytała Magda. – Zresztą gdziekolwiek jesteś, przyjadę spotkać się z tobą tak szybko, jak sobie tego życzysz.

– Będę w pizzerii Johna na Bleecker i Siódmej Alei. – Spojrzał na zegarek i dodał: –

Dokładnie o dziesiątej.

– Dobrze. Przydarzyła się zła rzecz, panie O’Neil. Ale sądzę, że może się stać coś jeszcze gorszego.

– Nie wątpię, pani Sianie.

– Magda, proszę.

– Okay, Magda.

Eleonor popatrzyła na niego z niepokojem.

– Jesteś pewien, że to rozsądne?

– Może nie, ale nie mamy nic do stracenia, prawda?

O 10:15 przybył od pani Gambit łysy jak kolano mężczyzna w przeciwsłonecznych okularach i jasnoróżowej koszulce polo. Wręczył Conorowi dużą brązową kopertę pocztową.

– Otwórz to – powiedział.

Gdy Conor zajrzał do środka, zobaczył, że są w niej ruloniki używanych studolarowych i pięćdziesięciodolarowych banknotów.

– Dwadzieścia pięć tysięcy, nie musisz liczyć

– Mam pokwitować? – zapytał Conor.

– Nie musisz, ale jeśli to zgubisz, twoje życie będzie gównem warte.

Magda Sianie czekała już na niego przy stoliku w rogu, gdy wszedł do pizzerii. Panował

tam okropny hałas, zarówno z powodu dudniącej muzyki, jak i tłumu pracowników pobliskich biur, czekających na swoje dania na wynos. Było ich tylu, że gdyby ustawili się jeden za drugim, utworzyliby bardzo długą kolejkę. Temperatura przekraczała trzydzieści stopni, a upał roztopiał nawierzchnie ulic.

Magda wyglądała wspaniale jak zwykle, ale jej kredowobiała, śmiertelnie poważna twarz i przestraszone duże oczy sprawiały, że ust prawie nie było widać.

Jej kruczoczarne włosy upięte były do góry za pomocą srebrnych gwiazdek, a na palcach błyszczały liczne srebrne pierścionki. Miała na sobie długą czarną sukienkę i czarne botki na wysokich obcasach, zawiązywane na cienkie jak pajęczne nitki sznurowadła.

– Chcesz coś zjeść? – zapytał Conor, gdy kelner podszedł do stolika.

– Nie – wyszeptała Magda. – Ale poproszę kawę, czarną i mocną.

– Dwa duże *espresso* – powiedział Conor. Kelner nie odchodził jednak, jakby czekał na dalszy ciąg

zamówienia, więc Conor dodał: – To wszystko... dwa duże *espresso*.

Magda rozglądała się nerwowo.

– Jesteś pewien, że jesteśmy tu bezpieczni?

– To zależy od twojej definicji bezpieczeństwa

– Nigdy nie myślałam, że będą mieli zamiar nas zabić – powiedziała. – Victor Labrea był

zawsze taki przyjacielski... dawał nam pieniądze i częstował jedzeniem. – Uśmiechnęła się blado. – Nazywał mnie Rumuńskim Łupieżcą, bo zawsze ubierałam się na czarno.

– W jaki sposób poznałaś taką szumowinę?

– Był kwiecień, pierwszy kwietnia, dzień głupich żartownisiów... To był dla nas bardzo zły czas. Ramon i ja nie mieliśmy żadnej porządnej pracy przez ponad dwa lata, nie mieliśmy też pieniędzy. Ramon był poszukiwany za handel prochami i kradzież jedzenia z delikatesów.

Jak długo mogliśmy tak żyć? Mieszkaliśmy w okropnym mieszkaniu niedaleko Bowery.

Zimą można było tam zamarznąć...

Ramon był zupełnie splukany i bolało go to nawet bardziej niż mnie. Pochodził z bardzo biednej rodziny w Tijuanie. Kto by pomyślał, że po całej tej sławie i pieniądzach będzie musiał powrócić do takiego nędznego życia...

Wtedy pojawił się u nas Victor. Nigdy nie dowiedziałam się, w jaki sposób nas odnalazł.

Powiedział, że potrzebuje naszej pomocy i że jest gotów za nią bardzo dużo zapłacić. Nawet tysiące dolarów, jeśli będziemy dobrzy.

– Powiedział ci, czego od ciebie oczekuje?

– Wyjaśnił tylko, że to będzie praca dla dobra ludzkości.

– Więc nie powiedział ci, że chodzi o kradzież depozytów i tajnych prawniczych akt, a potem wymuszenie pieniędzy od ich właścicieli w zamian za ich zwrot?

Magda potrząsnęła głową.

– Nie mówił, że to miało być dokładnie tak. Powiedział, że należy do ruchu religijnego, który chce rozpocząć krucjatę zakrojoną na światową skalę. Światowy Ruch Posłannictwa.

Powiedział, że nie mają żadnych zaoszczędzonych pieniędzy, ponieważ są prześladowani przez rząd i Konferencję Południowych Baptystów. Wszystkie ich aktywa zostały przejęte przez FBI, a żadna ze stacji telewizyjnych nie chce nadać transmisji, która mogłaby zapewnić im dopływ funduszy.

Zapewnił mnie, że nie są kryminalistami, ale ludźmi, którzy wierzą w Boga i w Biblię. To wszystko.

– Może i wierzą. Jednak dziwna to wiara, jeśli zezwala na okradanie innych ludzi.

– Victor powiedział, że Bóg dał mu znak

– Znak? Jaki znak?

– Wy to nazywacie objawieniem.. Mówił, że kiedy jechał przez pole pszenicy, zobaczył, że wszystkie kłosa uginają się w tę samą stronę, i nagle zdał sobie sprawę, iż Bóg chce, żeby świat był taki sam jak to pole pszenicy: chce, żeby wszyscy na świecie odmawiali wspólnie te same modlitwy i wyznawali tę samą wiarę, bo tylko wtedy na zawsze mógłby zapanować pokój i dobro. Powiedział mi, że Bóg upoważnił go do odebrania pieniędzy grzesznikom, by mógł głosić Jego słowo. Bóg oświadczył, że to jedyny sposób, by grzesznicy zapłacili za swoje grzechy, zwłaszcza za te, które ukrywali i za które nigdy nie zostali ukarani. „Bądźcie pewni, że wszystkie wasze grzechy wyjdą na jaw...”. Tak właśnie brzmiały Jego słowa.

Conor oparł się wygodniej na krześle. Oczy Magdy były tak czarne, że przypominały kałuże oleju; niczego nie potrafił z nich wyczytać. Czego ona chce? – zastanawiał się.

Dlaczego, u diabła, przyszła z tym do mnie?

– A co ty i Ramon pomyśleliście o znaku od tego niby-Boga Dennisa Evelyn Brancha?

Nie mów mi, że w to uwierzyliście. Kłosa pszenicy, pochylające się w tę samą stronę? Czy to wystarczające usprawiedliwienie dla rabowania, szantażowania i zabijania?

– Panie O’Neil, zapomina pan, że nie miałam pieniędzy nawet na jednego hot doga.

Gdyby pan znalazł się w takiej sytuacji, byłby pan gotów zaakceptować prawie każde usprawiedliwienie, jakie by panu ktokolwiek zaproponował.

Przyniesiono ich *espresso*.

– Jesteście państwo pewni, że nie będziecie nic jeść? – zapytał kelner. Conor posłał mu niechętnie spojrzenie, ale wcale go to nie zraziło. – Jeśli zmienicie zdanie, jestem do usług –

powiedział i odszedł.

Magda głośno zamieszała łyżeczką w swojej filiżance.

– Victor Labrea ocalił nas. Tak w każdym razie myśleliśmy. To były nie tylko pieniądze.

To była szansa, żeby znów praktykować hipnozę, znów móc kontrolować innych ludzi. To była władza.

– Mówisz, że hipnoza jest władzą?

– Oczywiście, władzą uzdrawiania. Władzą krzywdzenia. Władzą, która może uczynić innych ludzi śmiesznymi. Hipnotyzer może przewrócić całe twoje życie do góry nogami.

– A co z etyką? Co z moralnością?

– Nie ma już etyki, panie O’Neil. Nie ma moralności. Kto wie... może właśnie to Dennis Evelyn Branch próbuje przywrócić swoją kruczają.

– W jaki sposób zaplanowaliście napad u Spurrsa?

– W ten sam, w jaki planowaliśmy wszystkie inne rozboje. Dzwoniliśmy i zasięgaliśmy informacji o dostępności do tajnych depozytów, a potem zorganizowaliśmy spotkanie z pańskim zastępcą, Salvatore Moralesem.

– No i...? Ofiarował wam swoją pomoc w kradzieży depozytów ze Spurrsa?

– Na początku nie. Wprowadzaliśmy go w hipnotyczny trans, żeby dowiedzieć się, jakiego rodzaju materiały mogą być zdeponowane w skarbcu i jak wygląda ich ochrona. To było łatwe.

– Łatwe?

– Oczywiście. W niektórych kancelariach prawniczych było nam bardzo trudno dowiedzieć się czegoś o ich tajnych aktach. Personel był defensywnie nastawiony, lojalny i odporny na hipnozę. Ale z Salvatore poszło łatwo. Jego obsesją było odegranie się na Spurracie; raz nawet pomógł nam z własnej woli, nie będąc w hipnotycznym transie. A przy okazji, on ciebie nienawidził. Myślał, że zrujnował ci karierę. Powiedział, że byłeś *imperioso*.

– Przykro mi to słyszeć. Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

– Nie wiem. To smutne, że nie żyje. Nie używam tego słowa zbyt często, ponieważ nie jestem osobą, która wierzy w smutek... Tak więc Salvatore przekazał nam informacje, których potrzebowaliśmy, a potem pomógł nam opróżnić skrzynki depozytowe.

– Jesteś gotowa powiedzieć o tym w sądzie? – zapytał Conor.

Magda spojrzała na niego przerażona.

– W sądzie?! O co ty mnie prosisz? Jesteś szalony! Jeśli będę zeznawać przeciwko Światowemu Ruchowi Posłannictwa, z pewnością mnie zabiją.

– Jeśli nie liczyć Darrella Bussmana, który wciąż pozostaje w stanie śpiączki, jesteś jedyną osobą w Nowym Jorku, która może udowodnić moją niewinność.

– Rozumiem... Przykro mi, ale nie mam zamiaru umrzeć.

Conor dokończył swoją kawę.

– Przyszedł prosić mnie o ochronę. Czy oferujesz coś w zamian?

– Mogę ci pomóc. Mogę użyć swojego daru. Poza tym... domyślam się planów Dennisa Evelyn Brancha.

– Tak?

– Nie wiem zbyt wiele. Victor zwykł rozmawiać z nim każdego ranka przez telefon.

Czasami drzwi swojej sypialni pozostawiał na tyle uchylone, że mogłam słyszeć fragmenty ich rozmów. Brzmiały dość dziwnie... jakby nie rozmawiali o religii, ale o medycynie.

– Medycynie? Jakiego rodzaju medycynie?

– Victor ciągle powtarzał coś jakby: „Trzymać ich w izolacji, za każdą cenę”. Ale ja naprawdę niewiele pamiętam. Aha, wiele razy używał jeszcze słowa „biohazard”

– Czy pamiętasz coś poza tym?

– Jest jeszcze jedna rzecz... w każdej rozmowie przewijała się jakaś „ona”, jakby w to wszystko był zaangażowany ktoś jeszcze, kobieta, która chyba odgrywała dość ważną rolę.

Na przykład Victor mówił: „Nie wiem, co ona sobie pomyśli, jeśli nie uporamy się z tą robotą do końca listopada”. Albo: „Jak ona się dzisiaj miewa? Nie za dużo ognia i siarki, mam nadzieję?”.

– Coś jeszcze?

Magda dotknęła swoich ust serwetką, zostawiając na niej odcisk koloru kawy.

– Victor powiedział któregoś razu: „Chciałbym mieć pewność, że pani Labrea i ja będziemy bezpieczni. Potrzebuję gwarancji z waszej strony”. Potem przez chwilę słuchał, co mówi Branch, i na koniec powiedział: „Mówisz mi, że milion ludzi będzie musiał umrzeć.

Muszę mieć stuprocentową pewność, że nie będę jednym z tego miliona”.

– Naprawdę tak powiedział?

– Tak. Chcesz mnie zahipnotyzować? Chcesz usłyszeć tę rozmowę? Mam otworzyć przed tobą swój umysł, tak? W porządku. Nie będę stawiać oporu, panie O’Neil. – Chwyciła mocno jego rękę. – Wierzy mi pan, prawda?

– Jeszcze nie wiem. Co jeszcze wiesz o Dennisie Evelyn Branchu?

– Mam jego adres w Norwegii.

– Żartujesz sobie ze mnie...



– Wcale nie. Pewnego ranka zadzwonił do Victora i pani Labrea odebrała telefon. Przez pomyłkę weszłam do jej łazienki i dzięki temu mogłam wszystko podsłuchać. Pytała go, jaka jest pogoda i jak mu się podoba jego apartament. Zapytała go o adres, po czym go zapisała.

Gdy skończyła rozmawiać, wyszła, żeby poszukać Victora, a ja wymknęłam się z łazienki i zapamiętałam ten adres.

– Masz zamiar mi go dać?

– A masz zamiar mnie chronić?

– Nie jestem pewien, czy mogę. Pamiętaj, że jestem poszukiwany... i to dzięki tobie.

Magda położyła na stole samoprzylepną karteczkę. Hammerfestgata 17, Rodelka, Oslo.

– Myślę, że on naprawdę chce zabić wielu ludzi, i sędzę, że to, co zrobi, będzie potworne.

Przez chwilę w milczeniu patrzyła przed siebie, w jej oczach pojawiły się łzy.

– Wiesz, żałuję teraz, że im pomogłam. Nie powinnam była nigdy opuszczać tamtego okropnego mieszkania... Nawet mimo głodu. Jestem przerażona. Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył? Nie mogę sobie wybaczyć tego, co się stało z Ramonem. Co za głupiec. Ale przecież go kochałam...

Conor przyglądał się Magdzie przez chwilę, patrzył w jej czarne oczy i błyszczące w nich łzy. Nie współczuł tej kobiecie. Gdyby nie ona, nie byłby zbiegiem, nie musiałby uciekać, nie straciłby Lacey, a Sidney nie walczyłby teraz o życie. Doskonale jednak wiedział, jak Magda się teraz czuje. Wiedział, co to znaczy otworzyć puszkę Pandory i jak trudno ją zamknąć.

– Posłuchaj... – odezwał się po chwili. – Zarezerwowałem już miejsca na lot do Oslo.

Dziś wieczorem.

– Oszalałeś! – zawołała Magda, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. – Chcesz ich ścigać?

– A dlaczego by nie? W końcu całe życie to robiłem. Ścigałem różnych bandziorów, najrozmaitszych mafiosów... pozwól więc, że coś ci powiem. Najlepszą rzeczą, jaką można zrobić, to dopaść ich, zanim oni dopadną ciebie.

– Ale oni cię zabiją. Nigdy nie widziałam tak okrutnych ludzi. Oni... oni nie mają serca.

Takich jak oni nie ma nawet w Rumunii.

– Magda, posłuchaj. Muszę to zrobić dla mojego własnego bezpieczeństwa. A jeśli chcesz, żebym cię ochraniał, musisz jechać ze mną. Jeśli chcesz mi pomóc, to też musisz jechać. Nie mogę cię do tego zmusić, ale czy masz wybór? Albo ich przygwoździmy, albo będziemy musieli uciekać przed nimi do końca życia.

– I zaufałyś mi? – zapytała, patrząc mu w oczy.

– Nie, nie zaufałybym. Ale teraz potrzebna mi każda możliwa pomoc.

– Możesz mi zaufać. Poza tym przecież uważasz, że jestem atrakcyjna. Podobam ci się.

– Słucham...?

– Podobam ci się. Zastanawiasz się, co mam pod tą czarną spódniczką. Może nic tam nie mam. A może mam takie specjalne majtki na sznureczkach i łańcuszkach.

– Magda, posłuchaj...

– Spójrz na mnie... Spójrz mi w oczy. Gdzie wędrujesz, gdy patrzysz mi w oczy?

– Nie wiem... Nie wiem, gdzie wędruję...

– Wchodzisz w moją duszę. Coraz głębiej i głębiej... wchodzisz w coraz większą ciemność. Wszędzie jest mrok... Niczego nie słyszysz, niczego nie widzisz... Niczego nie czujesz. Nie wiesz nawet, gdzie jest dół, a gdzie góra. Ale cieszysz się, że jestem z tobą, że jestem obok. Czujesz się swobodnie... Nie boisz się już.

– Nie boję...

– Nie boisz się. I chciałbyś się ze mną kochać, ale jeszcze nie chcesz tego powiedzieć...

Jeszcze nie teraz. Lubisz czekać na przyjemność.

Conor rejestrował wszystkie dźwięki, które go otaczały, wiedział, gdzie się znajduje, i zdawał sobie sprawę z tego, że właśnie jest poddawany hipnozie. Czuł się silny, czuł, że cały czas nad wszystkim panuje, ale nie był w stanie się poruszyć. Transy Sidneya nigdy nie były tak silne, jak to, czego teraz doświadczał. Czuł, że jeśli Magda kazałaby mu przestać oddychać, zrobiłby to.

– Pojadę z tobą – oświadczyła hipnotyzerka. – Odnajdziemy Dennisa Evelyn Brancha.

Możesz zemścić się na nim za to, co obaj z Victorem zrobili twoim przyjacielom, a ja za to, co zrobili z Ramonem. Zrobisz to, prawda? Odnajdziesz go i wykończysz. I nie będziesz czuł

żadnych wyrzutów sumienia. Conorze O’Neil, zabijesz go!

Po chwili milczenia opuściła dłoń i powiedziała:

– Teraz się obudzisz i będziesz pamiętał wszystko, co ci mówiłam. Jesteś przepelniony gniewem. Chcesz znaleźć Dennisa Evelyn Brancha i zabić go. Wyrządził ci tyle krzywd.

Conor patrzył przez chwilę na Magdę, a potem powiedział:

– Zahipnotyzowałaś mnie. Staralem się bronić, ale mi się nie udało. Jak to zrobiłaś?

– To nie takie trudne, jeśli ma się odrobinę praktyki. Czasami nawet łatwiej jest zahipnotyzować kogoś, kto usiłuje się bronić. Tak bardzo pochłonięty jest obroną, że nie zauważa innych rzeczy. Bardzo łatwo podkraść się wtedy do jego umysłu. Uderzasz nagle, z zaskoczenia, kiedy ma odwróconą uwagę, i wtedy już jest w twoich rękach.

– No dobrze... ale kto ci powiedział, że chcę się z tobą kochać?

– Ty. – Magda uśmiechnęła się lekko. – Jesteś mężczyzną, prawda? Cały czas mi to mówisz.

Conor nadal nie był pewien, czy może jej ufać. Może mówiła mu prawdę, a może wciąż pracowała dla Brancha. To, że była światowej klasy hipnotyzerka, nie ulegało wątpliwości. A hipnoza mogła być bronią bardziej niebezpieczną od broni palnej. Nie zostawiało się odcisków palców, żadnych śladów, nic. Można było popełnić zbrodnię doskonałą.

Wiedział, że ta kobieta powinna jechać razem z nim do Norwegii. Nie uświadamiał sobie jeszcze jasno, w czym miałyby mu pomóc, ale wiedział, że jest mu potrzebna. Może potrzebował tylko jej finezji, jej łatwości rozmowy z każdym i na każdy temat. A może potrzebne mu było jej szaleństwo. Tak czy inaczej, potrzebował jej wsparcia. Lacey pozostawiła po sobie ogromną pustkę i być może Magda Sianie będzie potrafiła tę pustkę wypełnić.

Po chwili milczenia spojrział na nią i powiedział:

– Dzisiaj wieczorem odlatujemy do Oslo. Eleanor Bronsky i ja. Zabukuję dla ciebie bilet.

Nie wiem, jak długo tam będziemy ani co nas tam czeka, więc lepiej zabierz ze sobą parę rzeczy. Spotkamy się tutaj o piątej. Jeśli cię nie będzie, odlatujemy sami. Żadnego czekania.

– Będę, nie martw się.

– Bardzo pana przepraszam... – Conor drgnął na głos kelnera, który zjawił się jak spod ziemi. – Przepraszam, ale czy zwolni pan niedługo stolik? Mamy mnóstwo gości, którzy chcą u nas zjeść.

Conor wstał i odsunął Magdzie krzesło. Podał kelnerowi dziesięć dolarów i powiedział:

– Bardzo panu dziękuję. Nawet pan się nie domyśla, jak pan nam dzisiaj pomógł.

Niecałe dwie godziny po obiedzie, który zjedli na pokładzie samolotu, niebo zaczęło się przejaśniać. Conor odsunął roletę w okienku i patrzył na bezkresny ocean chmur pod nimi.

Niedaleko nich leciał na wschód inny 747, błyskając światłami na tle porannego nieba. W

fotelu obok Conora spała Eleanor, opatulona kocem. W drugim rzędzie siedziała Magda i czytała książkę o różnych wspomagających działaniach hipnozy dietach. Miała na nosie okulary, które nadawały jej bardzo poważny wygląd.

Godzinę przed lądowaniem w Oslo pasażerowie dostali sok pomarańczowy i ciasteczka z dżemem truskawkowym.

– Żałuj, że nie leciałeś nigdy do Europy na pokładzie jednego z tych dawnych statków powietrznych – powiedziała Eleanor do Conora. – Wtedy podawali ciepłe śniadania, a zastawa była zastawą... To było srebro, nie jakiś tani plastik.

– Jasne. A jak długo się leciało?

– To nie miało znaczenia. Liczył się styl, nie szybkość. Wtedy podróżowało się w najlepszych ubraniach. Nie włożyłbyś byle czego na siebie. Shelly Winters zawsze wkładała swoje norki, nigdy nie podróżowała ubrana inaczej. A teraz... zobacz, rozejrzyj się: dzinsy, luźne bluzeczki, sweterki. Czasami mi się wydaje, że... Ech, nieważne. Chyba wolałabym umrzeć, niż doczekać takich czasów.

Na Gardermoen byli dwadzieścia minut za wcześnie. Słońce świeciło jasno na tle czystego nieba, ale gdy tylko wyszli z samolotu, od razu poczuli różnicę temperatury. Był

bardzo ciepły sierpniowy poranek, termometry wskazywały prawie dwadzieścia stopni, a do południa miało dojść nawet do dwudziestu ośmiu.

Kiedy jechali do miasta taksówką, Conor miał wrażenie, jakby oglądał zdjęcia z kolorowych folderów z biur podróży. Wszędzie intensywne kolory, czyste ulice, porządek, nieduże ładne domki, w oknach kwiaty, w ogródkach zielone i srebrne świerki. Na pewnym odcinku autostrada biegła tuż przy nadbrzeżu. Jasny błękit nieba zlewał się z ciemnym błękitem wody, a wokół unosiła się delikatna mgiełka. Łodzie rybackie były już na morzu.

– Wcześnie wypłynęli – zauważył Conor.

– Lato jest u nas krótkie – odparł taksówkarz. – Musimy wykorzystać każdą godzinę.

Dojechali do Oslotunnel, drogi, która omija port i prowadzi bezpośrednio do miasta.

Przejechali obok stojącego w centrum ratusza, wielkiego budynku z dwoma wieżami. Potem jechali przez zatłoczone miasto aż do ulicy Kristiana IV, gdzie Conor zabukował dwa pokoje w hotelu Bristol.

– No, to jest coś – stwierdziła Eleanor, wchodząc do błyszczącego marmurami holu.

Wszędzie było lśniące szkło, marmury i świeże kwiaty.

Ale Conor natychmiast sprowadził ją na ziemię, mówiąc:

– Nie będziemy tu długo. Po pierwsze, doba kosztuje pięćset dolców, a po drugie, chciałbym trochę mniej rzucać się w oczy. Wynajmiemy gdzieś jakiś nieduży apartament.

Przyda nam się trochę konspiracji.

– Szkoda – westchnęła Magda. – W takim miejscu mogłabym mieszkać całe wieki.

Pokoje były tak samo luksusowe jak hol. Grube niebieskie dywany, wielkie łoża, welurowe zasłony, kosze pełne owoców. Wystarczyło tylko po nie sięgnąć. Conor otworzył

okno i wyszedł na balkon. Chociaż słońce mocno świeciło, był dość zimny wiatr. Conor patrzył na Domkirke, osiemnastowieczną wieżę zegarową, najstarszą w Norwegii. Z balkonu rozciągał się widok aż do wschodniego portu Bjorvika.

Magda i Eleanor poszły do swojego pokoju rozpakować rzeczy, ale Eleanor już po chwili wróciła. Usiadła na brzegu łóżka, jedząc figę, i patrzyła, jak Conor wiesza swoje ubrania w szafie ściennej.

– Myślisz, że to był dobry pomysł, żeby Magda tu przyjechała?

– Nie wiem. Ale mam przeczucie, że ona może nam pomóc.

– Naprawdę jej ufasz?

– Nie, nie ufam. Wiem jednak, że jej własny interes jest ściśle związany z naszym. A to powinno wystarczyć.

Przez otwarte okno słyszeli uliczny hałas, kroki setek turystów idących chodnikiem, jednostajny szum rozmów, głosów i nawoływań. Z portu dochodziły krzyki mew. W pokoju na orzechowym biurku stał wazon z liliami, a na ścianie wisiał portret Haralda Harfagre’a, pierwszego króla Norwegii. Na biurku leżał portfel Conora i kilka monet: koron i ore.

– Nie pozwalaj sobie na cynizm – powiedziała Eleanor. – Cynizm wypali cię jak kwas.

Coś o tym wiem.

Przycisnęła rękę do piersi i skrzywiła się.

– Angina? – zapytał Conor. – Masz swoje lekarstwa?

Eleanor kiwnęła głową i powiedziała:

– Na tydzień wystarczy. Potem będę potrzebowała nowej recepty.

– Nie martw się. Znajdę ci lekarza. Nie wiem, jak długo tu będziemy, ale nasz pobyt może nie należeć do najkrótszych. Nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

Eleanor wstała i objęła go.

– Co my tu robimy? Powiedz mi, co my tu wszyscy robimy?

Na balustradzie balkonu przysiadła mewa i zaskrzeczała.

– Myślę, że jesteśmy tu po to, by ocalić parę dusz – odparł Conor.

25

Następnego dnia było chłodniej, a od strony Oslofiord wiała zimna bryza. Słońce świeciło i chowało się za chmury, po chwili znów świeciło i zachodziło za chmury, jak dni upływające na sennych marzeniach.

Conor spędził poranek, dzwoniąc do różnych agencji pośredniczących w wynajmie mieszkań. Jedna z nich miała dwa wolne apartamenty, które można było w każdej chwili obejrzeć; jeden w Torshov, naprzeciwko parku, a drugi na Helgesens Gate w Grunerlka.

Obydwa były tylko o pięć minut drogi od siedziby Dennisa Evelyny Brancha. Na Bankplassen w Cafe Engebret zjedli znakomite śniadanie, na które składał się wybór suszonych, solonych i wędzonych mięs oraz płaty śledziowe i kawałki innych ryb w sosie beszamelowym. Całości dopełniały ziemniaki z wody posypane koprem.

– Mam nadzieję, że ta dieta mnie nie zabije – uśmiechnęła się Eleanor.

– Dieta na pewno nie – mruknęła Magda. – Ale Dennisa Evelyny Brancha nie byłabym już taka pewna.

Po śniadaniu wsiedli do metra i pojechali na Carl Berners Plass. Wagony były doskonale izolowane od hałasu, jasno oświetlone i wprost niewyobrażalnie czyste. Zauważyli, że przyglądają im się dyskretnie trzy siedzące w tym samym wagonie osoby. Żadna z nich ani razu się nie uśmiechnęła. Dwaj mężczyźni mieli głęboko osadzone oczy i długie brody, a kobieta nosiła duże okrągłe okulary. Ale stanowili przecież dość niezwykły widok w takim kraju jak Norwegia. Magda, jak zwykle, spowita była w nieprzeniknioną czerń, a włosy miała zaczesane gładko do tyłu. Eleanor ubrana była w dzinsy od Calvina Kleina i horrendalnie drogą jedwabną turkusową bluzeczkę od Yves St Laurenta z Madison Avenue.

Conor wybrał na ten dzień niebieską koszulę i luźne, dość szerokie beżowe spodnie.

– Wyglądasz, jakbyś się wybierał na wyrąb lasu – zaśmiała się Eleanor.

Hammerfestgata okazała się krótką ulicą, na której stały domy z lat sześćdziesiątych.

Wzdłuż chodnika rosły lipy. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć mężczyzny, który spacerował z psem o niemożliwej do określenia rasie. Gdy zbliżyli się do numeru siedemnastego, słońce schowało się za chmury i przez chwilę Conor miał wrażenie, że nagle znaleźli się na czarno-białej fotografii.

Podeszli do budynku i Conor otworzył drzwi. W środku wszystko lśniło czystością.

Podłogi wyłożone były marmurem, a ściany pomalowano na jasny beż. Wokół unosił się lekki zapach octu winnego i dobrych papierosów. Conor podeszedł do skrzynek pocztowych i przyjrzał się nazwiskom: Rustad, Jensen, Schei... To mogło być każde z nich.

– Zobacz, jest tu także nazwisko właściciela agencji nieruchomości – powiedziała Eleanor. – Ole Wergeland, na Sars Gate. Może powinniśmy zamienić z nim słóweczko.

Kiedy mieli już wychodzić, w drzwiach stanęła kobieta w średnim wieku, objuczona torbami z zakupami. Conor otworzył jej szerzej drzwi i wziął od niej jedną z toreb.

– Pani pozwoli, pomogę. Nie chcemy przecież mieć płatów ogórkowych na tej marmurowej podłodze, prawda?

– Och, bardzo panu dziękuję – odparła kobieta z prawie niezauważalnym obcym akcentem. – Zawsze za dużo kupuję naraz.

– Przepraszam bardzo, momencik... – powiedział Conor, gdy kobieta szła w kierunku windy. – Być może będzie mogła nam pani pomóc. Szukamy pewnego Amerykanina, który prawdopodobnie tu mieszka. Dość szczupły, jasne włosy, blada twarz.

Kobieta skinęła głową.

– Tak, jest tu jeden Amerykanin. Ma bardzo jasne włosy. Odwiedza go tutaj parę osób.

Przychodzą i wychodzą. Ale ja się im nie przyglądam. Jeden ma brodę, a drugi nie. Mówimy sobie dzień dobry, i to wszystko. Nigdy jednak nie widziałam tej kobiety.

– Jakiej kobiety?

– No przecież mówię, że nie wiem. Nigdy jej nie widziałam. Ale czasami bardzo wyraźnie ją słyszę.

– Musi rzeczywiście głośno mówić.

– No cóż, ja tam nie wtrącam się do niczyich spraw. Chyba że ktoś bardzo głośno krzyczy.

– A nigdy pani nie słyszała, o czym ta kobieta tak głośno mówi?

Kobieta pokręciła głową i Conor zrozumiał, że nawet gdyby wiedziała, nie powiedziałaby mu tego.

– A pod jakim numerem mieszkają? – zapytał.

Kobieta wskazała na skrzynkę pocztową z nazwiskiem Udgaard.

– To nazwisko człowieka, który tam mieszkał przed Amerykaninem. Oni nigdy nie zmienili tabliczki. A ten poprzedni zbierał motyle. Potem umarł i nikt nie przyszedł na jego pogrzeb. Jakie to smutne.

– Bardzo pani dziękuję. – Conor uśmiechnął się i ukłonił.

– Ale nie będzie żadnych kłopotów, prawda? – zapytała kobieta z wyraźną obawą.

Magda popatrzyła na nią i powiedziała łagodnie:

– Proszę niczego się nie obawiać. Nie musi pani niczym się martwić. Proszę myśleć tylko o tym, co pani dzisiaj kupiła. Wszystko w porządku... Nic się nie dzieje... Co pani przygotowuje dzisiaj na kolację? *Klippfisk*?

– Tak, tak... *klippfisk*.

– Czy to pani ulubione danie?

– *Ja, ja*.

Magda podeszła do kobiety i dotknęła jej ramienia.

– Dzisiaj będziesz miała wspaniały wieczór, będziesz się znakomicie bawiła. Będziesz się czuła szczęśliwa i wypoczęta... Przygotujesz znakomitą kolację i wszyscy będą się cieszyli...

– Tak... tak

– I zapomnisz... Zapomnisz, że nas tu dzisiaj spotkałaś. Zapomnisz, że pytaliśmy o Amerykanina... Jesteś spokojna, odprężona... i bardzo zadowolona...

– Tak, jestem spokojna... zadowolona...

– Zaraz cię obudzę – powiedziała Magda. – Nie będziesz wiedziała, kim jesteśmy... Nie będziesz pamiętała, o czym mówiliśmy... Pójdiesz do windy i pojedziesz do swojego mieszkania... I zaczniesz przygotowywać kolację... Policzę do trzech i obudzisz się... Raz, dwa... trzy.

Kobieta stała i patrzyła na nich przez chwilę, a potem potrząsnęła swoimi torbami z zakupami i odwróciła się. Poszła do windy i wcisnęła guzik. Conor patrzył na nią, dopóki drzwi windy się nie zamknęły. Nigdy przedtem nie widział tak zaskoczonej i zdezorientowanej twarzy. Ale prawdopodobnie sam wyglądał podobnie, kiedy Ramon zahipnotyzował go w Spurrście.

Wyszli z budynku, skierowali się na Langgata i poszli w kierunku Helgesens Gate. Słońce świeciło przez chwilę i znów schowało się za chmurami. Helgesens Gate była jak zwykle zatłoczona. Budynek, do którego podeszli, musiał być niedawno zbudowany. Hol był jasny i przestronny, a na piętra prowadziły szerokie schody o chromowanych poręczach. Ścianę zdobiło malowidło przedstawiające wielki liniowiec, wokół którego krążyły mewy.

Mała, drobna kobieta w wielkich okularach na nosie zaprowadziła ich do apartamentu.

Był dość przestronny i oczywiście niezwykle czysty. Kanapy pokryte były skórą, a stoliki miały lśniące szklane blaty.

– Właścicielem mieszkania jest profesor i jego żona – poinformowała ich kobieta. – On wyjechał do Ameryki, na uniwersytet w Bostonie, a ona pojechała do Sudanu opiekować się głodującymi dziećmi.

– Podoba mi się tu – powiedziała Magda, pływając po pokoju. – Tu jest dobre feng shui.



– No... i jest też bidet – oznajmiła z dumą drobna kobieta.

Z Bristolu wyprowadzili się podczas weekendu. Brakowało im hotelowego komfortu, ale na apartament przy Helgesens Gate też nie mogli narzekać. Eleanor wciąż była nieufna w stosunku do Magdy, hipnotyzerka jednak wcale się tym nie przejmowała. Codziennie rano przynosiła Eleanor do łóżka filiżankę kawy, a wieczorem podawała jej szklanekę schłodzonego akwawitu. Twierdziła, że to dobrze wpłynie na jej serce.

Opowiedziała im o swoim dzieciństwie w Rumunii i o emigracji do Stanów Zjednoczonych. Podstaw hipnozy nauczyła się już w wieku trzynastu lat od przyjaciela swojego ojca. Był to bezzębny staruszek, który często brał Magdę na kolana i huśtał ją na nich. Pamiętał Żelazną Gwardię Codreanu i czasami opowiadał, w jaki sposób wykańczała ludzi. Sam nauczył się sztuki hipnozy od pewnego człowieka z wędrownego cyrku. Człowiek ten nazywał sam siebie Wielkim Cantemirem i opowiedział swojemu uczniowi, jak hipnoza uratowała mu życie, gdy napadli go pijani żołnierze.

– Hipnoza to wielka siła – mówiła Magda. – A także wielka wybawicielka. Gdy nie masz już żadnej nadziei, ona da ci nadzieję. Gdy nie widzisz już przed sobą żadnej drogi, ona wskaże ci drogę. I nie ma w tym żadnej tajemnicy. Hipnoza otwiera twój umysł, to wszystko.

Pokazuje ci, ile jest w tobie siły i odwagi.

Niemal całe dni spędzali na obserwacji mieszkania Brancha i jego sekty. Siadywali w kafejce Baltazar na rogu Hammerfestgata i Trondheimsveien. Conor kupił norweski telefon komórkowy, by mogli przez cały czas być ze sobą w kontakcie. W słoneczne dni właściciel kafejki wystawiał na ulicę stoliczki i parasole. Nie przeszkadzało mu, że Conor, Eleanor i Magda przesiadują tu przez całe poranki i większość popołudnia, zamawiając tylko kawę i –

od czasu do czasu – hot doga lub zestawy śniadaniowe ze śledziem i salami.

W okolicach budynku nie pojawił się jednak nikt, kto choć odrobinę przypominałby Dennisa Evelyną Brancha. Przez cały weekend nic się tam nie działo, nie zjawił się ani jeden człowiek. Conor zaczynał już podejrzewać, że tracą czas. W końcu nie miał żadnego dowodu na to, że Branch jest w ogóle w Norwegii. Ale w poniedziałek o godzinie 11:04 pod budynek podjechał minivan volvo, z którego wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich, brodac, miał na sobie dżinsy, czerwony T-shirt i brązową czapkę z daszkiem. Drugi ubrany był w czarny sweter i czarne spodnie, a na głowie miał kaptur. Conor nie widział dokładnie twarzy, ale był

niemal pewien, że spod kaptura wysunął się na moment jasny kosmyk włosów.

– To nasz człowiek – powiedział do Eleanor i Magdy.

Przez chwilę obserwowali, jak kierowca vana i człowiek w brązowej czapce zmagają się z pokaźnych rozmiarów kartonami, które nosili do mieszkania. Człowiek w kapturze niczego nie nosił, ale kilka razy zaglądał do pudeł, jakby chciał się upewnić, że z ich zawartością jest wszystko w porządku. Po kilku minutach van odjechał.

– Hmm... Zastanawiam się, co zawierają te kartony – powiedziała Eleanor.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Musimy do nich zajrzeć.

– Czyli musimy poczekać, aż wszyscy sobie pójną.

– Albo wejść tam, kiedy będą spali.

– O czym ty mówisz? Potrafiłbyś to zrobić?

– Przypominam, że byłem policjantem – odparł Conor. – Umiem otwierać różne zamki.

W tym momencie zauważył, że z budynku wyszło dwóch mężczyzn. Stanęli przed wejściem, jakby na kogoś czekali. Padał na nich cień drzew, więc trudno było dojrzeć ich twarze.

– Mogłabym przejść obok domu. Może poznam któregoś z nich... – zaproponowała Magda.

– To zbyt ryzykowne – stwierdził Conor. – Jeśli to ludzie Brancha, z pewnością wiedzą, jak wyglądasz.

Nie zdążyli podjąć żadnej decyzji, bo po chwili podjechał lexus i zatrzymał się przy mężczyznach. Obaj wsiedli do wozu – na fotelu pasażera usiadł jasnowłosa, a jego towarzysz zajął miejsce z tyłu. Za kierownicą siedziała ciemnowłosa kobieta. Kiedy lexus odjeżdżał, jego opony zapisały na ostrym skręcie w Langgata.

– Było ich trzech i trzech odjechało – powiedziała Eleanor. A więc jest szansa, że w mieszkaniu nikogo nie ma.

– Może tak, może nie. Ale warto się przekonać.

Wstali i przeszli na drugą stronę ulicy. Weszli do budynku i sprawdzili numer mieszkania Udgaarda – ap. 206. Podeszli do windy i nacisnęli guzik.

Apartament był na samym końcu długiego korytarza, tuż przy oknie, które wychodziło na ulicę. W całym budynku panowała absolutna cisza. Żadnej muzyki, dźwięków telewizora czy głosów bawiących się dzieci. Poszli korytarzem po wąskim dywaniku. Gdy dotarli do drzwi mieszkania, Conor zadzwonił.

Ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Stali tak przez minutę, a potem Conor zadzwonił

jeszcze raz. Za oknem chmury wędrowały szybko po niebie, a w mieszkaniu nadal panowała całkowita cisza.

Conor sięgnął do kieszeni i wyciągnął ciemną skórzaną saszetkę, w której trzymał swoje wytrychy. Otwarcie drzwi zajęło mu trochę czasu. Zamek nie był zbyt skomplikowany, ale Conor nie znał tego typu zamków. Jednak po czterech minutach drzwi stanęły otworem.

Cały duży pokój zawalony był kartonami, wśród których znajdowały się również te przywiezione przed południem. Kilka z nich miało logo i napis: *Szklane Narzędzia Naukowe*

– *ostrożnie przewozić*. Na pozostałych pudłach były nazwy innych firm, ale Conorowi nic one nie mówiły.

Pozostała część mieszkania była prawie zupełnie pusta. W kuchni nie było artykułów spożywczych, poza wielką puszką kawy i kilkoma butelkami norweskiej wody mineralnej.

Garnki i talerze wyglądały na zupełnie dziewicze, a w zmywarce nie było niczego poza kurzem. W sypialni stało tylko jedno łóżko, a przy nim, na stoliczku, szklanka z wodą i Biblia. Magda otworzyła szafkę ścienną.

– Dwie suknie, trzy spódniczki, kilka swetrów – oznajmiła po chwili. – Wszystko bardzo drogie – dodała, oglądając metki. – Ależ ci ludzie mają gust... – mruknęła. – Ta purpurowa ohyda niby jest od Chanel, ale nie włożyłabym tego nawet na swoją egzekucję.

Męskich ubrań prawie wcale nie było. Tylko dwa płaszcze, dwie pary spodni i trzy złożone w kostkę swetry.

W drugiej sypialni panował lekki bałagan, a łóżko było nie pościelone. Na małym krześle, służącym jako nocny stolik, stał porcelanowy troll. Na podłodze leżał norweski magazyn motoryzacyjny. W szafie było kilka ubrań, pachnących dymem papierosowym.

– Mój Boże! – zawołała Magda, podnosząc z obrzydzeniem jeden ze swetrów. – To sweter z renifera.

– Przeszukaj kieszenie – polecił jej Conor. – Zajrzyj pod łóżka i pod materace.

Sam poszedł korytarzem do łazienki. W lustrze apteczki zobaczył swoją twarz, zmęczoną i pobrużdżoną, było to jak spotkanie z kimś, kogo się od lat nie widziało. Conor detektyw. To samo spojrzenie, ten sam świdrujący wzrok. Otworzył apteczkę. Była tam damska maszynka do golenia, małe pudełeczko z bandażami i tubka bepantholu. Żadnych innych lekarstw, żadnych kosmetyków, ołówków do powiek czy kremów.

– No i co o tym sądzisz? – zapytała Eleanor, stając w drzwiach łazienki.

– Nie jestem zupełnie pewien, ale wydaje mi się, że to mieszkanie jest tylko skrzynką kontaktową. Może tu czekają na przesyłki, na przykład na forszę z Nowego Jorku. Składują tu towar. Mam wrażenie, że długo tu nie posiedzą – odparł Conor.

Wrócił do pokoju. Zastanawiał się, jak sprawdzić, co jest w kartonach. Nie chciał, by którykolwiek z ludzi Brancha zaczął podejrzewać, że ktoś się do nich dobierał. Jeszcze za wcześnie na rozgrywkę. Magda wspominała, że Victor Labrea mówił o biohazardzie...

Większość kartonów miała oznaczenia firm o oczywistym profilu: Micro-Org. S.A., Protective Air Systems Inc. i podobne.

– Co robimy? – zapytała Magda. – Może im wszystko porozwalamy?

– Mają dość pieniędzy, by zamówić wszystko jeszcze raz. A my musimy mieć pewność, że niczego nie podejrzejawają. Musimy iść za nimi wszędzie tam, gdzie oni pójdą. Zwłaszcza jeśli będą chcieli wyprowadzić stąd cały ten sprzęt.

– A twoim zdaniem... co oni robią? – zapytała Magda. – Czy to jest właśnie to, co jest warte ludzkiego życia? Czy właśnie za to zapłacił swoim życiem Ramon?

– Wydaje mi się, że znaleźli sposób namówienia ludzi, by wstępowali do Światowego Ruchu Posłannictwa. Pewnie to działa na tej zasadzie, że nikt nie ma wyboru. Przyłącz się, opluj swoją religię, bądź z nami albo cię zabijemy.

– Czyja dobrze rozumiem? – zapytała Eleanor. – Wyjęła z paczki papierosa, ale jeszcze go nie zapaliła. – Czy ty mówisz o początku jakiejś wojny religijnej?

– A myślisz, że po co ten cały sprzęt? Myślisz, że chcą hodować pomidory?

– Pewnie nie. Ale w jaki sposób jeden człowiek może zmienić religię na całym świecie?

Trzeba być szaleńcem, żeby tak myśleć! Na przykład talibowie raczej umrą, niż nawrócą się na chrześcijaństwo.

– Oczywiście. Ale jemu chyba naprawdę się wydaje, że zdoła tego dokonać. Na tym właśnie polega różnica między takimi ludźmi jak Branch i takimi jak ty i ja. My nie wtrącamy się w religie innych ludzi. Nie nakłaniamy nikogo do żadnej zmiany. Dla nas to absurd.

– Tak, masz rację.

– Dennis Evelyn Branch postrzega to jednak w inny sposób. Jemu się wydaje, że tylko on ma rację, a kiedy ktoś się z nim nie zgadza, jest jego wrogiem. A jeśli zabije kilkaset osób, będzie to oczywiście nasza wina. Nasza – wszystkich, którzy nie przejdą na jego stronę. Bo dlaczego nie daliśmy mu się „nawrócić”? Dlaczego nie wyznajemy jego religii? Dlaczego nie dostał czasu antenowego w telewizji, żeby przekazać wszystkim instrukcje od Boga? Z takimi ludźmi nie da się dyskutować. Ich nie można o niczym przekonać. Oni wyznają tylko jedną zasadę: albo jesteś z nimi, albo musisz umrzeć. Ich można powstrzymać tylko w jeden sposób...

– Więc co teraz? – zapytała Magda.

– Musimy obserwować Brancha i jego ludzi. Na razie to wszystko. Trzeba zobaczyć, co będą chcieli zrobić z tym sprzętem.

– Bałam się, że to właśnie powiesz.

– Nie musisz przecież tu zostawać, jeśli nie chcesz. W każdej chwili możesz wrócić do domu.

– I czekać, aż mnie znajdą? Aż zabiją?

Conor ujął ją za ramię.

– Daj spokój – powiedział. – Znikajmy stąd, zanim przyjdą. Nie ma co kusić losu.

Śledzili budynek przy Hammerfestgata 17 przez ponad trzy tygodnie. Była połowa września i robiło się coraz zimniej, a noce stawały się coraz dłuższe. Od czasu do czasu widywali Dennisa Evelyne Brancha, widywali też ciemnowłosą kobietę i mężczyznę w brązowej czapce z daszkiem. Ale nie widzieli żadnych innych ludzi, nikt inny nie odwiedzał

tego mieszkania. Nigdy też nikt nie wyniósł ani jednego kartonu.

Coraz częściej dochodziło między nimi do nieporozumień. Magda nie mogła znieść papierosów Eleanor i natychmiast otwierała jak najszerzej okno. Dopóki na dworze nie było zimno, wszystko było w porządku, ale teraz apartament natychmiast się wyziębiał.

Norweska dieta, na początku tak egzotyczna, teraz wydawała im się torturą. Eleanor zarzekała się, że jeśli jeszcze przez jeden dzień będzie musiała jeść platy śledziowe, popełni samobójstwo nad talerzem. Chodzili do różnych restauracji, próbowali nawet takich specjałów jak mięso renifera i jedli wiele rodzajów łososia, ale podstawę ich menu stanowiły śledzie i gotowane ziemniaki z koprem. Conor z rozrzewnieniem wspominał irlandzką kapustę, baraninę i cebulę oraz wędzony boczek i mielone kotlety, które przyrządzała mu Lacey.

Grywali namiętnie w karty, a Magda, która umiała stawiać tarota, przepowiedziała Eleanor miłość jej życia. Natomiast Conor miał wkrótce stanąć przed jakimś dramatycznym wyborem.

– No dobrze – powiedziała któregoś dnia Eleanor – a jeśli tam nic się nie będzie działo przez całe miesiące? Jest koniec września. Co dalej?

Była 17:15 i na dworze ściemniało się już. Wśród znajomych Norwegów zauważyli zwiększoną drażliwość i skłonność do popadania w ponury nastrój. Na początku śmiali się z tego, ale teraz to samo zauważyli u siebie. Nadchodziła surowa norweska zima: długie ciemne wieczory, temperatury poniżej zera i tylko ryby do jedzenia. Tak miało być aż do maja przyszłego roku.

– Mam wrażenie, że oni już wkrótce wykonają jakiś ruch – oświadczył Conor. – Czuję to.

Gdyby nie mieli zamiaru niczego robić, nie ściągaliby tu tych kartonów. I to mieszkanie... Jak sądzicie, długo można wytrzymać w takim mieszkaniu? Przecież oni nawet nie mają się w co przebrać.

Następnego dnia, pierwszego października, siedzieli w kafejce Baltazar i rozmawiali z jej właścicielem, Bjornstjerne. Mężczyzna nie miał więcej jak trzydzieści, trzydzieści pięć lat, ale był siwy jak staruszek, a pod jego bladoniebieskimi oczami widniały ciemne sińce. Nosił

małe siwe wąsiki. Nigdy mu nie mówili, dlaczego przez cały miesiąc codziennie przesiadują w jego kafejce, piją kawę i patrzą przez okno, a on nigdy o to nie pytał.

– Lubicie *gravel laks*?

– Mam dość ryb do końca życia – oświadczyła Eleanor.

– Ale to naprawdę znakomite danie. Mogę dać je wam do spróbowania za darmo.

Jesteście przecież moimi najlepszymi klientami.

– A zastanawiał się pan kiedykolwiek nad tym, co tu robimy? – zapytał Conor.

– Ależ drogi panie, to nie moja sprawa. Przynajmniej tak długo, dopóki płacicie rachunki, che, che.

– No tak. Ale poważnie, nie był pan nawet nigdy ciekaw?

– Cóż... – mruknął właściciel kafejki, przymykając jedno oko – myślę, że możecie być szpiegami.

– Prawie pan trafił.

– Taak? Jesteście szpiegami? Ale co wy tu możecie szpiegować?

– Ten budynek po drugiej stronie ulicy. Tam mieszka trzech Amerykanów.

– Aaa, tak, zgadza się. Widziałem ich. Przyszli tu ze dwa, trzy razy, na coca-colę i kanapki. Wydawali mi się jacyś dziwni, nie byli zbyt przyjacielscy.

– Nam też wydają się dziwni.

– Znacie ich? Kilka razy chciałem z nimi porozmawiać. Moje mieszkanie jest tu, na górze, rozumiecie, a oni ciągle trzaskają drzwiami. Nawet o drugiej albo trzeciej nad ranem.

– Trzaskają drzwiami? Jakimi drzwiami?

– Od tego swojego vana. Noszą te paczki. Wnoszą i wynoszą.

Cholera, pomyślał Conor, no tak... Nic dziwnego, że niczego nie zauważyłem. Trudno siedzieć w kafejce przez całą dobę.

– Czy widział ich pan dzisiaj w nocy?

– Nie, dzisiaj nie. Ale widziałem ich poprzedniej nocy. Tak hałasowali, że się obudziłem.

Załadowali pełno kartonów i pojechali. Od tego czasu już ich nie widziałem.

– No to ptaszki nam uciekły – stwierdziła Magda. – I jak ich teraz znajdziemy?

– Nie wiem, do cholery. Że też nie pracuję już w policji. Natychmiast poprosiłbym kumpli z Oslo, żeby mi ich namierzyli. I miałbym nagrania ich rozmów telefonicznych.

– Może zostawili jakieś ślady w mieszkaniu? – zasugerowała Eleanor. – Na pewno warto się tam rozejrzeć.

– Poczekajmy, aż się ściemni – odparł Conor, patrząc na zegarek. – Björn ich nie widział, ale może weszli do mieszkania, kiedy nie patrzył. W końcu musi pilnować interesu, nie może przez cały czas patrzeć w okno.

– Macie ochotę na piwo? – zapytał Björn. – I naprawdę polecam *gravel laks*. To znakomita ryba. Nigdy takiej nie jedliście.

Siedzieli w kafejce aż do zmroku. Do mieszkania ani nikt nie przyjechał, ani z niego nie wyszedł. Wreszcie Conor uznał, że nie ma sensu dłużej czekać.

– Zamierzam się tam wybrać – oświadczył.

– A jeśli Branch tam jest? – zapytała Magda.

– Wtedy będę improwizował. Może nawet przyłączę się do nich. Skoro oskarżono mnie o przywłaszczenie sobie tych wszystkich pieniędzy, to przecież mogę chcieć odebrać swój udział.

– Ale będziesz ostrożny, prawda? – powiedziała Eleanor, ściskając go za ramię. – Nie zniósłabym, gdyby ci się coś stało.

Conor spojrział na nią pytająco, ale ona odwróciła się i usiadła, a po chwili posłała mu figlarne spojrzenie.

– Myślę, że powinnam iść z tobą – stwierdziła Magda. – Wiesz, chodzi o zabezpieczenie tyłów, jak ty to mówisz.

– No dobrze. – Conor westchnął i popatrzył na nią. – Ale będziesz robiła to, co ci każe.

Nie jesteś na scenie teatru Rialto. Jesteś na ulicach...

– „Podążać musi okrutnymi ulicami człowiek, który okrutnym nie jest...” – zacytowała Eleanor.

– „...człowiek ani splamiony, ani przestraszony” – dokończyła Magda.

– Skąd to wszystko wiecie? – zapytał Conor.

– Aaa, było się tu i tam... Robiło się to i owo – odparła hipnotyzerka.

Conor odniósł wrażenie, że jest to bardzo wymijająca odpowiedź. Ale nie miał wyboru.

Potrzebował teraz pomocy i nie było już odwrotu. Ujął Magdę pod ramię i wyszli z kafejki.

Mieszkanie było zupełnie puste. Nie było już kartonów, a łóżka zaścielono. Zniknął też porcelanowy troll, a krzesło, na którym stał, było przewrócone.

Conor przeszukał pokoje. Szafy zostały opróżnione i w całym mieszkaniu nie było niczego, co mogłoby im podpowiedzieć, gdzie zniknął Dennis Evelyn Branch i jego ludzie.

Conor właśnie zaglądał do szafek kuchennych, gdy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe.

– Magda, to ty? – zapytał.

Ale zanim Magda zdołała odpowiedzieć, w progu stanął mężczyzna w brązowej czapce z daszkiem i wycelował w Conora pistolet.

– Kim jesteś? Co tu robisz? Ręce do góry!

**26**

– No jak to, przecież nam powiedzieli, że to mieszkanie jest do wynajęcia... – Conor rozłożył ręce i wyglądał na zupełnie zdezorientowanego. – Moja żona i ja przyszliśmy je obejrzeć.

– Mieszkanie nie jest wolne – odparł mężczyzna, patrząc na Conora podejrzliwie. – Tu stale ktoś mieszka.

– To niemożliwe – oświadczył Conor. – W agencji powiedzieli nam, że już dziś możemy się wprowadzić.

– Więc zaszła pomyłka. – Mężczyzna najwyraźniej gotów był uwierzyć, że to rzeczywiście zbieg okoliczności. – Musicie znaleźć sobie inne mieszkanie.

– Ale my jesteśmy z daleka, aż z Bergen. Czy jest pan absolutnie pewien, że to mieszkanie nie jest do wynajęcia?

– To jakaś pomyłka – powtórzył mężczyzna i schował broń do kieszeni. –

Porozmawiajcie z agentem.

Do kuchni weszła Magda.

– Czy pan jest może z agencji?

– Nie, nie jestem. Już powiedziałem pani mężowi, że to pomyłka.

– Pomyłka? Jaka znowu pomyłka?

– No cóż – mruknął Conor. – Wygląda na to, że nici z tego mieszkania. Ten pan pomyślał

pewnie, że jesteśmy włamywaczami. Naprawdę bardzo nam przykro. Skontaktuję się z agencją i powiem im, co o tym wszystkim myślę.

W tym momencie zorientował się, że Magda już pracuje nad mężczyzną. Podała mu dłoń, a gdy ten ją ujął, drugą ręką dotknęła jego ramienia.

– Może czegoś zapomniałeś... – powiedziała przyciszonym głosem. – Czego zapomniałeś?



Mężczyzna patrzył na nią i było oczywiste, że jest już w transie.

– Zapomniałem swetra. Zostawiłem sweter na dnie szafy.

– A więc... musisz wziąć swój sweter...

– Tak, bo tam będzie bardzo zimno. Muszę wziąć swój sweter.

– Czy mogę go o coś spytać? – wtrącił się Conor.

– Oczywiście, że możesz. Ale nie wpadaj mu w słowa. Musisz być spokojny, bo może się obudzić. Może też zacząć opowiadać jakieś bzdury. Tak... zanim o to zapytasz, odpowiem ci.

Zahipnotyzowani również mogą kłamać. Każdy z nas lubi koloryzować, zahipnotyzowany człowiek też.

– Jak masz na imię? – zapytał Conor.

– Toralf Kielland.

– Piękne imię, Toralf. Możesz być z niego dumny.

– To imię mojego ojca.

– Więc zapomniałeś swetra, Toralf?

– Tak. To bardzo drogi sweter. Ma nowy olimpijski wzór.

– A gdzie się wybierasz, że jest tam tak zimno?

Toralf zawahał się, ale Magda szybko zapytała:

– Czy nie kazano ci o tym mówić?

– Taak – odparł Toralf zmienionym głosem. – Nikoomu nic ne móff...

– O czym masz nie mówić? – pytała dalej Magda. – Wybierasz się gdzieś?

– Nikoomu nic ne móff. – Znowu ten miękki amerykański akcent.

– Kto to był, Toralf? Kto ci rozkazał, żebyś niczego nie mówił?

– Nie pamiętam. Nikoomu nic ne móff.

– Posłuchaj tego akcentu... – powiedział cicho Conor. – Według mnie to zachodni Texas.

– Chciałabym, żebyś się odprężył, Toralf. Jesteś bardzo spięty i zdenerwowany. Ale jeśli zanurzysz się w sen... wejdiesz głębiej... i głębiej... poczujesz się znacznie lepiej. Nie broń się przed nami.

Odrzuć swoje obawy, odrzuć wszystko, co zbędne. Wystarczy nam twój umysł... Z nim właśnie chcemy rozmawiać. Twój umysł wie, że z nami jesteś bezpieczny. My niczego nie wyjawimy.

Toralf zamknął oczy i lekko przechylił głowę do tyłu. Otworzył usta i zaczął głęboko i chrapliwie oddychać.

– Gdzie się wybierasz, Toralf? – zapytał jeszcze raz Conor. – Po co ci taki gruby sweter?

Mężczyzna nic nie odpowiedział, ale po chwili zdjął swoją brązową czapkę. Magda dotknęła jego spoconego czoła palcem wskazującym.

– Dokąd jedziesz, Toralf? Gdzie zabraliście te wszystkie kartony? Wierz mi, pan Branch nie miałby nic przeciwko temu, żebyś nam to powiedział. Dennis życzył sobie, żebyśmy wiedzieli. A ty robisz to, co Dennis każe, prawda?

– On chce, żeby mu mówić Dennis. Wobec Boga wszyscy są równi.

– To prawda. Wszyscy jesteśmy sobie równi, i ty, i ja, i nasi przyjaciele. A ponieważ wszyscy jesteśmy sobie równi, więc nie ma nic złego w tym, że będziemy wiedzieć to, co ty.

Dennis chce, żebyś nam powiedział, gdzie jedziesz.

Toralf zaczął powoli kiwać głową i wyglądał na przekonanego. Ale Conor na wszelki wypadek podszedł do niego i wyciągnął mu z kieszeni broń – mały browning, kaliber 22. Nie była to może armata, ale wystarczyła, by zatrzymać człowieka. Magda podniosła w górę palec, sygnalizując, że Conor powinien zachowywać się bardzo spokojnie. Wprowadzała mężczyznę w coraz głębszy sen hipnotyczny i nie chciała, by cokolwiek jej w tym przeszkodziło.

– No, Toralf, przecież nie chcesz, żeby Dennis zbyt długo czekał, prawda? On chce, żebyś nam powiedział, gdzie jedziecie, i powinieneś zrobić to szybko.

Mężczyzna zaczął kiwać głową i chwiać się, jakby miał się przewrócić. Ale po chwili znieruchomiał, jego usta otworzyły się i wyszeptał:

– Tromso.

– Jedziecie do Tromso? Ależ to na północy. Daleko, bardzo daleko na północy. Dlaczego tam jedziecie?

– Bóg powiedział Dennisowi, że tak musi zrobić. Dennis musi tam jechać.

– A dlaczego musi tam jechać?

– Bo musi odnaleźć miecz. Dennis musi tam odnaleźć miecz.

– Miecz? Jaki miecz?

Torgalf rozłożył ręce i wykonał ruch, jakby trzymał w nich obusieczny miecz, i po chwili wyjaśnił:

– Miecz aniołów. Aby ścinać nim grzeszników.

– Czy ty też tam jedziesz? Do Tromso?

– Oczywiście. Dennis obiecał mi tam dni chwały.

– Ależ dziecinne pranie mózgu! – prychnął Conor. – Miecze, anioły, chwała... co za cyrk.

Zapytaj go, jak zamierzają dostać się do Tromso.

– Lecimy tam – odpowiedział Toralf. – Dennis wykupił lot czarterowy z Wideroe.

Odlatujemy o dwudziestej pierwszej. Nikoomu nic ne móff...

– Myślę, że on nam nic już nie powie. Prawdopodobnie niczego więcej nie wie –

stwierdziła Magda. – Obudzę go i niech wraca do swoich.

Podeszła blisko do Toralfa i wyszeptała mu coś na ucho. Conor chodził nerwowo po mieszkaniu, zły, że dał się wywieść w pole. Teraz jednak przynajmniej wiedział, gdzie tamci się wybierają. Ale czym był ten miecz, który miał służyć do ścinania grzeszników? I gdzie Dennis Evelyn Branch chciał go szukać?

– Kiedy policzę do trzech, obudzisz się – powiedziała do Toralfa Magda. – Raz... dwa...

trzy... Obudziłeś się.

Mężczyzna otworzył oczy i uśmiechnął się do nich.

– No dobra, to biorę ten mój sweter i znikam. Przepraszam, że przeszkodziłem.

Poszedł do sypialni, nucąc jakąś melodię i po chwili wrócił ze swetrem w ręce. Conor popatrzył na Magdę z podziwem

– My też powinniśmy się już zbierać – oświadczył, gdy Toralf wyszedł. – Wygląda na to, że jutro lecimy do Tromso.

Kiedy czekali na windę, Conor, nie patrząc na Magdę, zapytał:

– Co mu powiedziałaś na ucho?

– Kazałam mu zapomnieć, że kiedykolwiek nas widział. No i jeszcze zasugerowałam mu, że nigdy nie miał broni.

– I tak będzie myślał?

– Oczywiście. Posthipnotyczna sugestia to też jedna z moich umiejętności. Mogę nakazać zahipnotyzowanemu, żeby trzy tygodnie potem ukłuł się pinezką.

Gdy wyszli na ulicę, zobaczyli zaparkowany nieopodal volkswagen jetta. W środku nie było nikogo. Conor wiedział, że gdy wchodzili do budynku, tego samochodu tutaj nie było.

Całkiem możliwe, że należy do Toralfa, pomyślał. Kiedy jednak rozejrzał się dookoła, zobaczył Toralfa maszerującego chodnikiem w kierunku najbliższego skrzyżowania.

– Gdzie on, do cholery, idzie?

Magda wzruszyła ramionami i odwróciła głowę. Conorowi ten gest bardzo się nie spodobał i zaczął coś podejrzewać.

– Magda, co ty mu naprawdę powiedziałaś? Co on robi? Co mu kazałaś zrobić?

– Nic mu nie kazałam zrobić. Myślisz, że kim jestem?

Conor wahał się przez chwilę, a potem krzyknął:

– Toralf, poczekaj! Toralf!

Puścił się biegiem za mężczyzną, cały czas wołając go po imieniu.

Toralf dochodził właśnie do skrzyżowania z Trondheimsveien. Conor zawołał go jeszcze raz, ale Norweg zdawał się niczego nie słyszeć. Przystanął na moment, a potem wyszedł

prosto na ulicę. Ruch nie był zbyt duży, ale samochody jechały bardzo szybko. Dwa auta zatrafiły i gwałtownie skręciły w kierunku chodnika.

– Toralf, uciekaj z jezdni! – wrzasnął Conor, było już jednak za późno.

Z lewej strony nadjeżdżał rozpędzony autobus. Toralf, zamiast przyspieszyć, przystanął

na jezdni i zwrócił się twarzą w jego kierunku. Uderzenie wyrzuciło go w górę jak szmacianą lalkę. Upadł na chodnik kilka metrów dalej.

– Tooralf!! – krzyknął wstrząśnięty Conor.

Gdy podbiegł do leżącego, zobaczył wyciekający spod jego głowy strumień krwi. Nad Norwegiem przyklękła jakaś kobieta.

– Niech pani go nie dotyka – wysapał Conor i wyciągnął telefon. – Jaki jest numer pogotowia?

– Sto trzynaście.

Magda podeszła do nich powoli. Conor zadarł głowę w górę i spojrzał na nią.

– Nie żyje – powiedział po chwili.

– Tak, nie żyje – odparła Magda. – Nie żyje – powtórzyła. – Tak jak Ramon.

– Czy ty to zrobiłaś? – zapytał Conor, podnosząc się. – Powiedz mi, czy to ty?

Magda uśmiechnęła się blado i powiedziała:

– Nawet jeśli to ja, i tak mi tego nie udowodnią.

Im dalej przesuwali się na północ, tym słabiej świeciło słońce. Gdy przekroczyli krąg polarny, widzieli już tylko nikłą pomarańczową poświatę przebijającą przez mleczne chmury.

Eleanor spała prawie przez całą drogę. Conor zdawał sobie sprawę, że ich pościg za Dennisem Evelyne Branchem, bardzo ją męczy. Proponował nawet, by została w Oslo albo wróciła do Nowego Jorku, ale Eleanor odmówiła. Nie chciała rezygnować z udziału w rozgrywce z przywódcą Światowego Ruchu Posłannictwa.

– Conor, ja się nigdy nie poddam. Dlaczego teraz miałabym to zrobić?

– Tak, Eleanor, wiem, ale...

– Nie ma żadnego „ale”.

Magda zamówiła sobie dwa toniki z wódką i wpatrywała się w okienko, za którym niebo coraz bardziej ciemniało.

– Tak chyba będzie wyglądał koniec świata – powiedziała jakby do siebie. – Myślę, że właśnie tutaj mieszka Królowa Śniegu i Święty Mikołaj.

Conor milczał. Nadal był zły na Magdę, którą obwinił o śmierć Toralfa. Pomyślał, że im dłużej z nią przebywa, tym mniej ją zna. Jej pełna sprzeczności osobowość fascynowała go i jednocześnie odpychała. Miała dziwny, staromodny sposób bycia, jakby przeniesiono ją tutaj z paryskich czasów Toulouse-Lautreca albo Berlina lat trzydziestych.

Sięgnął po broszurkę reklamową, zawierającą informacje o arktycznych rejonach Norwegii, ale była dość nudna i napisana pretensjonalnym, górnolotnym językiem.

„Pozostałościami po epoce lodowcowej są fiordy i jeziora, należące do najgłębszych na świecie. Między licznymi wyspami i wysepkami przepływa najpotężniejszy prąd morski, Golfstrom. Legendy mówią, że prąd ten wciągał kiedyś nawet największe statki i spychał je na samo dno morza.

(...) Pośród dzikiego piękna tutejszej natury i surowego krajobrazu zrodziły się wszystkie nasze opowieści i legendy o trollach i olbrzymach. Nordycka mitologia dała także życie niszczycielskim bóstwom, takim jak Thor ze swym wielkim młotem i Odyn, który zabierał z pól bitewnych dusze najdzielniejszych wojowników i otwierał przed nimi bramy Walhalli, gdzie spędzali czas na ćwiczeniach wojskowych i ucztowaniu.

(...) Wyobraźnię norweskich poetów i bardów pobudzały przede wszystkim surowe, lecz urzekające krajobrazy. Podczas długich mrocznych zim snucie różnych opowieści było główną rozrywką oczekujących słońca i ciepła ludzi...”.

Conor podniósł głowę, rozejrzał się i odłożył broszurkę. Kołowali już nad Tromsø, małą wysepką światła wśród arktycznej ciemności. Podczas lądowania samolot zakołysał się, pchany silnym wiatrem z północnej Rosji. Pracownicy lotniska okutani byli jak dawni zdobywcy polarnych pustkowi.

W budynku terminalu było z kolei tak ciepło i duszno, że trudno było oddychać. Siedziało tam zaledwie kilku pasażerów czekających na lot do Stavanger i Bergen. Byli to górnicy ubrani w dżinsy i swetry z wełny renifera oraz jeden znużony i zniecierpliwiony biznesmen.

Była także jakaś rodzina z Sami lub Lapps. Mieli twarze ogorzałe od zimnego arktycznego wiatru.

– Dokąd stąd pojedziemy? – zapytała Eleanor, zaciągając się głęboko papierosowym dymem.

– Najpierw musimy się zorientować, gdzie są ludzie Brancha... no i on sam.

– A jak tego dokonamy?

Conor nie odpowiedział. Podszedł do stanowiska, które obsługiwała jasnowłosa dziewczyna prowadząca wesołą rozmowę z lekko łysiejącym ciemnowłosym mężczyzną.

– Bardzo panią przepraszam... – Conor uśmiechnął się do dziewczyny i skinął głową w kierunku łysiejącego bruneta – mam pewien problem... Szukam jednego ze swoich klientów.

Dzisiaj przyleciał tu z Oslo. Miałem mu dać listę naszego sprzętu, wie pani, to bardzo ważna rzecz, ale niestety zatrzymały mnie korki i spóźniłem się na nasze spotkanie.

– Jak się ten pan nazywa? – zapytała dziewczyna, patrząc na monitor komputera.

– Branch. Dennis Evelyn Branch. Ale być może używa nazwy własnej firmy, GMM.

Dziewczyna przebiegła sprawnie palcami po klawiaturze i po chwili powiedziała:

– Bardzo mi przykro, nie mam żadnego Dennisa Evelyn Brancha ani GMM.

– Hmm... a może pani coś zauważyła... On miał ze sobą mnóstwo naszego sprzętu, wie pani, kartony, paczki, a w nich szkło laboratoryjne, tego typu rzeczy.

– Aaa... tak, pamiętam. Był tu ktoś taki. Jeden z bagażowych upuścił jakąś paczkę i była straszna awantura. Potem było wypełnianie różnych formularzy ubezpieczeniowych i trwało to w nieskończoność. Zaraz, niech pan poczeka, mam tu coś... O proszę, William Graham.

Northern Scientific.

Ależ ten facet ma poczucie humoru, pomyślał Conor. Żeby ewangelicki ekstremista używał nazwiska Billy Graham...

– Czy zna pani może jego adres w Tromsø? – zapytał.

– Oczywiście. Breivika Havnegata dwadzieścia dwa. Wziął mapę i widziałam, jak wskazał to miejsce.

– Jeszcze jedna rzecz, jeśli pani taka uprzejma... Czy mogłaby nam pani polecić jakiś dobry hotel?

Na zewnątrz terminalu było tak zimno, że Eleanor zakryła prawie całą twarz szerokim szalikiem. Wiał dość silny wiatr, zacinając drobniutkim śniegiem. Na szczęście jeszcze w Oslo zaopatrzyli się w ciepłe płaszcze, rękawice i szaliki. Wkrótce cała północna Norwegia miała na wiele miesięcy zostać okryta lodowatą ciemnością.

Milczący, ukryty pod wielkim brudnym kapeluszem taksówkarz zabrał ich do hotelu Walhalla. Conor dał mu całą sumę wskazaną na taksometrze, ale on nadal trzymał

wyciągniętą dłoń. Kiedy nie dostał napiwku, poczytał to sobie za osobistą obrazę.

– Dupek – powiedziała Eleanor, gdy już odjechał.

Magda i Conor popatrzyli na nią ze zdziwieniem.

– No cóż – mruknęła Eleanor, widząc ich spojrzenia. Tak to już chyba jest, że im człowiek starszy, tym jego opinie są bardziej... dosłowne.

Dziewczyna z lotniska w Videore powiedziała im, że Walhalla to najlepszy hotel w Tromsø. Był to budynek z lat siedemdziesiątych, wszystkie podłogi pokrywał parkiet, a na ścianach wisiały malowidła przedstawiające północnonorweskie krajobrazy. W hotelu znajdował się także bar Troll i restauracja Viking o ścianach ozdobionych tarczami i hełmami. Goście hotelowi raczyli się potrawami z ryb, wśród których znajdowała się także *lutefisk*. Conor pomyślał, że to nie posiłek, ale tortura.

Do pokoi zaprowadził ich milczący, ponury człowiek. Gdy tylko weszli na górę, Eleanor oświadczyła, że idzie pod prysznic.

– Jestem wykończona. – Uśmiechnęła się i pocałowała Conora w policzek. – Do zobaczenia jutro rano.

Conor poszedł do swojego pokoju. Rozpakował się, a potem zszedł na dół, do baru Troll, by porozmawiać z Magdą. Wiedział, że tak szybko nie zaśnie. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli i odczuwał jakiś nieokreślony niepokój. Kiedy wszedł do baru, Magda siedziała już na jednym z foteli obitych skórą renifera, ubrana w czarny sweter i ciemne legginsy.

Rozmawiała z wielkim, muskularnym blondynem, który wyglądał jak jeden z bohaterów filmów o wikingach.

- Poznajcie się – powiedziała, gdy Conor podszedł do nich. – Birger jest górnikiem w kopalni żelaza.
- Co słyhać, Birger? Jak się masz? – przywitał się Conor, podając olbrzymowi rękę.
- No cóż, proszę pana, zbliża się zima. Nie ma się z czego cieszyć.
- A jaka jest na to rada?
- Ha... są nawet dwie. Kobiety i akwawit – zaśmiał się olbrzym. – Zazwyczaj nie zostaję tu na zimę. Lubię Włochy. Tam też są kopalnie żelaza. Może nie płacą rewelacyjnie, ale, jest za to dużo cieplej.
- A co powstrzymało cię od wyjazdu w tym roku?
- Chodzą plotki, że ktoś szuka ludzi do jakiejś specjalnej roboty. Mają płacić trzy razy więcej niż normalnie i obiecują jeszcze pięć tysięcy koron premii, jeśli robota będzie wykonana na czas.
- Naprawdę? A jaka to robota?
- Dokładnie nie wiem. Ale to gdzieś jeszcze dalej na północ.

Znajdowali się już ponad sto kilometrów poza kołem polarnym. Conor nie wyobrażał sobie, jak można było być „gdzieś jeszcze dalej na północ”.

- Słyszałem tylko, że to jakaś robota wydobywcza – dodał po chwili Birger. – Przyszli tu tacy i powiedzieli, że szukają ludzi do ciężkiej pracy, najlepiej bez rodzin, takich, którzy nie boją się ryzyka. Ale zapłata ma być trzy razy większa niż normalnie. No i ta premia.

Conor zawołał kelnera.

- Słucham pana? Co podać? Akwawit? – zapytał.
- Nie, dziękuję. Ale jeśli macie budweisera, to chętnie się napiję – odparł Conor. – Proszę dwa razy.

Odwrócił się do Birgera.

- Ci ludzie, ci od tej roboty... Czy wiesz może, kim oni są?

Birger pokręcił przecząco głową, ale powiedział:

- Mój przyjaciel mówił, że oni są nowi w Tromso. To nie takie znowu małe miasto, czterdzieści tysięcy mieszkańców, ale ludzie wiedzą, co mają wiedzieć. Ci z portu dużo wiedzą o tym, co się dzieje w porcie, a ci od uczenia wiedzą, co się dzieje na uniwersytecie.

No a ci z kościołów wiedzą, co się dzieje w kościołach. Wystarczy, że znasz przynajmniej jednego człowieka w każdym z tych miejsc, i sam możesz wiedzieć, co się dzieje w całym Tromso.



– A czy mógłbyś zapytać swojego przyjaciela, gdzie mogę ich spotkać?

Birger łyknął piwa i otarł wąsy.

– A po co ci ich spotykać? Nie wyglądasz mi na górnika.

– To prawda, nie jestem górnikiem. Ale dużo wiem o kopaniu.

– Ooo, jesteś może archeologiem?

– Coś w tym rodzaju.

Magda i Conor zjedli wczesny obiad w restauracji Aurora. Na wszystkich stolikach stały zapalone świece, a na małym podwyższeniu trzysobowa orkiestra grała stare przeboje Barbry Streisand. Młody kelner zaproponował im *molje*, północnonorweski przysmak, ale gdy Conor dowiedział się, że jest to wątroba śledzia polana tranem i ikrą dorsza, uprzejmie podziękował.

Po dłuższym namyśle zdecydował się na smażone mięso renifera z tłuczonymi ziemniakami i borówkami. Magda zamówiła sałatkę z jajek, buraków i żółtych malin moroszka.

– Wiesz, pytałem faceta w recepcji o pogodę – powiedział Conor. – Jutro ma być raczej zimno.

– Niektórzy mówią, że im zimniej, tym sroższa jest zemsta.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że pragniesz tylko zemsty. Czy aż tak bardzo zależało ci na Ramonie?

– To, co myślałam o Ramonie, nie ma teraz znaczenia. Jego śmierć nikomu nie może ujść na sucho. Poza tym chcę dostać te obiecane pieniądze.

– A ile tego ma być?

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to milion.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że jeśli odzyskam te pieniądze, muszę je zwrócić ludziom, którzy zapłacili za...

– Jeden marny milionik nie czyni żadnej różnicy. Ani nawet dwa marne milioniki. Jeden dla ciebie, drugi dla mnie. Należy ci się, nie sądzisz? Po tym wszystkim, co cię spotkało...

Straciłeś dom, pracę i wolność.

Spojrzała na Conora i wyciągnęła dłoń. Miała chłodne palce, a jej srebrne pierścionki były jeszcze chłodniejsze.

– Straciłeś także swoją kobietę – dodała.

Trzymając się za ręce, patrzyli sobie długo w oczy. Conor nie był pewien, co to oznacza, ale po paru

minutach Magda uśmiechnęła się i spojrzała gdzieś w bok. Conor westchnął i powiedział:

– Chyba lepiej już pójdę do łóżka. Jutro rano musimy poszukać kilku dość niegrzecznych chłopców.

27

Breivika Havnegata znajdowała się jakieś dwa kilometry od centrum miasta i okazała się dzielnicą jednopiętrowych drewnianych domków. W sąsiedztwie była szkoła, a obok Park Nauki. Na dziedzińcu bawiło się kilkunastu uczniów, biegając po śniegu i wrzeszcząc ile sił w płucach. Poprzez brzozy Conor widział czarną taflę fiordu Tromsoysundet, oddzielającego Tromso od stałego lądu. Było dość zimno, a niebo miało kolor zmrożonego mleka.

Conor kilka razy przespacerował się ulicą. Przy krawężniku stały trzy samochody z wypożyczalni: dwa volvo S80 i jeden saab GT turbo. Okna budynku numer 22 były zasłonięte bladożółtymi zasłonami, a na drzwiach wisiała mocno już podniszczona karteczka, informująca, że Kjell Bertinussen przeniósł swoje biuro do Trondheim. Conor przeszedł do następnego budynku. Arvid Sveen, zakład fotograficzny. Wszedł po schodach, prowadzących do drzwi wejściowych. Wchodząc do środka, obejrzał się i zobaczył, że Magda i Eleanor czekają w wynajętym ciemnozielonym oplu, tuż przy wejściu do Parku Nauki. Eleanor uchyliła szybę i pomachała mu.

W holu powitała go po norwesku kobieta w średnim wieku. Conor zauważył, że w pomieszczeniu obok siedzi piękna jasnowłosa dziewczyna, pracująca przy skanerze. Jej profil tak bardzo przypominał mu Lacey, że aż wstrzymał oddech. Nie słyszał nawet, co powiedziała do niego kobieta.

– Ooo, bardzo panią przepraszam. Czy pani mówi po angielsku?

– Tak, troszeczkę.

– Szukam Kjella Bertinussena i jego drukarni.

– Kiedyś oni tu byli – powiedziała kobieta, wskazując sąsiedni budynek. Oni byli... jadą pięć miesięcy. Ja przepraszam, ale nie znam numeru telefonu.

– A może powinienem zapytać o nich pod starym adresem?

– Te następne nigdy nie otwierają.

– Słucham...?

– Oni nigdy nie otwierają. Oni przychodzą, oni odchodzą. Ale nigdy nie otwierają. –

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Ach, rozumiem. A czy pani wie, co oni robią? Albo co produkują?

– Nie wiem. Nie wiem. – Kobieta skrzywiła się, dając do zrozumienia, że nie lubi swoich sąsiadów i nie obchodzi jej, co robią.

W progu stanęła śliczna jasnowłosa dziewczyna. Miała takie samo czyste spojrzenie jak Lacey i tą samą skandynawską urodę. Ubrana była w jasnoniebieski sweter i krótką ciemnoniebieską spódniczkę, a na szyi miała srebrny naszyjnik.

– Bardzo przepraszam, czy pan ma jakiś problem? – zapytała.

– Nie aż tak znowu wielki. Szukam tej drukarni, która była obok was. Chodzi o kilka broszurek. To nic ważnego.

– Ach tak? – Dziewczyna zmrużyła lekko oczy, jakby nie dowierzała Conorowi.

– Zastanawiałem się, czy ci nowi lokatorzy wiedzieliby coś więcej. Może...

– Nie, oni nie. Oni nic panu nie powiedzą.

– Ooo... nie powiedzą?

– Nie. – Dziewczyna patrzyła przez chwilę swoimi jasnymi oczami na Conora, a potem wyjaśniła:

– Oni z nikim nie rozmawiają. Staraliśmy się z nimi zaprzyjaźnić, jak się tu wprowadzili.

Zaniosłyśmy im ciasteczka i kawę. A oni na to, że mamy trzymać się z daleka. Powiedzieli to trochę inaczej, ale nie chcę powtarzać brzydkich słów. W każdym razie chodziło im o to, że mamy pilnować własnych spraw.

– Hmm, szkoda. Ale może dla mnie będą grzeczniejsi.

– Nie sadzę. Nie wiem, co oni tam robią, ale na pewno nie chcą, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

– A domyśla się pani czegoś?

Dziewczyna podeszła trochę bliżej. Conor dostrzegł pasemko piegów na jej kształtnym nosku. Zauważył też, że obgryza paznokcie.

– Oni prowadzą chyba jakieś badania. Myślę, że to biologiczne badania. Na samym początku, jak zaczynali, to przez swoje okno widziałam, co się działo w laboratorium, ale teraz wszystko jest zasłonięte. Widziałam małpki w klatkach. I białe myszki. A raz zobaczyłam psa. Pewnego wieczoru tam była ogromna panika. Wszyscy biegali i krzyczeli. A potem zajechała mała ciężarówka i zaparkowała bardzo blisko wejścia. Widziałam, jak wynosili kogoś na noszach. Może nie żył, a może żył, nie wiem. Niczego nie jestem pewna, ale coś mi mówi, że lepiej ich o to nie pytać.

– Czy zauważyła pani coś jeszcze?

– Tak. W tym tygodniu są bardzo zajęci. Podjeżdżają i odjeżdżają różne samochody.

Pakują jakieś pudła i skrzynki i mają pełno świateł, takich jak przy robieniu filmów. Chciałam sobie

pożartować z jednym z nich, ale oni się wcale nie śmieją. Wszyscy są strasznie poważni.

Conor wyciągnął z kieszeni zdjęcie Dennisa Evelyn Brancha i pokazał je kobietom.

– Czy którykolwiek z nich wygląda tak jak ten człowiek?

Dziewczyna zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Nie, takiego nie widziałam. Ale oni często chowają twarze pod szalikami albo takimi specjalnymi czapkami. I jest jeden człowiek na wózku inwalidzkim. Zawsze jest przykryty kocem. To mała osoba. Może kobieta albo dziecko.

– Kobieta? – Conor pomyślał o kobiecie z apartamentu Dennisa Evelyn Brancha w Oslo; kobiecie, której nie widziano, ale którą słyszano. – Chciałem jeszcze o coś zapytać –

powiedział, chowając do portfela zdjęcie Brancha. – Czy nie wiecie panie, kiedy oni kończą?

To znaczy, chodzi mi o to, kiedy wychodzą...

– Bardzo późno. My też mamy wiele pracy, czasami siedzimy do północy. Widzę wtedy, że oni też tam są. A zaczynają bardzo wcześnie rano. Zawsze są tu przed nami. Zawsze.

– Niech pani postara się zgadnąć... Co oni tu robią? Na pewno myślała pani o rym.

– Tak naprawdę to pan wcale nie szuka Kjella Bertinussena – stwierdziła dziewczyna. –

Pana interesują tylko oni.

Conor spojrzał na nią wymownie.

– No... – powiedziała po chwili wahania – dość łatwo można się dowiedzieć, co oni tam robią.

– Doprawdy? A w jaki sposób?

Dziewczyna wróciła do swojego biurka i wyjęła z szuflady małą brązową kopertę.

Zanurzyła w niej palce i wyciągnęła klucz.

– Jak Ivar Bertinussen wyjeżdża, to zawsze zostawia mi klucz. No wie pan, w razie gdyby jakaś woda się lała, rura pękła... i takie tam.

– I pani chce mi dać ten klucz? A skąd pani wie, że nie jestem złodziejem?

– Pan nie jest złodziejem – odparła i uśmiechnęła się do niego. – Pan ma twarz dobrego człowieka.

– Czy... czy może mi pani zdradzić swoje imię? – zapytał Conor po chwili wahania.

– Ola Bergsmo.

– No cóż, Olu Bergsmo... Chcę, żebyś wiedziała, że dając mi ten klucz, być może wyświadczasz światu dużą przysługę.

– Ja ich po prostu nie lubię – powiedziała dziewczyna z rozbrajającą szczerością. – A w dodatku myślę, że robią eksperymenty na zwierzętach. Nienawidzę ludzi, którzy każą zwierzętom cierpieć. Każda żywa istota ma prawo do wolności i do życia. Ja jestem wegetarianką i nigdy nie noszę żadnych futer. Tylko naturalne włókna.

Conor pomyślał w tym momencie o reniferze, którego jadł poprzedniego dnia na kolację, ale oświadczył:

– Cieszę się, że to słyszę. W dzisiejszych czasach mało ludzi ma takie zasady.

Wieczorem, około dwudziestej drugiej, podjechał na Breivika Havnegata i zaparkował

przy szkolnej przechowalni rowerów. Pod numerem 22 wciąż paliło się światło, które przeświecało przez zasłony. Na zewnątrz stały te same trzy samochody.

Było dość zimno, około jednego stopnia, i po półgodzinie całe ciepło z opla było już tylko wspomnieniem. Conor nie chciał jednak ryzykować zapalenia silnika. Ktoś mógłby usłyszeć hałas albo zauważyć kłęby spalin i pary.

Tuż przed dwudziestą trzecią z domu wyszedł mężczyzna w ocieplanej sztormówce.

Zbiegł po schodkach, szybko wsiadł do saaba i ruszył z piskiem opon. Pojechał w kierunku Terminalveien. Może pozostali również za chwilę wyjadą, pomyślał Conor. Przynajmniej miał

taką nadzieję, bo w samochodzie robiło się już naprawdę zimno.

Kilka minut po pierwszej uchyliły się drzwi i na ulicę padł wąski pas światła. Po chwili ktoś z wewnątrz przymknął drzwi, by je za chwilę znów szeroko otworzyć. Dwaj mężczyźni wynieśli duży karton i wstawili go do jednego z volvo. Przez chwilę stali na ulicy i rozmawiali, po czym weszli z powrotem do budynku.

O wpół do trzeciej nad ranem stało się oczywiste, że tej nocy mieszkanie nie będzie puste.

Conor zapalił silnik i odjechał tak cicho, jak tylko potrafił. Mimo to był pewien, że ktoś uchylił zasłonę i przez chwilę obserwował ciemną ulicę.

Z Birgerem spotkali się na lunchu w barze Troll. Olbrzym wyglądał na szczęśliwego, śmiał się głośno i wszystkim stawiał drinki.

– Moi kumple zadzwonili i razem pojechaliśmy do hotelu Radisson na rozmowę z tymi ludźmi – oznajmił, gdy usiedli razem przy stoliku.

– No i jak wypadła ta rozmowa? – zapytał Conor.

– Oni wszyscy są jacyś dziwni, ci od tych wykopalisk. Wszyscy byli ubrani na czarno, a niektórzy mieli krzyże wokół szyi. Zupełnie jak jacyś księża albo co.

– Pytali o coś?

– Pytali. Zadawali wiele pytań: czy mam rodzinę, kto na mnie czeka, czy mam ubezpieczenie, gdzie mieszkam i takie tam... Chcieli nawet znać moją grupę krwi.

– Ilu ich było?

– Razem to pięciu. Jeden z nich wyglądał na szefa tej całej ekipy, ale siedział z boku i nic nie mówił.

Conor wyciągnął zdjęcie Dennisa Evelyn Brancha i podsunął je Birgerowi pod nos.

– Czy on wyglądał jak ten człowiek?

– Tak – odparł Birger, gdy przybliżył zdjęcie do światła i obejrzał je dokładnie. – Błada twarz, białe włosy. I niebieskie okulary przeciwsłoneczne. Skąd masz to zdjęcie? Znasz tych ludzi?

– Dostałeś w końcu tę pracę?

– No pewnie. A myślisz, że dlaczego dzisiaj wszystkim stawiam kolejkę? Dziesięć tysięcy koron dziennie, nieważne jak długo będzie trwała robota. Jedzenie i spanie za darmo.

No i na końcu premia.

– To rzeczywiście przyzwoite pieniądze. Nie trzeba jechać do Włoch. A gdzie macie kopać?

– Przykro mi, ale nie mogę o tym mówić. Powiedzieli, że to tajna ekspedycja. To ma coś wspólnego z NATO. Nikt nie może wiedzieć, gdzie jedziemy.

– Nawet znajomym nie możesz powiedzieć? – zdziwiła się Magda. – Jesteśmy tylko ciekawi, gdzie to mniej więcej jest. Przecież nic z tym nie zrobimy. – Popatrzyła na Birgera, pochyliła się w jego kierunku i ściągnęła mu nitkę z koszuli.

– Przykro mi – odparł Birger. – Przykro mi, ale nie mogę z nikim o tym rozmawiać.

Powiedzieli, że jak się dowiedzą, że ktoś o tym coś mówił, to gość od razu wylatuje z roboty.

Magda zerknęła na Conora, który natychmiast zorientował się, co jej chodzi po głowie.

Przez chwilę gładziła rękę Birgera, a potem lekko ją poklepała.

– Musisz być bardzo podekscytowany tą wyprawą – zauważyła.

– To prawda.

– Tak daleko i takie pieniądze...

– Wcale nie tak daleko...

– Na północ... czy na południe?

– Północ...

– To jeszcze zimniej! Czy tam są niedźwiedzie polarne? – zapytała Magda.

Uderzała lekko palcami w dłoń Birgera, który coraz bardziej pogrążał się w hipnotycznym transie. Magda czekała jednak na odpowiedni moment. Ludzie Brancha kładli szczególny nacisk na to, by miejsce wyprawy pozostało tajemnicą, a właśnie o to zamierzała zapytać. Conor wiedział już, że sprzeczne polecenia mogą spowodować wybudzenie się z transu.

– Kiedy wyjeżdżacie, Birger? Pewnie niedługo?

– Jutro rano, dokładnie o siódmej trzydzieści. Jak tylko zrobi się jasno.

– A czym się tam dostaniecie? Statkiem? A może samolotem lub pociągiem?

Birger już miał odpowiedzieć, gdy nagle dziewczyna z recepcji krzyknęła, że pan Storvik jest proszony do telefonu.

– Pan Storvik! Czy pan Storvik tu jest?

Birger zamrugał oczami i spojrzał na Magdę tak, jakby nigdy przedtem jej nie widział.

– Co? O co chodzi?

– Panie Storvik, telefon!

– To ja – powiedział zdezorientowany Birger, zrywając się na równe nogi.

– Może pan odebrać w barze – oświadczyła dziewczyna i uśmiechnęła się do niego.

Conor, Magda i Eleanor czekali na jego powrót, patrząc, jak kiwa głową i coś mówi. Gdy wrócił, powiedział:

– Musicie mi wybaczyć. Przykro mi, ale muszę już iść. Zadzwonili po mnie, bo muszę przymierzyć odzież ochronną.

Conor wstał i uściśnął mu dłoń.

– Powodzenia, Birger. Życzę ci szczęścia i mam nadzieję, że nie będziesz go potrzebował zbyt wiele.

– Też mam taką nadzieję. Ale pomyśl tylko, tyle pieniędzy! – Norweg uściśnął mu dłoń i wyszedł.

– A więc jadą jutro rano. To jest gdzieś jeszcze dalej na północ. Ale nie wiemy ani gdzie, ani po co tam jadą.

– Tak – przyznał Conor. – Ale jeśli Birger i pozostali potrzebują odzieży ochronnej, musi to mieć coś wspólnego z ryzykiem biologicznym, o którym mówił Victor Labrea.

– Jest wiele innych sytuacji, kiedy musisz nosić odzież ochronną – stwierdziła Eleanor.

Na przykład arktyczny chłód, radioaktywność, kwasy, skażenie gleby, wody...

– Dobrze, dobrze... Masz rację. Ale myślę, że mamy ogólny obraz. Gdybym tylko mógł dostać się do tego cholernego budynku i zobaczyć, co się tam dzieje.

– Skoro nie otwierają drzwi, nie mogę nic zrobić – oświadczyła Magda. – Nie mogę też użyć burundangi.

– Wzięłaś ze sobą burundangę?

– Tylko trochę, bo nie zostało jej zbyt wiele. Ale nigdy nic nie wiadomo. Może się przydać.

– A gdybyśmy zrobili coś... teatralnego – zaproponowała Eleanor, zapalając kolejnego papierosa. – Mogłaby to być jakaś spektakularna dywersja... Wywabimy ich na ulicę, a Conor robi im nalot.

– Ale co konkretnie masz na myśli? Co proponujesz? – zapytała Magda. – Żebym na przykład przeszła nago całą Lofotgate?

– To by mogło ich wywabić – zaśmiał się Conor.

Lunch zjedli w Domus Cafe, której okna wychodziły na port. Po przeciwległej stronie cieśniny widzieli pokryty śniegiem szczyt Storsteinen. Mogli nawet zobaczyć wagoniki kolejki linowej, które z tej odległości wyglądały jak małe pajęczki snujące swoją sieć. Dzień nie należał do najprzyjemniejszych. Przez zbite mlecznożółte chmury przebierało blade słońce.

Zanim dojechali na Breivika Havnegata, zaczęło się już ściemniać. Przez cały czas wiał zimny, północny wiatr. Przed budynkiem stały volvo, saab i dwie minicieżarówki.

Zaparkowali poza zasięgiem wzroku mieszkańców domu. Magda dała Conorowi foliową paczkę z burundangą.

– Jeśli będziesz musiał tego użyć, upewnij się, że sam jesteś odpowiednio daleko. Musisz to dmuchnąć im prosto w twarz. I wstrzymaj oddech, bo sam zamienisz się w zombi.

Conor wysiadł z samochodu i poszedł pod numer dwadzieścia dwa. Stał tak, by nie być widocznym ani z okien, ani od strony drzwi wejściowych. W tym czasie Magda przesiadła się za kierownicę, a Eleanor ukryła w rękawie długie nitki wyciągnięte z hotelowej poduszki.



– Zawsze chciałam zrobić coś podobnego – zaśmiała się. – Widziałam taki numer w kinowej wersji *Scarface i syn*. Ale na scenie jest to niemożliwe.

– Bądź bardzo ostrożna, Eleanor – powiedziała Magda. – Ci ludzie zabiją cię, zanim sami o tym pomyślą.

– Oczywiście, że będę ostrożna, moja droga. Mam do tego szczególny powód.

Eleanor schyliła się i sięgnęła po laskę, którą kupili tego samego dnia w sklepie z pamiątkami. Potem wysiadła, zatrzasnęła drzwi i zaczęła kuśtykać w kierunku numeru dwadzieścia dwa, ostentacyjnie podpierając się laską.

Zasłona odchyliła się i widać było, że ktoś obserwuje ulicę. Ale Eleanor szła dalej, poruszając się jak cierpiąca na artretyzm babulinka. Po chwili zasłona opadła.

Eleanor przeszła tak blisko Conora, że niemal otarła się o jego ramię. Nie spojrzawszy nawet na niego poszła dalej, między dwa zaparkowane volvo. Zatrzymała się obok jednego z nich i odwróciła plecami do budynku. Nie chciała, by ktokolwiek widział, co robi. Wsunęła wąskie ostrze scyzoryka w szczelinę drzwiczek od baku i pociągnęła. Miała w tym doświadczenie, już otwierała w ten sposób inne volvo. Potem wyjęła z rękawa długie nitki wyciągnięte z poduszki hotelowej i za pomocą laski wepchnęła je do wlewu paliwa, zostawiając na zewnątrz tylko jeden centymetr przedzy. Kiedy to zrobiła, zamknęła drzwiczki i kuśtykając poszła dalej.

Nie odeszła daleko. Gdy zbliżyła się do drzew, co zajęło jej około trzech minut, zawróciła. W tym czasie bawełniane nitki nasiąkły benzyną. Eleanor zawróciła i pokuśtykała w kierunku samochodu. Rozejrzała się uważnie, sprawdzając, czy nikt jej nie obserwuje, i ponownie otworzyła drzwiczki wlewu paliwa. Zablockowała je laską, zapaliła zapalniczkę i przytknęła ją do nitek.

Gdy z baku volvo wypęłzły płomienie, kuśtykanie Eleanor zamieniło się w bieg. Ogień powiększał się z każdą sekundą. Po chwili buchał już jak ognisty gejzer, a cały parking skąpany był w żółtopomarańczowej poświacie.

Spod numeru dwadzieścia dwa rozległo się wściekłe wycie, jakby mieszkało tam stado psów. Drzwi otworzyły się z impetem i z domu wybiegł jakiś człowiek. Próbował zbliżyć się do płonącego samochodu, ale żar był zbyt wielki.

– O kurwa... cholera... Kurwa! – zaczął kląć mężczyzna, zatrzymując się w pewnej odległości i patrząc, jak w volvo pękają szyby.

Na schody wybiegło dwóch kolejnych mężczyzn.

– Kurwa, przynieście gaśnicę! – wrzasnął do nich ten pierwszy.

Był bez wątpienia Amerykaninem pochodzącym z południa. Kiedy odwrócił twarz od żaru bijącego z płonącego samochodu, Conor zobaczył jego bladą twarz i rozpoznał Dennisa Evelyn Brancha.

– Tam w środku jest mój portfel! – krzyknął jeden z mężczyzn na schodach.. – Mój paszport, moje

czeki podróżne! Wszystko! Moje ubrania...

Drugi przybiegł z gaśnicą, uruchomił ją i zaczął polewać samochód.

– Kurwa, nie wodą, ty cholerny idioto! Nie wodą!

Na schody wybiegł czwarty mężczyzna.

– Ten samochód zaraz wybuchnie! Odstawcie vana! *Pronto...* Odstawcie...

W tej samej chwili bak samochodu eksplodował z ogłuszającym hukiem. W powietrze poleciały zderzaki, drzwi i inne metalowe części. Kilka z nich wylądowało na sąsiednich drzewach. Nawet Conor, schowany za rogiem budynku, czuł podmuch uderzenia. Mężczyzna stojący na chodniku został zdmuchnięty jak kukielka, a jego koszula zajęła się ogniem. Któryś z kolegów zarzucił mu na plecy grubą matę zdjętą z drzwi budynku.

Teraz paliło się już następne volvo i van.

– Musimy zadzwonić po straż – oświadczył jeden z mężczyzn z wyraźnym norweskim akcentem.

– Zwariowałeś? Ma mi się tu zwalić policja?

– I tak na pewno ktoś ich wezwie. Zobacz, co się dzieje. Jest jasno jak w dzień.

– Nie wierzę w to... – jęknął Dennis Evelyn Branch. – Patrzę na to i nie wierzę. Marcus, ile sprzętu mamy w vanie?

– Dwa skafandry ochronne, radiofalówki, kartony ze szkłem, kilka nikonów... worki na zwłoki... i parę innych drobiazgów.

– Boże, Panie mój! – zawołał Branch. – Czym zasłużyłem sobie na taką karę? Przychodzę do Twojego królestwa, robię, co każesz... Ześlij sztorm, nawałnicę, huragan, ale nie pozwól, by wszystko spłonęło... Błagam, ugaś ogień... Ugaś ogień!

Ale Bóg najwyraźniej nie przejmował się prośbami Dennisa Evelyn Brancha. Być może spodobały Mu się fajerwerki, bo zanim Branch skończył swoją błagalną modlitwę, z ogłuszającym hukiem wybuchło drugie volvo. W powietrze i na okoliczne drzewa poleciały następne części, a w niebo wystrzelił ogromny słup dymu. Po kilku sekundach w powietrze poszedł van wraz z całym ładunkiem.

Żar z trzech płonących samochodów był tak wielki, że nie można było się zbliżyć. Nawet stojąc w odległości kilkudziesięciu metrów od ognia, mężczyźni musieli zasłaniać twarze rękami.

– To podpalenie. Jak amen w pacierzu, podpalenie – stwierdził Dennis Evelyn Branch. –

Nie próbujcie mi mówić, że to przypadek. Samochody nie wybuchają same. To ktoś zrobił...

Ktoś, kto chce nam przeszkodzić w naszej świętej sprawie... w naszym boskim posłannictwie.

– Z pewnością masz rację, wielebny – przyznał jeden z mężczyzn.

Conor usłyszał syreny norweskich wozów strażackich. Wiedział, że albo teraz, albo nigdy. Spojrzał jeszcze raz na tamtych, ale uwagę Amerykanina i jego kompanów bez reszty pochłaniały płonące samochody. Wziął głęboki oddech, pobiegł prosto do drzwi i nacisnął

klamkę. Drzwi były zamknięte. Nie panikuj, nie panikuj... I za nic w świecie nie rozglądaj się.

Wyciągnął szybko klucz, przekręcił go i otworzył drzwi. Wszedł do środka i zamykając drzwi, upewnił się, czy żaden z mężczyzn go nie zauważył. Rozejrzał się dookoła. Znajdował

się w obszernym pomieszczeniu, takim samym jak w budynku obok, w którym pracowała jasnowłosa dziewczyna. Tutaj jednak każdy kawałek przestrzeni zapchany był kartonami. Na ścianie za podłużnym biurkiem wisiała duża mapa Norwegii, od Narviku aż po Spitsbergen.

Zaznaczono na niej dziesiątki różnych miejsc i dróg. Conor w żaden sposób nie mógł się zorientować, jaką trasą podąży jutrzejsza wyprawa. Wszedł z holu i ruszył korytarzem w kierunku dużych drewnianych drzwi. Za nimi znajdował się jeszcze jeden krótki korytarz i troje następnych drzwi.

Pierwsze były zamknięte, ale drugie nie stawiały żadnego oporu. Conor przestąpił próg i znalazł się w średniej wielkości pokoju, również zapchany po sufit kartonami i skrzyniami.

Było tam też sporo sprzętu oświetleniowego i narzędzi górniczych. Trzecie drzwi zaprowadziły go do jasno oświetlonego laboratorium.

Wszedł i rozejrzał się. Na środku pokoju stały stoły laboratoryjne, a pod ścianą wielkie, długie ławy. Na stołach znajdowało się szkło do badań i eksperymentów chemicznych, gazowe spektrometry, mikroskopy i dwa ultranowoczesne komputery firmy IBM.

W pomieszczeniu śmierdziało chemikaliami i zwierzętami. Na jednej z długich ław stało kilka drucianych klatek. W pierwszej siedziały trzy białe szcurki, a w drugiej rezus. Conor podszedł do klatki i stuknął w nią, ale małpka nawet się nie poruszyła, uśpiona prawdopodobnie jakimiś specyfikami.

Po przeciwnej stronie laboratorium znajdowały się drzwi i nieoświetlone okno. Conor podszedł do niego i przyłożył dłoń do szyby. Zobaczył za nią mały pokoik, w którym stało tylko żelazne łóżko, małe biurko i krzesło.

Nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Dopiero teraz zauważył małą karteczkę z napisem KWARRANTANNA. A więc Magda miała rację. Miał do czynienia z biologicznym niebezpieczeństwem. Ale co to mogło być?

Zaczął szybko przeszukiwać szafki i szuflady, chociaż nie bardzo wiedział, czego ma szukać. Wydarł z notatnika kartkę i zapisał nazwy firm oraz oznakowania skrzyń i kartonów, w których znajdował się sprzęt. Na jednym z kartonów zauważył odręczny napis: *Apia i Longyearbyen*.

Gdy rozglądał się jeszcze za czymś, co mogłoby mu dać jakąś wskazówkę, otworzyły się drzwi i stanął w nich jeden z kompanów Brancha, wysoki i barczysty Norweg. Jego twarz była cała czerwona od żaru płonących na zewnątrz samochodów.

– A ty, do cholery, kim jesteś? – zapytał, stając na szeroko rozstawionych nogach. – Kto cię tu wpuścił?

– Aaa, cześć. Przepraszam, że tak długo mnie nie było – powiedział Conor, uśmiechając się.

– O czym ty, kurwa, mówisz? Nie znam cię, facet.

– Jak to nie znasz? Nie pamiętasz mnie z Oslo?

– Tyś chyba zwariował, człowieku. Nie znam cię. Gadaj, kim jesteś. Tu nie można włązić. Kim jesteś?

Conor cofnął rękę i zacisnął dłoń w pięść. Potem powoli ją rozluźnił, poruszając palcami.

– Pamiętasz to lato... Było cholernie ciepło. Siedzieliśmy w kafejce na Stortorvet.

Powiedziałeś wtedy, że zawsze będziesz mi ufał. Nadal mi ufasz, prawda?

Norweg zamrugał. Conor nie był pewien, czy to początek transu, czy nie. Może tamten zastanawiał się po prostu nad tym, co usłyszał. Na zewnątrz słychać było wozy strażackie i rzucane szybko komendy.

– Słuchaj – powiedział Conor – muszę na moment wyjść. Ty jesteś zrelaksowany i chcesz tu zostać... Nie masz nic przeciwko temu... będziesz miał czas pomyśleć o naszym spotkaniu w Oslo. Ostatnio jesteś w stresie, prawda? Musisz trochę pomyśleć i popracować nad sobą...

Położył dłoń na ramieniu Norwega, który wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Przez chwilę Conorowi wydawało się, że mężczyzna go uderzy. Ale tamten odsunął

się i pozwolił mu przejść.

– Tylko pamiętaj – rzucił jeszcze w progu Conor. – Masz myśleć o odpoczynku. Musisz rozwiązać wiele problemów. One są jak węzeł. Rozsupłaj je.

Przeszedł przez korytarz, zostawiając osłupiałego Norwega w laboratorium. Otworzył

drzwi; na zewnątrz wciąż trwało pandemonium. Strażacy walczyli z ogniem, pokrywając płonące samochody pianą. Na miejscu była już też policja. Jeden z policjantów rozmawiał z Dennisem Evelynem Branchem, który był lekko obrócony w kierunku budynku i mógł

zauważyć Conora. Na szczęście policjant zadał Branchowi jakieś pytanie i ten odwrócił się w jego kierunku.

– No i co? – zapytała Eleanor, gdy Conor dotarł do samochodu. – Czy to nie było widowiskowe?

– Powinnaś pracować w efektach specjalnych – zaśmiał się Conor.

Magda zapaliła silnik i ruszyła.

– Czy dowiedziałeś się tego, czego chciałeś? – zapytała po chwili.

– Niezupełnie, nie miałem zbyt wiele czasu. Ale zanotowałem sobie kilka nazw chemikaliów i firm. Mam nadzieję, że to rzuci trochę światła na całą sprawę.

– Być może trzeba będzie znów zahipnotyzować Birgera.

– Tak, być może tak. Ale nie martwmy się na zapas. Coś wymyślimy.

– Mam nadzieję, że znowu będziemy mogli puścić z dymem kilka samochodów – oświadczyła Eleanor. – Od lat tak dobrze się nie bawiłam.

## 28

Dzwonili do Birgera kilka razy, lecz nikt nie odpowiadał. Poszli nawet na górę, zapukali, nikt jednak nie otworzył.

– Może już pojechał – zasugerowała Eleanor.

Magda pokręciła głową.

– Raczej nie. Myślę, że leży teraz na jakiejś dziwce i dalej świętuje. Ech, wy mężczyźni.

Czasami mnie mdli, gdy o was myślę.

Następny dzień Eleanor rozpoczęła od obdzwonienia wszystkich przewoźników czarterowych, ale nikt nie miał wolnych miejsc. Zadzwoiła także do armatorów, ale statki były tak samo obłożone jak samoloty.

– Cholera, cała ta sprawa wymknie nam się z rąk, jeśli zaraz czegoś nie wymyślimy – stwierdził Conor.

Magda wybierała z płatków śniadaniowych maliny i obkładała nimi talerz. Podniosła na chwilę głowę i powiedziała:

– A może wynajmiemy psy gończe?

– Może – mruknął Conor, myśląc nad czymś intensywnie. – Muszę spróbować szczęścia na uniwersytecie – oświadczył. – Tam na pewno ktoś będzie wiedział, co oznaczają te nazwy.

A ty, Magda, może podzwonisz do firm wynajmujących samochody. Dowiedz się, kto wynajmował vana i samochody osobowe. Możesz udawać sekretarkę i powiedzieć, że szef kazał ci zadzwonić, bo zostawił w jednym z wozów aktówkę albo walizkę, albo coś tam innego.

– Chcesz, żebym udawała sekretarkę?

– Jeśli miałyby to nam pomóc dopaść Dennisa Evelyn Brancha, kazałbym ci nawet być babcią klozetową.

– Czy mam iść z tobą na uniwersytet? – zapytała Eleanor.

– A dlaczego by nie...

– No tak, więc ja mam być sekretarką, a wy sobie idziecie na uniwersytet pogadać z inteligencją...

– Magda, posłuchaj – powiedział Conor, ujmując ją za chłodną jak zwykle dłoń. – Wiesz sama, że musimy złapać tych ludzi. Bóg jeden wie, co się stanie, jeśli tego nie zrobimy.

Profesor Jorn Haraldsen przyjął ich w swoim gabinecie. Pokój był niemal sterylnie czysty, a jego okno wychodziło na ogród, w którym stały kamienne kobiety, zastygłe w takich pozach, jakby czekały, aż ktoś odda im ciepłe ubrania.

Na ścianach wisiało kilka abstrakcyjnych obrazów i kilka fotografii. Biurko przypominało lotnisko; nie było tam niczego oprócz kawałka wulkanicznej skałki. Profesor miał na sobie zapinany na zamek błyskawiczny sweter i przypominał raczej turystę niż pracownika akademickiego.

– W jaki sposób mogę wam pomóc? – zapytał po przywitaniu się z nimi. Usiadł na brzegu biurka i zmrużył lekko oczy. – Muszę panu powiedzieć, że nieczęsto odwiedzają mnie interesanci z zewnątrz.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy te nazwy coś panu mówią – powiedział Conor, wręczając profesorowi karteczkę ze swoimi zapiskami. – I czy może między nimi istnieć jakiś związek.

– Amantadyna... ach, no tak. To specyfik, który od pewnego czasu uważa się za bardzo obiecujący w leczeniu grypy, zwłaszcza w jej wczesnych fazach. Widzę, że są tu jeszcze inne specyfiki o podobnym składzie i działaniu. Ale o cyjanodynie i heliocyklatynie nigdy nie słyszałem.

– Więc co pan o tym sądzi, profesorze? Czy ktoś, kto używa tych specyfików, może po prostu pracować nad jakimś nowym lekiem przeciwko grypie?

– To bardzo prawdopodobne. Zwłaszcza jeśli się spojrzy na nazwy tych dwóch miejscowości... Apia i Longyearbyen. Obie mają związek z pandemią hiszpańskiej grypy w tysiąc dziewięćset osiemnastym i dziewiętnastym roku, jednej z największych tragedii we współczesnej historii.

Apia to mały port na północnym wybrzeżu wyspy Upolu, w zachodniej części archipelagu Samoa. To rejony południowego Pacyfiku. W szczytowym okresie pandemii, w listopadzie tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, do Apia przybył statek z Nowej Zelandii.

Na pokładzie było kilkunastu pasażerów cierpiących na gripę...

Większość mieszkańców wysp południowego Pacyfiku nigdy przedtem nie chorowała na gripę, byli więc całkowicie bezbronni wobec tego wirusa. W tym samym roku okręt marynarki amerykańskiej przywłókł wirusa na Society Islands. Grypa zabiła tam dziesiątą część populacji. Potem ten okręt przyplłynął do Apia. Zmarło tam wtedy siedem i pół tysiąca mieszkańców, i to zaledwie w sześć tygodni.

Myślę, że to bardzo niedobrze, iż ludzie tak mało wiedzą o hiszpańskiej grypie i o spustoszeniach, jakie spowodowała – dodał. – W obu wojnach światowych i w Wietnamie zginęło sześćset siedemdziesiąt pięć tysięcy Amerykanów, ale na hiszpańską gripę zmarło ich więcej. Zmarło też ponad ćwierć miliona Brytyjczyków. Tu u nas zmarła prawie cała populacja Saami, mówię o ludziach, których nazywamy Lapps. W ciągu całej historii hiszpańska grypa zabiła ponad pięćdziesiąt pięć milionów ludzi na całym świecie.

Przerwał, popatrzył w okno i po chwili podjął swój wywód:

– To był naprawdę potworny wirus, bardzo aktywny i trudny do zwalczenia. Ludzie budzili się rano, czując się znakomicie, a nie dożywali lunchu. Padali martwi na ulicy.

Objawy są dość charakterystyczne: straszliwie blada, niemal przezroczysta twarz, ciemnosine stopy i krwawe podbiegnięcia w płucach. Tak więc, drogi panie, jeśli ktoś pracuje nad lekarstwem przeciw grypie, zasługuje na najwyższe uznanie i powinien otrzymać wszelką możliwą pomoc. Wciąż musimy się liczyć z tym, że ten straszny wirus znowu się uaktywni.

Wtedy będziemy zupełnie bezradni.

– Ma pan rację. Ale wcale nie jestem pewien, czy ci ludzie właśnie nad tym pracują.

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem... – powiedział profesor, zdejmując okulary. – Jeśli pracują z takimi składnikami, na takich specyfikach, to co innego mogą chcieć osiągnąć? Z

pewnością starają się też zlokalizować żywe egzemplarze.

– Skąd taka opinia?

– Chodzi mi o Longyearbyen. To ta druga miejscowość. Czy pan wie, gdzie to jest?

– Nie mam pojęcia.

– Na Spitsbergenie, w prowincji Svalbard. W połowie drogi między północną Norwegią i biegunem północnym. Jakies pięćset osiemdziesiąt kilometrów stąd, jeszcze dalej na północ.

W tysiąc dziewięćset piątym roku odkryto tam węgiel. To niewielka osada norweska, tysiąc dwieście dusz. Głównie górnicy i naukowcy. Na pewno nie chciałby pan tam mieszkać, chyba żeby pan musiał.

– No dobrze, ale jaki to ma związek z gripą? – zapytał Conor.

– A ma, i to bardzo ścisły. We wrześniu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku zmarło tam siedmiu norweskich górników. Zarazili się wirusem tutaj, w Tromso. Tamtejsi mieszkańcy wpadli panikę. Bali się, że sami złapią wirusa, więc pochowali zmarłych górników bardzo głęboko, w warstwie permafrostu. To wieczna zmarzlina, nigdy nie topnieje.

– A to zabiło wirusa, prawda? – wtrąciła Eleanor.

– Nie. – Profesor pokręcił głową i uśmiechnął się. – Wręcz przeciwnie, mogło pomóc mu przetrwać. To „animacja w zawieszeniu”, jak niektórzy określają ten stan. Tak, jak w filmach science fiction, kiedy załoga statku kosmicznego zostaje poddana hibernacji, a ich metabolizm znacznie zwalnia. Podtrzymywane są tylko niezbędne funkcje życiowe.

Astronauci podróżują sobie w przestrzeni i nie starzeją się. Podobnie jest z wirusem hiszpańskiej grypy. Zahibernowany, drzemie teraz gdzieś pod ziemią i tylko czeka sposobności, by obudzić się i wymordować tylu ludzi, ilu się da...

W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku nie znano metod przechowywania takich wirusów. Ale jak możemy przypuszczać, ciała tych siedmiu młodych ludzi zachowały się w doskonałym stanie przez te osiemdziesiąt lat. Na pewno można byłoby wyodrębnić z ich komórek wirusa.

Profesor zamilkł i chodził przez chwilę po swoim gabinecie. W końcu przystanął i zaczął znowu mówić:

– Ten wirus to pewnego typu odmiana wirusa ptasiej grypy, który pojawił się w Hongkongu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym. Zanim cokolwiek zrobiono, zmarła pierwsza jego ofiara, trzyletni chłopiec. Jedyнным sposobem uniknięcia epidemii było wybicie wszystkich kurczaków w całym Hongkongu... Prawie milion trzysta tysięcy kurczaków. Może to brzmieć dość drastycznie, ale jestem pewien, że gdyby tego nie zrobiono, mielibyśmy powtórkę z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku.

Profesor znów zaczął chodzić po gabinecie. Być może zapomniał, że nie znajduje się teraz w sali wykładowej.

– Zanim to się stało, nikt nie przypuszczał, że wirus może tego dokonać... Przekroczył

barierę gatunków i przewędrował z organizmu kurczaków do organizmu ludzkiego, znakomicie się tam aklimatyzując. Obecnie wiemy już, że żadna bariera gatunków nie chroni przed tego typu wirusem, ponieważ potrafi on zmieniać swój kod genetyczny tak szybko jak nic innego na tej planecie. Nie wiadomo, kiedy i w jakiej postaci uderzy ponownie. Może się to zacząć od takiego pospolitego zjawiska jak migracja dzikich kaczek. Tak właśnie stało się w Chinach. Kto mógł przypuszczać, że były zainfekowane? Zresztą nawet gdyby wiedziano o tym, nikt i nic nie mogłoby tego powstrzymać. Zwłaszcza że miało to miejsce w Chinach. W

tysiąc dziewięćset siedemnastym roku grypa uderzyła w Ameryce, a wkrótce potem była już w Niemczech i Skandynawii, przeniesiona tam przez wędrowne grupy teatralne. Aż strach pomyśleć, co



by się działo dzisiaj, w dobie tak szybkiego i łatwego... Proszę to sobie wyobrazić: samochody, samoloty, międzynarodowy ruch turystyczny i handlowy, miliony ludzi przemieszczających się codziennie z jednego krańca świata na drugi... i wirus, który uśmierca w jeden albo dwa dni. Dlatego każdy odnotowany przypadek grypy traktujemy bardzo poważnie. Światowa Organizacja Zdrowia ma całą armię ekspertów. A wy, Amerykanie, macie Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom Wirusowym w Atlancie.

Spojrzał na nich i dodał:

– Zaniepokoiłście mnie swoimi informacjami. Wygląda na to, że ktoś chce wyizolować tego potwornego wirusa z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku niekoniecznie w celach medycznych. Dobrze zrozumiałem pana sugestię? A jeśli tak, to w jakim celu?

– Mamy wszelkie podstawy podejrzewać, że ktoś chce użyć tego wirusa jako broni biologicznej.

– Ale o kim pan konkretnie mówi? O Irakijczykach? Czy może o Osامية bin Ladenie?

Wiemy, że mają wąglika i tak zwanego wirusa Marburga. Tak, mają to. Ale hiszpańska grypa? To byłoby szaleństwo. Hiszpańska grypa to natychmiastowa śmierć dla milionów... co ja mówię, dla setek milionów ludzi! To na pewno wymknie im się spod kontroli i zabije ich samych.

– Osobiście wątpię, czy obchodzi ich życie tych setek milionów. Może będzie ich obchodziło zabezpieczenie własnych tyłków, chociaż i to nie jest do końca pewne. To jakiś ekstremistyczny ruch ewangelicki, którego przywódcy są zdania, że głoszone przez nich

„prawdy” są jedyną słuszną doktryną chrześcijańską. Każdy, kto nie jest z nimi, nie ma prawa żyć.

– Używając słowa „każdy”, ma pan na...

– Mam na myśli każdego. Pana, mnie, moją towarzyszkę, katolików, żydów, muzułmanów, sintoistów, buddystów... Wszystkich i każdego. Może nawet te migrujące chińskie kaczki i kurczaki z Hongkongu... Każda żywa istota ma się im podporządkować i żyć według ich reguł albo umrze.

– Ale jak oni mogą... To szaleństwo! Przecież ludzie będą się z nich śmiali!

– Ludzie przestaną się śmiać, kiedy będą patrzyli na swoje umierające dzieci – wtrąciła Eleanor. – Świat stanie się planetą religijnych męczenników. I może właśnie o to im chodzi.

Profesor westchnął ciężko i przysiadł na skraju biurka. Potarł podbródek, jakby chciał sprawdzić, czy musi się już ogolić.

– Mam nadzieję, drodzy państwo, że to nie jest jakiś niesmaczny żart. – Spojrzał na Conora, ale wyraz jego oczu świadczył o tym, że to jednak nie jest żart.

– Proszę pana, jest pan epidemiologiem. Myślę, że ma pan pewne możliwości... pewne wpływy w Ministerstwie Zdrowia. Czy może pan coś zrobić w tej sprawie? Czy może pan powstrzymać w jakiś

sposób tych ludzi przed wykopaniem ciał górników zarażonych wirusem?

– No cóż, pewnie coś dałoby się zrobić. W każdym razie mogę spróbować.

– Bardzo proszę, profesorze, niech pan spróbuje... bo inaczej Bóg jeden wie, co może się stać.

Profesor Haraldsen podniósł słuchawkę i wystukał jakiś numer. Czekał przez dłuższą chwilę na odpowiedź, uśmiechał się niepewnie do Conora i Eleanor. W końcu uzyskał

połączenie.

– Willy? Tak, to ja... Jak się masz... tak? Aha... U mnie wszystko w porządku... Tak, naprawdę... Słucham? Aaa, tak, tym razem na pewno nam się uda... ha, ha... tak... Nie będziemy już czekać na wakacje... Tak, tak, na pewno... Tak... Słuchaj Willy, mam sprawę.

Chciałem się zapytać o coś związanego z Longyearbyen. Tak, masz rację, chodzi o hiszpańską gripę. Tak? Słucham? Dobrze, poczekam chwilę.

Zasłonił dłonią słuchawkę i powiedział do Conora i Eleanor:

– To Willy Bry. Zajmuje się zwalczaniem sytuacji kryzysowych w departamencie zdrowia publicznego. Bardzo dobry i uczciwy człowiek. Wielki chłop, broda jak u wikinga, ale na nartach jeździ jak dziewczyna.

Zabębnił jeszcze parę razy palcami po blacie biurka i podjął rozmowę:

– Tak, tak, jestem... Słuchaj, Willy...

Wyrzucał z siebie pytania jedno za drugim, potakiwał i mruczał coś do słuchawki. Po kilkunastu „hmmm”, „uhhh” i „hahh” zaczął coś szybko zapisywać ołówkiem w podręcznym notesiku.

– Dobrze, dziękuję, Willi. Tak, tak, na pewno nam się to uda. Mam nadzieję, że podszkoliłeś się trochę w zjazdach... ha, ha, tak... Dzięki za pomoc, chłopie. Tak, ty też się trzymaj... Do zobaczenia, cześć.

Odłożył słuchawkę, schował telefon do szuflady biurka i zamknął ją. Potem podniósł

głowę i spojrzał na Conora i Eleanor.

– Powiem wam, czego się dowiedziałem. Tylko jedna ekspedycja dostała zgodę na przeprowadzenie badań na cmentarzu w Longyearbyen. Ludzie z wydziału zdrowia są bardzo skrupulatni, jeśli chodzi o tego rodzaju rzeczy. Sprawdzają każdą grupę, która występuje o taką zgodę. Nikt inny nie ma prawa zbliżyć się z łopata do tego cmentarza. Stacjonuje tam nawet mały oddział wojska, który pilnuje zarządzeń władz.

– Więc czyja to ekspedycja? – zapytał Conor

– To grupa realizująca wspólny program badawczy Kanadyjczyków, Brytyjczyków i Norwegów. Chcą zacząć za jakieś siedem tygodni. Kierownikiem grupy jest doktor Kirsty Duncan, Kanadyjka. Jest geografem medycznym i klimatologiem. To kobieta bez reszty oddana swojej pracy. Ona tak łatwo nie rezygnuje, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Ale nawet jej nie pozwolono by wynieść tych ciał poza cmentarz. Takie badania wykonuje się na miejscu w całkowicie izolowanych namiotach, zapieczętowanych na czas badań. Każdy członek zespołu musi mieć specjalny kombinezon ochronny. Przypominają skafandry kosmiczne. Po zbadaniu i pobraniu próbek kładzie się ciała z powrotem do trumien i pieczętuje. Potem członkowie zespołu przechodzą kwarantannę i dopiero wtedy jest po sprawie. Pobrane fragmenty tkanki umieszcza się w odpowiednich tubach, hermetycznie zamykanych...

– Przepraszam, panie profesorze – przerwał mu Conor – czy pański przyjaciel wspomniał

może o człowieku, który nazywa się Dennis Evelyn Branch?

– Branch? Nie, o nikim takim nie wspominał.

– A czy jest zupełnie pewien, że nikt inny oprócz grupy doktor Kirsty Duncan nie wejdzie na ten cmentarz?

– Jak już panu mówiłem, Willy Bry to rzetelny i kompetentny człowiek.

Conor wstał i wyciągnął rękę.

– Bardzo panu dziękuję za okazaną pomoc, panie profesorze. Jeśli kiedyś będę mógł się odwdziaczyć, uczynię to z przyjemnością. Czy jeśli okaże się, że będę jeszcze potrzebował

pańskiej pomocy, to...

– Ależ oczywiście. To bardzo ważne dla nas wszystkich. Wirusy grypy mogą żyć przez wiele, wiele lat. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym grupa archeologów z Uppsali odkopła zbiorowy grób z czasów Czarnej Śmierci... Tyle stuleci... Dziewięciu z nich zmarło po trzech tygodniach. Proszę tylko pomyśleć... Wirus, który przetrwał w ziemi przez sześćset lat.

– Jeszcze jedna rzecz, profesorze...

– Oczywiście, słucham.

– Proszę mi pokazać na mapie, gdzie jest Longyearbyen.

– Mój Boże, chyba nie chce pan tam jechać?

Conor nie mógł już nic więcej przełknąć. Miał dość ryb na całe wieki. Odsunął talerz i wytarł usta.

– Wygląda na to, że Branch i jego sympatyczna paczka zamierzają odkopać te ciała przed Kanadyjczykami – oświadczył.

– Sam słyszałeś, co powiedział twój profesor. Nikt poza oficjalną ekspedycją nie może wejść na teren cmentarza.

– Tak, słyszałem. Nie chce mi się jednak wierzyć, że ludzie pokroju Brancha będą przejmowali się oficjalnymi zarządzeniami władz norweskich.

– No dobrze, ale co my takiego możemy zrobić, czego nie może zrobić norweska armia?

– Nie wiem, nie zamierzam jednak siedzieć z założonymi rękami. Nie zapominaj, że przyjechaliśmy tu nie tylko po to, by uchronić świat przed grypą. Mam zamiar odzyskać pieniądze Daviny Gambit i udowodnić, że jestem niewinny.

– Jesteśmy tu też po to, by pomścić naszych przyjaciół – dodała Magda. – Chcę, żeby ten człowiek cierpiał... Tak samo, jak oni cierpieli.

Eleanor nic nie powiedziała, ale spojrzała na Conora i lekko uniosła brwi. Wyciągnęła nową paczkę papierosów, wyjęła jednego i zapaliła. Natychmiast zjawiała się kelnerka i wskazała na tabliczkę z napisem informującym o zakazie palenia.

– Jestem Amerykanką – oświadczyła Eleanor. – Skąd mam wiedzieć, co znaczy *Royking Forbudt!* To brzmi jak nazwisko jakiegoś kabareciarza średniej klasy.

– Myślę, że jutro będziemy musieli się rozdzielić – powiedział Conor. – Ty i Magda odleciecie do Oslo, a ja spróbuję znaleźć jakiś sposób, by dostać się do Longyearbyen. Na razie jeszcze nie wiem, co i jak zrobię, ale muszę uziemić drania, zanim dobierze się do tych ciał. Jedynym sposobem odzyskania pieniędzy jest dorwanie go żywcem.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Nie chcę też, żeby aresztowali go Norwegowie. Jeśli to zrobią, już się z nim nie spotkam. Podejrzewam zresztą, że mnie też mogą aresztować, jeśli norweska policja otrzymała od Interpolu list gończy.

– A co my mamy robić w Oslo?

– Czekać. Proszę, zrozumcie... To wszystko, co możecie zrobić: czekać. Czekać tak długo, aż zadzwonię i powiem, że trzymam lufę przy głowie Brancha, który właśnie przelewa ze swojego konta skradzione pieniądze.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jaki to niedorzeczny pomysł – powiedziała Eleanor. – Masz zamiar w miejscu, gdzie nawet wiatr zawraca, dorwać Brancha i jeszcze zmusić go, by oddał ci pieniądze? Czy ty myślisz, że jesteś Jamesem Bondem?

– Eleanor, nie naśmiewaj się ze mnie. Powiedziałem, że to tylko zarys mojego planu.

Kiedy już będę na miejscu, zabiorę się do opracowania szczegółów. Może zresztą będę musiał

improvizować.

– Znam tylko dwoje ludzi, którzy naprawdę umieli improvizować. To Dean Martin i Lucille Ball.

Jeszcze tego samego popołudnia Conor wynajął od kompanii lotniczej na Strandgata helikopter. Czekają na niego dwóch młodych pilotów, którzy przynieśli ze sobą mapę. Tak, mogą go zawieźć na Spitsbergen, nie ma problemu. Na razie pogoda sprzyja. Wszystko było w porządku, dopóki nie poprosił o dyskrecję. Kiedy to zrobił, obaj piloci przestraszyli się.

Najwyraźniej pomyśleli, że mają uczestniczyć w jakimś przestępstwie. Czy on nie wie, że tak się nie robi? Że nie naraża się ludzi? Czy nie wie, że muszą informować wieżę w Tromsø o każdym locie? Czy nie wie, że nie można lądować w Svalbard bez specjalnego zezwolenia? A poza tym zbyt niebezpiecznie jest lądować w dolinie Longyear bez oświetlenia. Muszą też dotankować maszynę. Jak mają to zrobić, skoro ich lot będzie utrzymany w tajemnicy? No i dlaczego to ma być tajemnicą? Czy coś przewozi? Czy jest dealerem narkotykowym? A może powinni powiadomić policję o jego prośbie?

– Już dobrze, przestańcie – powiedział Conor, unosząc obie ręce w górę. – Zapomnijcie, że mnie kiedykolwiek widzieliście.

Kiedy wychodził z ich biura, gadali coś jeszcze i wymachiwali rękami.

W końcu udało mu się znaleźć rybaka, który powiedział, że może go zabrać do zatoki Isfjorden, leżącej na północ od Longyearbyen. Nikt nawet nie będzie wiedział, że tam przybył.

Po kolacji w restauracji Aurora poszli na ostatniego drinka do baru, a potem wrócili do swoich pokoi. Gdy Conor przelatował po kanałach, usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył je i zobaczył Eleanor.

– Chcesz jeszcze jednego drinka? – zapytał. – Chyba mam jeszcze trochę wódki w barku.

– Nie, dziękuję. Na dziś mam dość. I tak nie powinnam w ogóle pić, bo biorę te pigułki na anginę.

– To może soku pomarańczowego?

Eleanor pokręciła głową i popatrzyła na niego.

– Przyszłam tu, ponieważ chcę cię prosić, żebyś tam nie jechał.

– Eleanor, nie zrozum mnie źle... Ja tam nie jadę dlatego, że tego chcę.

– To za daleko. Za duże ryzyko. Nie mówisz w ich języku, nikogo tam nie znasz. I dobrze wiesz, jak okrutny jest Branch i jego ludzie.

– Eleanor, muszę tam jechać. Branch wydarł ludziom dziesiątki milionów dolarów i muszę je zwrócić. Muszę odzyskać swoje dobre imię. Na miłość boską, Eleanor, ja muszę odzyskać swoje życie!

– Twoje życie jest więcej warte niż jakiekolwiek pieniądze – odparła Eleanor. – I nie musisz mi osobiście odbierać tych wszystkich milionów, żeby odzyskać dobre imię i udowodnić, że jesteś niewinny. Pomogę ci. Znam najlepszych prawników w Nowym Jorku.

– Dobrze, Eleanor, może i znasz tych prawników. Ale na tym ta sprawa się nie kończy.

Przypuśćmy, że Branch wydobędzie te ciała, dobierze się do tego wirusa i rozprzestrzeni go po całym świecie. Umrą miliony ludzi. I co? Jak ja będę się wtedy czuł? Wiedziałem, co się szykuje, i niczego nie zrobiłem.

– Conor – powiedziała Eleanor, ujmując go za dłonie. – To nie twoje zadanie. Nie ty masz powstrzymywać takich ludzi jak on. Ty już dość zrobiłeś. Jedź jutro z nami do Oslo i najbliższym samolotem wracamy do Stanów.

Conor pomyślał o jutrzejszym poranku. Miał spotkanie w porcie z rybakiem. Musiał tam być już o szóstej, na długo przed świtaniem.

Wyobraził sobie dwudniowy kurs na łodzi śmierdzącej rybami, a wokół morze i kry.

Kiedy zapytał rybaka o Longyearbyen, ten odpowiedział, nie wyciągając papierosa z ust:

– To jedna wielka kopalnia. Parę sklepów, restauracja, cztery hoteliki. I śnieg, pełno śniegu, całe tony śniegu.

No i jeszcze, czego rybak już nie wiedział, Dennis Evelyn Branch na deser.

W zasadzie wszystko przemawiało za tym, żeby tam nie płynął.

– Eleanor, wiem, że to brzmi jak slogan, ale powiem to. Czasami tak jest, że człowiek musi zrobić to, co musi. I to właśnie jest takie „czasami”. Przez te tygodnie wiele się wydarzyło. Straciłem moje dziecko, straciłem ukochaną dziewczynę... Straciłem wielu przyjaciół. Straciłem też dużo z siebie. Można nawet powiedzieć, że straciłem wiarę, choć to już zakrawa na ironię wobec tego, co mam zamiar zrobić. Więc nie prosz jeszcze, żebym stracił swoją duszę.

Oczy Eleanor wypełniły się łzami. Zacisnęła usta i milczała przez chwilę.

– Wiesz, Conor, nigdy bym ci tego nie powiedziała, ale teraz... Już nie mogę. Bardzo wiele dla mnie znaczysz... Bardzo wiele. Nie zniosłabym, gdyby ci się coś stało.

Conor popatrzył na nią pytająco.

– Pewnie myślisz, że jestem sentymentalną starszą panią... Ale to nie to, Conor. Kiedy wszedłeś do mojego biura, bardzo przypominałeś mi mojego syna, Jamesa. Jesteś od niego wyższy, masz ciemniejsze włosy... ale i tak jesteście do siebie bardzo podobni. On też był

trochę nierozważny, lekkomyślny, lecz nieugięty, jeśli chodzi o słuszną sprawę. Tak jak ty.

Czasami, gdy spojrzysz na kogoś albo na coś... Albo jak się zamyślisz... masz zupełnie jego oczy.

– Mówisz tak, jakbyś się miała już z nim nigdy nie zobaczyć.

– Mój syn nie żyje. Dwa i pół roku temu spadł z konia i skręcił sobie kark.

– Bardzo mi przykro.

Eleanor otarła oczy.

– Płacz nic tu nie da. Ale chcę, żebyś wiedział, że dałeś mi mnóstwo radości... Radości, której od dawna nie odczuwałam. Jak myślisz, dlaczego tu jestem? Zanim poszliśmy do Daviny Gambit, zadzwoniłam do niej. Powiedziałam jej, że bardzo mi zależy na wspólnym wyjeździe. Kiedy wyjaśniłam jej, dlaczego tak mi zależy, oświadczyła, że dobrze wie, o co mi chodzi, bo sama też straciła swoje dziecko.

– Eleanor, ale ja naprawdę muszę tam jechać...

– Wiem. I wiem, że przemawia przeze mnie egoizm. Przez jeden niesamowity moment wydawało mi się, że mogę odzyskać swoje życie... Z Sidneyem i z tobą. Życie, które powinnam mieć, ale którego nigdy nie miałam. Wiem, że to niedorzeczne.

Zamilkła na moment i znów otarła łzy.

– Wiesz, Conor – powiedziała po chwili już trochę spokojniej – James był synem Sidneya. Ale on nigdy mi nie powiedział, że chce mieć dziecko. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mu tego nie mówił.

– Eleanor... – zaczął Conor, ona jednak położyła mu palec na ustach.

– Nie musisz nic mówić. Tylko obiecaj mi, że nie wdasz się w nic bardzo niebezpiecznego. Boże, czasami żałuję, że nie jestem Magdą, bo wtedy mogłabym cię zahipnotyzować i kazać natychmiast wracać do Nowego Jorku.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i weszła Magda. Miała na sobie czarną suknię, która wspaniale kontrastowała z jej mlecznobiałymi ramionami. Pachniała jakimiś bardzo mocnymi perfumami.

– Przyszłam się pożegnać – oświadczyła. – Nie chciałam, żebyś myślał o mnie z niechęcią. – Czy coś się stało? – zapytała, patrząc na Eleanor i marszcząc brwi.

– Nie, moja droga, nic się nie stało. – Eleanor uśmiechnęła się do niej. – Po prostu mówimy sobie do widzenia.

W czwartek rano, gdy byli już jakieś 470 mil na północ od Tromso, słońce wyszło zza chmur i bezskutecznie próbowało przebić się przez gęstą mgłę. Per Rakke chrząknął, zakasłał

i powiedział:

– No to dzisiaj mamy zasłonę. Może trochę kawy?

Conor siedział obok bulaja i patrzył na mlecznometaliczne fale. Łodzią kołysał silny prąd zatokowy, a w nocy trafiały się czasami kawałki lodu. Conor słyszał, jak ocierają się o kadłub. Natykali się na coraz większe bryły. Gdy zaświeciło słońce, zauważył w pewnej odległości blok lodu większy od domu na Quinsie.

Kabina śmierdziała rybami, tranem i olejem napędowym. Przez chwilę Conor zastanawiał się, czy zjeść śniadanie w środku, czy na zewnątrz.

Tu jednak było mu przynajmniej ciepło. Miał na sobie grube dżinsy i ciepłą koszulę, a na niej jeszcze watowaną kurtę. W kieszeni ukrył pistolet Toralfa z jednym magazynkiem.

Początkowo chciał dokupić amunicji, ale przypomniał sobie, że w Norwegii obowiązują bardzo rygorystyczne przepisy dotyczące broni palnej. Nie chciał, by ktoś zaczął się nim niepotrzebnie interesować, a już najmniej, by to była norweska policja.

Od czasu do czasu zauważał przepływającą obok łódź rybacką. Niekiedy widać ją było bardzo wyraźnie, ale czasami przemykała jak zjawą. Patrząc na ten krajobraz i czarne cienie przepływających łodzi, Conor przestał się dziwić, że norweskie opowieści pełne są morskich zjaw i węży.

– Dzisiaj to jeszcze jest ciepło – oświadczył Per Rakke. – Ale czasami jest tak zimno, że dym z silników zamarza zaraz po tym, jak wyleci z rury. I spada na łeb, gdy ktoś nie uważa.

– Będę ostrożny – obiecał Conor – A jaka jest teraz temperatura?

– Sześć stopni poniżej zera.

– A ile to w Fahrenheitach?

– Podwajasz minusowe stopnie Celsjusza i dodajesz dwadzieścia dziewięć. Czyli mamy siedemnaście stopni Fahrenheita.

Conor nalał Rakke'owi gorącej kawy, którą rybak pochłoniął trzema szybkimi łykami.

– Głodny? – zapytał Conora. – W tamtej torbie jest trochę płatów śledziowych.

– Nieee... dziękuję. Może trochę później.

– Nie ma sprawy. Zostanie więcej dla mnie.

Późnym popołudniem znajdowali się już blisko zachodniej części Spitsbergenu. Od czasu do czasu widać było ośnieżone szczyty. Wpłynęli na wody zatoki Isfjorden, której lodowe brzegi spływały wprost do oceanu. Rakke zwolnił obroty silnika i skierował łódź na południe.



Na północy Conor widział majestatyczne góry, których szczyty pokrywała gruba warstwa śniegu.

Minęli port Longyearbyen – smugę światła pośród lodowej pustyni. W oddali Conor zobaczył wielkie słupy o dziwnych kształtach.

– Co to takiego? – zapytał.

– Kolejka górnicza. Ładują węgiel na wagoniki, które potem jadą z kopalni na sam brzeg.

To się nazywa *kibb*.

Robili teraz tylko trzy węzły na godzinę. Rakke musiał być bardzo ostrożny. W pewnej chwili z mgły wyłoniła się granitowa skała. Rybak dopłynął do niej i powiedział:

– To wszystko, co mogę zrobić, bliżej nie podejść. Tutaj jesteśmy bezpieczni, nikt nas nie zobaczy. Stąd jest tylko jakaś godzinka drogi do portu.

Conor wyszedł na pokład i od razu poczuł lodowaty podmuch. Wiatr nie był silny, ale z ust szły kłęby pary. Wokół łodzi krążyły mewy, żadna z nich jednak nie usiadła na burtach.

Może poczuły oddech Rakkego, pomyślał Conor.

– Jak mogę dostać się stąd na ląd?

– Zaraz za tą skałą jest mała plaża. Skały schodzą tam łagodnie do wody i łatwo dopłynąć do nich pontonem. Nie ma żadnego problemu.

No pewnie, nie ma żadnego problemu, pomyślał Conor, gdy okrążyli granitowy blok.

Miejsce, które miało być takie łatwe, okazało się skalnym złomowiskiem.

– Dotarliśmy do celu – oświadczył Rakke. – To wakacyjna plaża.

– Skoro pan tak mówi, to pewnie tak jest – mruknął Conor.

Stanął przy rei i czekał, aż Rakke zatrzyma łódź. Jakaś mewa przeleciała tak blisko, że poczuł podmuch jej skrzydeł. Ciekawe, czyja to dusza, pomyślał.

Rakke podał mu dwa poliuretanowe wiosła i powiedział:

– Wiosłuj w tym kierunku. Tu jest silny prąd. Sam zanieś cię ku brzegowi. Jeśli ci się nie uda, przyciągnę cię liną z powrotem i spróbujesz jeszcze raz.

– A kiedy będę już na brzegu?

– Wtedy wciągnę ponton i od tego momentu musisz sobie radzić sam, przyjacielu. Dałem ci adres Bolstada, więc jak skończysz to, co masz do zrobienia, możesz się do niego zgłosić.

Na pewno znajdzie sposób, żeby odstawić cię na Tromso.

– W porządku – odparł Conor, ale jego głos nie brzmiał zbyt optymistycznie. Wszedł z powrotem do kabiny i zabrał swój plecak. Były tam dwie zmiany odzieży, kilka tabliczek czekolady Lindt i koc termiczny.

Pomógł rybakowi wydobyć ponton na pokład i spuścić go na wodę. Potem po kolei przełożył nogi przez burtę i stanął na małym występie kadłuba, trzymając się liny, którą zrzucił mu Rakke. Kiedy spojrzał w górę, zobaczył, że rybak uśmiecha się.

– Zapomniałem ci jeszcze o czymś powiedzieć – dodał Rakke, opierając się o burtę. –

Chodzi o misie.

– Misie? Tylko mi nie mów...

– Polarne misie, che, che.

– Żartujesz, prawda?

– Nie. Jest ich tutaj dwa i pół tysiąca. Bywają kłopotliwe.

– Aha, kłopotliwe... Niedźwiedź polarny jest „kłopotliwy”, a to złomowisko skalne jest wakacyjną plażą... Już teraz wszystko rozumiem – odparł Conor.

Pokręcił głową.

– No, dobrze – mruknął po chwili. – Czy powiesz mi coś o tych misiach?

– A co mam ci powiedzieć? Jak któregoś spotkasz, możesz nie zawracać sobie głowy transportem swoich zwłok do Stanów.

– Bardzo śmieszne...

– To najgroźniejszy drapieżca. Ale rzadko zbliża się do zamieszkanym terenów.

– No, to rzeczywiście bardzo mi ulżyło. Zwłaszcza że tu pełno zamieszkanym terenów.

– Jeśli natkniesz się na niedźwiedzia, nie uciekaj. Najwyżej możesz strzelić w powietrze z tego swojego pistoletu.

– W powietrze? A nie w niego?

– Tym czymś? Tylko byś go zdenerwował i już po chwili byś nie żył. Strzelaj w powietrze. Jest szansa, że odejdzie. Aha, no i nie goń go. To też je denerwuje.

Conor spojrzał na rybaka, ale ten tylko zarechotał.

– Dzięki za te wszystkie cenne rady – burknął Conor i chwycił linę. – A teraz podaj mi wiosła, dobrze?

Dopiero za trzecim razem udało mu się zejść do pontonu. Prąd zatokowy był bardzo silny i rzucał pontonem na wszystkie strony.

– Bierz się do wiosła! – krzyknął Rakke.

Conor nie miał doświadczenia w wiosłowaniu. Zdarzyło mu się to tylko raz, a jedynym akwenem wodnym, na którym uczył się tej sztuki, był staw w Central Parku. Szybko okazało się, że wiosłowanie w zatoce Isfjorden, przy silnym prądzie, na lodowatych wodach arktycznego morza, tuż obok ostrych jak brzytwa skał, jest czymś nieco odmiennym.

W pewnym momencie fala popchnęła go na występ skalny i był pewien, że tutaj skończy się jego podróż.

– ...daj się ponieść! Daj się ponieść! – usłyszał krzyki rybaka.

Złożył wiosła i prąd poniósł go poza występ.

– ...żaj na nie!

– Coooo???

– Uważaj na lód! Wiosłuj!

Znów musiał manewrować wiosłami i pontonem, by nie wpaść na bryły lodu.

W końcu udało mu się dopłynąć do lądu i Rakke zaczął ciągnąć linę z powrotem. Conor spojrzał na skały, a potem na fiord. Rybak już odpływał, nie zapaliwszy nawet świateł. Po chwili łódź zniknęła we mgle.

Conor zaczął się powoli wspinać, zatrzymując się tylko po to, by nabrać tchu. Było trzy stopnie poniżej zera. Nie miał pojęcia, dlaczego nie zgodził się na prośbę Eleanor, która trzymając go za rękę, błagała, by został.

## 29

Gdy dotarł na szczyt, wyprostował się i odpoczął chwilę. Zawsze mu się wydawało, że jest w dobrej formie, ale wejście na skałę o wysokości dwustu stóp zupełnie go wyczerpało.

Nie miał jednak wyboru, musiał iść dalej. Do Longyearbyen było około godziny drogi, jak twierdził Rakke. Ale mówił również, że „misie są czasami kłopotliwe”.

Conor dał sobie dziesięć minut odpoczynku, a potem ruszył w drogę. Zostawił za sobą skały i wszedł w tundrę. Było tu bardzo zimno. Nawet w lecie ziemia rozmiękała tylko na niecały metr.

Poczuł, że wzmaga się wiatr, który przez cały czas wiał mu w plecy. Temperatura zaczęła gwałtownie spadać, a mgła rozrzedzała się i zbijała w kłęby. Wyglądało to, jakby Conor mijiał

grupki duchów. Po jakimś czasie na horyzoncie pojawiła się smuga światła. Ale Conor wiedział, że do wzgórz, na których był cmentarz, pozostał mu jeszcze kawał drogi.

Gdy w końcu zbliżył się do nich, zobaczył pięć lub sześć światełek. Były ułożone w kształcie konstelacji Hydry i wyglądały prawie dokładnie tak, jak pieprzyki na plecach Magdy. Usłyszał też nikły drżący dźwięk, prawie całkowicie zagłuszany przez coraz silniejszy wiatr.

Mocniej ścisnął sznurki kaptura i ręką zasłonił oczy. Czuł, że woda w jego butach zamarzła. Był już u kresu sił.

Kiedy wszedł do doliny, światełka zniknęły. Pojawiły się dopiero dwadzieścia minut później, ale już znacznie bliżej. Conor był teraz zaledwie ćwierć mili od cmentarza. Już stąd widział, że Dennis Evelyn Branch przybył przed nim. W blasku lamp gazowych widział kilka rozstawionych namiotów. Źródłem prądu były trzy dieslowskie generatory. Obok stały dwa minivany mercedes i jedna toyota landcruiser. Całości obrazu dopełniała spycharka o wąskiej szufli.

O ciężarówkę oparto siedem białych krzyży. Conor widział kilka osób z kilofami, walczących z zamarzniętą ziemią. Prawdopodobnie przygotowywali się do ustawieniem kopuły izolacyjnej nad grobami.

Conor przykucnął i wyglądał zza skarpy śniegu. Mężczyźni pracowali bez wytchnienia, od czasu do czasu pokrzykując coś do siebie po norwesku.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o zapewnienia przyjaciela profesora, pomyślał Conor.

Gdzie ta norweska armia? Gdzie przedstawiciele departamentu zdrowia?

Obserwował prace na cmentarzu przez ponad czterdzieści minut. Postawiono już stelaż namiotu izolacyjnego. Z vanów wynoszono sprzęt. Zaczął padać gęsty śnieg, ale to w niczym nie przeszkadzało ekipie Dennisa Evelyn Brancha. Conor próbował wypatrzeć wśród robotników Birgera, ale nie sposób było rozpoznać kogokolwiek w tych grubych kombinezonach.

Wycofał się powoli, starając się nie potknąć. Droga do portu nie była łatwa. Tam również pracowano. Z zacumowanego statku wyładowywano liczne skrzynie. Było coraz zimniej i Conor już nie czuł nóg.

Zanim dotarł do przedmieść, był zamarznięty na kość. Wkrótce znalazł się na jakiejś ulicy, z której starannie uprzątnięto prawie cały śnieg. Nikogo w pobliżu nie było. Powinien się dowiedzieć, co robi Branch, teraz jednak musiał przede wszystkim zadbać o siebie. Zauważył

dość obszerną szopę, ale przy tej temperaturze nocowanie w niej równało się samobójstwu.

Usłyszał za plecami odgłos silnika, obejrzał się i zobaczył jeepa, jadącego w jego kierunku. Odwrócił się szybko z powrotem, czekając, aż samochód go minie. Mógłby przysiąc, że za

kierownicą samochodu zobaczył samego Dennisa Evelynę Brancha w czarnej futrzanej czapce na głowie. Jeep zostawił za sobą smugę spalin i zniknął za najbliższym rogiem.

Conor bezwiednie skręcił za ten sam róg i znalazł się przed barem, z którego dochodziła norweska muzyka ludowa. Wiedział, że wejście do środka jest wielkim ryzykiem. Mógł się założyć, że siedzi tam przynajmniej kilku ludzi Brancha, pokrzedających się mocnymi trunkami.

Był już jednak tak zmarznięty i wyczerpany, że nie namyślając się wiele, pchnął

drewniane drzwi, potem następne i wszedł do środka. Owiał go podmuch ciepłego powietrza i usłyszał głosy i śmiechy ludzi. Po lewej stronie zobaczył długi bar, a przy nim wysokie stołki.

Przy stolikach w głębi lokalu rozmawiano, śmiano się i grano w karty. Pod ścianą siedziało trzech mężczyzn w grubych żółtych koszulach. Lokal nie przypominał typowych nowojorskich barów. Dym z papierosów tworzył przy podłodze gęstą mgłę. Przy jednym ze stolików siedziała grupa młodych ludzi w koszulach i dżinsach od Calvina Kleina. Na pewno nie byli to górnicy. Conor pomyślał, że mogą być klimatologami lub inżynierami. Pili lagera haakon prosto z butelki i przytupywali w takt muzyki. Przy następnym stoliku siedziały trzy kobiety; jedna z nich była siedemnasto – lub osiemnastoletnią dziewczyną. Miała tę samą skandynawską urodę, która tak bardzo przypominała Conorowi Lacey: jasnoniebieskie oczy, jasna cera, jasne brwi, prosty nos i kształtne różowe usta.

– *Ja?* – zapytał barman z krzywym uśmiechem.

– Toaleta... – powiedział Conor.

– Och, tak... Proszę wejść za orkiestrę i na lewo.

– Dzięki – odparł Conor. – I poproszę whisky, jakakolwiek, byleby była podwójna.

Wszedł do zimnej toalety i pobił rekord w długości oddawania moczu. Potem podziękował Bogu za ocalenie, usiadł na sedesie i zdjął buty. Wytarł je papierem toaletowym, zmienił skarpetki i wrócił do baru, nieco bardziej przypominając cywilizowanego człowieka.

Przy barze czekał na niego mężczyzna z małą czarną bródką, przyprószoną nieco siwizną.

– Ta szklaneczka na mój koszt – oświadczył, gdy Conor się zbliżył. – Witamy w Longyearbyen.

– Dzięki – odparł Conor i wychylił szklaneczkę jednym haustem. Miał nadzieję, że whisky ogrzeje go całego, aż do samych stóp. Wyciągnął dłoń i przedstawił się:

– Jack Grady.

– Paul Rustad. Miło pana poznać, panie Grady. A także wszystkich pańskich przyjaciół.

Myślę, że dzięki wam ta zima nie będzie taka zła.

– No cóż, mam nadzieję, że tak – odparł Conor, choć nie miał pojęcia, o co tamtemu chodzi. –

Naszym celem jest sprawianie innym przyjemności.

– Osobiście sędzę, panie Grady, że niczego nie znajdziecie – powiedział mężczyzna, nalewając sobie sporą porcję akwawitu. – Po osiemdziesięciu latach? Nie sędzę, żeby coś przetrwało przez osiemdziesiąt lat.

– Nigdy nic nie wiadomo, prawda? Zawsze warto spróbować.

– Byłoby warto... gdyby przyjechała telewizja i dziennikarze. Każdy by trochę zarobił.

– Telewizja? Gazety? Kiedy się ich spodziewacie?

– Nie wiem. Może w przyszłym tygodniu. Cała impreza już się kręci, prawda?

– Impreza się kręci?

Ach, więc to tak, pomyślał Conor. Tak to sobie umyślili. Dennis Evelyn Branch musiał to jakoś przekonująco przedstawić. Kilka tygodni przed przybyciem ekipy kanadyjskiej przysłano grupę, która miała oczyścić teren. To wyglądało sensownie. Branch miał

wystarczająco dużo pieniędzy, by zdobyć dokumentację i przekupić, kogo trzeba.

– Zrobił pan sobie przerwę? – zapytał Rustad. – Wszyscy pozostali pracują na cmentarzu.

Podobno macie pracować dzień i noc.

– Tak, to prawda. Ale moją specjalnością są mikroorganizmy. Będę potrzebny dopiero wtedy, gdy skończą kopać.

– Ja i tak uważam, że niczego nie znajdziecie – powiedział Rustad. – Myślę, że co ma leżeć w ziemi, niech leży. Po co w tym grzebać.

Conor siedział w barze do trzeciej nad ranem. Muzyka zmieniała się raz po raz, a on rozkoszował się ciepłem i jedzeniem. Spałaszował stek z ziemniakami i kiszoną kapustą i zamówił jeszcze kilka drinków. Jego nowy przyjaciel przedstawił go wysokiej i barczystej ciemnowłosej Norweżce, ubranej w tradycyjny strój ludowy. Wyglądała w nim dość kobieco, ale Conor podejrzewał, że mogłaby go przerzucić przez cały bar.

– Wszyscy się cieszą, że tu jesteście – oświadczyła. – To dla nas miła odmiana.

Conor spojrział na zegarek i powiedział:

– Pewnie tak... Przepraszam, czy znalazłbym tu gdzieś miejsce, żeby przyłożyć głowę do poduszki na kilka godzin? Nie muszę wracać na cmentarz, a jestem wykończony.

– Nie mieszka pan w hotelu Polarny, jak cała reszta?

– Tak, ale mam tam pokój razem z trzema facetami. Trudno się wtedy wyspać.

Kobieta zamieniła z barmanem kilka słów po norwesku.

– On mówi, że może się pan przespać tutaj, z tyłu. Tam jest łóżko.

Barman popatrzył na niego wyczekująco.

– Słucham? – zapytał zdziwiony. Miał nadzieję, że kobieta nie odebrała jego prośby jako propozycji spędzenia z nią nocy.

Dopiero po chwili zorientował się, na co tamten czeka. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął tysiąc koron.

– Śpij dobrze – powiedział barman, przykładając do głowy splecione ręce.

Obudził go jakiś dziwny dźwięk. W barze już nikogo nie było; główna izba była ciemna i pusta. Poświecił latarką i przestraszył się, widząc wielką, straszną głowę, ale okazało się, że to wyrzeźbiona głowa wikinga. W kącie spał pies i chrapał – i właśnie ten dźwięk obudził

Conora.

Popatrzył na zegarek: była piąta trzydzieści. Czas wstawać, pomyślał. Nie wyspał się, ale przynajmniej było mu ciepło. Wszedł do zimnej łazienki, ochlapał twarz i umył zęby.

Spoglądając na swoje odbicie w lustrze, zastanawiał się, czy James Bond czuł się samotny.

Wyszedł z baru i ruszył w kierunku cmentarza. Ulica była cicha i pusta. Conor słyszał

skrzypienie śniegu pod butami oraz odległy dźwięk pracującej koparki i młotów pneumatycznych. Gdy zbliżył się do cmentarza, ukrył się w cieniu. Cały teren był jasno oświetlony i osłonięty wielką nylonową kopułą. Wszędzie kręcili się ludzie ubrani w specjalne stroje robocze. Wyglądało to tak, jakby przed chwilą wylądowało tu UFO.

Wokół stało kilka mniejszych namiotów, targanych silnym wiatrem. Conor rozpiął zamek pierwszego z nich. Było tam mnóstwo sprzętu, którego przeznaczenia nawet się nie domyślał.

To samo było w drugim namiocie. Gdy zbliżył się do trzeciego, wyszedł z niego jakiś olbrzym w skafandrze ochronnym.

– Hej! – krzyknął, gdy zobaczył intruza.

– Przepraszam – powiedział Conor. – *No speaka da Norsk.*

Mężczyzna podszedł bliżej, patrząc na niego groźnie.

– Już sobie idę, ale mam coś dla ciebie. Miałem ci to dać... – powiedział Conor i sięgnął do kieszeni.

Mężczyzna patrzył na niego, zaskoczony i zdezorientowany. Conor stanął tak, by znaleźć się po zawiętrznej, wyciągnął woreczek z burundangą i dmuchnął nią Norwegowi prosto w twarz.

Nigdy nie widział człowieka poddanego działaniu tej substancji. Nie wiedział nawet, czy wywrze jakikolwiek skutek. Na niego podziałała, nie wiedział jednak, jak zareaguje ten wielki Norweg. Ale on tylko machnął dwa razy ręką i zastygł w bezruchu. A więc jednak działa, pomyślał Conor.

Podszedł bliżej.

– Czy słyszysz mnie? – zapytał.

Popchnął lekko Norwega, ale ten nie zareagował. Pokazał mu gestem, by poszedł za nim.

Mężczyzna nie stawiał oporu. Gdy weszli do namiotu, Conor kazał się Norwegowi rozebrać, a potem polecił mu, by położył się między skrzyniami. Pamiętał, że wywołany burundangą trans może trwać nawet parę dni.

Zaczął wkładać kombinezon, modląc się, żeby nie okazał się za duży. Parę chwil mu zajęło, zanim zorientował się, w jaki sposób mocuje się hełm. Wziął głęboki oddech.

Matko Boska, Święta Mario, pomóż mi. Wielu ludzi mnie potrzebuje, spraw więc, by ten kombinezon okazał się szczelny, spraw, bym nie zaraził się hiszpańska grypą. Amen. I spraw jeszcze, by nawet ci, co chcą mnie zabić, też się nie zarazili. Amen.

Wyszedł z namiotu i ruszył w kierunku nylonowej kopuły. W połowie drogi natknął się na podobnie ubranego człowieka, który machnął ręką, nakazując mu, by przyspieszył kroku.

Przy wejściu do kopuły stało kilku mężczyzn, a wśród nich Dennis Evelyn Branch. Jego twarz była bielsza od śniegu, a oczy zasłaniały okulary przeciwsłoneczne. Conor, mimo że był pewien, że Branch go nie rozpozna, z niepokojem przełknął ślinę.

– Dlaczego to tak długo trwa? – zapytał Branch. – Wszystkie ciała mają być wydobyte w ciągu paru godzin.

Człowiek stojący obok Conora powiedział coś po norwesku. Conor przyłożył rękę do brzucha, pokazując, że go boli.

– Nie wierzę! – wykrzyknął Branch. – Ja tu wypełniam boską misję, a okazuje się, że wszystko zależy od patałachów, którzy mają sraczkę. Żadnego narzekania... Dalej, do roboty!

Conor wszedł pod nylonowa kopułę. Wykopano już tam siedem głębokich dołów, w których widać było trumny. Choć nie zostały wykonane z dobrego drewna, wieczna zmarzlina sprawiła, że wyglądały jak nowe. Conor zaniepokoił się. Wszystko wskazywało na to, że ludzie Brancha mają



zamiar wyciągnąć zwłoki. A przecież profesor mówił wyraźnie, że nie wolno tego robić. Próbkę muszą zostać pobrane na miejscu, bez wyciągania ciała.

Jeden z mężczyzn zszedł po aluminiowej drabinie do wykopanego dołu. Conorowi wskazano ten sam, wziął więc drabinę i również zaczął schodzić. Usłyszał, jak jeden z mężczyzn woła go i puka się w hełm, podając mu łom. Wziął go i schodził dalej.

Nie widząc dokładnie, gdzie może postawić stopę, poślizgnął się i zawisł na moment na drabinie. Usłyszał, jak na górze ktoś coś krzyczy, ale nawet nie podniósł głowy. Włosy mu się zjeżyły ze strachu, kiedy pomyślał, co by się stało, gdyby rozerwał kombinezon.

Gdy zszedł na sam dół, zobaczył czekającego już na niego człowieka z łomem wbitym pod wieko trumny. Chwycił mocniej swój łom, podważyli wieko i otworzyli trumnę. Leżał w niej, w nocnej koszuli i z zamkniętymi oczami, młody Tormod Albrigsten. Wyglądał tak samo jak w 1918 roku, gdy go tu pochowano.

Przez chwilę wszyscy na górze stali w milczeniu, patrząc na zwłoki. Tormod wyglądał, jakby spał i miał się za chwilę obudzić. Conor widział mnóstwo trupów, ale nigdy nie widział

ciała w takim stanie, i to leżącego w ziemi przez tyle lat.

Nagle ktoś wykrzyknął jakieś polecenie i jeden z mężczyzn opuścił do grobu worek na zwłoki. Conor chwycił ciało i zapakowali je do worka, który natychmiast powędrował w górę.

Wspięli się po drabinie i po paru minutach byli już w drugim grobie. Tym razem były to zwłoki młodego Ole. Jego wąsy nadal były takie same, jak wtedy, gdy umierał. Conor na chwilę zapomniał o tym, że miliony ludzi mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie. Teraz myślał tylko o tych młodych chłopakach. Przecież to byli czyiś synowie. Ole miał na sobie koszulę nocną, którą pewnie uszyła mu matka.

Po godzinie na powierzchni znalazło się siedem ciał. Kilku mężczyzn już zasypywało doły. Tempo pracy było imponujące, Gdy tylko wrzucono ostatnią łopatę ziemi, natychmiast zaczęto zdejmować nylonową osłonę kopuły, a potem zabrano się do demontażu stelaża.

Wyłączono silniki generatorów, ludzie pozdejmowali hełmy. Branch i jego dwaj ochroniarze poszli w kierunku namiotów. Conor pozostał w hełmie. Czekał na okazję, by znaleźć się z Branchem sam na sam. Wiedział, że nie ma szans z jego ochroniarzami, nawet jeśli nie mieliby przy sobie broni.

Pomyślał, że Eleanor miała rację. Tak jak mówiła, tylko dwoje ludzi było mistrzami improwizacji, a on z pewnością nie był żadnym z nich.

Właśnie zastanawiał się, jak dostać się do namiotu, w którym zostawił swoje ubranie i człowieka w transie, gdy jeden z mężczyzn zawołał, patrząc na niego:

– Per!

Po chwili zawołał jeszcze raz:

– Per, co robisz?

Kiedy zawołał po raz trzeci, Conor musiał podejść.

Weszli do namiotu, dość słabo oświetlonego. Było tam już kilku mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą. Conor pomyślał, że wyglądają na studentów albo młodych techników.

Dopiero teraz zobaczył, dlaczego nikt nie przeszkodził Branchowi w jego pracach. W

najdalszym końcu namiotu siedziało kilku związanych norweskich żołnierzy, pilnowanych przez tego samego człowieka, którego Conor widział na Breivika Havnegata.

Na środek wyszedł Dennis Evelyn Branch z rękami w kieszeni płaszcza.

– Dobrze się dzisiaj spisaliście, moi drodzy. Jesteśmy z was dumni – oświadczył. – Mamy dwie godziny wyprzedzenia, a to oznacza, że nasza boska misja będzie ukończona dwie godziny wcześniej i dwie godziny wcześniej słowo boże opanuje cały świat. To, co dzisiaj zrobiliśmy – kontynuował – było wykonane z naukową precyzją. Nikt nie może nas oskarżyć o jakiegokolwiek zaniedbanie. Nikt nie ucierpiał. Norwegowie nie chcieli, abyśmy wydobywali zwłoki, ale my mamy wyższe cele niż ekspedycja doktor Duncan. My nie ograniczamy się do badań naukowych. My krzewimy słowo boże. Musimy zabrać stąd te ciała. Doktor Duncan pobrałaby tylko próbki i być może opracowałaby szczepionkę przeciw wirusowi. Ale Bóg tego nie chce.

Popatrzył wokół siebie i mówił dalej:

– Bóg chce, by cały świat był chrześcijański, i dlatego daje mi takie możliwości. Tak samo Bóg pomógł Mojżeszowi w Egipcie. Powiedział wtedy: „I niech mój naród idzie, by mógł mi służyć”. To samo, moi drodzy przyjaciele, mówię do katolików w Rzymie, do hinduistów w Debli i do mahometan w Iranie. To samo mówię niewierzącym komunistom w Chinach i to samo taoistom w Tokio. Mówię im: „Niech cały naród idzie, by służyć Bogu”.

Mówił coraz głośniej, coraz bardziej upajał się własnymi słowami. Rozłożył ręce i niemal krzyczał:

– Ta planeta to przedsionek piekła. Ta planeta to bękart. Jest skorumpowana i przegniła.

Dopóki ludzie się nie przebudzą, dopóki nie krzykną HALLELUJAH... dopóki nie zaczną rozumieć... dopóki nie zniszczą plastikowych figurek Maryi... dopóki nie połączą się w jedną rodzinę... Jaką oni mają nadzieję na ratunek? Z czym chcą przekroczyć bramy niebios? Z

plytami CD? Z trójwymiarowym Jezusem w kolorowym plecaczku? Z mózgami rozmiękczoneymi nowoczesnymi technologiami? Z nieczułymi sercami?

Stał przez chwilę w milczeniu, czekając na aplauz. Ale gdy usłyszał tylko ciche postękiwania i charkot przepalonych papierosami gardeł, uświadomił sobie, że mówi do śmiertelnie zmęczonych norweskich górników, którzy prawie niczego nie zrozumieli z tego, co mówił.

– No dobrze, tak czy inaczej, wykonaliście wspaniałą robotę, chłopcy – oświadczył. –

Sammy, wychodzimy.

Odwrócił się ku wyjściu, a jego ochrona podążyła za nim. Conor pomyślał, że albo teraz, albo nigdy. Wstał szybko i poszedł za nimi. Sięgnął do kieszeni po pistolet Toralfa. Gdy wyszedł, Branch był niecałe dwadzieścia stóp od niego i szedł w kierunku jeepa. Jego ochroniarze byli po drugiej stronie samochodu.

Conor odpiął hełm i rzucił go na śnieg. Lodowaty wiatr natychmiast zatkał mu nos.

Wyciągnął pistolet i wycelował w Brancha.

– Nie ruszać się! – krzyknął.

Branch zrobił jeszcze dwa kroki, zanim dotarły do niego te słowa. Zatrzymał się i odwrócił, wciąż z rękoma w kieszeniach. Conor podszedł do niego z prawej strony, tak, żeby nie chybić. Dwaj ochroniarze trzymali ręce w górze.

– Cała broń na śnieg – rozkazał Conor, nie patrząc na nich. Jego wzrok był skupiony na czole Brancha. – No, jazda, już!

Ochroniarze wykonali polecenie niemal natychmiast.

– Cofnąć się! I nie ruszać się!

Dennis Evelyn Branch stał wciąż w tym samym miejscu, z rękami w kieszeniach. Śnieg padał coraz mocniej, pokrywając broń ochroniarzy.

– Nie będę udawał, że miło mi pana widzieć, panie O’Neil. Co pan tu robi?

– Jestem twoją nemezis, wielbny – powiedział Conor. – Jestem kimś, kogo zesłał Bóg, żeby takie gnidy jak ty nie szargały Jego imienia.

– Ostrzegam pana, panie groźny, nie wtrącaj się. Już dość namieszałeś, O’Neil. Idź swoją drogą, a ja pójdę swoją.

– Ruszaj do jeepa.

Branch nawet nie drgnął.

– Posłuchaj... Jeśli cię zastrzelę, tu i teraz, moje życie nie stanie się ani odrobinę gorsze.

Nie mam wiele do stracenia, więc mnie nie wkurzaj i rób, co ci mówię. A jak nie, to naciskam spust i będzie o jednego popieprzonego gnoja mniej na tym świecie.

– Powinienem się domyślić, że to ty za mną węszyłeś. Kiedy Toralf nie wrócił... Tak, teraz już wszystko rozumiem. To ty podpaliłeś nam samochody, prawda? Mam rację?

– Idź do jeepa.

– O’Neil, daj spokój. Wiem, że jesteś na mnie zły. Rozumiem cię. Ale zawsze możemy się jeszcze dogadać. Szanuję cię. Szedłeś za mną aż tutaj, a to wymaga silnej wiary. To już dobry początek. Wiara da ci miejsce w dominiach naszego pana. Dogadajmy się.

– Albo idziesz do jeepa, albo umierasz tu i teraz. Wybieraj.

– Dobrze. Chcesz, żebym, poszedł do samochodu, to idę.

– Ręce z kieszeni. Powoli, muszę je dokładnie widzieć.

– Ja nie noszę broni. Jestem wysłannikiem Boga. I bardzo mi zimno.

– Drugi raz nie powtórzę. Ręce z kieszeni!

Branch wyciągnął ręce i podniósł je do góry. Conor sprawdził jego kieszenie i powiedział:

– Dobra, możesz schować ręce. A teraz wsiadaj – rozkazał, otwierając drzwi od strony pasażera.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? – zapytał Branch. – Jeśli chcesz się wycofać, masz jeszcze szansę.

– Wsiadaj.

Branch westchnął i zrobił, co mu kazano.

– A teraz przesuń się na miejsce kierowcy. Umiesz prowadzić, prawda?

– Odkąd skończyłem pięć lat. Mój ojciec mnie nauczył.

– No to jedziemy do miasta. Tam dowiesz się reszty.

Branch wrzucił bieg.

– Chyba wiesz, że to nie ma sensu – powiedział. – Ja nie mam żadnej broni, lecz moi wierni mają. A oni będą chcieli wiedzieć, że nic mi się nie stanie. Kiedy się dowiedzą, że wzięłeś mnie na zakładnika, bardzo się zdenerwują.

– Jedź i nie gadaj – warknął Conor.

Sięgnął po zapięcie pasów, ale nagle poczuł, jak wokół gardła owija mu się coś palącego jak żywy ogień. Chciał się odwrócić, nie mógł jednak. Garota zaciśnięta na jego gardle wrzynąca mu się w krtań. Branch nachylił się ku niemu i Conor zobaczył jego szeroko otwarte, przerażające oczy.

– No cóż, panie O’Neil, chyba nie sądził pan, że stanie na drodze mojej misji. Nic, panie O’Neil, nic i nikt nie powstrzyma apokalipsy.

Conor walczył rozpaczliwie, ale zdawał sobie sprawę z tego, że przegrał. Wiedział, że Branch jeszcze coś do niego mówi, już go jednak nie słyszał. Przed oczami zaczęły mu migać szare plamy i pomyślał, że właśnie otwierają się przed nim wrota niebios.

## 30

Otworzył oczy. Sufit był biały, pusty i wydawał się sterylnie czysty. Sztuczne światło dochodziło z lewej strony. Widział też tańczące wokół cienie.

Gardło piekło go i bolało. Zakasłał i zakrztusił się. To była tortura, ale musiał odkaszląć.

Otworzyły się drzwi i wszedł Dennis Evelyn Branch.

– Czy naprawdę myślałeś, że umierasz?

Conor nie mógł nic odpowiedzieć. Z jego gardła wydobywał się tylko charkot.

– Domagałeś się księdza, pamiętasz? – mówił Branch. – Tak, jakby twój ksiądz mógł wyprosić dla ciebie odpuszczenie grzechów.

Chodził po pokoju i Conor, obserwując jego twarz, pomyślał, że jeszcze nie widział nikogo tak fanatycznie przeświadczonego o słuszności swoich racji.

– Która godzina? – wykrztusił wreszcie.

– Około siódmej.

– A jaki dzień?

– Niedziela.

Conor próbował podeprzeć się łokciem i podnieść się, ale cały pokój zawirował mu przed oczami.

– Nafaszerowaliście mnie czymś.

– Oczywiście, że cię nafaszerowaliśmy. Nie chcemy kłopotów, prawda?

– Burundanga?

– A czemu nie? To samo zrobiłeś z Knutem, więc dlaczego ja nie miałbym tego zrobić?

Teraz będziesz posłuszny.

– Gdzie jestem?

– Nie poznajesz tego miejsca? Jesteś w Tromso, w laboratorium. Wielu moich wiernych chciało cię

zastrzelić na miejscu i pogrzebać w Longyearbyen, ale ja wymyśliłem coś lepszego. Będiesz pierwszym człowiekiem, któremu wstrzykniemy wirusa sprzed osiemdziesięciu lat. Sprawdzimy na tobie skuteczność jego działania. Jako pierwszy doświadczysz czegoś, co zmieni życie duchowe każdego człowieka, każdej kobiety, mężczyzny i dziecka na planecie Ziemia.

– Jesteś szalony, jeśli myślisz, że się z tego wywiniesz – wychrypiał Conor.

– Och nie, panie O’Neil – odparł Branch. – Jeśli masz taką wizję, jak ja... Jeśli otrzymujesz zadania prosto od Boga, jeśli idą za tobą tłumy... Wtedy, drogi panie, wszystko jest możliwe.

Przystanął na chwilę.

– Chciałbyś się czegoś napić? Może trochę wody?

Conor skinął głową. Branch pomógł mu się nieco unieść i podał wodę.

– Przykro mi, że uszkodzono panu gardło. Naprawdę. Nie miałem takich planów względem pana. Ale, drogi przyjacielu, tak to już jest. Nie uda ci się odwrócić biegu wydarzeń. To wszystko naprawdę się wydarzy. Już się dzieje i nic nas nie powstrzyma.

– Rzeczywiście chce pan uwolnić tego wirusa? – zapytał Conor.

– Mam nadzieję, że nie będzie trzeba. Nie chcę rzucać na całą planetę cienia śmierci.

Zamierzam porozmawiać z przywódcami wszystkich religii i zapytać ich, czy zechcą przyjąć prawdziwego Boga, spojrzeć po raz pierwszy w jego prawdziwe oblicze. Jeśli to zrobią, nie będzie potrzeby robić niczego innego.

– I wtedy zniszczysz wirusa?

– Może nie zniszczę, ale uśpię. To też żywa boska istota... zesłana mi przez Boga.

– A więc zamierzasz narzucić innym swoją religijną bigoterię za pomocą szantażu... Czy ty naprawdę myślisz, że właśnie tego chce Bóg?

– Religijna bigoteria? O czym ty mówisz? Światowy Ruch Posłannictwa to jedyna słuszna droga. Nikt nie dostąpi zbawienia i wejścia do dominiów Pana, idąc inną drogą.

Każdy naród na tym świecie mówi innym językiem, ale jest tylko jeden język, język naszego Pana. Spójrz na te wasze Narody Zjednoczone. Przecież to nic innego, jak nowa wieża Babel.

Conor nie wiedział, co powiedzieć. Argumentacja Brancha była tak nielogiczna i pozbawiona sensu, że równie dobrze mógłby dyskutować z Luigim Guttusem, który twierdził, że zbrodnia nie kłóci się z prawem.

– I co zamierzasz teraz zrobić? – zapytał.

– Wyizolowaliśmy wirusa hiszpańskiej grypy, a teraz go wypróbujemy. Chyba rozumiesz, że musimy go wypróbować. Nie możemy przecież straszyć nikogo bezużyteczną bronią. A ty będziesz żywym dowodem na to, że ta broń się sprawdza. O, przepraszam za nieścisko. Będziesz tego martwym dowodem. Prześliśmy twoje ciało do Nowego Jorku i wtedy wszyscy sami zobaczą, co cię zabiło. Reszta należy do nich.

Jeszcze coś zamierzał powiedzieć, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do pokoju. Conor poczuł znajomy zapach perfum i po chwili zobaczył bladą twarz.

– Magda? – wychrypiał.

– Pewnie jesteś nieco zaskoczony. Ale posłuszeństwo nigdy nie było moją najmocniejszą stroną. Nie pojechałam z Eleanor do Oslo. Wiedziałam, że nie uda ci się powstrzymać Dennisa. Ma zbyt wielu wiernych i zbyt wiele pieniędzy. I ma swoją wizję, zesłaną przez Boga.

– Wydawało mi się, że chcesz go zabić.

– Tak było wtedy, gdy go jeszcze nie rozumiałam, gdy nie byłam uległa wobec jego idei.

Gdybyś ty taki był, Dennis nic by ci nie zrobił.

Branch potwierdził słowa Magdy skinieniem głowy i dodał:

– W ciałach są nasze idee i wizje, ale my nie postępujemy według praw ciała. My niszczymy twierdze umysłu, które ukrywają jeszcze stary, przegniły porządek świata. Każda dusza musi być uległa i posłuszna Chrystusowi.

– Amen – dokończyła z uśmiechem Magda.

– Wydawało mi się także – powiedział Conor – że chciałaś dokonać zemsty na tym osobniku. I myślałem, że chcesz dostać swój milion dolarów.

– Może i tak. Ale na szczęście w porę zrozumiałam, że są rzeczy ważniejsze od zemsty i pieniędzy. Każdy z nas ma obowiązek wobec Boga.

Do pokoju weszło kilka osób. Na ich uniformach widniał napis: *Biohazard*.

– Róbcie, co macie robić – polecił Branch.

Conora rozebrano. Magda patrzyła z uśmiechem na jego ciało. Skrępowano mu ręce w nadgarstkach i okręcono linką ramiona – tak, że nie mógł się w ogóle ruszać.

– Pieprzę was wszystkich – wycharczał przez spuchnięte gardło.

Magda podeszła bliżej.

– Zawsze mnie pragnąłeś, prawda? Ja ciebie też. Teraz widzę, co tracę. – Uśmiechnęła i zaczęła gładzić go po piersiach.

– Skarpetki też mu zdejmijcie – powiedział nieznajomy głos. – Chcę zobaczyć, jak czernieją mu stopy.

Magda odsunęła się. Conor dostrzegł w progu jakąś postać na wózku i usłyszał cichy dźwięk elektrycznego silniczka. Na wózku siedziała kobieta. Jej twarz była tak samo blada jak twarz Brancha i miała tak samo przekrwione oczy, jak przy zapaleniu spojówek. Twarz kobiety mogłaby należeć do anioła albo do świętej, ale reszta ciała była groteskowo powykrzywiana i przeraźliwie chuda. Kobieta miała na sobie satynową suknię, która tylko podkreślała deformację jej ciała.

Kiedy położyła rękę na ciele Conora, wzdrygnął się.

– Twoje serce bije normalnie... Chyba się nie boisz.

Odjechała kilka centymetrów i zbliżyła się do twarzy Conora.

– Czy wiesz, kim jestem? – zapytała cicho.

Conor nie odpowiedział.

– Czy wiesz, kim jestem?! – wrzasnęła, wymachując groteskowymi kończynami.

– Nie, nie wiem – wychrypiał Conor.

– Siedziałam na tylnym siedzeniu jeepa, do którego wsiadłeś z Dennisem. To ja zacisnęłam ci garotę na gardle. Nie mogłam pozwolić, byś zniweczył moje plany.

Patrzyła przez chwilę na niego.

– W każdym życiu jest trochę deszczu. W moim było trochę więcej, niżbym chciała.

Myślę, że już wiesz, kim jestem, ale jesteś tak uparty, że się do tego nie przyznasz. A ja zamierzam cieszyć się tym, co za chwilę nastąpi. To rzadka chwila dla biochemika. Będę się temu przyglądała z ogromną przyjemnością. I to w świetle jupiterów. Wszystko jest zupełnie legalne.

Wyciągnęła swoją straszliwie chudą dłoń w kierunku Magdy, która stała obok.

– Czy chcesz popatrzeć sobie ostatni raz na tego człowieka? – zapytała. – Za dwadzieścia minut będzie już kroczył ścieżką śmierci.

Conor spojrział na Magdę, ale nie mógł niczego wyczytać w jej czarnych oczach.

– No, dalej, człowieku. Przyznaj, że wiesz, kim jestem. Aha, nie chcesz dać mi tej satysfakcji.

– Czy to ważne, jakie imię przybiera wcielenie zła? Zło to zło i nic tego nie zmienia.



– Myślisz, że jestem wcieleniem zła? Ja krzewię słowo boże na całym świecie. Dźwigani wielki ciężar, który Bóg zesłał na mnie już w łonie mojej matki. Ale zdobędę Jego uznanie i otrzymam swoją nagrodę. Czekam na chwilę, gdy otworzę oczy i zobaczę, że moje ręce i nogi są sprawne, gdy poczuję w nich prawdziwe życie.

Zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej:

– Moja matka poczęła bliźniaki. Kiedy była jeszcze w ciąży, zachorowała na różyczkę.

Bliźniaki urodziły się słabe i chore. Jedno z nich było tak zdeformowane, że w ogóle nie przypominało człowieka. To byłam ja. Moja matka, gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży, uciekła od naszego ojca i chciała się nas pozbyć. Miała zaledwie czternaście lat, a mój ojciec miał wtedy trzydzieści pięć. Był wysłannikiem Boga, ale tu, na ziemi, był straszliwym tyranem. Zraniono jego dumę – żadna kobieta nie miała prawa od niego uciec.

Opuściła głowę i w pokoju zapadła cisza. Po chwili znowu spojrzała Conorowi prosto w oczy.

– Zaczął ścigać moją matkę. Członkowie jego kongregacji zrobili na nią obławę jak na zwierzynę łowną. Znaleźli ją, zanim zdołała usunąć nas ze swojego łona... A potem, gdy nas zobaczył, przeraził się. Powiedział, że jesteśmy nasieniem szatana, które wkradło się podstępem do łona naszej matki. Chciał, żeby lekarze mnie uśmiercili i wrzucili moje ciało do pieca. Lekarze powiedzieli, że tego nie zrobią, ale obiecali, że nie będą podawali mi pokarmu.

Przeżyłam trzy dni i wtedy mój ojciec doznał objawienia, że to właśnie Bóg mnie przysłał i że mam dokonać tu, na ziemi, wielkich rzeczy. Kazał podać mi pokarm, ale polecił też, by mnie ukryto i trzymano moje istnienie w tajemnicy. Pokrętny był sposób myślenia mojego ojca...

miałam być dla niego boskim darem i jednocześnie karą za jego grzechy. I tak żyłam i dorastałam: w zaciemnionych pokojach, z dala od świata. Mój brat dostał na chrzcie imię Dennis, a ja Evelyn. Ale zawsze wszyscy zwracali się do niego, używając tych dwóch imion, by cały czas pamiętał, że ma siostrę bliźniaczkę.

Odjechała wózkiem poza krąg światła i Conor widział teraz tylko jej białe włosy.

– Zawsze chciałam się dowiedzieć, dlaczego Bóg tak zdecydował, dlaczego taka się urodziłam. Dennis poszedł w ślady ojca i był oddany Bogu całym sercem. Gdy miałam trzynaście lat, zainteresowałam się nauką. Pasjonowały mnie wirusy, a zwłaszcza wirus różyczki, który spowodował, że urodziłam się właśnie taka... Dennis zawsze poświęcał się dla mnie. Tak jak nasz ojciec wierzył, że Bóg miał w tym swój cel, że moja deformacja ma sens...

boski sens. Wniósł do mojego ciemnego pokoju cały świat i pokazał mi, że mogę go zmienić.

Pokazał mi, że nasz świat jest tak samo zdeformowany jak ja... Studiował dla mnie mikrobiologię. Robił notatki, nagrywał wykłady, a ja pomagałam mu w ćwiczeniach, we wszystkim. Studiował też Biblię. Ale całe swoje życie poświęcał mnie. Nigdy nie zapomniał, że jest Dennisem Evelynem Branchem.

Conor napiął mięśnie rąk i ramion, lecz więzy nawet nie drgnęły.

– Widzieliśmy każdego dnia, co się dzieje na świecie – mówiła Evelyn Branch. –

Zdecydowaliśmy się podjąć ciężar wyzwania, bo przecież byliśmy wybranymi.

Wypowiedzieliśmy wojnę ateizmowi i fałszywym prorokom. Ja skonstruowałam kilka bomb, a Dennis je podłożył. Potem pokazałam mu kilka innych rzeczy... Pokazałam mu też, jak stać się niewidzialnym.

– Bredzisz, kobieto – powiedział Conor.

– O nie. Doskonale wiesz, że nie. Siedząc samotnie przez całe lata w swoim pokoju, zastanawiałam się, jak wyjść na ulicę, na słońce, jednocześnie nie będąc przez nikogo widzianą. Dlatego zaczęłam studiować hipnozę i działanie takich specyfików jak burundanga.

Jeśli człowiek pokryje się pewnymi związkami chemicznymi, może wpływać na percepcję innych osób, na ich możliwości postrzegania. A potem spotkałam się z Hypnosem i Hetti.

Czytałam o stosowanych przez nich technikach i nauczyłam Dennisa kilku podstawowych zasad. A wszystko po to, by Światowy Ruch Posłannictwa stał się dla wszystkich ścieżką ku zbawieniu.

– Czy wy rzeczywiście wierzycie, że Bóg tego chce? – zapytał Conor.

– Tak. Ja i mój brat jesteśmy wybranymi.

– Przecież jeśli uwolnicie tego wirusa, zginą miliony ludzi... Setki milionów.

– Taka jest wola Pana naszego.

W tym momencie Dennis Evelyn Branch oświadczył:

– Myślę, że już czas, Evelyn.

Podszedł do Conora i uśmiechnął się do niego.

– Wiem, że nie jest to ofiara dobrowolna. Ale musisz wiedzieć, że poświęcasz się dla ludzkości, dla ich zbawienia, dla nowego światła prawdy. Obiecuję ci, że gdy już Światowy Ruch Posłannictwa spełni swoje zadanie i dla wszystkich nastanie nowa era, nikt o tobie nie zapomni i wszyscy będą oddawać ci cześć, aż po kres świata.

Conor nic nie powiedział. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Przecież to nie może być prawda. Ale gdy Magda pochyliła się i pocałowała go, uświadomił sobie, że za chwilę umrze.

Magda wyszła pierwsza, a za nią Branch. Do pokoju weszło czterech asystentów, niosąc skrzynkę, na której widniała trupa czaszka i piszczele. Dwóch z nich podniosło Evelyn Branch z wózka i ubrało ją w kombinezon ochronny. Wszyscy wokół mieli na sobie kombinezony, więc nagi Conor poczuł się trochę nieswojo.

Jeden z asystentów postawił skrzynkę z trupa czaszką na kolanach Evelyn Branch. Potem mężczyźni wyszli z pokoju. Evelyn Branch otworzyła skrzynkę i wyciągnęła z niej ampułkę z płynem.

– Panie O’Neil, to wirus hiszpańskiej grypy z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Mam nadzieję, że okaże się żywotny i operatywny jak zawsze. Byłabym niemile zaskoczona, gdyby żył pan dłużej niż czterdzieści pięć minut.

Wzięła igłę, nałożyła ją na strzykawkę i wciągnęła do niej płyn z ampułki.

– Najpierw poczujesz ból głowy. Potem będziesz się czuł coraz gorzej, zaczniesz pluć krwią. Będziesz walczył o każdy łyk powietrza, bo twoje pełne płynów płuca będą bezradne.

Ale może nie powinnam cię tak straszyć? To wcale nie gorsza śmierć niż utonięcie, a przynajmniej się nie zamoczysz.

Podjechała do Conora.

– Myślę, że jeśli poproszę, żebyś tego nie robiła, to pewnie nie posłuchasz, prawda? – powiedział Conor.

– Czy jest pan religijnym człowiekiem, panie O’Neil?

– Tak, jestem.

– Leży pan na tym stole, przywiązany do niego. Za chwilę wstrzyknę panu jeden z najszybciej zabijających wirusów na świecie. I nadal wierzy pan w Boga?

– Tak, wierzę.

– Czy jest pan katolikiem?

– Tak.

– A gdybym powiedziała, że jeśli wstąpi pan do Światowego Ruchu Posłannictwa, puszcę pana wolno... Co by pan wtedy powiedział?

– Powiedziałbym, że pani kłamie.

Ostrze igły było tylko kilka milimetrów od Conora.

– Ja nie kłamie, panie O’Neil. Wszystko, co pan musi zrobić, to wyrzec się nauk zakłamanego Rzymu

i poddać się Światowemu Ruchowi Posłannictwa. Jeśli pan to zrobi, nie będzie żadnego zastrzyku. Wstanie pan i pójdzie do domu.

– Testuje pani wirusa czy moją wiarę?

Evelin spojrzała na niego i uśmiechnęła się anielsko.

– A może i jedno, i drugie?

Conor zamknął oczy.

I co się stanie, jeśli odrzucę swoją religię? – pomyślał. Co by się stało, gdybym rzeczywiście to zrobił? Przecież Bóg powinien to zrozumieć... Muszę dobrze zagrać przed tą kupą kretynów... To będą tylko słowa... A co, jeśli jestem naprawdę jedynym człowiekiem, który może ich w tym momencie powstrzymać? Czy wtedy byłbym usprawiedliwiony? Nie ma co za długo nad tym rozmyślać. Teraz trzeba po prostu dobrze zagrać.

– No i jak? Zapytała Evelyn Branch. – Jak tam z twoją wiarą?

– Jeśli zaprę się swojej religii... Czy wtedy mnie puścicie? Czy weźmiecie kogoś innego do przetestowania wirusa?

– To nie ma teraz znaczenia. Mówimy o twoim wyborze. To nie ma nic wspólnego z nikim innym. Jeśli poddasz się nam i uwierzysz w Światowy Ruch Posłannictwa, wtedy nie umrzesz.

– A więc dobrze. Wyrzekam się swojej religii. Chcę się nauczyć waszej religii, chcę poznać waszą prawdę.

Dennis Evelyn Branch stukał palcami w szybę po drugiej stronie okna.

– Czyli wyrzekasz się swojej religii i poddajesz się Światowemu Ruchowi Posłannictwa, tak?

– Tak – odparł Conor, nabierając głęboko powietrza. Miał nadzieję, że Bóg rozumie jego intencje.

– To wspaniale – stwierdziła Evelyn Branch. – Jesteś znany ze swoich niezłomnych postanowień. Wszyscy wiemy, że jesteś twardym człowiekiem. Więc jeśli ty oddajesz się nam w obliczu śmierci, zrobią to także inni. Dennis, to nam się uda... To działa...

Conor popatrzył na Evelyn i Dennisa Brancha. Wiedział już, że i tak nie zamierzają darować mu życia.

– Niech was wszystkich piekło pochłonie! – krzyknął chrapliwie. – Niech was...

wszystkich... Matko Przenajświętsza... Wybacz mi mój grzech... Wybacz mi, że w obliczu śmierci wyrzekłem się Ciebie, że wyrzuciłem Cię z serca... Wybacz mi moje tchórzostwo.

Boże Wszchemogący, Kocham cię.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Ręka Evelyn Branch, trzymająca strzykawkę, zaczęła drżeć, a po chwili drgało już całe jej chude ciało. O nie, tylko nie to, pomyślał Conor.

Zaraz dostanie ataku epilepsji. Widać było wyraźnie, że Evelyn Branch walczy sama ze sobą, że chce wstrzyknąć Conorowi śmiertelnego wirusa, ale coś ją powstrzymuje.

– Co...?! – krzyknęła przez swój biohełm.

Conor nic nie mógł zrobić. Mógł tylko biernie obserwować zmagania Evelyn. Patrzył w niemym osłupieniu na to, co się dzieje. Evelyn podniosła lewą dłoń, chronioną podwójną rękawicą, a potem prawą, w której trzymała strzykawkę.

– Evelyn! Evelyn! Co ty wyprawiasz?! – wrzeszczał zza szyby Dennis Branch. –

Natychmiast rzuć tę strzykawkę!

Ale ona zignorowała go, może nawet nie słyszała, co brat do niej mówi. Prawą dłoń ze strzykawką wciąż zbliżała do kciuka swojej lewej dłoni.

– Nie powinnaś tego robić, Evelyn – powiedział Conor.

Podniosła na niego wzrok i wyszeptwała:

– Ty chyba jesteś święty. Gdybym ja była na twoim miejscu, krzychałabym z całych sił, żebyś sobie wbił tę cholerną igłę.

– Zastanów się, co robisz. Zastanów się, póki jest jeszcze czas.

– Robię to, co kazano mi zrobić.

– Kto ci kazał to zrobić?

Evelyn nie odpowiedziała. Dennis Branch z przerażeniem patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę. Tuż za nim stała Magda i uśmiechała się przewrotnie.

O kurwa, pomyślał Conor, ona ją zahipnotyzowała.

Mówiła mu niedawno, że posthipnotyczna sugestia to jedna z jej umiejętności. Conor widział na własne oczy, jak Toralf wszedł pod autobus. A teraz zasugerowała Evelyn Branch, by wstrzyknęła sobie wirusa.

– Nie rób tego – poprosił jeszcze raz. – Zastanów się, co...

Ale było już za późno. Evelyn Branch wbiła sobie igłę w kciuk. Po chwili głowa opadła jej na piersi.

– Evelyn! Evelyn! – krzyczał Dennis Branch.

Strzykawka upadła na podłogę i potoczyła się po niej. Trzej asystenci włożyli swoje hełmy i wbiegli do środka. Jeden z nich rozwiązał Conora i krzyknął:

– Uciekaj stąd tak szybko, jak tylko możesz!

Conor zsunął się z łóżka i wyszedł z pokoju. Magda czekała już na niego.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Zaprowadziła go do małego pokoju na tyłach laboratorium. Tam, złożone na krześle, czekały na niego jego rzeczy. Conor ubrał się szybko, opierając się o ścianę. Był słaby i wyczerpany.

– To ty, prawda? – szepnął. – To ty kazałaś jej...

– Myślisz, że potrafiłabym to zrobić? Niełatwo nakłonić kogoś, by sam się zabił. Evelyn dobrze wiedziała, co jest w tej strzykawce.

– Więc co próbujesz mi powiedzieć? Że nie wróciłaś tutaj, by mnie uratować? Że wróciłaś do Brancha?

– Nie. Jestem tutaj, bo wiedziałam, że sam nie dasz sobie rady. Gdybyś zginął, byłoby po wszystkim. Zemsta to luksus, na który teraz nie mogę sobie pozwolić. Jestem tu, bo chcę dostać swoje pieniądze. To wszystko.

– Czy znałaś prawdę o Evelyn?

– Nie. Aż do dzisiaj nic nie wiedziałam. To bardzo tajemniczy i dziwni ludzie.

– Powiedziałbym raczej, że to maniacy. Jeśli ich nie powstrzymam, zabiją połowę populacji świata.

– Ty? Jak chcesz ich powstrzymać? Już nie jesteś policjantem. Jesteś zwykłym człowiekiem, a dziś byłeś nagi i bezbronny. Przegrałeś. Czy nadal chcesz dać się zabić?

W tym momencie w drzwiach stanął Dennis Evelyn Branch i posłał Conorowi spojrzenie pełne nienawiści.

– To moja siostra, O’Neil. Moja rodzona siostra. Teraz będziesz patrzył, jak zabija ją choroba. Będziesz patrzył, jak umiera. A potem ty też umrzesz. Zobaczysz na własne oczy, co się stanie ze światem. I poczujesz, jak to jest.

– Powiedziałeś Toralfowi, że szukasz miecza, którym będziesz karał niewierzących. A powinieneś pamiętać, że kiedy masz miecz, to od miecza giniesz.

– Jeśli już cytujesz Biblię, to cytuj ją prawidłowo. Mateusz, księga dwudziesta szósta, wers dwudziesty drugi: „I ci wszyscy, co miecz wzniosą, od miecza tego zginą”. Mateusz powiedział jeszcze: „Innych ocalił, a siebie samego nie zdołał”.

Z początku wydawało się, że wirus, uspiiony przez osiemdziesiąt lat, może się nie uaktywnić. Evelyn Branch leżała przez dwie godziny i spała niespokojnym snem, pocąc się i majacząc. Conora posadzono na krześle przed oknem i związano mu ręce. Był tak wyczerpany, że oczy same mu się zamykały, ale Dennis pilnował, by nie mógł zasnąć.

– Patrz! Masz patrzeć, ty skurwysynu! W tym pokoju umiera część mnie. Wkrótce umrzesz także ty.

Po piętnastu minutach z nosa Evelyn popłynęła krew. Po następnych dwudziestu zaczęła się trząść, jej twarz przybrała kolor purpury, a stopy szerniały. Po chwili zakaszła i z jej ust bluznęła krew.

Dennis stał za szybą, tuż przy Conorze, i patrzył w niemym przerażeniu, jak jego siostra umiera. Magdy nie było. Powiedziała, że nie może na to patrzeć, i odeszła. Trzech asystentów stało przy aparaturze monitorującej funkcje życiowe Evelyn. O drugiej czterdzieści jeden z nich w ochronnym kombinezonie wszedł do pokoju i podał umierającej morfinę.

O trzeciej jedenaście asystent podszedł do Dennisa i powiedział:

– To już koniec, proszę pana. Już się nie męczy. Bardzo mi przykro. Już nic nie możemy zrobić.

– Patrz na to! – krzyknął Dennis Branch do Conora. – Będziesz umierał tak samo!

Opadł na kolana i głową dotknął podłogi.

– Boże, pomóż mi, dodaj mi sił... Nie pozwól, by mój ból zatruwał miłość do Ciebie.

Pomóż mi!

Conor próbował podnieść się z krzesła, ale asystent położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

– Nie ruszaj się. Jestem pewien, że pan Branch jeszcze z tobą nie skończył.

– Proszę pana, musimy włożyć ciało do worka – przypomniał Dennisowi drugi asystent.

Ale on nie odpowiedział, kuląc się na podłodze i łkając. Conor zastanawiał się, jakie ma szansę. Rozejrzał się dyskretnie za czymś, czego mógłby użyć do przecięcia więzów, niczego takiego jednak nie zobaczył. Na stole było szkło laboratoryjne, ale nawet gdyby stłukł jakąś menzurkę lub butelkę, nie zdążyłby przeciąć sznurka.

Dwóch asystentów założyło hełmy i weszło do pokoju, niosąc worek na zwłoki. Włożyli do niego ciało Evelyn i położyli je na noszach. Otworzyli drzwi od pokoju, ale nie mogli sobie poradzić z otwarciem ich na przestrzał. Nosze zaczęły się kolebać, więc trzeci z asystentów musiał im pomóc.

Conor wybrał już odpowiednią butelkę. Odbił się z całych sił na zmęczonych nogach i złapał ją. Zawierała kwas siarkowy.

– Co się dzieje? – wymamrotał Dennis Branch, podnosząc głowę. Jego oczy były pełne łez.

Conor tylko na to czekał. Zerwał się, trzymając w związanych rękach butelkę kwasu.

– Wstawaj! – rozkazał. – Wstawaj albo zaraz będziesz bez gęby.

Dennis Branch nie ruszył się z miejsca. Conor rozkołysał butelkę. Parę kropel kapnęło na policzek kłęczącego.

– Jezusie Przenajświętszy! – wrzasnął Branch – jesteś szalony?

– Nie każ mi udowadniać, jak bardzo.

W pokoju rozszedł się zapach spalonej skóry.

– Czy wiesz, jak to boli?! – krzyczał Dennis Branch, trzymając się za policzek.

Conor odwrócił się i polecił asystentom, by weszli z powrotem do pokoju.

– Ale ja nie mam hełmu – zaprotestował jeden z nich.

– Włażcie tam albo on za chwilę będzie bez twarzy.

Asystenci cofnęli się do pokoju. Conor wskazał Dennisowi gestem głowy, by podszedł do drzwi.

– Zamknij je – powiedział.

Gdy tamten wykonał polecenie, Conor kazał mu iść wzdłuż ściany, do drzwi wyjściowych. W progu Dennis machnął gwałtownie ręką, podbijając butelkę. Rozległ się huk pękającego szkła i kilka kropel kwasu padło Conorowi na dłoń. Zapieкло jak żywy ogień, Conor nie miał jednak czasu na oględziny. Zamachnął się z całych sił i walnął Brancha w szczękę. Ten uderzył o ścianę i przewrócił się na schodki przed drzwiami. Próbował wstać, ale Conor kopnął go w głowę, tuż za uchem. Branch poleciał do przodu, stoczył się ze schodków i znieruchomiał.

W korytarzu otworzyły się drzwi i wyszła z nich Magda.

– Co się stało? Co ty tu robisz?

– Wynoszę się stąd. Idziesz ze mną?

– Tak. Poczekaj chwilę, wezmę kluczyki od samochodu.

Conorowi wydawało się, że czeka całe wieki, ale w końcu pojawiła się na schodkach.

– Możemy wsiadać – oświadczyła.

– Pomóż mi wpakować go na tylne siedzenie.



Gdy Magda obchodziła samochód, by pomóc Conorowi, z budynku wybiegł jakiś mężczyzna i krzyknął:

– Stać! Co wy robicie? Ręce do góry!

– Nie możemy czekać! – odkrzyknął Conor. – Musimy zawieźć pana Brancha do szpitala.

– Nie ruszać się. Zostać na miejscu – rozkazał mężczyzna.

Podszedł do samochodu i przyklęknął na śniegu obok Dennisa Brancha. Podniósł jego głowę i zobaczył stróżkę krwi na śniegu.

– Co mu się stało? Co mu zrobiliście? Jest ranny.

– Więc dołącz do klubu – powiedział Conor i walnął go drzwiami od samochodu.

Mężczyzna upadł, ale natychmiast zaczął się podnosić. Wymierzył w nich z pistoletu, poślizgnął się jednak i kula uderzyła w drzwi.

– Do wozu! – krzyknął Conor.

Gdy udało mu się wskoczyć na siedzenie pasażera, samochód już ruszał.

Poczuł jeszcze uderzenie kuli w bagażnik, ale po chwili zniknęli w ciemnościach. Conor był wściekły. Jeszcze moment i miałby Brancha w samochodzie.

Gdy przykładał do sznurów na nadgarstkach samochodową zapalniczkę, Magda chrząknęła i zerknęła na niego.

– Jak odzyskamy pieniądze pani Gambit? – zapytała.

– Plan C.

– Ach tak, plan C... A na czym on polega?

– Na tym, że wracamy do Oslo i informujemy norweską policję, że Dennis Branch popełnił przestępstwo. Nie wolno im było wydobywać ciała, więc jest przestępcą. Norweska policja skontaktuje się z policją nowojorską. Zamrożą aktywa na koncie Brancha. Potem oddadzą pieniądze.

– A co ze mną?

– To znaczy...?

– Jak dostanę swoją działkę? Myślisz, że po co tu jestem... Bo uwielbiam jeść ryby w tym przez Boga zapomnianym kraju?

– Jesteś tu tylko dla pieniędzy?

– Oczywiście. A niby po co innego?

– Nie wiem. Szybko zmieniasz zdanie i swoich szefów.

– Sama dla siebie jestem szefem.

– Zahipnotyzowałaś Evelyn, prawda?

Magda nie odpowiedziała. Odgięła klapkę przeciwsłoneczną, na której było lustro.

Sprawdziła makijaż i zamknęła klapkę.

Jechali w kierunku błyszczących świateł Tromsø, łańcuchy na kołach chrzęściły na zmarzniętym śniegu. Padał gęsty śnieg i wiał silny północny wiatr. Na zewnątrz świat był

zimny, ciemny i złowrogi, ale Conorowi po szaleńczej wyprawie do Longyearbyen wydawało się, że wreszcie wraca do ciepłej i wygodnej cywilizacji.

O siódmej rano byli już na pokładzie samolotu i lecieli na południe, zostawiając za sobą koło polarne.

Zanim dotarli do Oslo, cała historia została już opisana w „International Herald Tribune”.

Conor, jadąc taksówką do Helgesens Gate, przeczytał cały artykuł od deski do deski.

„Z cmentarza w Longyearbyen na Spitsbergenie skradziono siedem ciał ofiar hiszpańskiej grypy z 1918 roku. Czyn ten nazwano »przerazającym aktem wandalizmu o potencjalnie katastroficznych konsekwencjach«. Ponieważ ciała ofiar grypy spoczywały w warstwie wiecznej zmarzliny, istnieje niebezpieczeństwo, że wirus mógł przetrwać. Sysselmannen, gubernator prowincji Svalbard, przyznał, że jego wydział zgodził się na przyjazd światowej sławy mikrobiolożki, doktor Kirsty Duncan. Gdy w zeszłym tygodniu w Longyearbyen pojawiła się grupa naukowców, wydawało się, że wszystko jest jak należy. Gubernatora powiadomiono listownie o ich przybyciu i kiedy okazało się, że są znakomicie zabezpieczeni przed ewentualnym zarażeniem wirusem, wydano zgodę na rozpoczęcie badań. Gdy jednak doktor Duncan skontaktowała się z wydziałem zdrowia, by potwierdzić swój przyjazd, zaczęto podejrzewać, że pierwsza wyprawa naukowa to fikcja i oszustwo. Niestety interwencja norweskich władz okazała się spóźniona. Ciała zostały odkopane i wywiezione.

(...) Nie wiadomo jeszcze, kto mógł być sprawcą przestępstwa. Podejrzewa się, że w sprawę może być zamieszany Saddam Husajn, który chciał powiększyć swój arsenał broni biologicznej. Bardziej optymistyczne wersje mówią o niezależnej grupie naukowców, dla której wirus hiszpańskiej grypy miał być czymś w rodzaju świętego Graala. Wiadomo, że ekspedycja pochłonęła wiele milionów dolarów, co znacznie zawęziło krąg poszukiwań.

(...) W 1997 roku doktor Johan Hultin, siedemdziesięcio-siedmioletni patolog z San Francisco, pomagał agencjom rządowym w wyizolowaniu wirusa hiszpańskiej grypy z ciała pewnego listonosza, który w 1918 roku zmarł na Alasce. Doktor Hultin jest znawcą wirusa i jedyną osobą, która podjęła

się zadania opracowania szczepionki. Nie ma jednak żadnych uzasadnionych podstaw, by sądzić, że jest w jakikolwiek sposób związany z kradzieżą ciała w Longyearbyen.

(...) Policja kontaktuje się ze wszystkimi znaczącymi placówkami badawczymi w celu zasięgnięcia opinii, kto mógłby być sprawcą tego cmentarnego rabunku, chyba największego od czasów splądrowania grobowca Tutenchamona”.

– Najwyższy czas odgwizdać tę rundę – mruknął Conor.

– Mam nadzieję, że niczego nie żałujesz – powiedziała Magda. – Nie powinieneś myśleć, że Dennis Branch jest szalony. Masz do czynienia z człowiekiem, który twierdzi, że potrafi zbawić świat. Powiedz mi, jaka jest, z moralnego punktu widzenia, różnica pomiędzy nim a hiszpańskimi misjonarzami, którzy wycinali w pień Inków i zarażali ich swoimi chorobami.

– Moja droga, ja się nie interesuję etyką. Ja tylko chciałem uratować połowę świata przed tym zbawicielem.

Magda milczała przez chwilę, a potem pochyliła się i pocałowała Conora w usta.

– Starzejesz się, Conor. Świat pędzi do przodu i nie czeka na ciebie. Chcesz się ze mną kochać?

– Potrzebuję twojej pomocy, nie ciała.

– Wiesz, jaką prawdę odkryłam w życiu? Nigdy nie wiesz, czego potrzebujesz, dopóki nie spróbujesz.

W apartamencie na Helgesens Gate czekała na nich Eleanor, do której zadzwonili jeszcze z Tromso. W każdym pokoju stały zapalone świece, a z kuchenki dochodził smakowity zapach.

– To kurczak – powiedziała Eleanor. – Jestem pewna, że macie już dosyć tego foczego jedzenia.

Conor podszedł do niej i objął ją. Eleanor zarzuciła mu ręce na szyję.

– Tak się bałam, że możesz już nigdy nie wrócić.

– Chyba nigdy nie będę Jamesem Bondem.

– Wiem – odparła, całując go czule. – Wiem.

Siedzieli wokół kuchennego stołu. Conor opowiedział Eleanor, co się stało, opowiedział

też o śmierci Evelyn Branch.

– Tak to właśnie jest – stwierdziła Eleanor. – Widywałam już takich ludzi. Nikomu nie pozwalają myśleć inaczej niż oni. Ale ślepa wiara w siebie nigdy nie daje dobrych rezultatów.

– Wiesz coś o tym? – zapytała Magda, odsuwając od siebie talerz.

– Tak. Byłam żoną takiego człowieka.

Po kolacji Conor zadzwonił do wydziału policji w Oslo. Czekał ponad pięć minut, zanim zgłosił się człowiek, którego głos brzmiał, jakby właśnie mył zęby.

– Kapitan Ingstad – powiedział. – W czym mogę pomóc?

– To raczej ja mogę pomóc panu. Mam informacje dotyczące kradzieży zwłok w Longyearbyen.

– W takim razie muszę wiedzieć, kim pan jest.

– Nie ma znaczenia, kim jestem. Wiem, kto to zrobił, i wiem, gdzie są ciała. Reszta zależy od was.

– Pan jest Amerykaninem, prawda? W takim razie nie bardzo wiem, jak może pan cokolwiek na ten temat wiedzieć.

– Proszę mi wierzyć, że wiem – odparł Conor.

Próbował postawić się na miejscu tego detektywa. Nagle dzwoni do niego jakiś Amerykanin i mówi mu, że wie więcej od niego. Przedstawił kapitanowi dokładnie całą sprawę. Na koniec powiedział o laboratorium na Breivika Havnegata.

– Nie wiem, co tam jeszcze znajdziecie, ale to wszystko prawda.

– Musi mi pan powiedzieć, kim pan jest. Jeśli mówi pan prawdę, sprawa kradzieży nabiera innego znaczenia.

– Bardzo mi przykro, detektywie. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Do widzenia – oświadczył Conor i odłożył słuchawkę.

W nocy spał głęboko, ale miał koszmary. Rzucił się we śnie i krzyczał. Obok niego ktoś stał i uciskał go. Dopiero po chwili zorientował się, że już nie śpi. Przy nim leżała Magda. Jej blada twarz była prawie niewidoczna na tle poduszki.

– Miałeś zły sen – powiedziała. – Krzyczałeś, więc przyszłam zobaczyć, co się stało.

Przez chwilę gładziła go palcami po brzuchu, a potem przysunęła się i wślizgnęła pod niego. Wzięła w dłoń jego penis i skierowała go między swoje nogi. Conor pieścił ją i myślał

prawie na głos: Magda, Magda Sianie... hipnotyzerka... hipnotyzerka...

Wsunął ręce między jej uda. Nie miała na wzgórku łonowym ani jednego włoska. Była już wilgotna i gorąca. Miała małe, ale jędrne piersi. Gdy przyłożył do nich dłoń, zorientował

się, że na sutkach ma okrągłe kolczyki.

Jej usta tańczyły po jego twarzy, język pieścił powieki i policzki. Conor uniósł lekko głowę i Magda

przejechała językiem po jego gardle i szyi.

– No, dalej – szepnęła. – Możesz mnie teraz mieć. Dam ci taką rozkosz, o jakiej nawet nie marzyłeś.

Uniosła się nieco, jej dłonie powędrowały w dół brzucha i palcami rozchyliła swoje wargi sromowe. Przysunęła się i przyłożyła do nich penis Conora.

– Wszystko, co musisz zrobić, to zatopić go we mnie – wymruczała.

Przez chwilę Conora miał ochotę ulec pokusie. Popatrzył na bladą, piękną twarz Magdy.

Spojrzał w jej czarne, nieprzeniknione oczy. I nagle zobaczył to – zobaczył w jej oczach samolubną żądzę. Uświadomił sobie, że nawet ten moment przyjemności, który Magda mu daje, ma służyć zaspokojeniu tylko jej własnego pożądania.

Poszedł kiedyś na kompromis z Luigim Guttusem. Potem wyrzekł się swojej religii. A teraz miał zdradzić Lacey. Uniósł się i pocałował Magdę w czoło. Zrozumiała, że tym pocałunkiem mówi jej: „Nie mogę”.

Zsunął się z niej i usiadł na brzegu łóżka

– Przepraszam cię. To nie chodzi o ciebie, tylko o mnie.

– Czujesz się winny... Masz ten swój honor. Ach... mam ochotę pogryźć cię teraz.

– Honor? Chciałbym.

Podniosła się i uklękła na łóżku tuż za nim. Czuł na plecach jej sutki.

– Tak, masz honor. Odwaga to dziecko szczęścia i głupoty. Ale honor to dziecko cierpienia i wiary.

Conor odwrócił głowę.

– Naprawdę jesteś Rumunką? – zapytał.

– Jestem tym, kim chcę być. Wracaj do łóżka i pośpij jeszcze trochę.

Następnego dnia, o dziesiątej, Conora ponownie zadzwonił do kapitana Ingstada.

– No cóż, pańskie informacje wyglądają na bardzo cenne – powiedział Norweg. – Bardzo bym chciał wiedzieć, kim pan jest i jak pan wszedł w ich posiadanie.

– Czy skontaktował się pan z policją w Tromsø?

– Oczywiście. Potwierdzili pańskie informacje, odnaleźli też laboratorium. Ale tam nikogo nie było. Nikogo ani niczego, bo wszystko spłonęło. Znalezione jednak ciała z Longyearbyen.

– A Dennis Branch?

– Jak już mówiłem, nikogo tam nie było. Poszedłem też do banku i sprawdziłem konto.

Wycofano wszystkie wkłady w piątek. Konto zamknięte.

– Czy bank wie, dokąd poszły pieniądze?

– Nie jestem upoważniony do przekazywania takich informacji, ale powiem panu.

Większość poszła do Szwajcarii, część do innych krajów, nawet takich jak Chińska Republika Ludowa. Całkiem spora sumka trafiła też do Nowego Jorku.

– Ale nie wie pan, gdzie może być Dennis Branch, prawda?

– Niestety nie. Zbyt wiele jest możliwości opuszczenia Norwegii w sposób, o którym władze nic nie wiedzą. Można na przykład wyjechać do Szwecji samochodem.

– Dziękuję panu bardzo.

– Nadal nie chce mi pan powiedzieć, kim pan jest? Cały czas mam wrażenie, że rozmawiam z kolegą po fachu.

– Czemu pan tak myśli?

– Wie pan, jak mówią o policji: „To nie powołanie. To narodowość”. Po prostu rozpoznaję pana... ha, ha.

## 32

Resztę dnia spędzili dość spokojnie, Conor jednak nie mógł przestać myśleć o Branchu.

Jeśli przesłał dużą sumę pieniędzy do Nowego Jorku, to być może chciał tam pojechać. A może nawet już tam był. Teraz ta suma mogła już być rozdysponowana na różne konta, które z pewnością posiadał Światowy Ruch Posłannictwa. Być może spłacił też Victora Labreę.

Po lunchu Eleanor i Magda wybrały się na zakupy na Karl Johans Gate, a Conor chodził

po mieście sam. Kiedy przechodził obok katedry Domkirke, zatrzymał się. Nie był to kościół

rzymskokatolicki, ale też był domem Boga. Poza kilkoma turystami nie było tam nikogo.

Conor przysiadł na ławce i pomodlił się o rodzinę i o Lacey. Potem poprosił o wybaczenie, że wyrzekł się swojej religii.

Wnętrze katedry przypominało mu krajobrazy, które widział na Isfjorden – było tak samo proste i surowe jak kształty lodowców. Przypomniał sobie przypowieść o wędrowcu i Jezusie, którzy szli razem, zostawiając ślady na piasku. „Zobacz, Panie, ile razy mnie opuściłeś –

powiedział wędrowiec. – Gdy nastały na mnie ciężkie czasy, na piasku były tylko jedne ślady”. A Bóg odpowiedział na to: „Gdy nastały na ciebie ciężkie czasy, niosłem cię na rękach”. Conor zamknął oczy. Zrozumiał, że Bóg już dawno mu wybaczył.

Do apartamentu wrócił dopiero wieczorem. Eleanor zasunęła zasłony, a Magda włączyła telewizję. Conor otworzył butelkę chardonnay, za którą zapłacił cztery razy drożej niż w Nowym Jorku.

– Takie pieniądze za butelkę wina? – zdziwiła się Eleanor. – To jak w tym kraju można się upić?

– Oni sami pędzą alkohol – odparła Magda. – Wiśniowy akwawit, cytrynowy akwawit...

każdy smak, jaki ci się zamarzy. To nielegalne, ale każdy to robi. Oho, znowu pada śnieg.

Gdy rozmawiali, z serwisu informacyjnego CCN dobiegły ich słowa: „...wiadomość w Internecie o śmiertelnym wirusie hiszpańskiej grypy”.

– Zrób głośniej – poprosił Magdę Conor.

Z marsową miną spiker CNN David Channon relacjonował:

„To ostrzeżenie pojawiło się w Internecie dokładnie o godzinie piątej czasu wschodniego.

Ma ono bardzo osobistą formę, a jego autorem jest Dennis Evelyn Branch, przywódca Światowego Ruchu Posłannictwa, pochodzący z Teksasu. Branch twierdzi, że on i jego współwyznawcy są w posiadaniu wirusa hiszpańskiej grypy, znalezionego na jednej z wysp Spitsbergenu, sto osiemdziesiąt kilometrów na północ od koła polarnego. Wirus ten ma pochodzić z ciała siedmiu górników, którzy w 1918 roku zmarli na hiszpańską grypę. Jak donoszą nasi eksperci, zabił on wtedy więcej ludzi, niż liczy sobie populacja Waszyngtonu i Nowego Jorku razem wziętych.

(...) Branch oświadczył, że uwolni śmiertelny wirus w środę, dwudziestego października. Zapobiec temu może tylko pisemne oświadczenie wszystkich przywódców religijnych, że wyrzekają się swojej wiary i obrzędów religijnych na rzecz doktryny Światowego Ruchu Posłannictwa...”.

Conor wziął pilota i zaczął skakać po kanałach. O ultimatum Dennisa Brancha mówiono wszędzie. Na brytyjskiej Sky News wypowiadał się przedstawiciel arcybiskupa Canterbury.

Powiedział, że jest to „szczególnie niesmaczny figiel”. Watykan oświadczył, że „wiara nie może podlegać żadnym transakcjom”. Arcybiskup Desmond Tutu z Cape Town powiedział:

„Świat Pana Naszego nie należy do żadnej sekty, do żadnego uzurpatora. Należy do każdego z nas i my sami mamy prawo interpretować to tak, jak zechcemy”.

O dwudziestej drugiej w Internecie ukazała się kolejna wiadomość od Brancha. Conor najpierw zobaczył obracającą się kulę z wielkim krzyżem, a potem ujrzał przesuwający się tekst i usłyszał głos, który natychmiast rozpoznał:

„Tu mówi Dennis Evelyn Branch. Ci spośród epidemiologów, którzy rozumieją, czym jest wirus

hiszpańskiej grypy, wiedzą, że to nie żaden figiel. To rzeczywistość. Mam tego wirusa, a moi asystenci mogą go w każdej chwili replikować. Macie do stracenia cały świat.

Albo każdy z przywódców religijnych przyjmie nową drogę wyznaczoną przez Światowy Ruch Posłannictwa w ciągu czterdziestu jeden godzin, albo świat pozna śmiertelny oddech tego wirusa.

Czy wam się zdaje, że jesteście zjednoczeni? – kontynuował Branch. – Czy myślicie, że naprawdę jesteście światową społecznością? Okazujecie miłość tylko wtedy, gdy napełnia to wam kieszenie. Umiecie tylko wykonywać wyroki, torturować i szkalować inne Kościoły.

Katolicy nienawidzą protestantów, protestanci nienawidzą żydów, żydzi nienawidzą muzułmanów, a muzułmanie nienawidzą hinduistów.

Aleja was nie nienawidzę. Nie nienawidzę nawet pentakostalistów. Myślę jednak, że każdy z was się myli. Drogą do Pana są słowa Pana. Te słowa dotarły do mnie, Bóg mi je przekazał, Bóg odezwał się do mnie. Drogą do Pana jestem ja i mój Kościół. To jedyna droga.

Jeśli wasze dziecko idzie złą drogą, wskazujecie mu dobrą. Ja też wam wskazuję dobrą drogę, drogę do lepszego świata. Wasz świat to świat rozpaczony i rozbita. Nie jesteście zjednoczeni. Jedyną rzeczą, którą zdołaliście zbudować, jest druga wieża Babel. Na pewno pamiętacie, co się stało z tymi, którzy zbudowali pierwszą.

Ale to, co będziecie przeżywać, jeśli okażecie mi nieposłuszeństwo, będzie apokaliptyczne. Sami będziecie zbierać plony z nasienia zła”.

– O Boże! – zawołała Magda. – To wygląda jak napisy końcowe z *Titanica*. Tylko tamte były ciekawsze.

Conor patrzył na tekst w milczeniu. Łudził się, że Branch zrezygnował, że nie posunie się aż tak daleko, teraz jednak stracił nadzieję. Czuł się bezsilny i zagubiony, jak po ataku terrorystycznym na Światowe Centrum Handlowe w Nowym Jorku. Ale teraz miały zginąć miliony.

– Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie on jest... – westchnęła Eleanor, sięgając po kolejnego papierosa.

– Może wiemy – odparł w zamyśleniu Conor. – Powiedział coś o wieży Babel, prawda?

– Conor, przykro mi to mówić, ale tej wieży nie ma już od dość dawna. To tylko taki mit.

– Naprawdę, Eleanor? No to mnie zaskoczyłaś... A tak na poważnie, to on mówił już o tym w Tromso. Powiedział, że każdy naród mówi innym językiem, i że dla niego taką wieżą jest dzisiaj kwatera główna Narodów Zjednoczonych.

– Narody Zjednoczone? Myślisz, że pojedzie do Nowego Jorku?

– Przecież służby imigracyjne zatrzymałyby go – stwierdziła Magda. – Jest poszukiwany listem gończym.



– Tak, ale teraz jest bardzo bogatym poszukiwanym – odparł Conor. – Sposobów przedostania się do Stanów jest wiele: motorówką z Kuby, helikopterem z Kanady... i tak dalej... i tak dalej.

Podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z biurem obsługi w budynku Narodów Zjednoczonych.

– Planuję u was wizytę... tak... tak... Czy może mi pan powiedzieć, kiedy zbiera się Zgromadzenie Ogólne lub Rada Bezpieczeństwa? Aha, w tym tygodniu... Tak, rozumiem. A czy jeszcze dostanę bilety dla zwiedzających? Dobrze, rozumiem. Dziękuję panu bardzo.

Conor odłożył słuchawkę i spojrzał na Eleanor i Magdę.

– W środę o dziesiątej trzydzieści odbędzie się sesja specjalna Zgromadzenia Ogólnego.

Mają dyskutować o terroryzmie religijnym, a w szczególności o groźbie Brancha.

– To musi być to. Wtedy uderzy – oświadczyła Eleanor. – Ma ten sam... instynkt, co producent teatralny. Ja to rozpoznaję. Zobaczcie, w jaki sposób wykorzystał Magdę i Ramona, jak ekshumował zwłoki z cmentarza w Norwegii... Wszystko, co robi Dennis Evelyn Branch, to pokazówka. On musi mieć publiczność. Całe życie znałam takich facetów: producentów, kierowników planu... To człowiek, który zawsze musi być w centrum uwagi i musi wszystkim kierować.

– Mam nadzieję, że się nie mylimy. Nie mam zamiaru pchać się w paszczę lwa w Nowym Jorku tylko po to, by się przekonać, że Branch siedzi akurat w Brukseli, Paryżu albo Bóg jeden wie gdzie jeszcze.

– A czy mamy jakiś wybór? – zapytała Eleanor.

Wylądowali na Newark we wtorek po południu. W Nowym Jorku było zimno i deszczowo. Conor z taksówki wjeżdżającej na Manhattan zadzwonił do Luigiego Guttusa i przeprowadził z nim krótką, lecz treściwą rozmowę.

– Witaj, Luigi. Mam pytanie. Czy mogę jeszcze przez parę dni korzystać z twojego apartamentu na Bleecker Street?

– Po co masz siedzieć w Nowym Jorku? Powinieneś siedzieć teraz w moim bungalowu na plaży w Sarasota...

– Luigi, to wspaniale, ale mnie wystarczy Bleecker Street.

– Nie ma sprawy. Mam tam szampana.

– Czy to nie kłopot dla ciebie?

– Oczywiście, że nie. Jesteś moim bratem.

Tego się właśnie obawiałem, pomyślał Conor odkładając słuchawkę.

Gdy tylko znaleźli się w apartamencie na Bleecker Street, Conor zadzwonił do Lacey.

Nikt jednak nie podniósł słuchawki. Automatyczna sekretarka przekazała mu prośbę Lacey, żeby zadzwonił później. Przynajmniej nie wymazała jeszcze mojego imienia z sekretarki, pomyślał Conor.

Eleanor zadzwoniła do szpitala, by zapytać o zdrowie Sidneya, ale dowiedziała się, że już jest w domu. Zadzwoniła więc na Staten Island. Sidney długo nie odbierał, ale gdy w końcu odezwał się, Eleanor poczuła ściskanie w gardle.

– Sidney? Jak się masz, mój drogi? Tak...? Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Jak się czujesz? To dobrze... Wspaniale... Czy już chodzisz? Och, to cudownie... Sidney...

Kiedy skończyła, oddała słuchawkę Conorowi.

– Wiesz, Conor, chcę ci powiedzieć, że gdy poczułem, że dostałem, wprowadziłem się w trans – oświadczył Sidney. – Nie czułem bólu... Nie... zupełnie... Tak... Wyobraziłem sobie, że jestem w domu... Tak, Conor. Doktor powiedział, że to uratowało mi życie. Zwolnił się puls i nie straciłem tyle krwi... Tak... I dzięki temu uniknąłem szoku traumatycznego...

– Tak, dobrze... ale wiedz, że my też się modliliśmy za ciebie. Mam nadzieję, że to trochę pomogło.

Sidney nie odpowiedział. Odezwał się dopiero po kilkunastu sekundach:

– Conor, czy nie będę niegrzeczny, jeśli zapytam, w jakiej sprawie dzwonicie?

– Słyszałeś o tym ultimatum w Internecie?

– Tak...

Conor opowiedział mu w wielkim skrócie, co się działo w Norwegii.

– Czy on tu jest, ten cały Branch? W Nowym Jorku?

– Powiedzmy, że jest to tylko przypuszczenie, ale oparte na dość solidnych przesłankach.

– Potrzebujecie pomocy? Powinniście mieć ze sobą dobrego hipnotyzera.

– Magda jest z nami.

– Ufasz jej?

– Nie mam wyboru.

– Conor, przecież ja mógłbym wam pomóc. Byłbym bardzo szczęśliwy... Wiesz, zaczynam myśleć, że wywinąłem się śmierci tylko po to, by teraz umierać z nudów.

– Sidney, przykro mi, ale jesteś teraz rekonwalescentem.

- Będę się oszczędzał, obiecuję.
- Doceniam twoją propozycję, ale muszę ci odmówić.
- No, przynajmniej próbowałem, prawda?
- Tak, przynajmniej próbowałaś.

Przebudził się nad ranem. Zdawało mu się, że usłyszał jakiś podejrzany dźwięk przy drzwiach. Zmarszczył brwi i nasłuchiwał. Był jednak zbyt zmęczony, by wstać z łóżka.

Pewnie to wiatr, pomyślał.

Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, a potem opadł z powrotem na poduszkę i znowu zapadł w sen. Śniły mu się niedźwiedzie polarne, które goniły go po śnieżnych pustkowiach.

O ósmej obudziła go Eleanor, przynosząc filiżankę kawy.

- Magda zniknęła – powiedziała, odsuwając zasłony.
- Co takiego?
- Nie ma jej w łóżku. Nawet w nim nie spała tej nocy.

Conor przeczesał palcami włosy i zacisnął powieki.

– Tylko tego nam brakowało. Mam nadzieję, że nie próbowała skontaktować się z Branchem i nie powiedziała mu, że tu jesteśmy.

Eleanor podała mu mały notatnik.

- Przeczytaj to sobie.

*Conor, najdroższy... Myślę, że właśnie nadszedł czas, bym udała się na spotkanie z moim przeznaczeniem. Zawsze będę myślała o tobie z szacunkiem i zawsze będę cię kochała...*

*Człowieku honoru... Dbaj o siebie i nie myśl o mnie źle.*

*Magda*

- Moim zdaniem nie brzmi to tak, jakby chciała nas sprzedać – stwierdziła Eleanor.
- Tak, chyba masz rację. Ale potrzebujemy jej umiejętności.
- Ty też jesteś niezły.
- Nie dorastam jej do małego paluszka u nogi.

Wstał, wziął szybki prysznic i ubrał się.

– Dopiero ósma trzydzieści. Chcesz jeszcze jedną filiżanką kawy? – spytała Eleanor.

– Nie, dziękuję.

– Wiesz, zawsze możemy skorzystać z propozycji Sidneya...

– Eleanor, daj spokój. Sidney to rekonwalescent. A gdyby coś mu się stało? Nie, Eleanor, nie wezmę na siebie takiej odpowiedzialności.

– A weźmiesz na siebie odpowiedzialność za śmierć milionów ludzi, którzy wyplują płuca, zabijani przez wirusa?

Conor przez chwilę siedział zamyślony, podpierając dłonią podbródek, a potem chwycił słuchawkę i wystukał numer Sidneya.

– Czy twoja propozycja nadal jest aktualna?

– Pytasz poważnie?

– Magda odeszła. Potrzebujemy cię.

– No pewnie, że aktualna. Kiedy mnie potrzebujecie?

– Jak najszybciej. Ale obiecaj mi coś. Musisz na siebie uważać. Jeśli zginiesz, to cię zabiję. Albo jeszcze gorzej: więcej się do ciebie nie odezwę.

Pod budynek kwatery głównej Narodów Zjednoczonych podjechali punktualnie o dziesiątej. Poszli prosto do informacji i kupili trzy bilety. Potem udali się do sali obrad Zgromadzenia Ogólnego.

Sidney nie czuł się jeszcze najlepiej. Miał szarą twarz i był bardzo słaby. Ale w oczach nadal miał ten sam błysk i podpierając się laską, szedł dość szybko. Na przywitanie nie wyciągnął ręki.

– Conor, to nic osobistego. Po prostu nie chcę cię dzisiaj zahipnotyzować – wyjaśnił i uśmiechnął się. – Dobrze cię znów widzieć, synu. Naprawdę się cieszę. Widzę, że dobrze się opiekujesz moją Bibsy.

Eleanor uścisnęła dłoń Sidneya, ale nie powiedziała ani słowa.

Tego dnia kwatery główna Narodów Zjednoczonych była wypełniona po brzegi. Panował

gorączkowy ruch; sekretarki i asystenci biegali po głównym holu i korytarzach i wszędzie widać było wycieczki japońskich turystów. W holu kwiaciarz z Blossom Time pochylał się nad czerwono-białymi chryzantemami, spryskując je wodą. Od czasu do czasu błyskały flesze, słychać było rozmowy w wielu językach świata, ale nigdzie nie było śladu Dennisa Brancha.

– Jeśli on tutaj jest, to jak chce wpuścić wirusa?

– Kiedyś widziałem taki film, w którym terroryści zainfekowali budynek przez system wentylacyjny – powiedział Sidney.

– Hmm, no nie wiem... To by się mogło udać w małym budynku lub w samolocie... Ale w budynku o tej kubaturze? Tu jest zbyt wiele filtrów, zbyt wiele zabezpieczeń. Myślę, że zanim wirusowi udałoby się rozejść po wszystkich pomieszczeniach, minęłoby kilka dni.

O dziesiątej dwadzieścia pięć usiedli na swoich miejscach na galerii w sali głównej.

Conor nigdy nie widział takiego zgromadzenia z bliska, a konferencje Narodów Zjednoczonych oglądał tylko w telewizji. Tego dnia najliczniej reprezentowana była delegacja z Bliskiego Wschodu, z Arabii, Iranu i Egiptu.

Sesja specjalna rozpoczęła się krótkim raportem o działalności Światowego Ruchu Posłannictwa. Raport odczytał Marokańczyk, Ibn Battuta:

– Dennis Branch ostrzega – mówił – że nie przedłuży terminu swego ultimatum. Mamy czas do godziny jedenastej trzydzieści. Powiada, że nie można negocjować ze słowem bożym.

Niestety nie wiemy, gdzie zamierza wprowadzić w życie swoje groźby. Mamy jednak już wstępne raporty Federalnego Biura Śledczego, a także policyjnego wydziału śledczego na Spitsbergenie. Oba biura nie mają wątpliwości, że Branch jest w posiadaniu wirusa i potrafi wprowadzić swoje groźby w życie.

– Czy nie powinniśmy ich ostrzec? – zapytała Eleanor.

– A jak mamy to zrobić? – odparł Conor. – Zresztą może się mylimy i jego tu nie ma. I co wtedy? Będą nas przesłuchiwać. Mnie aresztują... Przecież jestem poszukiwany. Kto go wtedy powstrzyma?

Po Battucie zabierali kolejno głos przedstawiciele różnych krajów. Członek komisji reprezentacji Arabii Saudyjskiej był wyraźnie zły:

– Na to, co się dzieje wewnątrz Stanów Zjednoczonych, przymyka się oko. Ale każdy akt terroru, bez względu na to, o jakim stopniu nasilenia, zawsze spotyka się z bardzo ostrą reakcją amerykańskiego rządu.

– Chciałbym wiedzieć, czy istnieje jakaś szczepionka przeciw wirusowi – oświadczył delegat szwedzki.

Odpowiedział mu profesor Farber z Uniwersyteckiego Centrum Medycznego w Nowym Jorku:

– Przykro mi to stwierdzić, ale nic nie wiemy o takiej szczepionce. Poza tym, nawet gdybyśmy nią dysponowali, nie udałoby nam się wyprodukować wystarczającej ilości.

– Dlaczego dzisiaj wszyscy mówią tu o scenariuszu dnia sądu ostatecznego? – chciał

wiedzieć przedstawiciel Niemiec.

– Jeśli za dzień sądu ostatecznego byłby pan skłonny uważać takie wydarzenie, jak nagła, przebiegająca w okropnych męczarniach śmierć milionów ludzi w tym samym czasie, to tak, owszem, jest to scenariusz dnia sądu ostatecznego.

– Mamy więc tylko jedenaście minut – zauważył przytomnie delegat Argentyny. – A nic nie robimy, tylko gadamy.

– Czy jacyś przywódcy religijni odpowiedzieli na ultimatum Światowego Ruchu Posłannictwa? – dopytywał się delegat Grecji.

– Jak dotąd – odpowiedział Battuta – odezwali się tylko przywódcy małych ugrupowań.

Nikt z liczącego się na świecie Kościoła nie ugiął się pod groźbą Brancha. Od pewnych ugrupowań islamskich nadeszło oświadczenie, że jeśli którykolwiek z ich członków padnie ofiarą wirusa, to ulice zachodnich miast spłyną krwią.

Conor z niepokojem rozglądał się wokół. Była już 11:28. Jeśli Branch rzeczywiście zamierzał spełnić swoje groźby, to nikt nie mógł już nic zrobić.

Jeden z delegatów arabskich zakaszał gwałtownie kilka razy. Natychmiast podano mu szklanekę wody mineralnej. Conor przyjrzał mu się uważnie. Może całe pomieszczenie było już zakażone?

Delegaci kontynuowali dyskusję, ale po chwili przewodniczący konferencji, pan Battuta, przyłożył dłoń do czoła i zachwiał się. Chwycił szklanekę wody i wypił łączywie. Delegat arabski znów zaczął kaszleć, tym razem jeszcze gwałtowniej.

– Panie sekretarzu, pan wybaczy... – powiedział Battuta. Chciał wyjść z sali obrad, ale znowu zachwiał się i upadł.

W tym momencie zaczął gwałtownie kaszleć kolejny delegat. Delegat arabski wyprostował się na swoim fotelu i przyłożył dłoń do ust. Spomiędzy jego palców popłynęła krew. Jakaś kobieta krzyknęła, ktoś zaczął wołać o pomoc.

W ciągu piętnastu minut wszyscy uczestnicy sesji specjalnej Zgromadzenia Ogólnego kaszleli, charczeli i pluli krwią. Wokół rozbrzmiewały różne języki, rozlegały się krzyki i zapanowała powszechna panika. Nawet członkowie ochrony ślaniali się na nogach i opierali o ścianę.

– Proszę... proszę wezwać pomoc – wychrypiał delegat Kanady.

– Nikt nie może opuścić tej sali! – krzyknął do mikrofonu profesor Farber. – Jeśli to wirus hiszpańskiej grypy, ten budynek musi zostać odcięty od świata.

– Chyba już czas na nas – stwierdził Conor. – Idziemy.

Zaczęli przedzierać się przez tłum. Ludzie, niepomni słów profesora, za wszelką cenę usiłowali dostać się do wyjścia. Mało kto rozumiał, co się działo. W końcu Conorowi i reszcie udało się dotrzeć do jednych z drzwi. Drogę zastąpił im strażnik w mundurze.

– Przykro mi, ale nie możecie wyjść. Otrzymałem rozkaz, by nikogo stąd nie wypuszczać.

Sidney podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Czy nie słyszałeś drugiego rozkazu? A może nie słuchałeś?

– Drugiego rozkazu? Jakiego rozkazu?

– Znasz nas, prawda, synu? Nasze twarze są ci znajome. Widziałeś już nas tyle razy.

– Nie jestem pewien...

– Pamiętasz ten słoneczny dzień, gdy byłeś dzieckiem? Wtedy nas spotkałeś. Zawsze przy nas czułeś się bezpiecznie. Jesteśmy jak twoi dziadkowie. Pamiętasz, co mówił drugi rozkaz?

Kazali ci nas przepuścić. Wtedy wszystko znów będzie w porządku.

Młody strażnik rzucał na boki niespokojne spojrzenia, ale po chwili uśmiechnął się i powiedział:

– Jasne, przechodźcie.

– Myślisz, że dobrze robimy, wychodząc z tej sali? – zapytał Sidney. – A jeśli my też jesteśmy zarażeni?

– Ja się dobrze czuję. A ty? Myślę, że ci delegaci zostali zakażeni indywidualnie, ale jeszcze nie wiem jak.

Pracownicy recepcji były wyraźnie zdezorientowane. „Czy gdzieś wybuchł pożar?” –

pytały. Przez szklane drzwi holu widać było szkolną wycieczkę. Dzieci przebierały z niecierpliwością nogami i nie rozumiały, dlaczego nie mogą wejść.

Kątem oka Conor dostrzegł jakąś postać. Widział ją tylko przez sekundę, ale od razu wiedział, kto to jest. Bukieciarz, którego widział, gdy wchodził do głównego holu... Miał

czarne włosy i maskę na ustach, ale Conor nie zwrócił wcześniej na niego uwagi. Ot, człowiek, który spryskuje kwiaty i ma maskę, bo nie chce wdychać tego, co rozpyła...

...tego, co rozpyła!

Chwycił Eleanor za ramię.

– Tam! Przysięgam na Boga, widziałem go. To był Branch.

– Gdzie? Tutaj?

– Tak. Wiem na pewno, to był on – oświadczył Conor. – Wiedziałem, że to będzie tutaj.

Popędził do narożnika, gdzie widział bukieciarza. Za rzędem telefonów były windy. Gdy podeszli, Conor zorientował się, że Branch na pewno nie pojechał windą. Trzy z nich zjeżdżały właśnie w dół, a dwie następne były za wysoko, by mógł nimi jechać.

Na prawo od wind znajdowały się drzwi prowadzące do schodów awaryjnych. Conor zobaczył, że właśnie się powoli zamykają.

– Ucieka schodami. Wy idźcie do wind, ja pójdę tędy. Kontakt przez komórki. Ruszamy.

– Dobra, nic się martw, możesz na nas liczyć – zapewnił go Sidney.

Conor pchnął drzwi i zaczął wbiegać po schodach. Nie narzekał na kondycję, ale Branch musiał chyba mieć nogi antylopy, bo odgłos jego kroków coraz bardziej się oddalał.

Conor był na dwunastym piętrze, gdy odezwała się jego komórka. Z trudem łapiąc oddech, przystanął i sięgnął do kieszeni.

– Tak?

– Tu Sidney. Jesteśmy na dwudziestym piętrze.

– Ja jestem na dwunastym. Poczekajcie na mnie, za chwilę do was dołączę. Nie zaczynajcie niczego beze mnie. Aha, jeszcze jedno...

– Conor, poczekaj... Eleanor ma zapaść. To może być atak serca!

– O Boże! Ale chyba nie...

– Nie. Mówi, że jej przejdzie, muszę jednak wezwać pomoc. Przykro mi, muszę z nią zostać.

– Sidney, właśnie teraz najbardziej będę cię potrzebował.

– Wiem, Conor, wiem. Ale właśnie teraz najbardziej potrzebuje mnie moja Bibsy.

Matko Przenajświętsza, pomyślał Conor, może to sam Bóg sprawdza, ile wytrzymam.

– Conor, Conor! Słyszysz mnie?

– Jasne, Sidney, słyszę cię.

– Nie trać panowania nad sobą, Conor. Nie dekoncentruj się. I nie trać wiary. Zmyl go, ale musisz mu pochlebiać. Wytrać go z równowagi, ale niech usłyszy to, co chce usłyszeć.

Możesz to zrobić, wiem to. Masz osobowość, masz głos. Wzbudzasz zaufanie... Dokonasz tego.



Ruszaj!

– Sidney...

– Conor, nie mamy wyboru. Nie zostawię teraz Eleanor ani dla Brancha, ani dla ciebie, ani dla nikogo innego. Już raz ją zostawiłem i zrujnowałem sobie życie. Nie zostało mi wiele lat. Chcę wykorzystać tę szansę i przeżyć te lata z nią... Z kobietą, którą kocham.

Conor nie odpowiedział. Wyłączył komórkę i pobiegł schodami na górę. Kierowała nim teraz nie tylko nienawiść, ale także furia. Nie zatrzymał się ani razu, dopóki nie dobiegł na samą górę. Kopnął z rozpędem w drzwi i nagle znalazł się na otwartej przestrzeni, pod szarym niebem. Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszał, był podmuch wiatru.

Rozejrzał się. Widział dachy sąsiednich budynków, a w oddali migotała srebrna wstęga East River. Dennis Branch stał na skraju dachu z rozłożonymi ramionami. Zdjął już maskę, nadal jednak miał na głowie ciemnowłosą perukę.

W jednej ręce trzymał plastikową butelkę, którą miał jeszcze na dole, w holu głównym.

Conor podszedł bliżej, ale Branch nie odwrócił się.

– Kocham Pana naszego, bo On słucha moich słów i moich prośb. Dlatego podążę za Nim wszędzie i będę Mu służył do śmierci. Gdy czuję bezbrzeżny smutek, wzywam Pana naszego, a On sprowadza na mnie ukojenie. Panie mój, daruj mi życie moje.

Conor postąpił dwa kroki do przodu. Dopiero teraz uświadomił sobie, gdzie się znajduje.

Poczuł ukłucie w sercu. Przez chwilę nie mógł się ruszyć ani zaczerpnąć powietrza.

– No, no, panie O’Neil, moje samozwańcze przeznaczenie. Moja nemezis. Tym razem nieco za późno.

Conor nadal nie mógł się ruszyć. Zamknął oczy i czekał. Czuł wiatr na twarzy i zdawało mu się, że jest na szczycie świata, a pod nim znajduje się niewyobrażalna przepaść.

– Co się dzieje, O’Neil? Straciłeś pewność siebie?

Conor nagle poczuł się bezradny. Nie ma obok niego Magdy, nie ma Sidneya. Co on sam może zrobić? Tutaj, na tym dachu...

Nagle usłyszał słowa Eleanor: „Dopadnij tego drania! Pokonasz go! Jesteś Conor O’Neil i nikt nie będzie ci mówił, co masz robić. Ty sam wiesz, co trzeba zrobić”.

Wziął głęboki oddech i otworzył oczy. Wciąż był na dachu, ale zrobił wszystko, by o tym nie myśleć. Spojrzał na Brancha i powiedział stanowczo:

– To już koniec, Dennis.

– Koniec? To się dopiero zaczyna. Jeśli oni wszyscy nie zaprą się swoich religii w obliczu tego, co się dzisiaj stało, wirus dotrze do każdego zakątka świata. W każdym kraju, w każdym mieście...

– Niezły pomysł z tym spryskiwaczem.

– Nie tylko niezły, ale genialny. Tego typu wirusa najłatwiej uwolnić w ten sposób.

Każdy, kto przechodził obok niegroźnego bukieciarza, wdychał mgiełkę śmierci. Widziałeś, jak szybko ten wirus zadziałał? Evelyn nad nim pracowała... Zmodyfikowała go genetycznie, dodała pewne składniki, dodała też jeszcze wirusa wywołującego zapalenie płuc. Ty to nazwiesz modyfikacją genetyczną, a ja zemstą za śmierć mojej siostry.

– Doskonale cię rozumiem – odpowiedział Conor, wkładając ręce do kieszeni. – Teraz już nikt nie ośmieli ci się oprzeć. Ani słowu bożemu.

– Tak, panie O’Neil. Ma pan rację. Ach, jak ja się wspaniale czuję...

– Co teraz zamierzasz?

– Czekam na moją podniebną przejażdżkę. Dokładnie za trzy minuty nadleci helikopter i zabierze mnie stąd.

– Moim zdaniem ryzykujesz, robiąc to wszystko sam. Czy nie mógłby zastąpić cię jeden z twoich pomocników?

Branch pokręcił głową

– Robię to dla Evelyn. Musiałem być pewien, że nie będzie żadnej pomyłki. Poza tym to byłoby nie w porządku, posyłać kogoś innego... o nie, tak nie można. To moje dzieło, moja misja. Pan nasz też nauczał sam i dał się za nas ukrzyżować. Umarł na krzyżu. Czy gdyby za niego umarł ktoś inny, oddawałbyś Mu dzisiaj cześć? Kto by o mnie pamiętał, gdybym wyręczał się innymi? A wirus to potężny miecz i ja go mam. Jestem sam, ale zwyciężę.

– Dennis, oni tam na dole właśnie w tej chwili umierają...

– I tak się stanie z milionami innych. Zanim skończę, umrą miliony. Ale nie martw się..

Lepiej umrzeć, niż iść za fałszywym prorokiem.

– Wiesz co, Dennis? Nigdy przedtem nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Masz wizje...

Cholera, nie mogę tego wyrazić inaczej. Masz wizję i wiarę w siebie.

Przez chwilę myślał, że trochę przesadził w pochlebstwach, ale Branch uśmiechnął się, podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Czujesz się teraz odprężony, prawda? Dobrze się czujesz... Masz poczucie dobrze spełnionego

obowiązku... Wiesz, że zrobiłeś wszystko, by mnie powstrzymać... Że więcej nie dało się zrobić... Cieszysz się, że to już koniec...

Patrzył mu w oczy i Conor uświadomił sobie, że Branch usiłuje wprowadzić go w trans.

Conor wyobraził sobie gruby mur między sobą i tamtym. W głowie brzmiały mu słowa Magdy i robił wszystko, by skupić się tylko na nich:

„Nie odpowiadaj na pytania. Za wszelką cenę musisz przeszkodzić hipnotyzerowi.

Musisz odwrócić jego uwagę od siebie i skierować ją na niego samego”.

Wychylił się nieco i popatrzył w dół, na East River, a potem znów spojrzął Branchowi w oczy.

– Wiesz, Dennis, kiedy myślę o tym, co robisz... Odwracasz bieg historii, zmieniasz świat... Pokazujesz ludziom prawdziwą religię. To, co robisz, jest mesjanistyczne. Dennis, jesteś Mesjaszem. Czy wiesz, że każdy czeka na Jego drugie przyjście? Czy wiesz, że to właśnie ty?

Branch przymknął oczy i uśmiechał się z lubością. Conorowi udało się odwrócić od siebie uwagę i skierować ją na temat, który Brancha najbardziej interesował: na niego samego.

– Być może źle cię na początku oceniłem, Conor. Ty mnie rozumiesz. Wiesz, myślę nawet, że mnie rozumiesz lepiej, niż ja sam siebie rozumiem. Czy wiesz, że jedna czwarta Amerykanów uważa, iż Mesjasz przyjdzie jeszcze za ich życia? I masz rację... choć nigdy nie sądziłem, że to będę właśnie ja.

Conor zdjął rękę Brancha ze swojego ramienia i powiedział:

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się z Evelyn. Ale to nie ja ją zabiłem. Ja tego nie chciałem. Myślę, że odczuwała jakiś wewnętrzny przymus. Pewnie czujesz się, jakbyś stracił połowę siebie.

– Tak...

– Ale teraz to ty będziesz Mesjaszem. Będziesz przywódcą wszystkich religii świata, które będą jedną religią. Z błogosławieństwem bożym będziesz mógł sprowadzić Evelyn z powrotem.

– Myślisz, że to możliwe?

– Jezus tego dokonał. Kto powiedział, że ty tego nie dokonasz? Po tym, co zrobiłeś dzisiaj, dowiodłeś wszystkim, kim jesteś. Sam sobie nałożyłeś koronę światła... cierniową koronę światłości. Możesz zamienić wodę w wino. Możesz nawet przejść East River w bród.

– Wierzę, że potrafisz nawet latać.

Branch stał tuż nad krawędzią dachu. Wiatr wiał coraz silniej i trudno mu było utrzymać równowagę. W oddali, nad lotniskiem Kennedy’ego, kołowały samoloty. Conor usłyszał

dźwięk rotorów zbliżającego się helikoptera.

– Nie jesteś szatanem, prawda? – zapytał Branch, a w jego głosie dało się wyczuć cień podejrzliwości. – Nie chcesz mnie chyba kusić, tak jak szatan kusił Pana naszego na pustyni.

Bestia go kusiła, lecz aniołowie wspierali.

– A czy wiesz, co to znaczy? To oznacza, że aniołowie unieśli Pana naszego i Pan szybował w przestworzach.

– Czy ty mnie kusisz?! – krzyknął Branch. – Co ty wyprawiasz z moją głową?

Conor wymacał w kieszeni pudełko zapalek. Otworzył je palcami i wy dostał zapalną.

Szybko wyciągnął rękę, zapalił zapalną i podsunął ją Branchowi pod twarz.

– Jesteś Mesjaszem, Dennis. Świat należy do ciebie. Możesz zrobić, co tylko zechcesz.

Udowodnię ci to.

Branch patrzył na niego jak urzeczony. Conor jeszcze nigdy nie widział takiego wyrazu twarzy. Czytał z niej jak z otwartej księgi. Zobaczył furję, gniew, głęboką wiarę, uniesienie i dumę. Branch rzeczywiście wierzył, że jest Mesjaszem. Wierzył, że może przywrócić do życia swoją siostrę, zdrową, niezdeformowaną, mogącą chodzić o własnych siłach. Wierzył, że potrafi uzdrawiać ludzi dotknięciem ręki. Chciał chodzić po wodzie. Chciał latać.

A przede wszystkim pragnął, by każdy człowiek na świecie uwierzył w niego, by mu ufał

i poszedł za nim jego drogą ku chwale i zbawieniu. Conor widział jego twarz, widział jego spojrzenie i był pewien, że nie udaje. On w to wszystko rzeczywiście wierzył.

– Jutro ponowię ultimatum – oświadczył Branch. – A jeśli nadal będą nieposłuszni, uwolnię wirusa na całym świecie. „Przeklęty niech będzie człowiek, który ufa tylko ciału.

Błogosławiony będzie ten, kto ufa Panu”.

Stał teraz na samej krawędzi, czubki jego butów wystawały poza dach. Rozprostował

ramiona jak wielki ptak i odchylił głowę. Conor był bardzo blisko niego. Mógł go pochwycić, ale nie zrobił tego.

– Będą umierać milionami – mówił Branch.

Helikopter był już niedaleko. Skręcił lekko i nadlatywał nad dach.

– Pokaż mi, że umiesz latać – powiedział Conor.

Branch zamknął oczy i postąpił krok do przodu. Wiało tak silnie, że zawisł na moment w powietrzu. Ale po sekundzie wiatr zelżał i Branch zniknął z pola widzenia. Nawet nie krzyknął. Spadł z wysokości dwudziestu pięciu pięter. Gdy uderzył w chodnik, jedno z jego ramion oderwało się od ciała. Po chwili przejechała po nim taksówka.

### 33

Kiedy Conor zszedł na dół, plac Narodów Zjednoczonych pełen był ambulansów.

Ustawiono policyjne barykady i nikogo nie wpuszczano. Wszędzie kręcili się lekarze i pracownicy pogotowia. Przechodząc przez plac, Conor usłyszał reportera telewizyjnego, który mówił, że już dwiętnastu delegatów Zgromadzenia Ogólnego zmarło w wyniku zarażenia wirusem, a kilku innych było w stanie krytycznym.

Nie chciał brać taksówki. Istniała możliwość, że sam również był zarażony. Tak czy inaczej, pomyślał, dowiem się o tym w ciągu najbliższej godziny.

Idąc ulicą, co jakiś czas upewniał się, czy nie wlecze za sobą ogona. Po półgodzinie był pewien, że nikt za nim nie idzie.

Tuż obok przejechał policyjny patrol. Policjanci przyjrzeni mu się podejrzliwie, ale nie zatrzymali się. Conor wiedział, iż nadal jest poszukiwany, mimo że przed chwilą uratował pół

świata. Przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w kierunku Dwudziestej Ulicy.

Wrócił do pustego apartamentu na Bleecker Street. W lodówce było pełno wody Dom Perignon. Otworzył sobie jedną i nalał do kubka. Potem usiadł w fotelu i oparł się wygodnie.

W narożniku, przy samym suficie, pracowicie plółł swoją sieć pająk. Conor patrzył na jego misterną robotę i uśmiechał się. Starał się zapomnieć o Dennisie Branchu i jego skoku z dwudziestego piątego piętra.

Atak wirusa w izbie Zgromadzenia Ogólnego był głównym tematem wszystkich mediów.

Kilka minut później mówiono również o śmierci Brancha.

Była też dobra wiadomość. Kilku delegatów miało szansę na przeżycie. Ekspert z Nowojorskiego Centrum Epidemiologicznego powiedział, że genetycznie modyfikowane wirusy mają tendencję do wytracania swojego impetu proporcjonalnie do szybkości, w jakiej następuje infekcja. „Mam podstawy sądzić, że wirus ten będzie podlegał różnym mutacjom”, stwierdził.

Conor siedział w fotelu i słuchał wiadomości. W pewnej chwili przypomniał sobie o aptece Kaufmana i o recepcie Magdy.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Morriego.

– Cześć, tu Conor. Tak, dzięki, wszystko dobrze. Słuchaj, mam sprawę... Pamiętasz tę kobietę z receptą na lek antydepresyjny? Powiedz, była może u ciebie ostatnio?

– Nie, ale zadzwoniła dzisiaj rano i prosiła o przesłanie jeszcze jednego opakowania do hotelu. Powiedziała, że potrzebuje kilkumiesięcznego zapasu. Waldorf-Astoria, pokój osiemset piętnaście.

– Jesteś wspaniały. Przyjdę podziękować ci osobiście.

Zatrzymał taksówkę i pojechał prosto do Waldorf-Astoria. Wsiadł do windy i po chwili stał już przed drzwiami pokoju 815.

– Kto tam?

Conor natychmiast rozpoznał głos pani Labrei.

– Przyniosłem kwiaty.

– Nie zamawiałam kwiatów.

– A jednak ktoś pani przysłał kwiaty. Z Blossom Time.

– Z Blossom Time?

Przez chwilę panowała cisza, a potem drzwi się otworzyły i pani Labrea wyjrzała zza progu. Conor pchnął gwałtownie drzwi i wszedł do pokoju.

– Co robisz?! – krzyknęła pani Labrea.

– Zamknij się! – warknął Conor.

Na środku pokoju, obok nowych, bardzo drogich walizek, stała Magda.

– A to co? – zapytał Conor – Wyjeżdżamy na wakacje?

– Dennis nie żyje, nie słyszałeś? – powiedziała Magda. – Bez niego nie ma Światowego Ruchu Posłannictwa. Przynajmniej nie dla nas. My byliśmy tylko pracownikami, nie wyznawcami.

– Gdzie jedziecie?

– Gdzieś, gdzie jest ciepło. Tam, gdzie będę mogła o tym wszystkim zapomnieć. O tobie, Dennisie, Ramonie...

– Takie życie drogo kosztuje.

– Mamy pieniądze. Nie zapominaj, że to Victor zawsze zajmował się finansami Światowego Ruchu.

– Jak on się czuje?

– Fatalnie... dzięki tobie oczywiście – parsknęła pani Labrea. – Teraz będzie potrzebował całych lat fizykoterapii. Całych lat!

– Ile macie pieniędzy?

– Myślisz, że ci powiem?! – krzyknęła Labrea. – Chyba zwariowałeś.

Conor sięgnął do kieszeni, wyciągnął pistolet i wymierzył go prosto w jej twarz.

– Powiedz mu – odezwała się Magda. – To już teraz bez znaczenia.

– Cóż... mamy niecałe czterdzieści milionów. Bardzo dużo poszło na transport, pojazdy, na sprzęt specjalistyczny, na płace i na wiele innych rzeczy.

– Mam pewną propozycję – oświadczył Conor. – Oddacie wszystkie pieniądze, a ja wam pozwolę żyć.

– Chyba żartujesz... Te pieniądze nigdy nie były czyste. Pochodzą z różnych przekrętów.

To majątki oszustów, zbrodźców, bandytów.

– Wszystkie mają wrócić do...

– Mam lepszy pomysł – powiedziała Magda, podchodząc do Conora i ujmując go za dłoń.

– My weźmiemy pieniądze, a tobie damy notarialnie potwierdzone oświadczenie, że nie miałeś nic wspólnego z kradzieżą u Spurrsa. Odzyskasz wolność. Odzyskasz swoje dawne życie.

Conor nie był pewien, co sądzić o wyraźnej nucie pogardy w głosie Magdy, gdy wypowiadała słowo „dawne”. Spodobał mu się jednak pomysł, że zniknie z listy poszukiwanych.

– Dobrze, pójdę na taki układ – mruknął po chwili. – Ale musisz spełnić moje warunki, Labrea. Możesz wziąć pieniądze i zniknąć. Zanim jednak znikniesz, dasz mi gwarancje na piśmie. Najpierw oczyszczenie mnie z zarzutów. Po drugie, dowiesz się, którzy z delegatów Zgromadzenia Ogólnego zmarli w wyniku zakażenia, i rodzinie każdego z nich wypłacisz po sto tysięcy. Oddasz też wszystkie pieniądze Davinie Gambit.

Labrea słuchała tego i patrzyła ze zdziwieniem na Conora. W końcu nie wytrzymała.

– A niby dlaczego...

Ale wystarczyło jedno spojrzenie Conora, by zamilkła. Po chwili powiedziała:

– Dobrze, zrobimy tak, jak mówisz.

– I jeszcze jedno – powiedział Conor. – Jeśli nie zrobisz choćby jednej z tych rzeczy, które

wymieniłem, to cię znajdę. Wiesz, że to zrobię. A wtedy zostaniesz ukarana tak, jak na to zasługujesz.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Cofnął się gwałtownie i potarł palcami twarz.

– To samo dotyczy ciebie, Magda.

– Uwielbiam korupcję. To mnie podnieca – odparła i zaśmiała się.

Conor spojrział na nią, ale nic nie powiedział. Odwrócił się i wyszedł na korytarz, trzaskając drzwiami. Kiedy jechał windą w dół, dręczyło go przemożne pragnienie umycia rąk.

Gdy wrócił na Bleecker Street, zastał nagraną na sekretarce wiadomość od Sidneya.

„Conor, nie wiemy, co się z tobą dzieje. Mamy nadzieję, że wszystko w porządku.

Eleanor jest u świętego Łukasza, na kardiologii. Miała poważną zapaść, ale lekarze mówią, że wszystko będzie dobrze. Jak tylko trochę wydobrzeje, zabieram ją do mojego przyjaciela w Miami. Zadzwoń, kiedy będziesz mógł, okay?

Wiesz, co za niesamowity zbieg okoliczności... Pamiętasz, jak opowiadałeś mi o tym Darrellu Bussmanie? On jest w tym samym szpitalu. Jedna z pielęgniarek powiedziała mi, że już obudził się ze śpiączki. Jego siostra puszczała mu na okrągło nagrania Buddy’ego Greco i on się w końcu przebudził i błagał ją, żeby już tego więcej nie robiła. Powinieneś go odwiedzić i zorientować się, czy pamięta coś z tamtego dnia... tego z Hypnosem i Hetti”.

Po chwili przerwy Sidney powiedział coś jeszcze:

„A tak przy okazji, Eleanor przesyła ci ucałowania. Powiedziała, że przeprasza za Jamesa, cokolwiek to znaczy”.

Conor stał przez chwilę zamyślony, a potem skasował nagranie.

O szóstej wieczorem zadzwonił do Lacey. Odebrała niemal natychmiast. Nie mógł uwierzyć, że jest aż tak zdenerwowany.

– Lacey, to ja. Jestem w Nowym Jorku.

– Aaa, Conor... Czy wszystko w porządku? Tak bardzo się o ciebie martwiłam.

Tęskniłam. Staralam się z tobą skontaktować, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś.

– Jak długo jesteś w mieście? Dzwoniłem, ale nikt nie odbierał.

– Jestem tu już tydzień. Mama i tata musieli pojechać na Florydę na zjazd stomatologów.

– Czy mogę do ciebie wpaść? Myślę, że powinniśmy porozmawiać.



– No pewnie, Conor. To także twoje mieszkanie. Tak się cieszę, że się odezwałeś. Nawet nie wiesz jak bardzo.

Zadzwonił do drzwi około ósmej. Lacey otworzyła niemal natychmiast. Miała na sobie białą bluzkę i długą zieloną spódnicę. Jej świeżo umyte włosy lśniły jak norweskie lodowce.

– Proszę, to dla ciebie – powiedział, wręczając jej bukietik lilii.

Lacey nadal stała w progu. Nie wyciągnęła ręki po kwiaty i nie odezwała się.

– Czy coś się stało? W czymś przeszkodziłem?

– Z pewnością – usłyszał czyjś głos.

Zza drzwi wyszła jakaś groteskowa postać: przekrwione oczy, obandażowana głowa i ręka na temblaku.

– Witam, panie O’Neil. Witam serdecznie. Nie poznajesz mnie?

Conor patrzył przerażony, nie wierząc własnym oczom.

– Drew? Drew, to ty?

– Raczej to, co ze mnie zostało, O’Neil. Ale może byś wszedł do środka?

– Myślałem, że nie żyjesz.

– Ja też tak myślałem. Lepiej wejdź.

– Drew, posłuchaj, to już koniec. Ta sprawa jest już zakończona. A ja mogę wreszcie udowodnić, że nie miałem z tym wszystkim nic wspólnego.

– Na pewno możesz, O’Neil. Nigdy nie byłem do końca przekonany, że maczałeś w tym palce. Ale cała ta sprawa pozwoliła mi odegrać się za Klub Golfowy z Czterdziestej Dziewiątej.

Conor wszedł do środka, a Drew Slyman zamknął za nim drzwi i wziął od niego kwiaty.

– To dla mnie? – zapytał z przekąsem. – Jestem wzruszony.

Rzucił kwiaty na stół.

– Siadaj, O’Neil.

– Drew, to prawda. Mogę udowodnić, że jestem niewinny. Będę miał pisemne oświadczenia. Darrell Bussman wybudził się ze śpiączki. Jeśli przypomni sobie, że został

zahipnotyzowany...

Slyman pochylił się nad nim.

– Posłuchaj, O’Neil... Znalezione mnie w tamtym hotelu z oparzeniami trzeciego stopnia na twarzy, klatce piersiowej i rękach. To była twoja wina. Ty mi to zrobiłeś. Sfajczył się nawet mój ptak. Odkąd wyszedłem ze szpitala, moi kumple siedzieli na tym drucie i czekali, aż zadzwonisz. No i zadzwoniłeś.

– Jest mi przykro z tego powodu. Ale co mogę w tej chwili zrobić?

– Wiesz, co ci powiem? Wierzę ci – oświadczył Slyman po dłuższej chwili. – Zawsze byłeś człowiekiem honoru. Nigdy nie ugiнаłeś się pod niczymi naciskami, nigdy się nie poddawałeś. Podziwiałem cię za to i nienawidziłem, bo sam nigdy nie umiałem być takim człowiekiem.

– Drew, posłuchaj...

– Nigdy nie uznawałeś kompromisów, prawda? – syknął Slyman.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza colta, odbezpieczył go i wymierzył.

– Nie rób tego! – krzyknął Conor, zasłaniając Lacey swoim ciałem. – Możemy coś wymyślić, żeby ci pomóc.

– Nie sądzę. To zaszło już za daleko. Tylko zemsta może coś tu pomóc. To jedyna odpowiedź.

Uniósł rewolwer i wymierzył prosto w pierś Conora. Lacey i Conor patrzyli w wylot lufy.

Nikt nic nie mówił.

– Nie wiem, czy Bóg mi kiedykolwiek to wybaczy – powiedział w końcu Slyman.

W tym momencie usłyszeli dzwonek u drzwi.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał Slyman.

– Nie – odparła Lacey.

– Ale ja tak – oświadczył Conor. – Chciałem spotkać się z kimś u Lacey.

– No, to otwórz – warknął Slyman i wskazał drzwi lufą colta.

Conor wstał i podszedł do drzwi. Slyman deptał mu po piętach. Kiedy Conor próbował się odwrócić, wepchnął mu lufę pod łopatki.

– Otwórz te cholerne drzwi, dobrze?

W progu stała Magda.

– Przyniosłaś mi to? – zapytał Conor.

– Tak, przyniosłam. Mogę wejść?

– To chyba nie najlepszy pomysł w tej chwili.

Magda popatrzyła na niego zdziwiona. Conor odpowiedział jej spojrzeniem, nie mówiąc ani słowa, ale starał się przekazać mimiką twarzy, że nie wszystko jest w porządku.

– Naprawdę nie mogę wejść? Trochę głupio mi to mówić, ale muszę skorzystać z toalety.

– Magda, bardzo mi przykro, sędzę jednak, że...

– Daj spokój... Zachowujesz się idiotycznie.

Odsunęła Conora i stanęła twarzą w twarz ze Slymanem.

– Mój Boże, co tu się dzieje?!

Slyman odepchnął Conora od drzwi i zamknął je.

– Mamy tu małe przyjęcie – wycedził przez zęby. – Tylko dla zaproszonych.

Powiedziałbym nawet, że to wystrzałowe przyjęcie.

– O co chodzi? – zapytała Magda, najwyraźniej przestraszona.

– Wymieniamy z panem O’Neuem uwagi na pewien temat. Niestety bardzo się różnimy w wielu kwestiach. Szkoda, że akurat teraz zachciało się pani siusiu. To będzie pani ostatnie siusianie w życiu. Nikt, kto tu wszedł, nie wyjdzie stąd żywy. Chyba nie aż tak trudno mnie rozpoznać...

– Pan musi być tym policjantem z pożaru – stwierdziła Magda.

– Taaa... podawałem pewnej pani ogień. A teraz siadajcie wszyscy. I bądźcie cicho.

– Pan na pewno bardzo cierpi... Te poparzenia... Ból...

– Ból? Dopóki ogień nie trawi ci skóry i mięśni, nie wiesz, co to prawdziwy ból. Siadaj, droga pani, i nie gadaj już więcej. To nie potrwa długo.

– Mam wspaniałe lekarstwo na każdy ból.

– Co? O czym pani mówi?

– Mam wspaniałe lekarstwo na każdy ból. Działa natychmiast i bardzo długo.

Slyman popatrzył na Magdę.

- Jakie to lekarstwo?
- Czy chcesz znów czuć chłód na skórze?
- Oczywiście, że chcę.
- Czy chcesz bez bólu poruszać rękoma?
- Tak.
- Czy chcesz budzić się rano i nie wyc z bólu?

Slyman przytaknął.

Magda zadawała pytania, a Slyman potakiwał i odpowiadał. Jej głos był tak hipnotyczny, że Conor uświadomił sobie, iż potakuje razem ze Slymanem, a powieki Lacey coraz bardziej opadały.

- Jesteś teraz gotów na swoje lekarstwo, prawda? Skiń głową, jeśli tak jest.

Slyman kiwnął parę razy głową.

- Podnieś broń i włóż sobie lufę do ust. Tak... Dobrze. Głębiej...

- Nie! – krzyknęła Lacey. – Nie możesz!

- Nie ma innego sposobu – odparła spokojnie Magda. – Jeśli tego nie zrobię, on nas wszystkich zabije. A potem zabije siebie. On to chce zrobić, wiem o tym. Przyszedł tu z takim zamiarem. Nie proszę go o nic innego, czego on sam nie chce. Ale chciałabym uratować nam życie.

Slyman stał na środku pokoju z lufą w ustach. Lacey patrzyła na niego przerażona i zarazem zafascynowana, przyciskając do piersi poduszkę.

Kiedy Magda znów się odezwała, jej głos był jeszcze bardziej aksamitny.

- Wystarczy, że naciśniesz spust. Nic innego nie musisz robić. Naciśniesz spust i już nigdy nie będziesz czuł bólu. Kiedy powiem „do widzenia, Drew”, naciśniesz spust. Czy rozumiesz?

Slyman kiwnął głową.

- Boże słodki, Boże... – Lacey patrzyła w niemym przerażeniu na rozgrywającą się przed jej oczami scenę.

- Do widzenia, Drew – powiedziała Magda.

Rozległ się huk i bandaż na głowie Slymana zaczął nasiąkać krwią.

Conor chciał złapać porucznika, ale w tym samym momencie uświadomił sobie, że to nie ma sensu. Slyman upadł, a Lacey klapnęła na sofę i zakryła dłońią usta.

Magda stała przez chwilę w milczeniu, po czym podeszła do Conora. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej dwie koperty. Conor wstał i wziął je.

– Ta niebieska to pisemne oświadczenie – powiedziała. – Wygląda na to, że będziesz tego potrzebował szybciej, niż myślisz.

Conor otworzył drugą kopertę i wyciągnął czek bankowy na sumę 750 tysięcy dolarów.

– Tyle uzgodniliśmy, prawda? – spytała Magda.

– Tak, wszystko w porządku.

Magda uśmiechnęła się i powiedziała:

– Kiedy spotkałam cię po raz pierwszy, Conorze O’Neil, sądziłam, że jesteś człowiekiem, który oczekuje czegoś więcej od życia. Honor, sprawiedliwość, słusność... Ty właśnie tak żyjesz, prawda? Ale myślę, że już wiesz, iż nie zawsze dostaje się w życiu to, czego się chce, będąc wiernym tylko tym zasadom.

Zamilkła i palcem o polakierowanym na czarno paznokciu postukała go w ramię. Lacey spojrziała z niepokojem na Conora.

– Oczywiście teraz możesz mieć wszystko, czego sobie zażyczysz – dodała cicho Magda.

Wyszła z mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Conor słyszał w oddali policyjne syreny.

Usiadł i popatrzył na Lacey. Nie wiedział, jak jej powiedzieć, co zamierza teraz zrobić.



# Table of Contents

